

Płomiennie serca



*Poruszające historie
prześladowanych chrześcijanek*

Pod redakcją The Voice of the Martyrs





Pod redakcją The Voice of the Martyrs

Płomienne serca

*Poruszające historie
prześladowanych
chrześcijanek*



BIELSKO-BIAŁA 2006

Hearts of Fire

Polish Edition

Copyright 2015 Voice Media

info@VM1.global

Web home: www.VM1.global

All rights reserved. No part of the publication may be reproduced, distributed or transmitted in any form or by any means, including photocopying, recording, or other electronic, or mechanical methods, without the prior written permission of the publisher, except in the case of brief quotations embodied in critical reviews and certain other noncommercial uses permitted by copyright law. For permission requests, email the publisher, addressed “Attention: Permission Coordinator,” at the address above.

This publication **may not be sold, and is for free distribution** only.

Spis treści

Dedykacja	6
Przedmowa – Gracia Burnham	7
Podziękowania	9
Wstęp: Serca płonące odwagą i niezłomną wiarą	11
1 Adel – Nadzieja pośród koszmaru	13
2 Purnima – Wolna dusza małego więźnia	47
3 Aida – Głos pozbawionych prawa głosu	73
4 Sabina – Świadek miłości Chrystusa	99
5 Tara – Niekończąca się ucieczka	139
6 Ling – W szkole cierpienia	167
7 Gladys – Przebaczenie drogą życia	201
8 Mai – Wolność w Wietnamie	223

Cytaty biblijne pochodzą z: Biblia Tysiąclecia,
wyd. III poprawione, Wydawnictwo Pallotinum,
Poznań – Warszawa 1980.

Sabinie Wurmbrand

—

głosowi prześladowanych

za wiarę

Przedmowa

Proszę o napisanie przedmowy do książki, takiej jak ta, przyjmę z pokorą. Nie śmiem bowiem stawiać siebie w jednym rzędzie z opisanymi tutaj kobietami.

Czytając te niezwykle historie o odwadze, którą czerpały z Boga, mogę utożsamić się z wieloma ich odczuciami. W przeciągu roku (od maja 2001 do czerwca 2002), który mój mąż Martin i ja spędziliśmy w niewoli u terrorystów Abu Sajaf w filipińskiej dżungli, ja również traciłam wszelką nadzieję i chciałam umrzeć. Nie miałam dachu nad głową, nie miałam co jeść. Wiedziałam jednak, że gdy tylko zostanę uwolniona, wrócę do swojego względnie spokojnego życia. Jestem teraz w Ameryce, mieszkam w pięknym domu, mam dużo jedzenia i oddane grono przyjaciół — podczas gdy te kobiety nadal znoszą rozliczne trudy, wiernie służąc Jezusowi Chrystusowi.

Dlatego też, gdy biorę gorącą kąpiel, modłę się. Gdy robię sobie makijaż i układam włosy, przygotowując się do publicznego wystąpienia, modłę się. Gdy załatwiam różne sprawy dla swoich dzieci, modłę się. Gdy zawieszam przed kościołem ładny plakat z zaproszeniem na spotkanie, modłę się o tych, którzy nie dysponują taką „infrastrukturą”. O tych, którzy cierpią, ponieważ wierzą w Jezusa. O tych, którzy myślą, że są zupełnie sami, a jednak pozostają wierni swoim przekonaniom.

Modłę się o nich tymi samymi słowami, jakimi modliłam się o siebie w dżungli: „Panie, spraw, aby odczuwali Twoją bliskość. Pomóż im pozostać wiernymi, choć okoliczności, w jakich się znajdują, stale się pogarszają. Dozwól im zobaczyć promyk Twojej dobroci, aby wiedzieli, że nie są sami. Wiem, że będziesz z nimi”.

Oby każdy z nas po przeczytaniu tej książki na nowo zawierzył się Bogu i pozwolił Mu użyć siebie zgodnie z Jego wolą — nawet jeśli oznacza to rezygnację z wolności i wygody. Może nadejść taki dzień, gdy zostaniemy pobici, a może nawet zabici za to, że jesteśmy uczniami Chrystusa. Niech przykład tych prostych kobiet dodaje nam odwagi.

Bóg nie ześle na nas prób ponad nasze siły. Zawsze wskaże drogę wyjścia (zapewni nam wszystko, czego potrzebujemy), abyśmy mogli znieść doświadczenie, jakie nas spotkało. Głęboko wierzę, że wszystko, co Bóg czyni, jest dobre. To człowiek czyni zło. To my popsuliśmy ten piękny świat. Jeżeli w tym życiu jest coś dobrego, to pochodzi to od Boga. Bóg ma plan, jest Panem wszystkiego. My zaś cierpliwie oczekujemy, aż w swoim czasie dokona odnowienia wszystkich rzeczy.

Zanim to jednak nastąpi, niechaj obdarza nas łaską, abyśmy mogli żyć dla Niego, tak jak te kobiety. Jest tego godzien.

Gracia Burnham

New Tribes Mission

Autorka książki:

In the Presence of My Enemies
(Wobec nieprzyjaciół moich)

Podziękowania

Gdy podejmowaliśmy się przygotowania tej książki dla Głosu Męczenników (The Voice of The Martyrs), wiedzieliśmy, że będzie nam potrzebny do pomocy spory zespół ludzi. Przede wszystkim jednak potrzebne były chrześcijanki, które zechciałyby podzielić się swoimi przeżyciami. Bez nich nie powstałaby żadna książka. Pragniemy im z głębi serca podziękować.

Opracowanie każdego rozdziału (z wyjątkiem historii Sabiny Wurmbrand) wymagało zaangażowania osób pracujących w terenie, niekiedy także tłumaczy. W ponad połowie przypadków konieczne było zorganizowanie tajnego spotkania z zachowaniem szczególnych środków ostrożności. Nie trzeba więc dodawać, że nie bylibyśmy w stanie wykonać tego zadania bez pomocy pracowników Głosu Męczenników z różnych krajów oraz innych osób współpracujących. Ze względów bezpieczeństwa większości z nich nie można wymienić z nazwiska. Chcielibyśmy jednak wyrazić nasze podziękowanie wszystkim tym, którzy okazali nam pomoc w krajach, do których wyjeżdżaliśmy.

Składamy również serdeczne podziękowania dyrektorowi Głosu Męczenników, Tomowi White'owi, który służył swoimi twórczymi poradami w trakcie przygotowywania tej książki i uczestniczył w opracowaniu historii Aidy i Mai. Jego wizja i oddanie sprawie przesładowanego Kościoła stanowią nieocenioną pomoc w gromadzeniu materiałów do publikacji takiej jak ta.

Przy pisaniu i redagowaniu tekstu pomagali Todd Nettleton (również pracownik Głosu Męczenników) oraz Sue Ann Jones. Obydwoje byli dla nas ogromną pomocą. Dziękujemy.

Nie zawsze jest łatwo włączyć się w pracę, dotyczącą przesładowań i niektórych bardziej drastycznych aspektów naszej wiary. Niemniej jednak Greg Daniel i pracownicy W Publishing Group ponownie z wielkim oddaniem przyczynili się do opublikowania tych niezwykłych historii o wytrwałości i odwadze. Dziękujemy za ożwienie *Płomiennych serc*.

Szczególnie ciepłe podziękowania kierujemy do naszych dzieci, Jordana i Eleny, które były gotowe „zrezygnować” z mamy i taty na wiele wieczorów i weekendów, a także w trakcie naszych zagranicznych podróży. Modlimy się, aby te historie stały się częścią fundamentu waszej wiary.

Steve & Ginny Cleary

Wstęp:

Serca płonące odwagą i niezłomną wiarą

Porywani. Bici. Więzieni. W wielu miejscach na świecie te słowa są obecnie synonimami bycia chrześcijaninem. Chrześcijanki spotykają się tam z jeszcze jednym wyzwaniem. Uważa się je za niższą klasę społeczną, niezdolną do pełnienia jakichkolwiek ról przywódczych. Znajdują się pod całkowitą kontrolą mężczyzn.

Płomienne serca to historie ośmiu kobiet, które pomimo takich właśnie okoliczności okazały niezwykłą odwagę, wiarę i miłość do Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła. W ekstremalnie trudnych warunkach stały się przywódczyniami i wykazały się nadzwyczajnym hartem ducha i nieustępliwością. Widząc wokół siebie przeróżne potrzeby i możliwości, nie ugięły się pod ciężarem odpowiedzialności, jaka na nie spadała. Jak na ironię, tylko w cierpieniu miały równe prawa z mężczyznami. W niektórych przypadkach cierpiały nawet bardziej niż oni.

Wydanie książki ze świadectwami chrześcijanek prześladowanych za wiarę wiązało się z wieloma wyzwaniami. Przede wszystkim pragnęliśmy, aby przedstawione historie były jak najbardziej współczesne. Oznaczało to konieczność wyjazdów do krajów, w których te kobiety aktualnie mieszkają. W wielu przypadkach wciąż zagraża im ogromne niebezpieczeństwo. Mieliśmy także zamiar opowiedzieć o kobietach, które nie tylko przeszły przez osobiste cierpienia, lecz także okazały cechy przywódcze w służbie. Nie chcieliśmy się przy tym ograniczać jedynie do ukazania ich tragedii, bólu i udręki. Naszym celem było również przedstawienie inspirujących przykładów niezłomnej nadziei, która pozwalała tym kobietom jaśnieć miłością Chrystusa nawet w najczarniejszych chwilach życia.

Godzien podkreślenia jest fakt, że kobiety opisane w *Płomien-nych sercach* stanowią jedynie niewielką grupę spośród niezliczonej

rzeszy kobiet na całym świecie, które przechodzą przez podobne doświadczenia. Wybraliśmy przedstawicielki różnych regionów świata, w których chrześcijanie są prześladowani. Na nasz wybór miało wpływ również to, czy zdołamy spotkać się z daną kobietą indywidualnie. Te, z którymi przeprowadziliśmy wywiady, zazwyczaj mówiły nam, że inne kobiety przeszły przez bardziej tragiczne doświadczenia i byłyby lepszymi kandydatkami. Żadna z nich nie chciała, by traktowano ją jako wyjątkowy przykład chrześcijańskiego heroizmu.

Historie zamieszczone w tej książce są niezwykle różnorodne. Niektóre z kobiet były przez lata więzione, z kolei inne nie były w więzieniu, ale spadły na nie inne nieszczęścia. Są w różnym wieku i wywodzą się z wielu różnych środowisk, w których wyznawane jest wszystko od chrześcijaństwa po islam, hinduizm i ateizm. Niemniej jednak to, co najbardziej zdumiewa, to podobieństwa między nimi: głęboki zapał i mocna wiara, która pozwoliła każdej z nich wyjść poza ludzkie ograniczenia i słabości.

Trwamy w modlitwie, abys, drogi czytelniku, po lekturze *Płomiennych serc* nabrał jeszcze mocniejszych przekonań i potrafił lepiej radzić sobie z codziennymi trudnościami. Jeżeli będziesz tylko zadziwiony tymi niezwykłymi świadectwami, to zawiedliśmy. Jeżeli w swoim własnym życiu odnajdziesz podobieństwa z przynajmniej jedną z opisanych tu historii i dzięki tym przykładom nadzwyczajnej odwagi nabierzesz wewnętrznej siły, to odnieśliśmy sukces. Podobnie zresztą jak te kobiety, które uprzejmie zgodziły się podzielić z tobą swoimi przeżyciami.

Początkowo mieliśmy zamiar na końcu każdego rozdziału zamieścić krótkie rozważanie biblijne. Niemniej jednak po zredagowaniu poszczególnych historii zdaliśmy sobie sprawę, że nie są one konieczne. W każdym z tych świadectw można bowiem odnaleźć prawdziwe perły wiary i nadziei. Ufamy, że rozniecą one iskrę również w twoim sercu.

Głos Męczenników
The Voice of the Martyrs

Adel: Nadzieja pośród koszmaru

Indonezja

10 stycznia 2000

W cieniu kołyszących się palm zebrała wszystkie dzieci, około pięćdziesięcioro. Głos Adel wzbił się w powietrze, gdy zaczęła śpiewać „Naprzód żołnierze Chrystusa”. Dzieci przyłączały się do śpiewu. W ich oczach malował się strach.

— Nie chcę umierać — zawołał pewien niespełna dziesięcioletni chłopczyk.

— Nie umrzemy. No, klaszcz razem z nami — Adel nachyliła się do niego i powiedziała mu to prosto do ucha, tak by głosy dzieci nie zagłuszyły jej słów.

Przerażony chłopczyk niechętnie przyłączył się do reszty. Zaśpiewali kolejną pieśń, klaszcząc drżącymi ze strachu dłońmi. Adel robiła, co mogła, żeby zagłuszyć przerażające krzyki, dochodzące z podnóża wzniesienia, na którym się znajdowali. Dramat rozgrywał się niespełna półtora kilometra od nich.

Wiedziała, że nie może pozwolić, aby dzieci zaczęły płakać. Szczególnie te starsze. Gdyby choć jedno się rozplakało, zapanowałyby ogólna histeria. Podziwiała ich odwagę. Rodzice stojący w małych grupkach wokół dzieci też jakby nabierali siły, patrząc na swoje dzielne pociechy.

Rozejrzała się wśród grupy śpiewających dzieci i odnalazła wzrokiem swojego synka i córeczkę. Christina miała już dziewięć lat, a Christiano siedem.

— Muszę się trzymać — dodawała sobie otuchy — muszę się trzymać dla swoich dzieci, dla wszystkich dzieci.

Głęboko ufała Chrystusowi, ale martwiła się o dzieci — szczególnie o Christiano. Anto, jak go pieszczotliwie nazywali, był taki drobny jak na swój wiek.

Modliła się w duchu o opiekę Bożą. Dziękowała za to, że w trakcie ucieczki w ostatniej chwili zabrała Biblię. Otworzyła ją teraz. Ostrożnie przewracała podniszczone kartki, by znaleźć dobrze sobie znany fragment. Zaczęła czytać na głos: „Wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia, w Chrystusie”. Następnie otworzyła Biblię na ostatnich stronach, na których miała zapisane teksty wielu piosenek. Wspólnie z dziećmi zaśpiewała jedną z nich.

W trakcie śpiewu niektóre maluchy zaczęły marudzić, że są głodne i chce im się pić. Siedzieli na tym wzgórzu od południa, a teraz zachodzące słońce rzucało już na niebo jaskrawopłową poświatę. Na Dodi, ich małej indonezyjskiej wyspie, zachody słońca są tak cudowne. Lecz nie tego dnia. Ten wieczór stanowił złowieszczą zapowiedź ciemności, która miała wkrótce ogarnąć ich wioskę.

Nagle okrzyki Methu przebiły się przez śpiew dzieci:

— Uciekaj! Adel, uciekaj!

Podbiegła szybko na krawędź zbocza i starała się zobaczyć coś w promieniach zachodzącego słońca. Z trudem dostrzegła sylwetki mężczyzn wspinających się do góry po stromiznie. Głos Methu rozległ się ponownie:

— Zabieraj dzieci, Adel! Szybko! Uciekajcie do dżungli.

Zamarła z przerażenia. Trzask ognia niósł się po zboczu. Ku ciemniącemu niebu unosił się dym. Podpalili całą wioskę! Wiedziała, że spłoną wszystkie domostwa, w tym i ich dom.

Stała przed strasznym dylematem. Nie wiedziała, czy powinna pomóc Methu, wspinającemu się po stromej skarpie, czy też uciekać z dziećmi. Wszystko działo się tak szybko. W jednej chwili całe życie stanęło jej przed oczami. Dwoje wspaniałych dzieci, kochający mąż, wszystko układało się tak dobrze.

Odwróciła się do dzieci, po czym jeszcze raz spojrzała w stronę Methu. I nagle przypomniała sobie zuchwałego siedemnastolatka, nieproszonego gościa, który rozsiadał się na kanapie jej matki.

Teraz tylko Bóg może was rozłączyć

Lipiec 1989

— Mamo, on wygląda jak małpa! — syknęła, zerkając z kuchni na młodego chłopaka siedzącego w pokoju.

Na mamie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Możliwe, że Adel była za młoda, by wychodzić za mąż. Mogłaby jednak okazać choćby odrobinę szacunku temu młodemu człowiekowi za jego determinację.

Przychodził do nich codziennie niemal o tej samej porze. Adel nie wiedziała do końca, czy bardziej schlebiało jej to, czy złościło, że każdego dnia usadawiał się wygodnie na kanapie i powtarzał to samo pytanie. Odpowiadała mu już wielokrotnie. Lecz on albo nie chciał przyjąć do wiadomości jej odpowiedzi, albo udawał, że jej wcale nie słyszy.

— Nie chcę wychodzić za mąż. Jestem za młoda. A nawet gdybym chciała wyjść za mąż, to na pewno nie za ciebie! — tłumaczyła wytrwale.

Ona też miała siedemnaście lat. Ostatnio bardzo wypiękniała. Nie miała jednak ochoty się z nikim wiązać — a okazji ku temu jej nie brakowało.

Methu nie sprzeczał się z nią ani nie obrażał się za jej uszczypliwe uwagi. Po prostu siedział dalej i po raz kolejny cierpliwie wyjaśniał, że powinna zostać jego żoną.

— Taka jest Boża wola. Nawet jeśli wydaje ci się, że wyglądam jak małpa.

Adel zachichotała, zobaczywszy, jak uśmiech przemknął po twarzy jej matki. Methu nie zbiło to z tropu. Powtórzył swoje pytanie:

— A więc, czy wyjdiesz za mnie?

Wiedziała, że udzielanie odpowiedzi nie ma żadnego sensu. Siedziała więc w milczeniu, zastanawiając się, kiedy Methu sobie pójdzie. W końcu wstał i zaczął zabierać się do wyjścia. Lecz zanim wyszedł, ściągnął swoją koszulę, ładnie ją poskładał i położył na jej kolanach.

— Proszę — powiedział. — Skoro nie chcesz mi odpowiedzieć, moja koszula będzie tu czekać pod moją nieobecność.

Ten młodzieńczy, ale szczerzy gest naprawdę jej schlebił. Może powinna rozważyć jego propozycję...

Po upływie trzech miesięcy pobrali się.

Był piękny październikowy dzień. Wszystko odbyło się zgodnie z miejscową tradycją. Uroczystości weselne trwały od wczesnego popołudnia do późnej nocy. Uczestniczyła w nich cała wioska. Panowała ogólna radość. Dla każdego przygotowano po dwa syte posiłki. Cały ten dzień minął Adel jakby w mgnieniu oka. Przez cały czas powracał niepokój. Martwiła się, że jest za młoda na małżeństwo i że popełnia okropny błąd. Wychodziła za mąż jako pierwsza z siedmiorga

rodzeństwa. Skąd miała wiedzieć, jak być dobrą żoną? Dopiero słowa pastora, wypowiedziane po ceremonii zaślubin, rozwiały wątpliwości.

— Adel — powiedział wtedy do niej — teraz tylko Bóg może was rozłączyć.

Miesiąc po ślubie zaszła w ciążę. Pozornie wszystko szło dobrze, jednak po długim i ciężkim porodzie dziecko urodziło się martwe. Adel i Methu byli zdruzgotani.

Po pięciu miesiącach znowu była w ciąży. Tym razem dziecko urodziło się trzy miesiące przed terminem i nie dawano mu szans na przeżycie. Przyjaciele, którzy przychodzili w odwiedziny, starali się ją pocieszyć i przygotować na śmierć maleństwa.

— Moje dziecko nie umrze — odpowiadała uparcie.

Była o tym całkowicie przekonana. Opinie rodziny i sąsiadów nie mogły zachwiać jej pewności. Nie straci kolejnego dziecka.

Delikatnie kładła swoją nowo narodzoną córeczkę na poduszcze i czule mówiła do swojego maleństwa, modląc się równocześnie do Boga:

— Nie wiem, dlaczego tak szybko się tu znalazłaś — szeptała. — Nie byłaś w moim łonie tak długo, jak powinnaś. Ale chociaż jesteś taka malutka, to jednak Methu i ja bardzo cię kochamy. Wiem, że Bóg zachowa cię przy życiu.

Ku zdumieniu rodziny i mieszkańców wioski Christina szybko nadrobiła straty. Po dwóch i pół roku na świat przyszedł jej brat Christiano.

Adel i Methu nie posiadali się ze szczęścia. Wkrótce po narodzinach Christiano przeprowadzili się do swojego nowego domu. Była to prosta, bambusowa chata, składająca się z trzech pomieszczeń. Za podłogę służyło klepisko. Warunki były skromne, ale byli na swoim. Może kiedy dzieci podrosną, będą mogli sobie pozwolić na lepszy i większy dom. Lecz te marzenia musieli odłożyć na później. Na razie cieszyli się z tego, że nie musieli już mieszkać pod jednym dachem z rodzicami Methu.

Niemalże wszyscy mieszkańcy ich wioski byli chrześcijanami. Adel z całego serca angażowała się w służbę wśród najmłodszych, prowadzoną przez miejscowy kościół. W wieku Christiny i Christiano było ponad pięćdziesięcioro dzieci. Adel uwielbiała czytać im fascynujące historie biblijne, które kiedyś czytał jej dziadek. Była przekonana, że naśladowanie dziadka w głoszeniu ewangelii, choćby tylko dzieciom z sąsiedztwa, było jak najbardziej słuszne.

Nieuchronnie nadciągający dżihad

Życie Adel i pozostałych mieszkańców wioski upływało bez większych kłopotów, dopóki okoliczni muzułmanie nie złożyli im pierwszej „oficjalnej” wizyty.

Choć Adel nie zdawała sobie wówczas z tego sprawy, to jednak z perspektywy czasu widzi, że cały ten koszmar rozpoczął się o trzeciej po południu dziewiątego września 1999 roku. Był to dzień, którego nigdy nie zapomni. Usłyszała jakiś zgiełk. Wybiegła z domu i od razu rzucił jej się w oczy transparent. Widniały na nim tylko dwa słowa, zapisane dużymi drukowanymi literami: *Cinti Damai*, co znaczy „Miłujmy pokój”. Wokół transparentu tłoczyło się około trzydzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci z muzułmańskiej wioski Dahma.

— Mieszkańcy Dodi — obwieścił ciemnoskóry mężczyzna w średnim wieku — jesteście naszymi sąsiadami. Powinniśmy zobowiązać się, że będziemy żyli ze sobą w pokoju.

Choć nie było żadnego systemu nagłaśniającego, to jednak jego tubalny głos z łatwością niósł się wśród zebranego tłumu. Wysoki i chudy mówca stał na starym drewnianym podium, używanym w trakcie nabożeństw.

— Między muzułmańskimi i chrześcijańskimi wioskami nie powinno być żadnych nieporozumień ani waśni — mówił. — Wszyscy powinniśmy żyć w pokoju.

Adel i pozostali ludzie tłumnie zgromadzeni wokół podium uważali te słowa za dosyć osobliwe, jako że dotychczas nie dochodziło do żadnych konfliktów. Mimo to podali swoim gościom rękę na znak przyjaźni i wspólnie z nimi spędzili pozostałą część dnia.

Kiedy wieczorem Methu wrócił z pracy w pobliskiej kopalni, opowiedziała mu o wszystkim.

— Więc skąd się wzięły te wszystkie opowieści? — powątpiewał.

Od jakiegoś czasu krążyły dziwne pogłoski, że dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca 1999 roku będzie czarnym dniem dla chrześcijan na wyspie Dodi. Methu i Adel nie traktowali tego poważnie. Zastanowili się też nad znaczeniem odwiedzin muzułmanów i doszli do wniosku, że najwyraźniej nie ma żadnego zagrożenia. Panowała bowiem naprawdę wesoła atmosfera. Dzieci bawiły się razem.

Minęły prawie cztery miesiące bez żadnych incydentów ani czegośkolwiek, co dawałoby powód do podejrzeń. Mieszkańcy Dodi uznali więc, że były to zwykłe plotki. Lecz zaraz po Bożym Narodzeniu młody kupiec o imieniu Yulpus wrócił do wioski po nieudanej

próbie opuszczenia wyspy. Sąsiedzi, zdziwieni tak szybkim powrotem, postanowili dowiedzieć się, co go do tego skłoniło.

— Nie pozwolili mi wyjechać — oznajmił.

— Kto? Dlaczego? — dopytywał się pewien mężczyzna, podczas gdy pozostali zaniepokojeni tłoczyli się coraz bardziej wokół niego.

— Grupa muzułmanów zatrzymała mnie — kontynuował. — Nie wiem dlaczego. Powiedzieli mi tylko, żebym na razie nie wybierał się w podróż, bo jest to zbyt niebezpieczne. Zaprotestowałem i powiedziałem, że muszę wyjechać z wyspy po towar. Lecz niewiele ich to obchodziło. Byli bardzo rozdrażnieni i najwyraźniej przeszkadzało im to, że jestem chrześcijaninem. Zauważyłem, że niektórzy z tych mężczyzn byli w grupie, która nas odwiedziła, żeby obwieścić ten tak zwany pokój. Nie chciałem wpakować się w większe kłopoty, więc zawróciłem i pojechałem do domu.

Adel, Methu i pozostali mieszkańcy wioski dużo myśleli o tym, co powiedział Yulpius. Jeszcze raz przeanalizowali wydarzenia z dziewiątego września. Nie mieli jednak dowodu na to, że grozi im niebezpieczeństwo. Nie mogli więc wiele zrobić. Dziesiątego stycznia spełniły się ich najgorsze obawy, burząc, niczym tornado, ich spokojne życie.

Był środek dnia. Adel spała obok chorego Christiano, gdy nagle obudziły ich rozgorączkowane głosy sąsiadów. Wybiegła przed dom i zamarła — w oddali unosiły się ogromne słupy dymu. Pobliska wioska, zamieszkała przez chrześcijan, płonęła. Zapanował straszliwy zgiełk. Wszystkich zaczęła ogarniać panika. Musieli uciekać z domów. Trzy tysiące uzbrojonych muzułmanów zmierzało w ich stronę. Szanse na ich powstrzymanie były nikłe. Rozpoczął się dżihad — muzułmańska wojna z niewiernymi.

Adel wbiegła z powrotem do domu, wołając Christinę i Anta. Lecz nikt nie odpowiadał. Serce waliło jej coraz mocniej. Jak oszalała szukała swoich dzieci. Wybiegła na zewnątrz i na całe gardło wołała je po imieniu. W końcu ktoś powiedział jej, że widziano je, jak wspinały się już na wzgórze położone za wioską. Wpadła jeszcze raz do środka i w pośpiechu chwyciła parę rzeczy. Wybiegając z domu, zauważyła swoją Biblię leżącą na stole. Chwyciła ją i uciekła.

Mamo, czy my umrzemy?

10 stycznia 2000

Methu wraz z mężczyznami z wioski odpierali atak muzułmanów przez blisko cztery godziny. Lecz napastników było po prostu

zbyt wielu. Byli też dobrze uzbrojeni w maczety, pochodnie i broń palną.

Cała wioska stanęła w płomieniach. Okrzyki: „Allah Akbar! Allah jest wielki!” wstrząsnęły powietrzem. Methu i pozostali mężczyźni co sił wspinali się po śliskim zboczcu, mając nadzieję, że bojownicy dżihadu zadowolą się zniszczeniem wioski. Lecz agresorzy wpadli w nieludzki szal i wkrótce oni również wdrapywali się na wzgórze, strzelając na oślep w kierunku chrześcijan.

Wszyscy zaczęli uciekać w różnych kierunkach. Methu i Adel pośpiesznie zbrali przy sobie swoje dzieci i matki. Chcąc uniknąć szaleńczego ostrzału, wpadli w wysoką trawę i jak najszybciej potrafili, zaczęli iść na czworakach w stronę dżungli. Wyczerpującą wędrówkę dodatkowo utrudniał rześcicie padający deszcz, który zamienił ziemię w grząskie błoto.

Po dwóch godzinach przedzierania się przez gęstą dżungłę dotarli do opuszczonej, drewnianej wiaty na skraju plantacji palm kokosowych. Była osłonięta ścianami z trzech stron i przykryta dachem. W parne popołudnia w trakcie żniw korzystali z niej rolnicy, szukający schronienia przed żarem lejącym się z nieba. Może tej nocy posłuży jako ostoja dla umęczonej rodziny. Byli zbyt wyczerpani, żeby iść dalej.

Christina i Christiano zasnęli niemalże od razu, gdy Adel ułożyła ich na bambusowej macie, którą znaleźli w opuszczonej szopie. Dzieci, podobnie jak wszyscy pozostali, były przemoczone do suchej nitki i straszliwie ubłocone. Choć podniszczona wiata dawała pewną ochronę, to jednak w dachu było pełno dziur, przez które do środka dostawały się strugi deszczu.

Adel rozkleiła się i wybuchła płaczem. Łzy przemieszane z kroplami deszczu spływały jej po twarzy.

Gdy się nieco uspokoiła, przytuliła się do Methu i znękanii pomodlili się krótko. Po czym każde z nich usiadło obok swojej matki i tak spędzili tę potworną noc. Christina i jej brat obudzili się o świcie. Powoli zaczęli uświadamiać sobie, że ten straszliwy koszmar, który wydawał się być snem, był jak najbardziej realny. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, wpatrując się w dorosłych. Ich szeroko otwarte oczy spoglądały błagalnie, oczekując jakichś słów pocieszenia. Lecz grobowa cisza położyła się cieniem na przerażonej rodzinie. Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

W końcu Christiano zajączał cichutko:

— Mamo, jestem głodny.

Oczy Adel napęłniły się łzami. Starła się powstrzymać od płaczu, lecz zanim ułożyła swojego synka na kolanach, rozpląkała się rzewnie.

— Adel, proszę, nie płacz tak — błagał Methu. — Poszukam czegoś do jedzenia.

Próbował dodać jej otuchy. Wiedział jednak, że jego żona jest u kresu wytrzymałości. Serce kroiło się jej z bólu, gdy patrzyła bezradnie na cierpienie swoich ukochanych dzieci.

Methu chciał wrócić do spalonej wioski w poszukiwaniu żywności. Adel błagała go, żeby nie szedł, ale wiedziała, że muszą coś zrobić. Nie mogli tkwić w tej szopie bez jedzenia i wody.

Po wyjściu Methu czas włókł się nieubłaganie. Adel ogarniał dławiący strach. Nie mogąc poradzić sobie z dręczącym ją niepokojem, zaprowadziła swoich bliskich z powrotem do dżungli. Po jakimś czasie natknęli się na innych mieszkańców wioski, którzy ukrywali się na skraju pola kukurydzy. Adel wprowadziła Christinę, Anta i obydwie matki między równe rzędy kukurydzy i zaczęły zrywać kolby. Przynajmniej coś zjedzą.

Kilka godzin później Methu dołączył do nich. Przyniósł dwanaście puszek Coca-Coli. Tylko tyle udało mu się znaleźć. Kiedy jednak dzieci zabierały się za otwarcie puszek, rozległ się huk wystrzałów — jakby grzmot przetaczający się przez pole. Nikt nie miał pojęcia, z której strony dolatują strzały, więc wszyscy padli na ziemię. Nie wiadomo było, w którą stronę uciekać. W końcu Christina spojrzała na Adel i zapytała:

— Mamo, czy umrzemy?

— Tak, umrzemy — ta uporczywa myśl przeszywała jej serce. Wiedziała jednak, że dzieci jej potrzebują i nie może się rozkleić. Przytuliła je do siebie i powiedziała:

— Wszystko będzie dobrze.

Zdawała sobie przy tym sprawę, że żadne słowa otuchy nie są w stanie zmienić potwornej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Zrozumiała, co musi zrobić. Będzie to najtrudniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek przeprowadziła ze swoimi dziećmi. Ale nie miała wyboru. Będzie musiała im powiedzieć...

— Christino i Anto, proszę spójrzcie na mnie i posłuchajcie bardzo uważnie. Jeżeli złapią nas bojownicy dżihadu, zapytają, czy chcecie zostać muzułmanami. Jeżeli odpowiecie, że nie, mogą was zabić.

Spojrzała dzieciom prosto w oczy. Wiedziała, że jest tylko jedna właściwa odpowiedź. Lecz czy od takich małych dzieci można oczekiwać aż takiej odwagi?

Jej córka i syn odpowiedzieli po prostu:

— Chcemy wierzyć w Jezusa.

Bez namysłu otworzyła Biblię, którą zabrała ze sobą. Chciała przeczytać fragment, o którym myślała nieustannie od chwili ucieczki z domu. Gdy była dzieckiem, dziadek czytał jej go tyle razy, że dosłownie wrył się jej głęboko w serce. Psalm 23. Poprosiła dzieci, żeby powtarzały za nią i zaczęła mówić: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną...”

Powtarzali ten psalm tak długo, aż dzieci nauczyły się go na pamięć. Były takie dzielne. Adel zastanawiała się, czy naprawdę zdają sobie sprawę z powagi sytuacji.

Poczuła, że łzy znowu napływają jej do oczu. Otarła je pośpiesznie wierzchem dłoni i zapytała:

— Christino, nie boisz się, że mogą cię zabić, jeśli powiesz, że jesteś chrześcijanką?

Christina przysunęła się blisko do matki, spojrzała jej prosto w oczy i odpowiedziała łagodnie:

— Mamo, proszę, nie martw się. Nie boję się umrzeć.

Kiedy strzały ucichły, ludzie zgromadzeni na polach kukurydzy rozpięchli się. Adel i Methu razem z dziećmi i swoimi matkami wrócili do cieniejszej dżungli, którą przemierzali znużeni przez kolejne dwa dni. Szli jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, spali zaledwie kilka godzin a o świcie ponownie wyruszyli. Po jakimś czasie Methu spotkał znajomych mieszkańców wioski i dowiedział się od nich, że niektórzy chrześcijanie zostali już zabici. Martwiąc się o swoich bliskich, poprowadził ich w głąb dżungli.

Wszyscy byli wyczerpani. W końcu Methu i Adel zdali sobie sprawę, że dzieci nie dadzą rady iść dalej. Mieli trochę mleka kokosowego, głód jednak doskwierał im coraz bardziej. Adel płakała za każdym razem, gdy któreś z dzieci prosiło o coś do jedzenia. Spotkali się także z ojcem i bratem Methu.

Dotarli w końcu do miejsca, które uznali za bezpieczne schronienie. Methu zebrał trochę suchych liści palmowych, aby dzieci mogły na nich usiąść. Z dołu wąwozu dochodził odgłos szemrzącego strumienia. Wraz z bratem postanowili tam wyruszyć, żeby zobaczyć, czy nie uda im się znaleźć czegoś do jedzenia.

Anto był jeszcze taki mały. Nie rozumiał, dlaczego od kilku dni nic nie jedli. Zapytał więc otwarcie, czy nie mógłby dostać trochę ryżu i ryby.

— Tatuś wróci za chwilę i być może przyniesie jakąś rybę. Wtedy zjemy — odpowiedziała Adel, starając się dodać mu nieco otuchy. Wiedziała jednak, że znalezienie w tym miejscu czegokolwiek do jedzenia jest mało prawdopodobne. Przytuliła więc Anta mocno do siebie, nucąc cicho piosenkę i kołyszając go.

Wszehpotężna krew Jezusa

Nie minęło dziesięć minut, gdy usłyszała krzyki Methu. Początkowo myślała, że chyba zwariował. Swoimi krzykami może przecież ściągnąć bojowników dżihadu, którzy mogą być gdzieś w pobliżu. Po chwili uświadomiła sobie, że Methu jest już otoczony i krzyczy do niej i pozostałych swoich bliskich, aby uciekali. Ponownie usłyszała słowa, które zmroziły jej krew w żyłach zaledwie kilka dni wcześniej:

— Uciekaj, Adel! Uciekaj!

Zanim Methu zdążył ponownie zawołać, usłyszała serię wystrzałów z automatu. Natychmiast poderwała się na nogi, ale ponieważ Anto nadal trzymał ją za szyję, potknęła się i zatoczyła. Gdy się odwróciła, dostrzegła kątem oka Christinę biegnącą w kierunku, z którego dochodziły krzyki Methu. Nabrała powietrza w płuca, żeby zawołać ją, ale było już za późno. Zostali otoczeni przez mężczyzn w długich białych szatach.

Anto leżał na ziemi w miejscu, w którym go upuściła. Gdy próbował się podnieść, jeden z mężczyzn zamachnął się i uderzył go w plecy płaską stroną maczety. Wrzasnęła ze wszystkich sił i rzuciła się na swojego synka, aby osłonić jego małe ciało przed kolejnym ciosem. Widziała, jak jego twarz robi się zupełnie biała ze strachu i szoku. Niestety próby pomocy Antowi okazały się nieskuteczne. Jeden z muzułmanów chwycił ją za jej długie włosy i z łatwością podniósł do góry.

Do gardła przystawiono jej zakrwawioną maczetę i zaprowadzono siłą do dwóch drzew bambusowych. Zrozumiała, jakie mają zamiary, gdy zaczęły zdzierać z niej ubranie. Wciąż trzymała kurczowo swoją Biblię, lecz i ona spadła na ziemię równie łatwo jak jej odzież. Zamknęła oczy i w duchu modliła się o swoją rodzinę, błagając Boga, aby uchronił ją przed gwałtem.

Nagle usłyszała krzyki swojej matki, teściowej i ukochanego Anta. Wiedziała, że masakrują ich te bezwzględne zbiry, które wypędziły jej rodzinę z domu. Ból był nie do zniesienia. Bliska omdlenia upadła na kolana i zobaczyła, jak ci, którzy napadli na jej bliskich, odwracają się i zaczynają iść w jej kierunku. Z ich maczet skapywała krew. Krew Anta.

— O Boże! — zawołała.

Nie wiedziała, jak to wszystko wytrzyma. Jeden z mężczyzn ściągnął swój przepocony turban i zawiązał go wokół jej głowy. Na turbanie widniał napis: „Allah Akbar”. Ostatkiem sił krzyknęła:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna!

— To chrześcijanka! Świnia! Śmierdząca świnia! Zgwałćmy ją i skończmy z tym — odezwał się szyderczy głos.

Otoczała ją coraz większa grupa rozwścieczonych muzułmanów. Naradzali się, co powinni z nią zrobić. Mówili swoim miejscowym dialektem, nie zdając sobie sprawy, że rozumie każde ich słowo.

Starając się powstrzymać łzy, modliła się w swoim sercu:

— Panie, pomóż im zrozumieć, co robią. To takie wielkie zło... Proszę, spraw, aby zrozumieli. Nie wiedzą, co robią. To jest nieludzkie.

Gdy się modliła, usłyszała w tym całym zamięcie ściszony, łagodny głos, dochodzący gdzieś z przodu:

— Adel, to ty?

Podniosła wzrok i zauważyła człowieka ze swojej wioski, którego również schwytali. Miał na imię Hans.

Z niego również zdarli wszystkie ubrania. Po jego nagim ciele spływała krew z wielu ran. Adel zapadła się w jeszcze większą otchłań rozpacz. Była przekonana, że Hans nie dożyje do wieczora. Zapytała tylko, czy widział Methu lub Christinę. Potrzęsnał przecząco głową.

Jeden z mężczyzn wcisnął jej w ręce zwinięte w kłębek ubrania. Na nałożenie ich jednak nie dostała zgody. Spojrzała w dół na swoją Biblię — podartą na strzępy.

Bojownicy prowadzili dwoje swoich jeńców stromą górską ścieżką, trącając maczetami najwrażliwsze miejsca ich zmaltretowanych ciał. Kiedy ścieżka zwęziła się, Adel spojrzała w dół urwiska. Uświadomiła sobie, jak jest wysoko i jak łatwo można by rzucić się w dół. Wiedziała, że gdyby skoczyła, prawdopodobnie zginęłaby na miejscu. Nie miałyby nic przeciwko temu.

— Pomóż mi, Panie! Pomóż mi — błagała nieustannie.

Oparłszy się pokusie, by rzucić się w przepaść, dotarła w końcu na szczyt góry, na której zgromadziło się grubo ponad tysiąc bojowników dżihadu. Byli w różnym wieku. Niektórzy mieli zaledwie kilkanaście lat. Wszyscy ubrani byli w takie same długie białe szaty i turbany mocno zawiązane na głowie.

Jeden z bojowników, grożąc wycelowanym w nich karabinem, zmusił Adel i Hansa, aby stanęli jedno za drugim. Był to barczysty mężczyzna w średnim wieku. Położył karabin obok siebie i powoli wyciągnął z pochwy długą maczetę. Adel rozejrzała się i uświadomiła sobie, że ona i Hans są jedynymi chrześcijanami w tym morzu białych szat. Zamknęła oczy, sądząc, a nawet mając nadzieję, że to wszystko nareszcie się skończy.

Po kilku chwilach poczuła, jak ciepła krew spływa po jej twarzy i ciele.

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna — krzyczała w kółko.

Hans też krzyczał. Słyszała również rozeźlone głosy pozostałych mężczyzn, wrzeszczących i skandujących w oddali. Nie miała odwagi otworzyć oczu. Myślała, że jeśli wystarczająco długo będzie je trzymać zamknięte, to będzie mogła je otworzyć po drugiej stronie — w niebie. Lecz po niekończącym się oczekiwaniu, które zdawało się trwać całe godziny, podniosła w końcu zaciśnięte powieki. Przed nią leżało zmasakrowane ciało Hansa.

Cztery proste słowa

Cała była zakrwawiona, ale nie wiedziała, czy jest to jej krew czy Hansa. Była straszliwie obolała z powodu licznych zadanych jej ciosów, a jednak nigdzie na swoim ciele nie widziała żadnych otwartych ran. Głos jej słabł. Udało się jej jednak po raz kolejny wypowiedzieć słowa:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna.

Była przekonana, że Bóg ją ochrania. Powinna była umrzeć już dawno temu. Minęło już ponad pięć godzin, odkąd zdarli z niej ubranie i zaczęli ją bić. Wiedziała, że Anto, jej matka, teściowa i Hans już nie żyją. Spodziewała się, że pozostałych spotkał ten sam los. Lecz ona nadal żyje. Musi być ku temu jakiś powód. Pośród tej potwornej poniewierki odczuła cudowny promyk nadziei.

Bojownicy dżihadu wzięli swoją broń i powiedzieli jej, że czas wyruszać w drogę. Miała być ich przewodniczką. Wypchnęli ją na początek formującej się kolumny. Prowadziła ich po krętej drodze na

przeciwnym zboczom góry. Nie miała pojęcia, dokąd idą. Była półprzytomna. Nie mogła wymazać z pamięci odgłosów brutalnej egzekucji Hansa i widoku jego pokiereszowanego ciała. Nie wystarczyło im, że pocięli go na kawałki. Przykryli jeszcze jego zwłoki liśćmi z okolicznych palm kokosowych, wylali na nie benzynę i podpalili.

Gdy dotarli do podnóża góry, nie była już potrzebna jako przewodniczka. Kazali jej więc iść w stronę ich wioski Dahmy. Cały czas ją popychali, ciągnęli za włosy, szydzili z niej i uderzali jej nagie ciało płaską stroną swoich maczet. Po każdym zadany ciosie krzyczała:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna! Krew Chrystusa jest wszechpotężna!

Czasami któryś z mężczyzn podbiegał z tyłu i z szaleńczą zawziętością uderzał ją w tył głowy płaską stroną maczety. Upadała na ziemię niczym szmaciana lalka. Zastaniała dłońmi głowę. Czuła się tak, jakby tysiące szpilek wbijano jej w głowę. Lecz ku swojemu zdumieniu zauważyła, że wcale nie krwawi.

Przewyciężyć nienawiść

Nabrała odwagi, gdyż ponownie zdała sobie sprawę, że Bóg w cudowny sposób zachowuje ją przy życiu. Ale dlaczego to robi? Nie mogła zrozumieć, czemu ciągle oddycha, skoro tak wielu zostało brutalnie zamordowanych. Nawet jej oprawcy wyglądali na zdeorientowanych. Jakby nie mogli pojąć, jak taka bezbronna kobieta mogła znieść tyle razów. Szczególnie złościło ich to, że ciągle z od wagą mówiła o mocy krwi Chrystusa.

W końcu jeden z nich postanowił z tym skończyć. Zapalił garść liści tytoniu i wcisnął jej w usta. Na widok płomieni zbliżających się do jej twarzy zrobiła wielkie oczy z przerażenia. Próbowwała się bronić, ale nie była w stanie wyrwać się z jego mocnych rąk. Przekonany, że w końcu uciszył „niewierną”, napastnik uśmiechnął się z satysfakcją do pozostałych. Gdy jednak odsunął ręce od jej ust, wypluła tłące się liście i powiedziała z przekonaniem:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna.

W miarę przedłużania się tego straszliwego koszmaru, te cztery proste słowa nabierały dla niej coraz większego znaczenia.

Zaszło słońce. Światło księżyca, który osiągnął już niemal pełnię, oświetlało drogę, którą zmierzali w stronę Dahmy. Adel dostrzegła światła domów i sylwetki biegających i bawiących się dzieci. Ze

smutkiem przypomniła sobie swoją wioskę i wieczory wypełnione takimi samymi zabawami dzieci.

Grupa zatrzymała się. Kazano się jej ubrać. Dwóch młodych mężczyzn — którzy nie mieli więcej niż dwadzieścia lat — uzbrojonych w pistolety zostało z nią, żeby jej pilnować, podczas gdy pozostali udali się do wioski. Zapytała ich, czy nie wiedzą, co stało się z jej córką.

— A co? Zabiliśmy ją — odpowiedział szyderczo jeden z nich.

Wiedziała, że kłamią. W ich oczach malowała się nienawiść. Czowała, że i w niej wzbiera to straszliwe uczucie. Modliła się do Boga, aby usunął je z jej serca.

Po jakimś czasie zaprowadzono ją do wioski. Ponownie stała się przedmiotem szyderstw. Poniewierano nią. Bojownicy byli brutalni, lecz nie poddawała się. Jeżeli przyszła jej pora, była gotowa umrzeć — choćby z rąk żołnierzy dżihadu. Ponownie uświadomiła sobie, że jest jedynym jeńcem w okolicy. Nie chciała nawet myśleć o tym, ilu ludzi zostało zabitych. Nie wiedziała, co jest gorsze — śmierć czy pozostawanie w niewoli u tych bezwzględnych szaleńców. Pomimo potwornej udręki, za każdym razem, gdy któryś z bojowników dawał upust swojej złości, uderzając jej wątłe ciało, mówiła głośno:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna.

W domu, w którym mieściło się stanowisko dowodzenia dżihadem, znowu rozebrano ją do naga. Trzy kobiety zaprowadziły ją do niedużego pomieszczenia i umyły zimną wodą w zardzewiałej metalowej wannie.

— Proszę, pozwólcie mi się umyć samej — błagała.

Odmówiły. Gdy poprosiła ponownie, zbiły ją dużymi drewnianymi łyżkami. Po zimnej kąpieli dostała starą podkoszulkę i podziurawione krótkie spodenki. Dowiedziała się, że jej ubranie jest nieczyste i zostanie spalone.

Gdzie ukrywają się chrześcijanie?

Wyznaczono jedenastu mężczyzn, którzy mieli ją przesłuchać. Wokół nich kłębiło się jeszcze trzydziestu lub czterdziestu innych. Wśród przywódców rozpoznała wielu mężczyzn, którzy dziewiątego września przyszli do jej wioski z transparentem i intonowali: „Pokój dla wyspy Dodi”. Mężczyzna prowadzący przesłuchanie był tym samym, który z takim przekonaniem przemawiał wówczas z podestu. Ponownie poczuła, że ogarnia ją nienawiść. Uświadomiła sobie

bowiem, że ci sami ludzie, którzy przyszli, by zawrzeć przymierze „pokoju”, napadli później na jej wioskę i zabili jej przyjaciół i bliskich, w tym jej kochanego Anta. Teraz posadzili ją na drewnianym krześle w samym środku tego pomieszczenia. Zastanawiała się, jakie tak naprawdę znaczenie ma dla nich słowo *pokój*.

— Gdzie ukrywają się pozostali chrześcijanie? — zapytał spokojnie wysoki i chudy mężczyzna.

— Nie powiem wam. Nawet jeśli mnie zabijecie, nie odpowiem.

Domyślała się, gdzie ukrywa się wielu z nich. Zdawała sobie również sprawę, co by się z nimi stało, gdyby to wyjawiała.

— Ależ nie zrobimy im nic złego. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie są. Nie chciałabyś wrócić do domu?

Siedziała w milczeniu, odmawiając odpowiedzi na pytania. Przesłuchanie trwało jeszcze trzydzieści minut. Na zakończenie uderzono ją w twarz. Potem postawiono przed nią talerz z jedzeniem, ale nie chciała jeść. Niezrażeni tym, dwaj mężczyźni otwarli jej na siłę usta i zaczęli wpychać jedzenie do środka. Wypluwała je, chociaż od trzech dni nic nie jadła.

Wiedząc o tym, że Adel nie chce jeść ani zeznawać rozniosła się szybko po Dahmie. Wiele osób zgromadziło się przed stanowiskiem dowodzenia, wołając:

— Dajcie nam ją! Poćwiartujemy ją i wdęcemy w ziemię!

Rozwścieczone głosy sprawiały, że zalewały ją równocześnie nienawiść i strach. W końcu pewien starszy człowiek, znany jako Sabum Sabar, wszedł do środka. Najwyraźniej nie miotał nim taki sam szal jak pozostałymi. Uklęknąwszy obok siedzącej Adel, zapytał ją, czy mogłaby im powiedzieć, gdzie ukrywają się pozostali chrześcijanie.

— Nie, nie mogę — odpowiedziała.

Strach wziął górę i rozplakała się. Sabar wstał i powiedział do wódcy:

— Lepiej, żeby to dziecko poszło ze mną. Jeśli zostanie tu dłużej, zabiją ją.

Gdy prowadzono ją do domu Sabara, grupa mężczyzn nadal wrzeszczała na nią, grożąc śmiercią. Obiecali, że będą wyczekiwać przed domem na stosowną chwilę, by na nią napaść. Lecz Sabar powiedział jej:

— Będziesz tu bezpieczna. Mam jeden wolny pokój. Możesz tam spać.

Weszła do skąpo umeblowanego pokoju i szybko zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na łóżku — a właściwie na słomianej macie — i zalała się łzami, myśląc o swoim kochanym synku.

Czy myślisz, że On zdoła cię z tego wyratować?

Nazajutrz do wioski przybyła grupa bojowników w poszukiwaniu informacji o ukrywających się chrześcijanach. Natychmiast zaprowadzono ich do domu Sabara, aby mogli spotkać się z Adel. Zadali to samo pytanie, co wszyscy:

— Gdzie się ukryli?

Ponownie odmówiła odpowiedzi. Pozwolono jej wrócić do pokoju. Lecz przez cienkie ściany słyszała ich rozmowę. Bojownicy byli zdeterminowani i mieli tylko jeden cel: znaleźć pozostałych chrześcijan. Postanowili, że Adel powinna pójść z nimi jako przewodniczka. Ogarnęło ją przerażenie. Postanowiła w swoim sercu, że prędzej umrze, niż to zrobi.

Nieco później tego popołudnia trzy kobiety przyniosły jej trochę jedzenia, ale znowu nie chciała jeść. Kiedy zaczęły rozmawiać ze sobą, zorientowała się, że już je kiedyś spotkała. Pochodziły z innej wioski i były z urodzenia chrześcijankami. Wyszły jednak za mąż za muzułmanów i nakłoniono je do przejścia na islam. Jedna z nich, Umi, zaczęła ją złośliwie obwiniać i rugać:

— To twoja wina, że twój syn i matka nie żyją. Nie chciałaś przejść na islam, więc masz za swoje. Chcesz wierzyć w Jezusa, to sobie wierz. Ale czy naprawdę myślisz, że On zdoła cię z tego wszystkiego wyratować?

— Zamknij się, Umi! Przestań tak mówić — przykazała jej jedna z pozostałych kobiet. — Co ty sobie myślisz? Czy wydaje ci się, że Mahomet nas wyratuje?

Adel dostrzegła czułość w jej oczach i zanim kobiety wyszły, podeszła do niej i objęła ją. Kobieta rozplakała się i szepnęła jej do ucha:

— Może pewnego dnia zdołam wrócić do Chrystusa.

Adel spojrzała na jej smutną twarz i zapewniła ją, choć może brzmiało to jak pytanie:

— Jeżeli naprawdę chcesz powrócić do Pana, to On na pewno wskaże ci drogę.

Pod wieczór bojownicy wrócili. Podjęto decyzję, że wszystkich chrześcijan z wyspy należy zebrać w jednym miejscu i że Adel najlepiej nadaje się do tego, żeby pomóc w ich odnalezieniu. Następnie

wszyscy mają zostać spaleni żywcem. Nikt nie powinien pozostać przy życiu.

Adel wiedziała, że nie może nic zrobić, aby ich powstrzymać. Zamknęła się więc w pokoju i modliła się o siłę. Była w pełni świadoma, że odmowa współpracy oznacza pewną śmierć.

Jacyś mężczyźni zaczęli wiwatować przed domem Sabara. Adel przyczołgała się do zewnętrznej ściany, aby przez szpary zobaczyć, co wywołało to zamieszanie. Bojownicy złapali kolejną chrześcijańską rodzinę. Mąż został zabity, a żona z trójką dzieci była w drodze do Dahmy.

Adel usłyszała, jak mówili, że kobieta ma na imię Rose. Serce w niej zamarło. Wróciła na swoją matę. Znała dobrze tę rodzinę. Jedno z ich dzieci było w wieku Anta i prawie codziennie bawiło się w ich domu.

Była już prawie północ, kiedy Sabar przyszedł do jej pokoju. Miał smutną minę.

— Adel, co teraz pocniemy? Bojownicy postanowili, że pójdiesz z nimi.

Zdumiała się, że powiedział m y. W pewnym sensie utożsamiał się z jej cierpieniem. Jego dobroć była niewielką wysepką otuchy pośród morza nienawiści. Wiedziała jednak, że nie ma wyboru.

— Powiedz im, że mogą mnie zastrzelić na miejscu, ale nie pójdę z nimi.

— Dlaczego tak bardzo się ich boisz? — zapytał.

— Ponieważ znam ich plany. Podśluchałam ich rozmowę. Nie będę im pomagać w zabijaniu ludzi — odparła.

Sabar wyszedł z pokoju. Kolejna bezsenna noc. Adel nadal nie chciała nic jeść. Przed świtem zaczęły docierać kolejne wieści: następna rodzina zabita, jeszcze więcej schwytych kobiet i dzieci, młoda dziewczyna znaleziona.

Zastanawiała się, czy usłyszy coś o Christinie. Może jest wśród tych ostatnio złapanych. Uważała, że lepiej byłoby, gdyby ją zabili. Była to przerażająca myśl, ale straszliwie bała się tego, co ci okrutni bojownicy mogliby zrobić jej ślicznej, niewinnej córeczce.

Christina

O czwartej nad ranem Adel modliła się żarliwie do Boga:

— Dlaczego nie pozwolisz mi umrzeć?

Łzy ściekały jej po policzkach i w kółko powtarzała dręczące ją pytanie: „Dlaczego?”

Z zewnątrz dolatywały niekończące się groźby. Jeden z mężczyzn omal jej nie zabił, gdy przez zewnętrzną ścianę pokoju wbił maczetę. Dwie spośród żon, które odwiedziły ją minionego dnia, przyszły znowu i błagały, by coś zjadła. Odmówiła. Została sama. Gdy nad ranem uspokoiło się przed domem, udało się jej trochę zdrzemnąć. Poza tym prawie przez cały czas siedziała oparta o ścianę i płakała. Bez przerwy modliła się o Methu i swoich bliskich — ale przede wszystkim o Christinę.

Wtedy nadeszła niespodziewana wieść.

— Adel! Adel! — krzyczał Sabar, wbiegając do pokoju. — Przed domem są jacyś ludzie. Mówią, że twoja córka Christina została schwytana.

Trudno było jej w to uwierzyć, ale musiała się dowiedzieć. Czyżby Christina naprawdę żyła? A może jest to ohydny podstęp, żeby wywabić ją z domu Sabara? Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Popłynęli łódką do wioski Salubi: sześciu bojowników dżihadu, Adel, Sabar (który na jej prośbę zgodził się pojechać) i schwytana ostatnio mała dziewczynka Maksi. Była ona koleżanką Anta i miała zaledwie siedem lat. Adel mocno przytuliła ją do siebie. Płacząc, odgarniała z jej buzi zmierzwione włosy. Znała ją dobrze. Była zaprzyjaźniona z jej rodziną.

Podróż do Salubi nie trwała długo. Adel siedziała obok Maksi, tuląc ją i głaszcząc po głowie. Tak bardzo przypominała jej Anta. Chwila wytchnienia prysła jednak niczym bańka mydlana, gdy zobaczyła stojących na brzegu uzbrojonych bojowników. Wyciągnęli ją z łodzi i znowu została popychadłem.

Maksi była przerażona, patrząc jak nią poniewierają. Krzyczała głośno, dostała konwulsji. Słyszac krzyki swojej małej przyjaciółki, Adel ponownie oznajmiła:

— Krew Chrystusa jest wszechpotężna!

Zaczęła się obawiać, że podróż do Salubi nie miała nic wspólnego z Christiną. Z każdym zadawanym jej ciosem nadzieja malała. Sabar zaczął krzyczeć na tych mężczyzn, błagając ich, żeby przestali. W końcu udało mu się wyrwać ją z ich rąk. Pomógł jej dojść do dużego domu, położonego tuż nad brzegiem, w którym przetrzymywano pozostałych jeńców. Tam powiedział jej, że musi odejść.

— Nie mogę już nic więcej dla ciebie zrobić. Jeżeli nadal będę się angażować, mnie również zabiją. Przykro mi.

W domu były inne kobiety. Wszystkie trzęsły się ze strachu, gdyż zewsząd dochodziły potworne odgłosy rytmicznie pokrzykujących mężczyzn. Łzy napłynęły jej do oczu. Ukryła twarz w dłoniach. Nagle usłyszała, jak ktoś podbiega do niej. Podniosła wzrok. To ona — Christina!

Christina rzuciła się w ramiona swojej matki i zawołała:

— Mamusiu, mamusiu!

Przytulały się mocno. Christina z wielkim trudem wypowiedziała słowa:

— Tak mi strasznie przykro, mamusiu... Tak mi strasznie przykro. Zabili babcię. I widziałam jego ciało, mamusiu, widziałam Anta... jego też zabili. Och, mamusiu!

— Wiem, Christino... Wiem, że ich zabili.

Wspomnienia były nie do zniesienia. Adel rozplakała się rzewnie. Christina nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko pocałowała mamę.

Pytanie bez odpowiedzi

Wieczorem szóstego dnia niewoli Adel i pozostałych sześćdziesiąt pojmanyh osób zebrano w jednym miejscu. Poinformowano ich, że nazajutrz rano przejdą na islam.

— Nigdy nie zostanę mużłmanką — stwierdziła Adel.

— W porządku. Nie musisz. Jeśli jednak tego nie zrobisz, jeśli ktokolwiek z was odmówi, zabijemy wszystkich — odparł dowódca. — Ich krew spadnie na twoją głowę.

Tego wieczoru uwięzieni chrześcijanie odbyli naradę. Pozwolono im się spotkać po raz pierwszy od chwili ataku. Obejmowali się nawzajem i wylewali wiele łez. Wiedzieli, że muszą coś postanowić: albo zgodzą się przejść na islam, albo dołączą do zastępów chrześcijańskich męczenników.

— Możemy powiedzieć, co zechcą i zmówić ich modlitwy. Bóg zna nasze serca. Nie osądzi nas za to — zaproponował w końcu pewien mężczyzna.

— Jak to? Tak długo opieraliśmy się. Czy to wszystko było na marne?

— A co z naszymi dziećmi? Czy chcemy patrzeć na to, jak zostaną stracone na naszych oczach?

— Czyżby Bóg chciał, żebyśmy tu wszyscy pomarli?

Burzliwa rozmowa trwała dalej. Lecz głosy docierały do Adel jakby z coraz większej oddali. Rozmyślała nad tragicznym położeniem, w jakim się wszyscy znaleźli. Jeśli o nią chodzi, mogła spokojnie odmówić przejścia na islam. Wiedziała, że wiara pozwoli jej wytrwać do końca. Ale czy ma prawo decydować o losie innych, w tym Christiny? Nie dawało jej to spokoju. Modliła się w poszukiwaniu odpowiedzi. Lecz Bóg milczał.

Następnego ranka chrześcijan zebrano na podwórzu.

— Czy podjęliście już decyzję? Nawracacie się czy wybieracie śmierć? — zapytał bojownik džihadu.

Nikt nie miał odwagi odpowiedzieć jako pierwszy. Nawet małe dzieci milczały — odrętwiałe ze strachu — tocząc wewnętrzny bój, by pozostać wierne swojej wierze. To uporczywe milczenie coraz bardziej złościło dowódcę, który zaczął wykrzykiwać jakieś rozkazy w swoim rodzimym dialekcie. Bojownicy wrócili z dwunastoma łyżkami i zupełnie jakby odprawiali jakiś dziwaczny rytuał, zaczęli robić z ziemi błoto i wpychać je chrześcijanom do ust. Dowódca uderzył Adel w twarz, gdy je wypluła.

— Jedz to! Natychmiast! — wrzasnął.

Odmówiła.

Następnie przyciągnęli gumowy wąż i rytmicznie recytując wersety z Koranu, oblali wszystkich jeńców wodą. Miał to być „muzulmański chrzest”. Gdy skończyli, zaczęli tańczyć jak pijani i strzelać w powietrze, świętując swoje rzekome zwycięstwo i przejście chrześcijan na islam. Zdezorientowani chrześcijanie stali w milczeniu i patrzyli na bojowników, odprawiających swoje jałowe ceremonie.

Serce w nich zastygło, gdy zauważyli bojowników, niosących w ich stronę kanistry z benzyną. Na ich czele szedł dobrze ubrany i dystyngowany oficer. Adel rozpoznała w nim jednego z przywódców z wyspy Jawa. Bez chwili wahania, spokojnym głosem rozkazał swoim podwładnym zamknąć chrześcijan w jednym z domów i oblać go benzyną.

Słótczeni w pobliskiej szopie, przerażeni chrześcijanie zaczęli krzyczeć i przyciskać do siebie małe dzieci. Nie bali się umrzeć dla Chrystusa. Każdy z nich dowiódł tego wielokrotnie w trakcie niewoli. Lecz myśl o tym, że spłoną żywcem i będą patrzeć, jak płomienie pochłaniają ich małaństwa, była nie do zniesienia. Jednocześnie uklękli, prosząc żarliwie Boga, aby ocalił ich przed tak straszliwą śmiercią.

Podczas gdy się modlili, między bojownikami rozpięta się kłótnia. Spierali się o to, czy mają spalić chrześcijan. Jeden z nich stwierdził, że jeńcy nawrócili się już na islam i będą użyteczni podczas dżihadu. Szybko doszli do porozumienia. Jeżeli jeńcy zechcą wziąć udział w dżihadzie, potwierdzą w ten sposób swoje oddanie Allahowi i ocalą życie.

Cena buntu

Wynik sporu toczącego się między muzułmanami przeraził Adel i pozostałych jeńców. Nie była to odpowiedź, której oczekiwali. Trzeba było jednak podjąć jakąś decyzję. Jeżeli starsi jeńcy zgodzą się wyruszyć razem z bojownikami na następny dżihad, wszyscy ocaleją. W przeciwnym razie szopa zostanie oblana benzyną i wszyscy spłoną. Drżący ze strachu pozostali na kolanach, spoglądając po sobie w poszukiwaniu odwagi i zastanawiając się, kto ośmieli się przemówić jako pierwszy. Dowódca wpadł do szopy i oznajmił dobrą nowinę:

— Kto z was jest na tyle silny, żeby unieść maczetę, niech przyłączy się do naszego dżihadu. Zabawimy się!

Gniew zawrzał w Adel. Nie mogła znieść tego, że robiono sobie z jeńców tak ohydne pośmiewisko. W przypiływie odwagi wstała. Dowódca uśmiechnął się, myśląc, że ma pierwszą ochotniczkę. Ona jednak zwróciła się do pozostałych:

— Niech nikt nie idzie z nimi. Jeśli mają nas zabić, to lepiej niech zrobią to tutaj. Przynajmniej będziemy razem.

Rozwścieczony jej bezczelnością dowódca chwycił ją za ramię.

— Co powiedziałaś?

— Nie przyłączymy się do dżihadu — powtórzyła. — A teraz proszę wyjść.

Dowódca mocno ścisnął jej ramię, patrząc jej prosto w oczy. Nie musiał nic mówić. Z jego oczu można było wyczytać, jak bardzo jest wściekły. Adel wierzyła jednak, że Bóg ją ochroni. Wiedziała również, że będzie musiała zapłacić za swój jawny bunt. Dowódca odwrócił się na pięcie i wyszedł. Pozostali, choć podziwiali jej nieustępliwość, zastanawiali się równocześnie, czy właśnie nie przypięczętowała ich losu.

Jakimś cudem bojownicy również odeszli i jeńców wyprowadzono z szopy.

Minęły dwa tygodnie. Adel powoli wracała do sił, gdyż za namową Christiny zaczęła znowu jeść. Jej życie jednak nadal wisało na włosku, gdyż muzułmanie wiedzieli, że ma duży wpływ na pozostałych jeńców i uważali, że należy ją zlikwidować.

Dowódcy bojowników prawie codziennie przyjeżdżali do tej małej wioski, aby wspólnie zastanowić się, co zrobić z jeńcami. Mieli wątpliwości, czy nawrócenie chrześcijan na islam było szczere. Żalowali, że nie spalili ich wtedy w szopie. Uchroniliby tym samym wioskę przed dalszym zanieczyszczeniem. Postanowili w końcu, że podejmą ostatnią próbę potwierdzenia autentyczności nawrócenia jeńców: wszystkie kobiety zostaną obrzezane.

Niektóre z kobiet były przerażone i zaczęły histerycznie płakać. Ich opór potwierdził podejrzenia przywódcy wioski. Zaczął więc ponownie nalegać, aby stracono chrześcijan. Jednakże inni uważali, że jeńcy mogą się jeszcze przydać. W końcu uzgodnili, że na razie pozwolą im żyć. Wzięli jednak wszystkie dziewczęta, które nie weszły jeszcze w wiek dojrzewania, w tym Christinę, i za pomocą bardzo prymitywnych metod obrzezali je. Ból był nie do wytrzymania. Christina płakała bez ustanku.

Adel kipiała gniewem. Ponownie starała się opanować znane już sobie uczucie gotującej się w niej wściekłości. Jej własna męka była niewyobrażalna, lecz patrzeć na cierpienie córeczki było bez porównania gorsze. Pałała nienawiścią do wszystkich muzułmanów z wyjątkiem Sabara. Wiedziała przy tym, że nienawiść to rak duszy i że jedynym lekarstwem jest przebaczenie. Wydawało się ono jednak bardzo odległe, wręcz nieosiągalne. Mogła się tylko modlić.

Minęło kolejnych sześć tygodni, w czasie których nie pojawiły się żadne jednoznaczne groźby egzekucji. Adel była jednak bardzo zmartwiona. Widziała, jak muzułmanie na nią patrzą. Kilku z nich próbowało ją zgwałcić. Wyczuwała, że w miarę upływu czasu ich żądza wzmagą się. Zastanawiała się, jak długo uda się jej trzymać ich z dala od siebie. Nawet przywódca wioski czynił jednoznaczne propozycje. Tęskniła za Methu. Był dla niej tak wielkim oparciem. A teraz nie była nawet pewna, czy jeszcze żyje.

Methu

Nieoczekiwanie pewnego poranka do Salubi przyплыnęła łodzią nieduża delegacja urzędników państwowych. Mieli za zadanie sprawdzić, czy prawdziwe są zarzuty o przetrzymywaniu chrześcijan w tej

wiosce. Bojownicy muzułmańscy zdecydowanie odrzucali te oskarżenia. Lecz właściciel łodzi, Nahor, który był chrześcijaninem, usłyszał, że kobieta o imieniu Adel jest trzymana w niewoli. Wyszadziwszy na brzeg swoich pasażerów, natychmiast wyruszył na jej poszukiwanie.

— To ty jesteś Adel? — zapytał cicho, po tym jak ktoś mu na nią wskazał.

— Kim jesteś? — Adel odpowiedziała podejrzliwie.

Gdy ją uściskał, z trudem mogła wydobyć z siebie jakieś słowo. Rozpłakała się.

— Wiem wszystko o tobie i twojej sytuacji — powiedział.

— Co? Skąd mnie znasz?

— Methu mi powiedział.

Adel nie wierzyła własnym uszom. Methu żyje! Po raz pierwszy od ponad sześciu tygodni odczuła przypływ radości i nawet się uśmiechnęła.

— Methu żyje? — zapytała, chcąc się upewnić, że się nie prześlizgała.

— Tak, oczywiście. Czy chciałabyś napisać do niego list?

Szybko się nad tym zastanowiła. Tak bardzo pragnęła się z nim skontaktować! Wiedziała jednak, że są pilniejsze sprawy.

— Tak, chciałabym napisać do Methu. Ale najpierw muszę jeszcze coś zrobić. Szybko! Daj mi długopis i kartkę.

Usiadła i jak oszalała zaczęła zapisywać nazwiska wszystkich jeńców. Gdy pracowała jeszcze nad listą, zauważyła, że zbliża się przywódca wioski.

— Szybko weź to ze sobą, Nahorze. I, proszę, bądź ostrożny!

Uściskała go szybko i zniknęła, żałując, że nie zdążyła napisać do Methu. Tak bardzo pragnęła o wszystkim mu opowiedzieć... że bardzo go kocha i tęskni za nim... że Christina była taka odważna. Ale nie było na to czasu. Musiała wysłać wiadomość o innych jeńcach. Bez wątpienia ich rodziny również się o nich martwią. Miała tylko nadzieję, że nikt nie widział, jak rozmawiała z Nahorem.

— Cóż ty tam napisałaś? — przywódca wioski wpadł we wściekłość, dowiedziawszy się, że nie tylko rozmawiała z właścicielem łodzi, lecz także dała mu jakąś kartkę.

— Czy wysłałaś list?

— Nie, nie napisałam listu — odparła.

— Co więc napisałaś? — przystawiwszy jej nóż do gardła, mówił miarowym, napastliwym tonem.

— Zapisalam tylko nazwiska tych, których przetrzymujecie tutaj w niewoli — odpowiedziała z przejęciem.

— Co?

Przywódca wioski kipiał ze złości. Adel była przekonana, że zatopi nóż w jej szyi, ale po raz pierwszy nie bała się. Zrobiła to, co uważała za słuszne i wiedziała, że Methu żyje. Był to dobry dzień. Nawet bezlitosny przywódca wioski nie zdoła go zepsuć.

— Właśnie zapewnilem urzędników państwowych, że nikt nie jest tutaj przetrzymywany wbrew swojej woli. Podpisałem dokument. A ty teraz dajesz im listę „więźniów”! Ty świniu! Zapłacisz za to.

Dotrzymał słowa. Tego popołudnia została brutalnie pobita. Potwarzało się to wiele dni z rzędu.

Po upływie niecałych dwóch miesięcy w Salubi ponownie przeprowadzono inspekcję. Lista Adel krążyła po urzędach państwowych i między krewnymi więzionych. Dostał ją również Methu. Do Adel dotarła wiadomość: „Methu przyjeżdża z urzędnikami państwowymi, żeby zabrać ciebie i Christine”.

Nie posiadała się ze szczęścia. Wraz z córeczką przeszły przez niewyobrażalne piekło i teraz wrócą do domu. Podniosło ją to na duchu. Zaczęła się nawet uśmiechać. Lecz Christina nie była do końca pewna.

— Czy naprawdę pojedziemy do domu? — zapytała z niedowierzaniem. — Czy uda nam się wyjechać z tatusiem? A co, jeśli nas nie puszczą?

Adel wyczuwała niepokój w jej głosie i wiedziała, że jej obawy są uzasadnione. Przytuliła swoją dzielną córkę i myślała o tym, jakiego wybiegu mogą użyć porywacze, żeby nie dopuścić do ich uwolnienia. Nazajutrz dowiedziała się.

Nie mogę z tobą pojechać

Adel i Christina musiały stanąć przed wszystkimi zgromadzonymi jeńcami. Przywódca wioski zwrócił się do chrześcijan:

— Wkrótce zabierzemy Christine i Adel do Dahmy, aby Adel mogła się spotkać ze swoim mężem, który jest chrześcijaninem.

Wiść o przyjeździe Methu rozniosła się już wśród jeńców i wzbudziła w nich wielkie nadzieje. Znali Adel. Jeżeli pozwolą jej wyjechać, to nie spocznie ani chwili, dopóki nie doprowadzi do uwolnienia pozostałych więźniów. Będzie ich drogą do wolności.

Lecz przywódca wioski przedstawił następnie znaną już dobrze groźbę:

— Adel i Christinie zostanie zadane pytanie, czy chcą zostać tutaj razem z wami, czy też wyjechać z Methu. Jeżeli którakolwiek z nich postanowi pojechać z Methu, wszystkich was zabijemy.

Gdy odchodził, przykucnął przed dygocącą ze strachu małą dziewczynką, która nie miała więcej niż pięć lat. Wyjął nóż, przystawił jej do gardła i wycedził przez zęby:

— Nawet ciebie.

Chrześcijanie stali wpatrzeni w Adel. Jakże zdoła podjąć taką decyzję? — zastanawiali się. Myśleli też o tym, co sami zrobiliby na jej miejscu. Adel wiedziała, że nikt nie winiłby ani jej, ani Christiny, gdyby zdecydowały się pojechać z Methu. Lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przywódca wioski rozkazał:

— Wyruszamy.

Teraz? Nie miała pojęcia, że Methu już na nie czeka. Wszystko działo się strasznie szybko. Potrzebowała czasu na modlitwę i przemyślenie tego, czy przywódca wioski rzeczywiście zabiłby ich wszystkich, czy też był to tylko blef. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby odwrócić się plecami do Methu. Lecz z drugiej strony nie potrafiłaby podjąć decyzji, która mogłaby oznaczać śmierć pozostałych jeńców.

Zanim się zorientowała, zaprowadzono ją do pomieszczenia, w którym siedział Methu z oficerami wojskowymi. W drzwiach przywódca wioski szepnął jej do ucha:

— Jeśli któraś z was pójdzie z nim, zabiję każdego więźnia. Nie tylko ich. Zabiję też Methu. Przysięgam — jego też zabiję.

Te słowa zmroziły jej krew w żyłach. Dreszcze przeszły jej po plecach. Nie miała już wątpliwości, że nie blefuje.

W oczach Methu widziała straszliwy ból. Dałby wszystko, żeby być znowu ze swoją żoną i córką! Ostatnie trzy miesiące musiały zdawać się mu wiecznością. Teraz jednak był pełen nadziei i determinacji. Była pewna, że już wcześniej postanowił, iż nie wyjedzie stąd bez nich. Mogła się tylko modlić o siłę.

Oficer powiedział, że nazywa się Said i bez żadnych wstępów zadał pytanie:

— Adel, czy chcesz wyjechać razem z Methu, czy też wolisz zostać w Salubi?

Wiedziała dobrze, że takie właśnie pytanie zostanie zadane. Co do słowa. Pouczone ją dokładnie, jakiej ma udzielić odpowiedzi. Pró-

bować mówić, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Oficer Said powtórzył pytanie nieco głośniej:

— Adel, czy chcesz wyjechać razem z Methu, czy też wolisz zostać w Salubi?

Spojrzała prosto na Methu, który nie mógł zrozumieć, dlaczego odpowiedź zajmuje jej tak dużo czasu.

— Methu — mówiła zdławionym głosem, a łzy spływały jej po policzkach — Nie mogę z tobą pojechać.

Methu chciał poderwać się z krzesła, podbiec do niej i zapytać dlaczego, ale Said powstrzymał go i nie pozwolił powiedzieć ani słowa. Natychmiast zadał to samo pytanie Christinie. Adel nadal płakała, spoglądając na swoją córkę. Nie miała pewności, co odpowie. Nie miała czasu, żeby się z nią naradzić. Była już teraz całkowicie przekonana, że zabiją wszystkich jeńców i Methu, gdyby któraś z nich zgodziła się z nim wrócić. Ale jak jej dziewięcioletnia córeczka miałaby w ogóle zrozumieć powagę tej sytuacji i skąd miałaby wiedzieć, co niesie ze sobą decyzja o wyjeździe z ojcem?

— Nie mogę z tobą pojechać, tatusiu. Przepraszam... — powiedziała, szlochając.

Strasznie chciała przeprosić swojego ojca i wszystko wyjaśnić. Lecz oficer Said przerwał jej szorstko:

— Dobrze! Sprawa zamknięta. Nie chcemy już nic więcej słyszeć na ten temat. Jasne?!

Adel i Christinie pozwolono spędzić z Methu pięć minut pod ścisłym nadzorem. Nie wolno im było niczego mówić szeptem. Nie bacząc na zakazy, Adel powiedziała cicho, modląc się, aby nikt jej nie usłyszał:

— Methu, musiałam tak odpowiedzieć. Zagrozili, że zabiją pozostałych, jeśli z tobą pojedziemy. Proszę, nie miej mi tego za złe. Dopóki żyć będę, nie stracę nadziei. Wiem, że pewnego dnia znowu będziemy razem.

Methu patrzył na swoją piękną żonę. Widział ból w jej oczach i podziwiał odwagę. Nie było nic więcej do powiedzenia. Spojrzał jeszcze raz na swoją żonę i córeczkę i odpowiedział po prostu:

— Rozumiem.

Uchwycić się nadziei

Spotkanie skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Gdy wprowadzano ją i Christinę, Adel chciała obrócić głowę, żeby po raz

ostatni spojrzeć na Methu, ale przywódca wioski przyłapał ją na tym. Wcisnął pięść w jej bok i syknął:

— Nie waż się spojrzeć na niego. On jest dzieckiem Jezusa. To zwykła świnią!

Wszelkie nadzieje prysły. Przyszłość była wielką niewiadomą. Rozplakała się.

Przez kolejnych kilka tygodni żyła nadzieją, że pewnego dnia będą znowu razem. Pomagało jej to złagodzić niewysłowiony ból wywołany niewolą. I choć były to dosyć odległe marzenia, miała przynajmniej się czego uchwycić.

Lecz dziesiątego kwietnia jej marzenia zamieniły się w koszmar...

— Adel — rozpoczął przywódca wioski — podjąłem decyzję, co z tobą zrobić. Przysporzyłaś mi wiele smutku. Są z tobą ciągłe kłopoty. Postanowiłem, że pozwolę jednemu z mężczyzn poślubić cię. Może uda mu się okiełznać ciebie.

Nie mogła w to uwierzyć.

— Nie mogę wychodzić za nikogo za mąż! Jestem już żoną Methu!

— Powiedziałem ci: Methu to nie człowiek. Tylko świnią. Nie uznaję waszego małżeństwa. Jeżeli nie zgodzisz się poślubić mężczyzny, którego wybiorę dla ciebie, to pozwolę im wszystkim, żeby cię mieli.

Przywódca wioski nie przyjmował słowa sprzeciwu. Z jego nieprzejednanego wyrazu twarzy wywnioskowała, że mówi poważnie. Nie było ratunku.

Udała się do pozostałych pojmanych kobiet i błagała je o pomoc. Wiedziała, że nie są w stanie wiele zrobić. Liczyła jednak chociaż na to, że przynajmniej zjednoczą się z nią w proteście przeciwko wymuszonemu małżeństwu. One jednak z obawy o własne życie zachowały milczenie. W końcu jedna z nich powiedziała:

— Jeśli nie wyjdiesz za kogoś z nich, mogą wszystkie nas zgwałcić i pozabijać.

Adel była zdruzgotana. Tak bardzo starała się być oparciem dla tych kobiet. A teraz czuła się zdradzona. Zaczęła szlochać:

— Jak możecie traktować mnie jak jakiś towar i tak po prostu sprzedać, żeby ocalić siebie?

Próbowały ją przeproszać, przytulając się do siebie nawzajem i płacząc. Wiedziały, że nie po raz ostatni któraś z nich zostanie zmuszona do wyjścia za mąż.

Po przymusowej przeprowadzce do Almina — swojego nowego męża — Adel, która zamieszkała u niego razem z Christiną, myślała, że nic gorszego nie może jej już spotkać. Stało się jednak inaczej. Kilka miesięcy później zaszła w ciążę.

Nowe życie

W październiku przeżyła załamanie nerwowe. Wydawało się jej, jakby w niesłychanym tempie spadała w dół w jakąś bezdenną otchłań. Te potwory zabiły jej synka i matkę, niezliczoną ilość razy bezlitośnie ją pobiły, a teraz jeszcze pozbawiły nadziei na ponowne wspólne życie z Methu. Nienawiść, która tego straszego dnia zagnieździła się w jej sercu, rosła szybciej niż nowe życie, jakie w sobie nosiła. Płakała, poszukując choćby promyka nadziei. Lecz nie znalazła niczego. Nie była nawet w stanie zdobyć się na ciepłe uczucia względem niewinnego dzieciątka, które nosiła w swoim łonie. Przypominało jej ono tylko o tym wszystkim, co zostało jej odebrane.

— Nie pozwolę im już nic mi zabrać — postanowiła.

Zaczekała, aż została sama. Wzięła nóż z blatu kuchennego. To nie do wiary, że sprawy zaszły tak daleko. Nie mogła zrozumieć, dlaczego pozostała przy życiu i przeżywa ten cały beznadziejny koszmar. Wiedziała, że Bóg ją ocalił, ale życie stało się nie do zniesienia. Powoli przystawiła nóż do swojego brzucha, zamknęła oczy i pomodliła się, aby Bóg jej wybaczył.

— Mamo, nie! — krzyknęła Christina, wbiegając do kuchni i wyrwijając jej nóż z ręki.

Zalała się łzami i padła na podłogę. Christina położyła się obok niej i również się rozpłakała.

— Mamo, co robisz? Nie możesz tego sobie zrobić. A to dziecko nie zrobiło niczego złego. Jest niewinne.

Była rozbita wewnątrz. Płakała przez wiele godzin. Słowa Christiny dźwięczały w jej sercu i duszy. Błagała Boga, aby jej wybaczył, wyznając Mu, że trawi ją nienawiść do tych, którzy przetrzymują ją w niewoli. Powoli zaczęła uzmysławiać sobie, że w swoim szale była bliska uśmiercenia niewinnego życia. Była o krok od tego, by malutkiemu dziecku zrobić to, co bojownicy dżihadu jej zrobili. Otrzeźwiło ją to. I chociaż nie potrafiła jeszcze wybaczyć tym, którzy ją skrzywdzili, to jednak rozumiała, że musi pozwolić, by Bóg w swojej łasce dał jej siłę ku temu. Zżerająca ją nienawiść nie dawała przystępu uzdrowieńczej mocy Bożej miłości. Nareszcie zaczęło się to zmieniać.

Zaczęła głaskać się po brzuchu i czule mówić do maleństwa, które nosiła w sobie. Uważała, że jest to dziewczynka. Dała jej więc na imię Sara.

— Saro, proszę cię, wybac mi. Proszę, wybacz grzechy twojej matki. Nie zrobiłaś niczego złego. Jesteś dobrem, które może wyłonić się z tego całego zła. Kocham cię.

Gdy tak się modliła i mówiła do Sary, poczuła, jakby jakaś ciemna chmura uniosła się znad jej serca. Wcześniej uważała to nie narodzone maleństwo za kolejnego wroga, za dziecko zabójcy jej syna. Zrozumiała jednak, że jest to jej dziecko. Dziecko stworzone przez Boga. Przytuliła swoje córki i poczuła, jak wytwarza się między nimi prawdziwa więź.

Nazajutrz wzięła kartkę papieru, żeby napisać list do Methu. Musiała opowiedzieć mu o wszystkim, co się wydarzyło i błagać o przebaczenie. Gdyby nie uważał jej już za swoją żonę, zrozumiałaby to i nie miałaby mu tego za złe. Kochała go jednak i pragnęła, aby znowu byli razem. Łzy mieszały się z atramentem i rozmazywały pismo. Zastanawiała się, czy Methu uda się to w ogóle przeczytać. Zapisała sześć pełnych stron. Był to dla niej najbardziej bolesny i najważniejszy list miłosny, jaki kiedykolwiek napisała. Ostrożnie go złożyła i schowała. Modliła się, aby udało się go wysłać.

W Wigilię Bożego Narodzenia wszystkich jeńców wysłano na plantację palm kokosowych. Praca była ciężka, szczególnie dla Adel, która była teraz w szóstym miesiącu ciąży. Jeńcy wracali wspomnieniami do pięknych chwil z minionych świąt. Wieczorem Adel zaczęła po cichu nucić kolędę „Cicha noc”. Pozostali przyłączali się do niej. Wkrótce śpiewali już wszyscy. Srogo wyglądający strażnicy przysłuchiwali się uważnie. Chrześcijanie zdawali sobie sprawę, co może im grozić za śpiewanie kolęd. Prawdopodobnie zostaną pobici, ale najwyraźniej nikt się tym nie przejmował. Radość płynąca ze śpiewu warta była kary.

Kolędowni do późna w nocy, wspominając swoje rodziny. Ich ciała pozostawały nadal w niewoli, lecz dusze były wolne. Pieśni unosiły je ku niebu. Nazajutrz rano wylewali łzy radości i smutku. Na myśl o niewoli wzbierał w nich żal. Oczekiwali jednak szczęśliwszych dni. Nigdy nie zapomną tego Bożego Narodzenia, które spędzili wspólnie na polach uprawnych.

Osiemnastego marca urodziła się Sara.

Christina doszła do wniosku, że jest to właściwy moment, by wyjawić mamie swój plan:

– Musisz uciec. Tylko ty i Sara. Musisz odejść. Jeśli tego nie zrobisz, wszyscy tu pomrzemy.

– Nie mogę cię zostawić, Christino. Nigdy cię nie opuszczę – Adel zapewniała swoją córkę.

– Mamo, posłuchaj mnie. Musisz odejść – nalegała nieustępliwa dziewczynka.

– Almin nigdy nie pozwoli nam razem wyjechać. Jeżeli jednak pojedziesz tylko z Sarą, to będzie przekonany, że na pewno wrócisz. Ale nie możesz tutaj wracać. Musisz dostać się do tatusia. On przyjedzie po mnie. To nasza jedyna nadzieja.

Adel wiedziała, że córka ma rację. Lecz nie mogła sobie w ogóle wyobrazić, jak miałaby wcielić w życie ten plan. Nie wiedziała nawet, czy Methu przyjmie ją z powrotem. A do tego jest teraz Sara. Wątpliwości nie dawały jej spokoju. Nie miała na tyle odwagi, żeby zaplanować ucieczkę.

W kwietniu nadeszła odpowiedź. Od ponad sześciu miesięcy nosiła przy sobie list do Methu z nadzieją, że nadarzy się jakaś okazja, aby go wysłać. Modliła się o to. Odpowiedni moment nadszedł, gdy do wioski przyjechała w odwiedziny grupa dzieci. Adel знаła jedno z nich. Po cichu podeszła do miejsca, w którym się bawiły. Szybko podała list znajomej dziewczynce i poprosiła ją, aby przekazała go jej mężowi Methu. Dziewczynka po prostu wzięła list i pokiwała twierdząco głową.

Wracała do domu, modląc się, aby list dotarł do Methu, aby Methu jej wybaczył i aby nadal ją kochał. Każdego dnia rozglądała się po wiosce, z niepokojem oczekując, kiedy ta mała dziewczynka przyjdzie znowu w odwiedziny. Kilka dni później czas oczekiwania zakończył się.

– Czy widziałaś się z Methu? Czy dałaś mu mój list? – zapytała ją natychmiast.

– Tak, dałam go Methu. A gdy mu go dawałam, on dał mi to.

Ze zdumieniem odebrała z rąk dziewczynki list. Methu napisał do niej, zanim jeszcze otrzymał jej list. Po nieco przebarwionej i postrzępionej na rogach kopercie wywnioskowała, że nosił go od jakiegoś czasu, podobnie jak ona nosiła list, który do niego napisała.

Chciała go od razu przeczytać, ale szybko zmieniła zdanie. A co jeśli Methu jej nienawidzi? A co jeśli ożenił się z inną kobietą? Przeżywała prawdziwą huśtawkę emocjonalną. Pobiegła do domu, żeby otworzyć list. Serce jej zadrgało, gdy jej wzrok padł na słowa:

Adel, nawet gdybyś miała dziesięcioro dzieci z dziesięcioma mężczyznami, nadal będziesz moją żoną. Czy nie pamiętasz, co powiedział pastor? „Teraz tylko Bóg może was rozłączyć”. Kocham Cię. Methu

Znalazła odpowiedź. Pora zaplanować ucieczkę.

Ucieczka i ratunek

Niecałe dwa miesiące później, osiemnastego czerwca, Almin dał jej pozwolenie na odwiedzenie krewnych na sąsiedniej wyspie. Trzymała Sarę na rękach. Gdy miała już wsiadać na mały prom, wyciągnęła rękę w stronę Christiny, lecz Almin odciągnął jej córkę do tyłu.

— Ona zostaje tutaj.

Błagała go, aby pozwolił Christinie pojechać, ale odmówił.

— Nie pojedę bez Christiny — nalegała.

Almin nie miał zamiaru się ugiąć. Wiedział, że jego „żona” uciekłyby, gdyby Christina pojechała razem z nią.

Taki jednak był właśnie plan Christiny. Uściskała swoją mamę i szepnęła jej do ucha:

— Proszę, mamó! Proszę, obiecaj mi, że ty i Sara pojedziecie do tatusia. Proszę, błagam cię. Ze mną będzie wszystko dobrze.

Adel przytuliła ją mocno, zastanawiając się, skąd weźmie siły, żeby zostawić ją samą. Lecz prośba Christiny zapadła jej głęboko w serce. Była pełna podziwu dla odwagi swojej córki. Pocałowała ją i powiedziała do widzenia. Wiedziała, że przez jakiś czas jej nie zobaczy. A może widzą się po raz ostatni.

Na promie stanęła tuż przy barierce i patrzyła, jak Christina powoli znika w oddali. Przytuliła Sarę i po raz kolejny się rozplakała. Nie była pewna, czy postępuje słusznie. Nie miała zamiaru odwiedzać swoich dalekich krewnych. Będzie musiała szybko dotrzeć do Methu, zanim Almin zorientuje się, że uciekła. A potem będą musieli jakoś odzyskać Christinę.

Dotarcie do miejsca, w którym przebywał Methu, zajęło jej tydzień. Podróż była długa i trudna. Początkowo unikała kontaktów z nim z obawy, że Almin mógłby rozszyfrować jej zamiary. Teraz siedziała na łóżku w pokoju w jakiejś gospodzie. Pełna niepokoju czekała na spotkanie.

— Czy Methu będzie mnie naprawdę chciał? — pytała siebie nieustannie. — A co z Sarą?

Chociaż była wolna, nadal czuła się jeńcem. Co gorsza, czuła się jak zdraczkini. Poślubiła innego mężczyznę i zostawiła swoją córkę Christinę. Jakże Methu będzie mógł jej to wybaczyć? Dręczyły ją wątpliwości co do słuszności jej decyzji. Długo płakała. W końcu zasnęła.

Obudziła się, gdy usłyszała, że Methu wchodzi do budynku. Usiadła na łóżku, cała się trzęsąc. Potem chwyciła jeszcze śpiącą Sarę i wstała. Nagle nabrała przekonania, że popełniła straszliwy błąd. Chciała uciec. Nie myślała nawet o tym dokąd. Po prostu ucieknie. Nie może się z nim spotkać.

Zanim jednak zdołała dopaść do drzwi, wszedł Methu. Nie czekając ani chwili, podszedł do niej uradowany i mocno ją przytulił. Potem spojrział na dziewczynkę, którą trzymała na rękach:

— A więc to jest nasza nowa córeczka.

Rozpłakała się, tym razem ze szczęścia. Tak długo czekała na tę chwilę. Chciała już na zawsze być wtulona w jego mocne ramiona. Czuła się przy nim taka bezpieczna. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Methu musi odejść. Wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie uratuje Christiny.

Mijały dni. Nerwowo wyczekiwała od nich jakiegś wieści.

— A co jeśli już zabili Christinę? A co jeśli Methu nie żyje? Czy to wszystko moja wina?

Wątpliwości nie dawały jej spokoju. Zadręczała się. Modliła się do Boga, szukając w Nim otuchy.

Słowa pociechy czerpała ze znanych sobie fragmentów Pisma Świętego, którego tak bardzo jej brakowało w trakcie półtorarocznej niewoli. Pamiętała, jak w dżungli bojownicy dzihadu podarli jej Biblię na strzepy. Otworzyła ponownie List do Filipian i, jak miała w zwyczaju, przeczytała na głos swój ulubiony fragment: „Wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia, w Chrystusie”. Przypomniła sobie, kiedy po raz ostatni czytała te słowa. Było to w dniu ataku, na wzgórzu za wioską. Od tamtej pory minęły całe wieki. Przeszła przez istne piekło. Wiedziała, że ten cały koszmar jeszcze się nie skończył. Nie mogła przestać myśleć o Christinie. Zastanawiała się, czy zdradziła swoją własną córkę.

Methu nie było ponad dwa tygodnie. W końcu dotarła wiadomość, że odnalazł Christinę i że powinna natychmiast do nich przyjechać. Nareszcie będą razem. Znowu będą rodziną. Łzy radości spływały jej po twarzy. Dziękowała Bogu, że Methu udało się uratować Christinę. Zastanawiała się jednak równocześnie, jak daleko posunie się Almin, aby jej odzyskać?

Epilog

Kiedy przeprowadzaliśmy wywiad z Adel, wraz z Methu uczyli się w tajnej szkole biblijnej, przygotowując się do służby ewangelizacyjnej. Chociaż od ucieczki minęło kilka miesięcy, musieli nieustannie się ukrywać, aby zmylić Almina, który z pomocą wielu najętych przez siebie muzułmanów usiłował ich wytropić. Kilkakrotnie omal nie wpadli w ich ręce.

Po uwolnieniu Adel musiała uporać się z dwoma poważnymi sprawami. Pierwsza dotyczyła czegoś, co początkowo wydawało się jej zupełnie niewykonalne. Wiedziała, że jako chrześcijanka musi wybaczyć bojownikom dżihadu. Trudny proces przebaczenia rozpoczął się, gdy zaszła w ciążę i Christina przypomniała jej, że dziecko rozwijające się w jej łonie nie zrobiło niczego złego, że mała Sara jest niewinna. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie wystarczy powiedzieć: wybaczam. Prawdziwe przebaczenie musi wypływać z serca. W trakcie pierwszych miesięcy po uwolnieniu dużo czasu poświęcała na modlitwę. Modliła się o zbawienie tych, którzy skrzywdzili ją i jej rodzinę. Była przekonana, że to właśnie modlitwa pozwoli jej z głębi serca przebaczyć.

Druga sprawa była równie złożona. Musiała wybaczyć samej sobie. Z powodu wymuszonego małżeństwa z Alminem często myślała o sobie jak o zdrajczyni. Niestety inni chrześcijanie utwierdzali ją w tym przekonaniu. Było to dla niej źródłem prawdziwej udręki i niepokoju, szczególnie w trakcie ucieczki. Czasami wydawało się jej, że Methu i pozostali wierzący odsuną ją od siebie. Najróżniejsze myśli kłębiły się w jej głowie. Czasami wewnętrzne cierpienie było trudniejsze do zniesienia niż ból fizyczny, jaki jej zadano.

Po wydostaniu się z niewoli opowiedziała o wszystkim małżeństwu misjonarzy, którzy zaprzyjaźnili się z Methu i zarówno w jej ojczyźnie, jak i na arenie międzynarodowej robili, co mogli, aby doprowadzić do jej uwolnienia. Gdy spotkała się z nimi po raz pierwszy, misjonarz, pobudzony przez Pana, powiedział na powitanie:

— Adel, nie jesteś zdrajczynią.

Usłyszawszy te słowa, zupełnie się rozkleiła i rozplakała. Tego dnia zaczęła sobie wybaczać.

Adel i Methu nadal dążą do uwolnienia pozostałych jeńców, którzy byli wraz z nią więzieni. Nie daje jej spokoju to, że niektóre z osób, wspomnianych na kartach tej książki, są wciąż w niewoli.

Prosi o nasze modlitwy.

Purnima: Wolna dusza małego więźnia

Bhutan

1 marca 1993

Był późny wieczór. Panował przenikliwy chłód. Policja po raz kolejny zgarnęła grupę wierzących i przewiozła ich do siedziby władz lokalnych. Trzynastoletnia Purnima drżała z zimna. Wraz z innymi musiała stać na odkrytym podwórzu. Przesłuchanie straszliwie się wlokło. Policjanci zasypywali ich tymi samymi pytaniami, co zwykle:

- Dlaczego zostałeś chrześcijaninem?
- Kto ci daje pieniądze?
- To kraj buddyjski. Twoja religia nas obraża. Dlaczego nastawiasz przeciwko sobie swoich rodaków?

W tę długą, zimną noc przesłuchano w sumie trzydziestu pięciu wierzących. Policjantów było około dwudziestu — większość rostrych i budzących postrach. Purnima skuliła się, gdy jeden z nich uderzył w twarz stojącego obok niej chrześcijanina. Niektórzy z jej grupy płakali. Inni usiłowali podzielić się ewangelią. Młodziutka Purnima patrzyła na o wiele wyższych od siebie przedstawicieli władzy i modliła się, aby starczyło jej odwagi w trakcie nieuchronnie zbliżającego się przesłuchania.

– Kto wam pozwolił obchodzić Boże Narodzenie? — oficer zwrócił się bezpośrednio do niej.

– To jest Bhutan. Obchodzenie Bożego Narodzenia jest zabronione! To jest twoja ostatnia szansa: albo powrócisz do buddyzmu, albo opuścisz Bhutan.

Doskonale zrozumiała znaczenie tego ultimatum.

— Rozumiesz? Nie masz prawa tutaj zostać i wyznawać tę obcą religię. No to jak, na co się decydujesz?

Purnima ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że oficer mówi poważnie. Za punkt honoru stawiano sobie nakłonienie chrześcijan do wyparcia się wiary. Gdy odmawiali, publiczne uznawano ich za zdrajców i zmuszano do opuszczenia kraju. Wyrzucono ją już z domu i wioski. Nie miała pojęcia, dokąd mogłaby się udać. Jednego tylko była pewna.

— Nie wyprę się Chrystusa! Nie chcę opuszczać mojego kraju, ale nie porzucę też Chrystusa. Tylko On może mnie — i pana — zbawić.

Czuła, jak cała się trzęsie, gdy z dumą w głosie odpowiadała czerwonemu ze złości oficerowi. Była nieugięta. Zdawała sobie też doskonale sprawę, że jej los został właśnie przypieczętowany. Podobnie jak pozostali dostała pięć dni na opuszczenie Bhutanu. Mieli wyjechać do Nepalu.

Pięć dni.

Z jej dotychczasowego życia pozostał niespełna tydzień. Wieści o zagrożeniu ze strony policji szybko rozniosły się po okolicy. Jej siostra z mężem wyjechali już z obawy o życie. Chrześcijanie zostali oficjalnie uznani za zdrajców, więc niektórzy z bardziej krewkich wieśniaków uznali, że mają prawo wymierzać im sprawiedliwość.

Przed wyjazdem musiała zrobić jeszcze jedno: zobaczyć się z mamą. Minął nieco ponad rok, od kiedy rodzice zmusili ją do opuszczenia domu. Teraz wracała tam ukradkiem. Była przekonana, że dotarła już do nich wiadomość o jej rychłym wyjeździe. Modliła się więc w duchu, aby zechcieli zobaczyć się ze swoją małą córeczką — być może po raz ostatni. Pod osłoną nocy przedostała się do domu, w którym dorastała — który musiała opuścić, gdy miała zaledwie dwanaście lat.

Cudowne uzdrowienie

Purnima wychowywała się w małej buddyjskiej wiosce, położonej wśród zielonych wzgórz we wschodnim Bhutanie. Jej ojciec był miejscowym szamanem. Często odprawiał rytuały i składał ofiary ze zwierząt, by przepędzić złe duchy, które zagrażały wiosce. Jej ośmioosobowa rodzina nie była ani bogata, ani biedna, jak na miejscowe standardy. Mieli duży dom, w którym panowała rodzinna atmosfera. Sival, mąż jej starszej siostry Mayi, mieszkał razem z nimi. Życie

Purnimy wyglądałoby zapewne tak samo, jak wszystkich innych dzieci z wioski, gdyby ciężko chora Maya nie wyzdrowiała w cudowny sposób.

Purnima przez trzy lata obserwowała, jak ojciec składał kolejne ofiary z kurczaków na prowizorycznym ołtarzu, uderzając przy tym w bęben domowej roboty i wzywając duchy, aby uzdrowiły jego córkę. Potem siadała obok łóżka Mayi, oczekując, że się jej polepszy. Lecz jej stan nie poprawiał się. Bywały dni lepsze i gorsze, ale z powodu nieustannego bólu brzucha i ostrych migren sporo czasu musiała spędzać w łóżku. Purnima, patrząc na cierpienie siostry, często pytała matkę:

— Dlaczego duchy są tak bardzo rozzłoszczone? Dlaczego ofiary nie działają?

Odpowiedzi nigdy jednak nie usłyszała.

Ale teraz, po wielu latach choroby, Maya poczuła się lepiej. Nie odczuwała już bólu, ustały migreny. Matka i ojciec cieszyli się, że ich córka wraca do zdrowia. Nie byli jednak zadowoleni z tego, że według Mayi działa się to za sprawą Jezusa.

— Jak możesz mówić takie rzeczy? Jak możesz przynosić hańbę naszej rodzinie i wiosce? — wykrzykiwał ojciec. — Jesteśmy buddyistami i nie chcę już słyszeć ani słowa o tym obcym bogu. Rozumiesz? Ani słowa!

Był wściekły. Co więcej, obawiał się, co pomyślą sobie pozostali mieszkańcy wioski, gdy się o tym dowiedzą. Bał się po prostu o własne życie.

Lecz Maya i Sival nie mogli się wyprzeć swojej wiary. Gdy jeden z przyjaciół Sivala dowiedział się o chorobie Mayi, przyznał mu się, że jest chrześcijaninem i dał mu Biblię. Powiedział również, że wierzy, iż Jezus może uzdrowić jego żonę. Tak też się stało. Maya i Sival zaczęli wspólnie czytać Pismo Święte, dzięki czemu ich wiara szybko wzrastała.

— Jeżeli mimo wszystko chcecie być chrześcijanami, to nie możecie tu dłużej mieszkać — ojciec obwieścił Sivalowi i Mayi owego pamiętnego wieczoru. — Mieszkańcy wioski nigdy na to nie pozwolą. Nas też wypędzą. Wasza nowa religia sprowadzi hańbę i nieszczęście na całą rodzinę.

Purnima była załamana, widząc, jak jej siostra z mężem są wypędzani z domu rodzinnego. Lecz choć miała zaledwie dziesięć lat, rozumiała aż nazbyt dobrze, że ojciec mówi prawdę. Wiedziała, że mieszkańcy wioski nigdy nie zaakceptują nowej religii. Mimo to

w głębi serca była pod ogromnym wrażeniem tego, że Maya odzyskała zdrowie. Nie mogła też wyjść z podziwu, że twarz jej siostry jakby promieniała w jakiś nowy sposób — nawet wówczas, gdy pakowała swój skromny dobytek i opuszczała dom, w którym mieszkała od urodzenia. Ból powiększał fakt, że Maya była w szóstym miesiącu ciąży.

Po ich wyprowadzce w domu panowała taka atmosfera, jakby ktoś umarł. Matka była przygnębiona, a ojciec wyglądał na oszłomionego tym, co przydarzyło się jego rodzinie. Purnima chciała porozmawiać o Mayi z matką, ale nikomu nie wolno było nawet wypowiedzieć jej imienia. Nikt też nie mógł ich odwiedzać w nowym miejscu zamieszkania — niedużej bambusowej chacie, położonej kilka kilometrów od sąsiedniej wioski.

Gdy jednak Purnima usłyszała, że Maya urodziła chłopczyka, nie mogła już dłużej znieść rozłąki. Cieszyła się bardzo, że dziecko jest zdrowe. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wygląda jej mały siostrzeniec. Tak bardzo chciała go zobaczyć. Poza tym nieustannie myślała o cudownym uzdrowieniu Mayi.

Wciąż nurtowały ją bardzo istotne pytania: Jaki Bóg uzdrowiłby kogoś, nie prosząc o nic w zamian? Co sprawiło, że Maya i Sival mieli odwagę przeciwstawić się rodzinie i powszechnie przyjętej tradycji — nawet za cenę wypędzenia z domu?

W końcu zebrała się na odwagę i choć nie była do końca pewna, czego ma się spodziewać, potajemnie wymknęła się z wioski, aby odwiedzić swoją siostrę. Idąc na przelaj przez pola i ukrywając się wśród drzew, szybko pokonała odległość, która oddzielała je przez tak wiele tygodni. Gdy Maya otworzyła drzwi swojej biednej chaty i zobaczyła stojącą na progu Purnimę, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Łzy pociekły jej strumieniami, rzuciła się na szyję swojej młodszej siostrze i uściskała ją.

Purnima zaczęła regularnie wymykać się z domu, aby odwiedzać Mayę. Nigdy nie mogła zatrzymać się u niej długo. Czasami odwiedziny trwały zaledwie piętnaście minut. Lecz za każdym razem Maya czytała jej historię z Biblii. Purnima słuchała uważnie, chłonąc każde słowo. Najbardziej fascynowała ją historia Mojżesza. Nie tyle cuda, których Bóg dokonywał poprzez niego, ile to, że został zmuszony do opuszczenia domu i został rzecznikiem Boga pomimo kłopotów z wymową. Myślała, że gdyby była chrześcijanką, to chciałaby być taka jak Mojżesz.

Po roku Maya urodziła kolejne dziecko — Esterę. Odwiedziny Purnimy stały się częstsze. Przemykała potajemnie po znajomych ścieżkach, aby odwiedzić swoją wygnaną siostrę i jej rodzinę. Było to dla niej prawdziwą przygodą. Sądziła, że nawet gdyby ją przyłapano, to nie miałyby z tego powodu zbyt wielkich kłopotów. Była przecież jeszcze dzieckiem.

Lecz matka miała na ten temat inne zdanie.

— Purnimo, wiemy, co robisz — powiedziała jej pewnego dnia. — Utraciłam już jedną córkę. Nie chcę stracić kolejnej. Rozumiesz?

Przytakiwała, gdy matka tłumaczyła, że chrześcijaństwo jest obcą religią, przeznaczoną dla niższej klasy ludzi.

— Nie jest ono dla naszej wioski ani naszego kraju. Maya została oszukana przez Sivala i jego przyjaciela.

Tajemnica Bożego przyciągania

Purnima uwielbiała spędzać czas ze swoją siostrą i nie zaprzestała odwiedzin. Ziarna wiary głęboko zapadały jej w serce. W Boże Narodzenie Maya i Sival zaprosili ją na spotkanie małej wspólnoty, która powstała w przeciągu ostatniego półtora roku. Słuchając świątecznego kazania o narodzeniu z dziewicy i zbawieniu, które przyniósł Chrystus, odczuła, że coś niewytłumaczalnego przynagla ją, aby zwróciła się do Boga.

Przez wiele dni nie przyznała się nikomu, że uwierzyła w Chrystusa. Dopiero gdy ponownie przyszła do Mayi, powiedziała jej, że chciałaby przyjąć chrzest. Maya bardzo się z tego ucieszyła, lecz w głębi serca martwiła się, jak jej młodsza siostra powie o tym rodzicom. Jakies trzy tygodnie później w słoneczny niedzielny poranek Purnima została ochrzczona. Nabrała wówczas przekonania:

— Mayu, wiem, co mam zrobić. Muszę powiedzieć o tym mamusi i tatusiowi. Nie mogę już tego dłużej ukrywać. Chcę, aby wszyscy wiedzieli, że żyję teraz dla Chrystusa — i nie obchodzi mnie, co ludzie sobie pomyślą lub zrobią!

— Ależ Purnimo, jesteś taka młoda. Masz zaledwie dwanaście lat. Wiesz dobrze, co zrobisz. Czy naprawdę jesteś na to gotowa? Ja miałam Sivala, więc było mi łatwiej opuścić dom. Może powinnaś z tym trochę poczekać i nadal się modlić.

Purnima była nieugięta.

— Nie mogę tak postąpić, Mayu. Teraz, kiedy zrozumiałam wszystko to, co słyszałam, historie, które mi opowiadałaś. Nigdy

wcześniej nie czułam czegoś takiego. Już nie wątpię w to wszystko, co mi powiedziałaś. Jak mogłabym to ukrywać przed mamą i tatą? Poza tym, przecież mam ciebie...

Maya wzruszyła się, usłyszawszy te słowa, i przytuliła swoją siostrę.

— Oczywiście, zawsze masz mnie. Czy chcesz, żebym poszła z tobą?

— Nie — odpowiedziała. — Zbliżanie się do wioski jest dla ciebie zbyt niebezpieczne. Nie martw się. Nic mi się nie stanie.

Z mieszanymi uczuciami Maya odprowadzała wzrokiem swoją młodszą siostrę, wybiegającą w stronę domu. Nie mogła wprost uwierzyć, że ta dziewczynka ma w sobie tyle odwagi. Mimo że obawiała się reakcji rodziców, to jednak była z niej bardzo dumna.

— Może Pan ma dla niej jakieś szczególne plany — rozmyślała.

Purnima po prostu weszła do domu i z naiwnością dwunastoletniego dziecka oświadczyła:

— Mamo, jestem chrześcijanką.

Matka zamarła.

— To chyba jest żart — powiedziała z lękiem w głosie. — Jesteś za młoda, żeby zostać chrześcijanką. A poza tym powiedziałam ci, że nie mam zamiaru stracić kolejnej córki.

Purnima z pełnym przekonaniem potwierdziła swoją decyzję:

— Mamo, nie chcę wyjeżdżać, tak jak Maya. Chcę zostać. Ale postanowiłam, że będę chrześcijanką i nic tego nie zmieni.

Jeszcze tego samego wieczoru kazano jej opuścić dom. Idąc z tobołkiem na plecach do domu Mayi, słyszała z tyłu płacz matki. Wiedziała, że kocha ona swoje córki, lecz zarazem, podobnie jak ojciec, boi się tego, co mieszkańcy wioski mogliby im zrobić. Kiedyś Purnima też się bała. Gdy jednak zniknęła w ciemności, postanowiła, że już więcej nie będzie się lękać.

Od tamtej pory zamieszkała z Mayą i Sivalem. Chociaż cieszyła się, że jest z rodziną swojej siostry, to jednak w ich domu panowała ogromna ciasnota i z trudem starczało im na życie. Właśnie wtedy, w Boże Narodzenie 1992 roku, rozpoczęły się aresztowania. Minął dokładnie rok od jej nawrócenia.

Miejscowa policja z coraz większą obawą przyglądała się wzrastającej liczbie chrześcijan w rejonie i zaczęła wywierać na nich coraz większą presję. Przez dziesięć tygodni wzywani byli na przesłuchania. Za każdym razem władze usiłowały nakłonić ich do wyparcia

się wiary w Chrystusa i do powrotu do buddyjskich korzeni. Próbowano też wymusić to siłą. Mężczyźni byli bici. Niektórych przetrzymywano przez tydzień lub dłużej w dużym zakładzie karnym, gdzie bito ich jeszcze bardziej dotkliwie. Zatrzymane kobiety były upokarzane i oskarżane o prostytutkę. W efekcie niektórzy członkowie wspólnoty zgodzili się wyprzeć Chrystusa. Lecz młoda Purnima uparcie trzymała się wiary.

Dla niej, jej starszej siostry Mayi, szwagra Sivala i przyjaciół z okolicznych wiosek, z którymi regularnie uczestniczyła w tajnych nabożeństwach, ostateczna decyzja władz była jasna, lecz zarazem dramatyczna. Mieli opuścić Bhutan.

Skąd u ciebie tyle odwagi?

Idąc przez pola, zobaczyła światło w oknach domu rodziców, który był kiedyś jej domem. Myślała o tym, co powiedzieć matce. Nie była pewna, czy w ogóle wpuści ją do środka. Nie rozmawiały ze sobą, nawet nie widziały się od tamtego wieczoru, gdy wyrzucono ją z domu. Teraz musiała opuścić Bhutan i zastanawiała się, czy ją jeszcze zobaczy.

Po cichu podeszła do drzwi frontowych. Postanowiła, że po prostu wejdzie do środka.

— Mamo? Mamo, to ja.

— Purnimo! — matka przytuliła ją mocno. — Powiedz, że wróciłaś do domu na dobre. Proszę, powiedz mi, że nie jesteś już chrześcijanką.

Purnima milczała przez kilka minut. Widziała smutek na twarzy swojej matki i łzy spływające po policzkach. Nie chciała zadawać jej więcej bólu, ale nie miała wyjścia.

— Mamo, muszę wyjechać z Bhutanu — powiedziała z przejęciem. — Policja nie pozwoli mi tu mieszkać. Tak mi przykro.

Matka spojrzała na swoją córeczkę i nie mogła się nadziwić jej determinacji. Była przecież taka młoda, taka niewinna.

— Purnimo, nie masz nawet czternastu lat. Skąd u ciebie tyle odwagi? Jak to możliwe, że jesteś gotowa porzucić swój kraj?

Purnima płakała teraz razem ze swoją matką.

— Nie porzucam mojego kraju, mamo — szlochała. — Mój kraj porzucił mnie.

Wiedziała, że matka ją bardzo kocha i że nigdy nie chciała zmuszać jej do opuszczenia domu. Ale wszyscy tak bardzo się bali —

chrześcijan, Bożego Narodzenia, Chrystusa. Zachodziła w głowę, co ich wszystkich tak bardzo przeraża.

— Weź to — ojciec dał jej mały zwitek pieniędzy. — I bądź ostrożna — spojrział w zapłakane oczy swojej córki, uściskał ją i wyszedł z pokoju.

Została sama z matką jeszcze na kilka minut, starając się zapamiętać każdy rys ukochanej twarzy, ton głosu i iskiereki w oczach, które pojawiały się, gdy się uśmiechała. Była taka piękna. Nie wiedziała, czy się jeszcze zobaczy. Pożegnalny uścisk i zniknęła wśród pól — po raz ostatni.

Nazajutrz rano dołączyła do ośmiu chrześcijan ze swojej wspólnoty, których również zmuszono do opuszczenia Bhutanu. Rząd przysłał autobus, który miał ich wywieźć z Purtań do granicy z Indiami. Potem mieli sobie radzić sami.

— Kto będzie naszym przewodnikiem? — żartowali między sobą, starając się jakoś rozładować napięcie.

Nikt z nich nigdy nie opuszczał najbliższej okolicy. Nie mieli bladego pojęcia, dokąd jadą.

Krótko po przekroczeniu granicy autobus zatrzymał się. Dziewiciu wygnańców wysiadło, autobus zawrócił i odjechał, zostawiając za sobą chmurę szarych spalin. Był to ich ostatni kontakt z Bhutanem. Powiedziano im tylko, aby poszli w „tamtą stronę” — przez górzyste indyjskie tereny do Nepalu.

Niepokojące sny

Trzy dni maszerowali przez góry. Nie przydarzyło im się nic złego, ale byli coraz bardziej wyczerpani. Gdy dotarli do ogromnego drzewa, rosnącego przy drodze, Jan, który został ich nieoficjalnym przywódcą, zaproponował, żeby zatrzymali się tam na jakiś czas i nabrali trochę sił. Nie było pośpiechu. Zaczęło do nich docierać, w jak trudnym są położeniu. Purnimę ogarniał coraz większy strach. Nie chciała, aby inni się o tym dowiedzieli, ale co noc przed snem gorzko płakała. Od kiedy opuściła wioskę, ciągle śniła się jej matka. Wspomnienia z rodzinnego domu rozdzierały jej serce. Ta noc nie będzie inna.

Dzień 8 marca, urodziny Purnimy. Przytuliła się do mamy, spoglądając w rozgwieżdżone niebo. Bardzo lubiły razem patrzeć

w gwiazdy i pokazywać sobie różne wymyślone kształty. Jako młodsza córka mogła spędzać więcej czasu z matką. Nigdy nie czuła się bardziej bezpiecznie, niż wówczas, gdy były tylko we dwie.

— Tak więc, solenizantko, co zrobisz teraz, skoro jesteś już dorosła? — zażartowała matka.

— Dorosła? Dlaczego dorosła? Mam dopiero czternaście lat — odpowiedziała ze śmiechem.

Sytuacja faktycznie była dziwna. Z jednej strony była wciąż dzieckiem, z drugiej zaś wielkimi krokami zbliżały się obowiązki wieku dorosłego. Tego wieczoru chciała być po prostu małą dziewczynką swojej mamy.

Radość Purnimy nie trwała długo. Nagle zauważyła czterech policjantów zmierzających w ich kierunku. Wpadła w panikę, gdy zorientowała się, że przyszli po nią. O dziwo, jej matka najwyraźniej ich nie widziała.

Nie zdążyła uciec, policjanci otoczyli ją. Jeden z nich chwycił ją mocno, wbijając swoje długie palce w jej ramię z taką siłą, że z braku dopływu krwi poczuła mrowienie w dłoni.

— Puść mnie! To boli! — błagała.

Żadnej odpowiedzi. Powoli odciągano ją od matki i domu, które zaczynały rozmazywać się w oddali.

— Mamo! Mamo! — głos Purnimy niósł się w stronę domu. — Proszę, pomóż mi! Proszę, powstrzymaj ich!

Wszystko na nic. Matka siedziała w milczeniu na swoim krześle, jakby nic się nie działo...

Obudziło ją ostre szarpnięcie mięśni. Wzięła głęboki oddech. Powoli zaczęła uzmysławiać sobie, gdzie jest. Usta miała słone od łez. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przywyknie do samotności.

Było zupełnie ciemno. Tylko srebrzysty księżyc rzucał bladą poświatę na ogromne gałęzie zwisające nad jej głową. Zrobiło jej się zimno. Naciągnęła mocniej na ramiona swoją cienką kurtkę, a pod głowę położyła sobie zwinięty sweter, który służył jej za poduszkę. Wpatrywała się w otaczające ciemności. Była zdumiona, jak bardzo przerażająca może być cisza nocy.

— Czy to naprawdę moje urodziny? — pomyślała.

Próbowała sobie przypomnieć, jaki to dzień miesiąca, lecz bezskutecznie. Wydarzenia z ostatnich kilku tygodni następowały tak szybko, że straciła rachubę czasu. Poza tym, jakie to wszystko ma teraz znaczenie?

Zastanawiała się, jak przeżyje nadchodzące dni, tygodnie, a może nawet lata. Była pewna tylko jednego: że strasznie tęskni za domem. Układając się ponownie do snu, myślała znowu o uroczej twarzy swojej mamy i jej ciepłym dotyku.

Rabunek

— Wstawać! Wstawać i oddawać pieniądze, a pozwolimy wam żyć! Obudziły ją wrzaski i kopnięcie ciężkim butem w twarz.

— Powiedziałem wstawać!

Ból przeszył jej ciało, gdy nieznany napastnik kopnął ją ponownie. Nie zauważyła, ilu bandytów ich napadło. Było ich jednak wystarczająco dużo, by jej grupka okazała się zupełnie bezbronna.

Przeraźliwe krzyki towarzyszy podróży uzmysłowiły jej, że oni również są bezlitośnie okładani przez złodziei. Próbowała osłonić się przed kolejnymi kopnięciami i ciosami. Ogarnął ją paraliżujący strach. Nagle przypomniała sobie werset z Ewangelii Mateusza: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało”.

— Zabijają ciało — powtórzyła w duchu, modląc się, aby nie spotkał jej teraz taki los. Nagle przypomniała sobie o zwitku pieniędzy, który dostała od taty. Podczas gdy rozwścieczeni napastnicy wracali do góry nogami prowizoryczne obozowisko i plądrowali ich skromny dobytek, odnalazła ukryte w swoich rzeczach pieniądze. Udało jej się to na ułamek sekundy przez kolejnym bolesnym ciosem, tym razem wymierzonym w plecy. Nie mogła złapać tchu. Modliła się gorąco do Boga, próbując zasłonić się rękami i odsunąć od ciężkiego buta, który uderzał w nią z wielką siłą.

Gdy napastnicy wystarczająco nastraszyli znużonych uchodźców i zabrali im prawie wszystko, ustawili w rzędzie czworo z nich, w tym Purnimę. Nikt nie odważył się powiedzieć ani słowa. Przed nimi stało około dwunastu bandytów z twarzami owiniętymi chustami. Purnima spojrzała na pozostałych, stojących obok siebie chrześcijan. Wszyscy umierali ze strachu. Wiedziała, że złodzieje mogliby ich spokojnie zabić.

— Lepiej nie zgłaszajcie tego na policję — ostrzegł jeden z mężczyzn, wymachując beztrzesko pistoletem. — Jeśli to zrobicie, wrócimy i zabijemy was.

Trzymając rękę na spuście, przystawiał pistolet do twarzy każdego z uchodźców, chcąc w ten sposób jeszcze bardziej ich przerazić.

Purnima zamknęła oczy i zastanawiała się, czy usłyszy wystrzał. Gdy je otworzyła, złodziei już nie było.

Poranieni i obolali podróżnicy próbowali się jakoś pozbierać i ocenić poniesione szkody. Byli wdzięczni Bogu, że zachował ich przy życiu. Byli jednak również posiniaczeni i zakrwawieni. Szybko zorientowali się, że nie zostało im zupełnie nic. Złodzieje zabrali wszystko, nawet ich dodatkowe ubrania. W najczarniejszych snach nie spodziewali się, że wyprawa do Nepalu może okazać się aż tak niebezpieczna.

Nazajutrz rano Janowi udało się zatrzymać dużą ciężarówkę, która składała się z zardzewiałej szoferki i drewnianej paki własnej roboty. Dowiedziawszy się, że kierowca jedzie do Nepalu, zaczął go błagać o podwiezienie. Pozostali szybko zebraли się wokół niego.

— Czy mógłby nas pan zabrać ze sobą? Prosimy! Nie możemy tu zostać. To zbyt niebezpieczne.

— Macie jakieś pieniądze? — podstarzały kierowca wychylił się z szoferki, węsząc okazję do zarobienia kilku dodatkowych dolarów.

Jan wyjaśnił, że minionej nocy zostali obrabowani i stracili do słownie wszystko.

— Proszę — kontynuował — niektórzy z nas ledwo stoją na nogach. Tak bardzo są pobici.

Nawet rany i siniaki nie zrobiły wrażenia na kierowcy. Myślał tylko o zarobku.

Gdy Jan i pozostali zaczęli się rozchodzić, zniechęceni utraconą okazją, odezwała się Purnima:

— Mam trochę pieniędzy.

Jej towarzysze spojrzeli na nią zdumieni, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem ma pieniądze po tym wszystkim, co ich spotkało. Złodzieje przeszukali wszystko niezwykle starannie.

— Powiedzmy, że dobrze je ukryłam — powiedziała z uśmiechem, podając pieniądze kierowcy.

Najmłodsza z dziewiątki uchodźców została bohaterką grupy. Uściskali ją serdecznie, po czym usadowili się na pace ciężarówki. Nie po raz ostatni spryt i szlachetność Purnimy okazały się przydatne.

Był środek dnia. Stojące wysoko słońce ogrzewało grupę chrześcijan. Noc spędzili na zimnej i wilgotnej ziemi, więc teraz cieszyli się z każdego ciepłego promienia. Większość skorzystała z okazji, żeby się nieco zdrzemnąć. Purnima zaś myślała o mamie i po raz pierwszy zaczęła poddawać w wątpliwość słuszność swojej decyzji. Może

powinna była zachować swoją wiarę w tajemnicy, jak sugerowała Maya. Otworzyła Biblię, którą Sival dał jej po chrzcie i podziękowała Bogu, że dla złodziei nie przedstawiała żadnej wartości.

Przewracając kartki, szybko znalazła swoje ulubione fragmenty, które czytała już setki razy. Zaznaczyła je, żeby mogła je łatwiej znaleźć. Od pierwszych wizyt u Mayi fascynowały ją pełne przygód historie biblijne. Rozmyślała o Marii i Józefie, uciekających do Egiptu. O tym, jak Dawid wymykał się z rąk króla Saula. Przypomniała sobie również swoją ulubioną postać biblijną: Mojżesza, który uciekł z Egiptu. Przeżycia tych osób tchnęły odwagą w jej serce i pozwoliły stawić czoła kolejnemu dniowi. Przycisnęła Biblię do piersi, wiedząc, że znajduje się w doborowym towarzystwie.

Znowu razem

Gdy zapadał zmierzch, kierowca zatrzymał się w indyjskim mieście Ason. Powiedział pasażerom, że musi zatankować benzynę i zabrać trochę zapasów. Mieli kilka godzin przerwy do odjazdu. Postanowili skorzystać z tej jakże potrzebnej okazji, by rozprostować kości i pospacerować po mieście. Po jakimś czasie spotkali miejscowego pastora.

Pochodził z Bhutanu. Ich przeżycia zrobiły na nim duże wrażenie. Podziwiał ich za to, że byli gotowi zostawić wszystko, aby podążać za Chrystusem. Szczególnie poruszyła go historia młodej Purnimy.

— Ile ona ma lat? — zapytał Jana, odciągając go na bok.

— Nie jestem pewny — trzynaście albo czternaście — odparł.

— Czy podróżuje z kimś z rodziny? — dopytywał się.

— Nie. Rodzina jej siostry również zmierza do Nepalu, ale wyjechali przed nami. Nie wiemy, gdzie są.

Pastorowi zrobiło się bardzo żal młodej Purnimy. Zapytał więc Jana, co sądzi o tym, żeby Purnima zamieszkała z jego rodziną. Jan uznał to za naprawdę dobry pomysł. On również martwił się o nią. Zachęcił pastora, żeby osobiście zaprosił ją do siebie.

Purnima chętnie przyjęła jego propozycję. Dobrze było być znowu częścią rodziny. Choć nie była to jej rodzina. Cały czas modliła się, aby mogła spotkać się z Mayą. Nie miała pojęcia, jak mogłoby do tego dojść. Po prostu prosiła Boga, żeby tak się stało.

Po upływie trzech miesięcy pastor poprosił ją, aby pojechała z nim na konferencję chrześcijańską, która miała się odbyć poza

Ason. Z radością się zgodziła, nie wiedząc jeszcze, że Sival również tam będzie.

Ogromnie się ucieszyła z niespodziewanego spotkania. Natychmiast postanowiła, że pojedzie z nim do Nepalu. Jej nowa rodzina nie była przekonana do tego pomysłu.

— Purnimo, jesteś pewna, że chcesz wyjechać? — zapytał pastor. — Czy wiesz, jak ciężko ci będzie w Nepalu? Będziesz musiała mieszkać w obozie dla uchodźców.

Słuchała jego łagodnego głosu, wiedząc, że ma rację. Traktowali ją jak własną córkę i trudno jej było ich opuszczać. Była jednak zdecydowana.

— Tak, jestem pewna — odpowiedziała. — Chcę być ze swoją rodziną. Doceniam waszą dobroć, ale wierzę, że taka jest Boża wola.

Do obozu uchodźców, położonego przy północnej granicy Nepalu, dotarli późnym, pochmurnym wieczorem. Nie mogła więc od razu dokładnie obejrzeć swojego nowego domu. Liczyło się tylko to, że znowu zobaczy Mayę. Z okrzykami radości siostry rzuciły się sobie w ramiona. Purnima zasnęła szybko na jednej z cienkich bambusowych mat w maleńkiej, zatłoczonej chacie.

— Purnimo, obudź się! — mała Esterka biegała wokół jej głowy, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła po otwarciu oczu, była chybotliwa konstrukcja z drzewa bambusowego, przykryta grubą plastikową płytą, która stanowiła dach ich chaty. Gdy usiadła, usłyszała dochodzące zewsząd odgłosy krzątający jakby setek ludzi. Przeludnienie obozu i skrajna nędza tysięcy mieszkających w nim rodzin szybko rzuciły się jej w oczy. Im lepiej poznawała obóz, tym większa była jej rozpacz.

Maya była bardzo szczęśliwa, że znowu są razem. Próbowała ją jakoś podnieść na duchu.

— Posłuchaj, Purnimo — mówiła. — Wiem, że to miejsce jest okropne, ale Bóg cały czas czuwa nad nami, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy. Musi mieć dla nas jakieś zadanie do wykonania w tym obozie. Tylko pomyśl o tych wszystkich ludziach wokół nas, którzy nigdy nie słyszeli o Chrystusie. Wiesz przecież, jak ludzie zawsze lgną do ciebie. Słuchają uważnie, gdy opowiadasz im o Bogu, może dlatego że nigdy wcześniej nie widzieli tak młodej i ślicznej misjonarki.

Purnima zarumieniła się i uśmiechnęła.

— Pewnie tak — powiedziała. — Ale jak długo twoim zdaniem będziemy musieli tu zostać? Czy Bóg mógłby chcieć, byśmy już nigdy nie wrócili do domu?

Maya nie miała odpowiedzi, ale przyciągnęła Purnimę blisko do siebie i przytuliła. Chciała być oparciem dla swojej młodszej siostry. Prawda była jednak taka, że często zadawała sobie takie same pytania.

W miarę upływu czasu Purnima powoli poznawała zasady życia obozowego: Postaraj się zdobyć przepustkę, jeśli chcesz opuścić obóz i udać się do okolicznych wiosek. Nie mów władzom, że będziesz głosić ewangelię i rozdawać broszury. Nie prowadź dużych spotkań z innymi chrześcijanami na terenie obozu; ograniczaj się do małych grup i spotkań po domach. Korzystaj z oferowanych kursów językowych i tak dalej, i tak dalej. Obóz dla uchodźców miał swoją odrębną kulturę i żył własnym życiem, które różniło się od tego, czego Purnima się spodziewała.

Pasja dzielenia się ewangelią

Purnima z wielką radością obserwowała dynamiczny rozwój kościoła wśród tysięcy uchodźców zamieszkujących obóz. Bliskie przyjaźnie, jakie nawiązała z wieloma wierzącymi, dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Wielokrotnie wraz z przyjaciółmi wymykali się w małych grupach, by odwiedzić chrześcijan w okolicznych obozach i wioskach. Przy okazji głoszenia ewangelii ćwiczyli również poznawany język. Purnima była bardzo zadowolona z nowych przygód. Odkrywała w sobie uzdolnienia muzyczne i wzrastającą miłość do zgubionych dusz. Pasja dzielenia się ewangelią tak bardzo ją ogarnęła, że niemal zapomniała o niewygodach życia obozowego.

Wyprawy misyjne trwały cały rok. W końcu jednak Purnima i jej przyjaciele zostali złapani. Był sierpień. W piękny niedzielny poranek grupa wyruszyła w dwugodzinną podróż do Hony, który usłyszał o żarliwych chrześcijanach z obozów dla uchodźców i zaprosił ich na spotkanie do swojego domu i ewangelizację na rynku. Zaproszenie przyjęto z ochotą.

Po cichu, dwójkami i trójkami, wymknęli się z obozu i spotkali w umówionym miejscu, oddalonym o około półtora kilometra. Cała grupa liczyła jedenaście osób. Mieli ze sobą Biblię, trochę broszur ewangelizacyjnych i gitarę. Bardzo cieszyli się, że będą głosić ewangelię w nowej wiosce, w której wiele osób być może jeszcze nigdy

nie słyszało o Chrystusie. Wiedzieli jednak, że muszą działać szybko, by zdążyć do obozu przed zmierzchem.

Do domu Hony dotarli w południe. Spędzili u niego kilka godzin, modląc się, śpiewając i czytając Biblię. Potem wyszli na rynek. Ledwo zdążyli się przygotować do zaśpiewania kilku piosenek, gdy podeszło do nich pięciu policjantów.

— Idziecie z nami — rozkazali.

Zaskoczeni, nie mieli wyboru. Musieli pójść z policjantami. Wkrótce siedzieli już przed groźnie wyglądającym kapitanem.

— Skąd jesteście? — zapytał. — Kto pozwolił wam opuścić obóz? Kto udzielił wam zezwolenia na szerzenie w Nepalu waszej religii?

Nie macie tutaj żadnych praw

Cały dzień spędzili w zawilgoconym i ciemnym areszcie. Kapitan przesłuchiwał ich pojedynczo — najpierw mężczyzn, potem kobiety. Purnima była już tym zmęczona. Myśląc, że jest to tylko nieporozumienie, postanowiła sprzeciwić się oficerowi:

— Nie zrobiliśmy nic złego. Dlaczego nas tutaj trzymacie? Proszę, wypuście nas. Musimy wrócić do obozu, zanim się ściemni.

— Nie! — krzyknął kapitan. — Tej nocy zostaniecie z nami. Na jutro macie zaproszenie od komendanta rejonowego.

Purnima wzdrygnęła się na myśl o tym, z jakim zadowoleniem kapitan przetrzymuje ich w areszcie. Wraz z trzema innymi kobietami została zamknięta w malutkiej, brudnej celi. Przytuliły się do siebie i przez całą noc żarliwie modliły się do Boga, prosząc o ochronę. Wiedziały, że głoszenie ewangelii w Nepalu może być niebezpieczne. Lecz tak wielu z tych, którzy nigdy wcześniej nie słyszeli o Chrystusie, z radością otwierało na Niego swoje serca, że warto było ponosić ryzyko.

Nazajutrz rano policjanci ponownie zebrali razem całą jedenaosobową grupę.

— Jeżeli macie jakieś pieniądze, możecie kupić sobie coś do jedzenia — powiedział jeden z policjantów. — Przed nami długa droga.

Purnima wymieniła zdumione spojrzenia z jednym ze swoich przyjaciół. Postanowiła jednak, że nie będzie się za bardzo martwić. Z pewnością wszystko uda się dzisiaj wyjaśnić w biurze komendanta rejonowego.

Przez cały dzień jedenastu chrześcijan i dziewięciu uzbrojonych policjantów brnęło przez dżunglę.

— Musimy wyglądać dość niebezpiecznie — rozmyślała Purnima, zerkając na karabiny.

Mięśnie drętwiały jej od trudów marszu po wyboistym terenie. Ponieważ ani ona, ani jej przyjaciele nie mieli pieniędzy, nie dostali nic do jedzenia ani do picia. Napili się tylko wody ze strumienia, który przekraczali.

Kiedy w końcu dotarli do komendy rejonowej, było już ciemno. Purnima była wyczerpana, zmarznięta i głodna. Wiedziała jednak, że Bóg jest z nimi i to dodawało jej otuchy. Nie miała wątpliwości, że wkrótce wróćą do domu. Lecz gdy tylko rozpoczęło się przesłuchanie, jej nadzieje prysły. Pięciu rozgniewanych policjantów, siedzących za masywnym drewnianym stołem w słabo oświetlonym pokoju przesłuchań, wrzeszczało na nich i zasypywało pytaniami:

— Kto wam pozwolił przemawiać na rynku w Jhapie? Kto was wspiera? Skąd macie swoje materiały? Jesteście brudnymi uchodźcami! Nie macie tutaj żadnych praw.

Gdy ktoś z nich próbował odpowiedzieć na te napastliwe wrzaski, był bity lub kopany. Lecz byli także bici po twarzy i kopani, kiedy nie udzielali odpowiedzi. Trwało to wszystko wiele godzin, aż pojawił się inny oficer i powiedział:

— Na dzisiaj wystarczy. Dajcie im coś do zjedzenia. Jutro do tego wrócimy.

Warunki w nowej celi były jeszcze gorsze niż w poprzedniej. Purnimie zebrało się na wymioty, gdy tylko poczuła potworny smród, jaki w niej panował. Betonowa podłoga była zimna. Nie było nawet wiadra, którego można by używać jako toalety.

Nazajutrz rano wraz z pozostałymi kobietami czekała w napięciu. Więźniów zabierano na przesłuchanie pojedynczo. Komendant rejonowy powiedział jej, że mają dowody, iż ona wraz z przyjaciółmi zniszczyła buddyjską świątynię i zbezczeszczyła rodzimych bogów.

— Nie, to nieprawda! — zawołała z niedowierzaniem.

Policjant uderzył ją mocno w twarz.

— Ty bezczelna mała oszustko! — wrzasnęła. — Po prostu powiedz nam prawdę, a dostaniesz łagodniejszy wyrok. Jeżeli będziesz kłamać, to zginięsz w więzieniu.

Zaczęła ją ogarniać panika, ale udało się jej zapanować nad sobą. Bito ją po twarzy i kopano. Była oszołomiona tym, z jakim okrucieństwem traktowali ją ci mężczyźni. Nie licząc napadu tej ciemnej nocy

w Indiach, nigdy nie spotkała się z takimi przejawami zła w czło-wieku. W czasie następnych dwudziestu ośmiu dni przeszła twardą szkołę życia. Była to naprawdę trudna lekcja dla piętnastolatki.

Przesłuchania wlokły się dzień za dniem. Chciano w ten spo-sób złamać ducha Purnimy i jej przyjaciół. Wszystko miało ustalony porządek. Jedyną niewiadomą pozostawało to, kto jako pierwszy zo-stanie wywołany na codzienną dawkę pytań i bicia. Pytanie — zła odpowiedź — policzek. Kolejne pytanie — kolejna zła odpowiedź — kolejny policzek. I tak dalej, i tak dalej.

W celi Purnima i pozostałe kobiety śpiewały po cichu i długo modliły się w nocy, starając się dodawać sobie otuchy.

— Musimy jakoś wytrzymać. Wkrótce to wszystko się skończy i wrócimy do domu — szeptały w ciemności.

— Dom — Purnima pomyślała z ironią — to teraz dosyć względne pojęcie.

Boży pokój

W obozie cały czas myślała o rodzicach i z ogromną tęsknotą wracała wspomnieniami do domu w Bhutanie. Teraz jednak, bar-dziej, niż mogłaby kiedykolwiek przypuszczać, tęskniła za siostrą i tą obskurną, małą chatą w przepelnionym obozie dla uchodźców. Zasta-nawiała się, co robi siostrzenica i siostrzeniec. Martwiła się, jak radzi sobie Maya. Czy dowiedziała się w ogóle czegośkolwiek o jej losie?

— Och, Mayu, tak mi przykro, że przysparzam ci tylu zmartwień. Zapewne straszliwie się o mnie niepokoisz — myślała.

Do chrześcijan w obozie, w tym i do pastora wspólnoty, dotarły pogłoski o ich aresztowaniu. Udali się nawet do zakładu karnego, w którym ich przetrzymywano. Zostali jednak dotkliwie pobici przez policjantów i odesłani z niczym. Gdy Purnima i jej przyjaciele do-wiedzieli się o tym, byli zdruzgotani.

Wcześniej rano, dwudziestego piątego dnia po aresztowaniu je-den ze strażników przyszedł po Purnimę. Komendant rejonowy cze-kał na nią w znanym jej już pokoju przesłuchań, gotowy na kolejny pokaz swojego okrucieństwa. Ponownie zaczęły się pytania:

— Kto kazał ci szerzyć chrześcijaństwo? Jesteś taka młoda. Moż-liwe, że to nie twoja wina. Na pewno ktoś nakłonił cię do przyjęcia tej religii, obiecując pieniądze. Od kogo dostajesz pieniądze? Jeśli tylko powiesz mi, kto to jest, nikt cię już nie uderzy. Może nawet będziesz mogła wrócić do obozu.

Kilka następnych minut zdawało się trwać bez końca. Purnima była zmęczona, niedożywiona i brudna (więźniowie dostawali ryż dwa razy dziennie i nie mogli się myć). Mimo to podczas wszystkich przesłuchań jej serce wypełniał Boży pokój. Czuła, że Chrystus jest cały czas obok niej i to pomagało jej przetrwać najtrudniejsze chwile. Modliła się, aby Bóg wybaczył jej oprawcom i dał jej siłę — bez względu na wszystko.

— Odpowiedz na moje pytanie — wrzasnął komendant.

Zebrała się na odwagę i przygotowała na kolejny cios w twarz. Wiedziała, że nie spodoba mu się jej odpowiedź.

— Nie uwierzyłam w Chrystusa dla pieniędzy, wsparcia materialnego czy czegoś takiego. Uwierzyłam w Niego, ponieważ moja siostra była chora przez trzy lata, a gdy uwierzyła w Niego, została w cudowny sposób uzdrowiona. Widziałam wiele cudów. W moim sercu panuje pokój i radość. Nie ma żadnego innego powodu.

Sfrustrowany komendant przybliżył się na kilka centymetrów do jej twarzy. Poczula jego oddech. Z jego oczu biła niepokohamowana wściekłość. Purnima była przerażona, ale starała się nie dać tego poznać po sobie i nie cofnęła głowy do tyłu.

— Kłamiesz! — wrzasnął jej prosto w twarz. — Wiem, że coś ukrywasz. Nie mówisz prawdy. Teraz będziesz musiała pójść do więzienia — na długo. Jesteś na to gotowa?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, uderzył ją w twarz tak mocno, że spadła z krzesła.

— Zabierzcie ją — rozkazał.

Towarzyszki z celi westchnęły głęboko, gdy zobaczyły jej delikatną twarz spuchniętą i całą w siniakach.

— Nie martwcie się — Purnimie napłynęły łzy do oczu. — Nie boli aż tak bardzo.

Skłamała.

Nie uwierzyły jej, gdyż same również zaznały wielu cierpień i upokorzeń z rąk bezwzględnych funkcjonariuszy. Pocieszały ją najlepiej, jak umiały. Było im przykro, że komendant nie chciał dać wiary temu, co mówiła. Najwyraźniej ani jemu, ani pozostałym policjantom nie mieściło się w głowie, że Purnima i jej przyjaciele nie otrzymywali żadnej pomocy finansowej od obcokrajowców. Byli przekonani, że Biblie i broszury pochodzą z zagranicy, ponieważ chrześcijaństwo było w Nepalu uważane za obcą religię. Nie przyjmowali do wiadomości faktu, że wiara chrześcijańska szerzyła się

spontanicznie wśród miejscowej ludności bez żadnego przymusu czy obietnic korzyści finansowych.

Kilka kolejnych dni upłynęło spokojnie. Purnima i jej towarzyszkę zastanawiały się, co z nimi będzie. Czas włókł się przeraźliwie. Wspólna modlitwa i cichy śpiew były dla nich źródłem ukojenia. Purnima odczuwała jednak niepokój – nie mogła zrozumieć, dlaczego tak nagle zaprzestano przesłuchań.

– Co oni planują? Dlaczego nie chcą nas wypuścić? – zastanawiała się.

Niezliczone błogostawieństwa

Wczesnie rano we wtorek dwudziestego września cała grupa znalazła się znowu w biurze komendanta rejonowego. Purnima wiedziała, że na coś się zanosi, gdyż jak dotąd kobiety oddzielano od mężczyzn. Prawie bez słowa ustawiono ich w szeregu, zakuto w kajdanki i pod eskortą przeprowadzono na drugą stronę rynku do pokrytego blachą gmachu sądu. Purnima nie posiadała się ze szczęścia, że choć na krótką chwilę może być na słońcu. Przez moment zapomniała w ogóle o tym, co może ich czekać.

W sali rozpraw było tłoczno. Grupę Purnimy zaprowadzono do przodu i posadzono obok obrońcy przydzielonego z urzędu. Siedzący naprzeciwko nich prokurator wstał i zapowiedział, że wnosi oficjalne oskarżenie przeciwko jedenastu podejrzanym. Jak na ironię, podczas odczytywania aktu oskarżenia – pełnego fałszywych pomówień o zniszczenie buddyjskich świątyń i zabicie świętych krów – w Purnimie obudziła się nadzieja. Może będzie to dzień ich uniewinnienia i wyjścia na wolność. Sędzia z pewnością zorientuje się, że są niewinni.

Argumenty obrońcy były całkiem przekonujące, lecz prokurator twardo trzymał się ustalonego scenariusza i wszystko wskazywało na to, że chcąc odstraszyć innych, postanowił ich przykładowie ukarać. Rozprawa przedłużała się. Zapadł wieczór. Niedługo przed dziesiątą sędzia w końcu podjął decyzję i znużonej grupie więźniów ogłoszono wyrok. Podczas odczytywania nazwisk oskarżonych Purnima wstała. Gdy sędzia obwieścił srogim głosem, że są skazani na trzy lata pobytu w więzieniu państwowym, była do głębi wstrząśnięta.

Trzy lata – dźwięczało jej w uszach.

Obiecała Bogu, że będzie wierna, niezależnie od tego, dokąd ją pośle: z dala od domu, poza Bhutan, do obozu uchodźców. Ale więzienie? Było to ponad siły piętnastolatki. Zamknęła oczy i ponownie szukała pociechy w historiach biblijnych, które pamiętała.

Wyobraziła sobie Jezusa, siedzącego na szczycie góry i nauczającego uczniów. Poczula, jak wzbiera w niej odwaga — przypomniła sobie bowiem Jego słowa: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie... albowiem do nich należy królestwo niebieskie”. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie. Błogosławieni, którzy... Przerwała, bo uświadomiła sobie, jaka jest prawda: Jestem błogosławiona...

Ciężko było myśleć o wyroku więzienia jako o błogosławieństwie. Pogodziła się ze swoim losem, choć wątpliwości powracały. Z czasem jednak obietnica ta stała się dla niej i pozostałych uwięzionych chrześcijan źródłem ogromnej siły. Często powtarzali na głos słowa błogosławieństwa.

Skuto ich dwójkami i wyprowadzono z gmachu sądu. Rozpoczęła się kolejna mordercza podróż przez dżunglę. Więzienie znajdowało się na szczycie góry, oddalonej o parę ładnych kilometrów. Purnima cały czas przypominała sobie przebieg rozprawy sądowej. Z każdą chwilą narastało w niej przekonanie, że Bóg czuwa nad tym, co się z nimi dzieje. Zostali fałszywie oskarżeni i idą do więzienia dla sprawy Chrystusa. Ta prawda dodawała jej otuchy. Czuła się zaszczycona, że została powołana, by cierpieć dla Niego. Spojrzawszy na swoich dziesięciu przyjaciół, mozolnie maszerujących przez dżunglę, pomyślała sobie, że jest w dobrym towarzystwie.

Witamy w piekle

Do bramy więzienia dotarli o trzeciej nad ranem. W świetle księżyca dostrzegła wysokie mury, okalające zakład karny i ogromne bramy, które otwierały się ze złowieszczym trzaskiem. W środku panowała ponura, przytłaczająca atmosfera. Kiedyś była to zapewne imponująca forteca. Lecz teraz wszystko popadło w ruinę. Gdy szli przez odkryty dziedziniec w stronę budynków więziennych, po raz ostatni zerknęła przez ramię. Wielkie wrota zamknęły się za nimi. Głośny szcęk metalu rozległ się po więzieniu — jej nowym domu.

Purnimie i pozostałym kobietom wręczono cienkie słomiane maty i wprowadzono je do celi. Było w niej prawie zupełnie ciemno. Stopniowo oczy przyzwyczyły się do ciemności i można było rozróżnić sylwetki więźniarek śpiących na podłodze. Upiorny głos uniósł się z ziemi:

— Witamy. Witamy w piekle.

Purnima z niepokojem zaczęła zastanawiać się, kim są pozostałe więźniarki. Jakie przestępstwa popełniły? Czy są okrutne? Czy ją polubią? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na te pytania. Wytrąciło ją to

zupelnie z równowagi. Znalazła puste miejsce przy zewnętrznej ścianie i usiadła z podkurczonymi nogami, przyciskając kolana mocno do siebie. Była wyczerpana, lecz przerażenie nie pozwalało jej zasnąć.

Po kilku godzinach pierwsze promienie światła słonecznego przedostały się do środka przez okratowane otwory, wybite wysoko w ścianie. Rozejrzała się wokół. Cella była nieduża, ale nie przepelniona. Przebywało w niej jeszcze pięć więźniarek. Każda z nich miała własne terytorium, otoczone swoim lichym dobytkiem. Ubikacja, jeśli w ogóle można by ją tak nazwać, składała się z betonowego podestu, przylegającego do zewnętrznej ściany, zardzewiałej umywalki — bez mydła i ciepłej wody — i dziury w podłodze, pod którą był wykopany dół. Sądząc po unoszącym się smrodzie, nikt go nie opróżniał.

Betonowe ściany były pokryte wieloma warstwami farb i wprost lepily się od brudu. Podłoga była zimna, wilgotna i brudna. Przez niewielkie okno, umieszczone na wysokości oczu, można było wyglądać na dziedziniec i znajdujący się po jego drugiej stronie o wiele większy blok męski. Wysoko ponad dziedzińcem była kładka z balustradą, z której strażnicy mogli obserwować więzienie. Choć jak na razie żaden się tam nie pojawił.

Tulasa była samozwańczą szefową celi.

— Dlaczego tu jesteś? — zapytała otwarcie, patrząc prosto na Purnimę. — Nie wydaje ci się, że jesteś trochę za młoda, żeby siedzieć w więzieniu?

— Nie wiem, czy jestem za młoda — odparła — ale jesteśmy tutaj, bo jesteśmy chrześcijankami.

— Chrześcijankami? — Tulasa niemal splunęła, wypowiadając to słowo. — Dlaczego mieliby was zamykać za to, że jesteście chrześcijankami? Głupota nie jest przestępstwem.

Wybuchnęła śmiechem. Pozostałe więźniarki przyłączyły się do niej. Przedstawiła się, ale w jej słowach nie było ani odrobiny ciepła.

— Mówią, że zabiłam swoją teściową — warknęła. — Będę tu więc jakiś czas i mam nadzieję, że będziecie się trzymały ode mnie z daleka.

Purnima mimowolnie wpatrywała się w tę kobietę, mimo że była oniesmielona jej szorstkimi uwagami. Z jakiegoś powodu podejrzewała, że za tą chłodną powierzchownością kryje się łagodna, troskliwa osoba. Od tamtej pory modliła się, aby Bóg pozwolił im poznać się lepiej.

Tulasa wróciła do swojego kąta, obrzucając nowo przybyte ste-kiem przekleństw. Purnima zauważyła, że miała ona dosyć duży za-
pas koców i innych rzeczy osobistych. Świadczyło to o tym, że była tu
już od jakiegoś czasu i otrzymała je od swoich przyjaciół lub krew-
nych. Z kolei nowo przybyte nie miały nic poza ubraniami, które
miały na sobie. Pierwszego ranka usiadły blisko siebie i modliły się.
Postanowiły, że każdy dzień będą zaczynać od modlitwy, a w każdy
piątek będą pościć. Od władz więzienia dostały podstawowe naczynia
kuchenne. Ponadto codziennie otrzymywały dwie racje żywnościowe
— zazwyczaj ryż i ziemniaki. Od czasu do czasu dostawały nieduży
przydział pieniędzy na zakup rzeczy osobistych.

Chrześcijanki wkrótce zauważyły, że przystosowywanie się do
życia więziennego było pod pewnymi względami podobne do przy-
stosowywania się do życia w obozie dla uchodźców. Trzeba było na-
uczyć się reguł, starać się unikać kłopotów i uważać na to, kogo się
ma za plecami. Diametralna różnica polegała na tym, że były teraz
całkowicie pozbawione wolności, a strażnicy nie mieli wcale ochoty
wkraczać do akcji, gdy dochodziło do nieuniknionych konfliktów.

Purnima pomyślała jednak, że przynajmniej nie muszą znosić
codziennych przesłuchań i nie są bite. Mogą też cieszyć się wspól-
nymi chwilami cichej modlitwy i rozmów o Bogu — pomimo nie-
ustannych szyderstw i przekleństw, jakimi obrzucały je pozostałe
więźniarki. Najbardziej jednak bała się strażników, którzy wkrótce
po ich przybyciu do więzienia zaczęli czynić pod jej adresem nie-
przyzwoite uwagi.

Pierwsze kilka miesięcy dłużyły się. Purnima niewiele spała.
Szybko dowiedziała się, dlaczego pozostałe więźniarki nie zadomo-
wiły się przy zewnętrznej ścianie. Było tam zimno. Z nadejściem
zimy zaczęła podupadać na zdrowiu. Nie miała ciepłego ubrania
ani koca. Powoli jej optymistyczne spojrzenie na życie zamieniło
się w dojmujące uczucie rozpacz. Martwiła się, że jest tak słaba
i jej wiara podupada. Ponownie zaczęła zastanawiać się, czy przy-
padkiem nie popełniła jakiegoś strasznego błędu. Powróciły rów-
nież sny o domu i matce. Noce stały się nie do zniesienia. Była
bliska rezygnacji.

Pewnego popołudnia usłyszała wrzaski, dochodzące z bloku
mężczyzn i rozgniewane męskie głosy, krzyczące:

— Dopadnijcie go! Dopadnijcie go! Skończcie z nim!

Bójki, wybuchające w męskiej celi, nie były niczym niezwykłym.
Lecz tym razem dreszcze przeszły jej po plecach, gdy usłyszała, jak
ktoś krzyknął:

— Po prostu skończcie z nim. Martwy chrześcijanin nie może modlić się ani śpiewać!

Wiedziała, że te groźby są prawdziwe. Tulasa powiedziała jej, że niedługo przed przybyciem jej grupy jakiś więzień został zamordowany. Wiedząc, że tym razem śmierć z rąk współwięźniów grozi jednemu z chrześcijan, zaczęła jak oszalała wołać strażnika. Lecz nikt się nie pojawił. Szlochając, upadła na swoją matę i zaczęła się modlić. Zrozumiała wówczas, o ile trudniej jest jej braciom w wierze, stłoczonym w jednej celi z ponad dwustoma innymi mężczyznami, z których wielu to brutalni przestępcy. Zauważyła, jak bardzo użalała się nad sobą — podczas gdy po drugiej stronie dziedzińca jeden z jej przyjaciół był bity, a może nawet zabijany.

— Drogi Boże — modliła się — proszę, nie pozwól im go zabić. Nie pozwól mu umrzeć.

Rozpłakała się — tym razem nie tylko ze swojego powodu, lecz również ze względu na wszystkich pozostałych.

Ofiarą tej napaści był chrześcijanin o imieniu Ashok. Ledwo uszedł z życia. Purnima była wdzięczna za jego ocalenie. Postanowiła, że przestanie ciągle myśleć o sobie i zacznie szukać okazji do mówienia o wierze innym kobietom w celi. By w ogóle przetrwać ten trzyletni wyrok, musiała pozostać aktywna. W przeciągu ostatnich tygodni dopuściła do tego, że było uwięzione nie tylko jej ciało, lecz także duch. Wiedziała, że będzie musiało się to zmienić.

— Panie, pokaż mi, co mam zrobić — prosiła Boga. — Jestem gotowa służyć Ci bez względu na okoliczności.

Właśnie wtedy nadeszły święta.

Bożonarodzeniowy prezent

Stałym elementem więzienia był pewien człowiek, nazywany przez wszystkich wujkiem. Przebywał w nim już tak długo i poruszał się wszędzie tak swobodnie, że nowi więźniowie zazwyczaj sądzili, że jest jednym z pracowników, choć wcale tak nie było. Co tydzień obchodził cele, pytając więźniów, czy nie chcieliby, żeby kupił im coś na rynku.

— Dzień dobry, Purnimo — przywitał się z nią tego dnia. — Co mógłbym kupić dzisiaj dla ciebie? A może wolisz zatrzymać wszystkie swoje pieniądze aż do dnia, w którym wyjdiesz na wolność? Po co tak oszczędzasz? Jaki będziesz miała z nich pożytek, jeśli ich nie wydasz?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, wpadła na pomysł:

— Racja! To właśnie zrobię. Dziękuję, Wujku! — pomyślała.

Pośpiesznie wcisnęła wszystkie zaoszczędzone pieniądze w wyciągnięte ręce Wujka i przez kraty przekazała mu szeptem instrukcje. Obserwując go, jak wolnym krokiem opuszcza blok żeński, modliła się, aby kupił dokładnie to, o co prosiła. Wujek, usłyszawszy jej prośbę, pomyślał, że oszalała, ale odpowiedział ciepło:

— Jakże mógłbym odmówić takiej niewinnej buzi?

Purnima niecierpliwie go oczekiwała. Gdy wrócił jeszcze tego samego dnia, wręczył jej paczkę.

— Wszystko jest — zapewnił. — Ale myślę, że oszalałaś. Wiesz, to się zdarza w więzieniu.

Uśmiechnęła się w podziękowaniu i wyciągnęła rękę przez kraty, żeby ucisnąć jego dłoń. Po czym, bacznie obserwowana przez współwięźniarki, rozpoczęła przygotowania. Nie mogąc poskromić swojej ciekawości, podeszły w końcu do niej i zapytały, co u licha robi. Zignorowała je i pracowała dalej. Zajęło jej to całe popołudnie. Chciała, by wszystko było zrobione tak, jak należy. Gdy skończyła, odwróciła się do pozostałych kobiet i uroczyście obwieściła:

— Odkąd tu jestem, Bóg położył mi na sercu, abym oszczędzała swoje więzienne kieszonkowe. Aż do dzisiejszego poranka nie wiedziałam dlaczego. Lecz dzisiaj rano zrozumiałam, co powinnam zrobić. Poprosiłam Wujka, aby za moje pieniądze kupił najlepsze kurczaki i warzywa, jakie uda mu się znaleźć. I wszystko to ugotowałam — specjalnie dla was.

Więźniarki zaniemówiły z wrażenia i spoglądały na nią z wielkim zdumieniem. Tulasa przyglądała się jej podejrzliwie, czekając na podstęp, ukryty za tym wszystkim. Zastanawiała się, dlaczego Purnima, do której nigdy nie odezwała się miłym słowem, miałaby zrobić coś takiego.

— O czym ty w ogóle mówisz? Co to za podstęp? — zapytała sarkastycznie.

— Po prostu chcę się tym z tobą podzielić, Tulaso — a także z wami wszystkimi. Nie ma w tym żadnego podstępu. To mój podarunek dla was. Zabierajmy się do jedzenia!

Tego wieczoru spożyły najlepszy posiłek od lat. Nawet strażnicy przechodzili obok i zaglądali do środka. Po więzieniu szybko rozeszła się wieść, że Purnima przygotowała ucztę!

Następnego wieczoru Tulasa opuściła swój kąt i usiadła obok niej.

— Dlaczego to dla nas zrobiłaś? — zapytała, po raz pierwszy szczerze i uprzejmie. — Odkąd tu przybyłyście, tylko się z was naśmiewaliśmy. A to były twoje pieniądze. Wszystko, co miałaś. Mogłaś przecież wykorzystać je dla siebie. Dlaczego więc wydałaś je na nas?

Taka dobroć po prostu nie mieściła się jej w głowie. Uważała, że Purnima musi być albo bardzo głupia, albo bardzo mądra i chciała się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

— Tulaso — Purnima zaczęła z uśmiechem — czy słyszałaś kiedyś o Bożym Narodzeniu?

Tak oto zaczęła się niespodziewana przyjaźń między odsiadującą wyrok morderczynią, a nastoletnią misjonarką. Purnima opowiedziała Tulasie o tym, jak trzy lata wcześniej uwierzyła w Chrystusa podczas bożonarodzeniowego nabożeństwa. W trakcie kolejnych miesięcy, jak zwykle uprzejma i pełna entuzjazmu Purnima wielokrotnie rozmawiała z Tulasą o Chrystusie. Co zadziwiające, zostały bliskimi przyjaciółkami. Tulasa trochę przypominała Purnimie matkę. Towarzystwo tej starszej kobiety podnosiło ją na duchu. Nie wiedziała, co przyniesie przyszłość, postanowiła jednak stawić dzielnie temu czoła. Zdawała sobie sprawę ze słabości, lecz nie poddawała się. Postanowiła, że całkowicie zda się na Boga — dokładnie tak jak Mojżesz.

Epilog

Purnima wraz z członkami swojej grupy została zwolniona z więzienia po czternastu miesiącach i sześciu dniach. Wieść o ich aresztowaniu dotarła najpierw do obozu dla uchodźców, a potem rozeszła się po całym świecie. Przywódcy chrześcijańscy z różnych krajów zaczęli domagać się od rządu nepalskiego ich uwolnienia. W petycji do króla Nepalu napisali: „Wiemy, że w nepalskim więzieniu państwowym jest przetrzymywanych jedenastu chrześcijan. Jedna z tych osób to praktycznie jeszcze dziecko!”

Jakiś czas potem Purnima i jej przyjaciele dowiedzieli się, że przedterminowe zwolnienie było większym błogosławieństwem, niż im się początkowo wydawało. Władze więzienne miały bowiem zamiar przetrzymywać ich przez siedem lat. (Kara za nawracanie na chrześcijaństwo została zaostrożona).

Ku wielkiemu zdziwieniu urzędników, natychmiast po uwolnieniu poprosili o spotkanie ze swoimi byłymi współwięźniami. Po upły-

wie trzech miesięcy od osadzenia w więzieniu zaczęli otrzymywać pomoc od swoich krewnych. Postanowili teraz przekazać pozostałym więźniom zgromadzone przez siebie rzeczy, a także pieniądze, które Purnima odkładała na kolejną wyjątkową okazję. Przypomnieli też wszystkim, że byli prześladowani za wiarę w Jezusa Chrystusa. Niektórzy z byłych współwięźniów zostali chrześcijanami. Zachęcali ich więc do wytrwałości w wierze, obiecując, że będą pamiętać w swoich modlitwach zarówno o nich, jak i o wszystkich innych.

Ku ogólnemu zaskoczeniu jeden z mężczyzn, którzy uczestniczyli w pobiciu Ashoka, wstał i wobec wszystkich powiedział:

— Jasne światło pojawiło się w naszym więzieniu. Lecz teraz odchodzi.

Tuż przed wyjściem Purnima po raz ostatni uściskała Tulasę, która była już teraz chrześcijanką. Jakiś czas potem jej wyrok został uchylony i wyszła na wolność. Jest obecnie aktywnie zaangażowana w służbę w kościele.

Od chwili, gdy Maya przeczytała jej pierwszą historię biblijną, Purnima podziwiała Mojżesza. Został wygnany ze swojego kraju i chociaż wydawało mu się, że nie potrafi składnie mówić, to jednak Bóg używał go w potężny sposób. Podobnie i ona, choć często myślała, że z powodu młodego wieku nie nadaje się do służby, stała się teraz w Nepalu swego rodzaju osobistością. Jest często zapraszana do kościołów, mieszczących się w pobliżu obozu dla uchodźców, w którym nadal mieszka razem z Mayą, Sivalem i ich dziećmi.

W swoich modlitwach prosi Boga, aby mogła kiedyś wrócić do swojej ojczyzny — Bhutanu, żeby zobaczyć się z matką i głosić ewangelię.

Aida:

Głos pozbawionych prawa głosu

Związek Radziecki

Lipiec 1968

Nie zgodziła się na adwokata z urzędu. Aida Michajłowna Skripnikowa nie potrzebowała obrońcy przydzielonego przez rząd sowiecki. Chciała sama prowadzić swoją obronę. Siedząc na ławie oskarżonych w wyłożonej drewnem sali rozpraw, wpatrywała się w wiszący za sędzią okazały portret Lenina — „ojca” systemu, przez który była teraz więziona.

Prokurator był przeciwny takiemu rozwiązaniu. Nie zgadzał się, aby oskarżona sama prowadziła swoją obronę. Dawałoby jej to zbyt dużo swobody. Zauważył, że przebywała jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym. Trudno sobie zatem wyobrazić, że będzie w stanie prowadzić linię obrony w procesie karnym.

Sędzia w końcu przychylił się do prośby Aidy i jej adwokat opuścił salę rozpraw. Od tej pory była już całkowicie odpowiedzialna za prowadzenie swojej sprawy i późniejszy wyrok. Nie była to jej pierwsza rozprawa i nie po raz pierwszy została oskarżona o praktykowanie wiary chrześcijańskiej. Gdyby sędzia uznał ją za winną i wysłał do obozu pracy, to również i tam nie znalazłaby się po raz pierwszy. Przechodziła przez to wszystko już wcześniej. Różnica polegała na tym, że tym razem nie będzie mieć biernego obrońcy z urzędu. Po raz pierwszy będzie mogła bronić się sama i jasno przedstawić swoją sprawę — w imieniu wszystkich wierzących ze swojej ojczyzny.

Postawiono jej wiele zarzutów. Sędzia odczytywał je po kolei głośnym, karcącym tonem, który mógłby zmrozić krew w żyłach. Została oskarżona o zamieszkiwanie w Leningradzie bez zameldowania

(to, które miała, zostało unieważnione), a także o członkostwo w niezarejestrowanym ugrupowaniu kościelnym i rozpowszechnianie nielegalnie publikowanych materiałów o tematyce chrześcijańskiej.

Pomówienia czy prawda

U podłoża najpoważniejszych zarzutów znajdowało się jedno słowo — pomówienie. Prokurator dowodził, że gromadziła i rozpowszechniała nieprawdziwe informacje o aresztowaniach, procesach i wyrokach więziennych, spadających na chrześcijan w Związku Radzieckim. Szczególnie nikczemne w oczach władzy było to, że przekazywała te rewelacje cudzoziemcom, doprowadzając do tego, że szkodliwe dla Związku Radzieckiego informacje docierały do innych krajów.

Aida postąpiła podobnie jak oskarżyciel. W swojej obronie również skupiła się na jednym słowie. Z tym, że w jej przypadku była to prawda. Uważała, że jeśli przekazywane przez nią informacje były prawdziwe, to nie mogły być pomówieniem. Postanowiła więc udowodnić sądowi, że były one całkowicie oparte na faktach.

W trakcie odczytywania aktu oskarżenia Aida po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wnikliwie obserwowała ją służba bezpieczeństwa. Wiedzieli o pannie Jursmar, uroczej Szwedce, która przyjechała do Związku Radzieckiego, aby odebrać od niej informacje. Wiedzieli, kiedy i gdzie się spotkały. Skonfiskowali notatnik panny Jursmar, w którym znajdowały się wzmianki o spotkaniu z Aidą. Sędzia wymienił nawet wszystkie rzeczy i publikacje, które Aida jej przekazała. W jego głosie dawało się wyraźnie wyczuć ton sarkastycznej pogardy.

— Jursmar próbowała wywieźć z naszego kraju otrzymaną literaturę — czytała monotonnym głosem — lecz w trakcie kontroli celnej znaleziono wymienioną wyżej literaturę i natychmiast ją skonfiskowano.

Podniósł wzrok znad aktu oskarżenia i spojrzał na oskarżoną. Na jego twarzy malował się triumfalny uśmiech.

Wiedzieli o Dawidzie, innym zaprzyjaźnionym chrześcijaninie z zagranicy, i czasopiśmie chrześcijańskim *Zwiastun Zbawienia*, które mu wysłała. Wiedzieli, że pojechała do innego obwodu, aby spotkać się ze swoją siostrą i przekazać jej czasopisma, które rozdano później chrześcijanom z kościoła podziemnego. Wyglądało na to, że służba bezpieczeństwa wie o każdej osobie, z którą się spotkała i każdej publikacji, którą rozdała.

Aida spokojnie zastanawiała się, jakie jeszcze informacje mogli przechwycić, zanim dotarły one do kogoś za granicą i w związku z tym, o jak wielu uwięzionych chrześcijanach nikt się nie dowiedział.

Co jakiś czas, niczym jakiś refren, z ust sędziego odczytującego akt oskarżenia wydobywały się te same słowa: Aida Michajłowna „świadomie szerzyła fałszywe informacje, szkalujące Związek Radziecki i socjalizm”.

Cicha ufność

Siedziała w milczeniu na niewygodnej drewnianej ławie oskarżonych. Była zupełnie sama. Wcześniej obawiała się, że może będzie zdenerwowana i niespokojna. Była jednak wyciszona i pełna ufności, gdyż odczuwała bliskość Chrystusa. Jezus powiedział swoim uczniom, aby nie martwili się, co będą mówić, gdy staną przed królami lub sędziami. Nie martwiła się więc.

— Gdy oskarżona była przesłuchiwana przez służbę bezpieczeństwa — sędzia kontynuował czytanie aktu oskarżenia — nie przyznała się do winy, choć potwierdziła, że rozsyłała i rozdawała publikacje o tematyce chrześcijańskiej. Kopie wielu wysłanych przez nią dokumentów odnaleziono w jej mieszkaniu, co dowodzi, że ma ona ścisły związek ze sprawą. Powiedziała też funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa, że materiały te nie zawierały pomówień, lecz tylko „dokładnie opisywały sytuację kościoła w naszym kraju”.

W końcu sędzia zakończył odczytywanie aktu oskarżenia. Popatrzył srogo na Aidę i zapytał:

— Czy oskarżona rozumie zarzuty, jakie zostały jej postawione?

Spojrzała na niego odważnie i patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała:

— Tak.

— Czy oskarżona przyznaje się do winy?

— Nie — odparła łagodnym, stanowczym głosem.

Sędzia spojrzał na swoje notatki, po czym oznajmił, że proces rozpocznie się natychmiast. Pierwszym świadkiem będzie sama Aida.

Rozpacz rodziny

Gdy w wieku dwudziestu jeden lat zaczęła podążać za Jezusem, nie miała pojęcia, że droga, którą On ją poprowadzi, zawiedzie ją do sali sądowej. Urodziła się w rodzinie chrześcijańskiej i już od dziecka

wiedziała, kim jest Jezus. W 1942 roku spotkała ich tragedia. Jej ojciec został aresztowany za odmowę służby wojskowej. Obiecano mu zaświadczenie zwalniające z obowiązku służby wojskowej, którego jednak nigdy nie otrzymał. Został rozstrzelany, osierocając dwuletnią Aidę, która w ogóle go nie pamiętała.

Mieszkali w małej miejscowości na Syberii. Matka musiała sama zająć się wychowaniem dzieci. Pracowała ciężko i dużo się modliła. Regularnie czytała dzieciom Pismo Święte. Pomimo ryzyka aresztowania zabierała je na spotkania chrześcijan, które odbywały się potajemnie po domach. Czasami jej wujek stał na straży, obserwując, czy nie zbliża się służba bezpieczeństwa lub żołnierze. Aida dokładnie pamięta tę niedzielę, gdy służba bezpieczeństwa rozbiła spotkanie zorganizowane w ich domu. Zabrali jej wujka i dwóch innych mężczyzn, zakutych w kajdanki, i postawili przed sądem.

W wieku jedenastu lat spotkała ją kolejna tragedia — śmierć matki. Jednym z najbardziej żywych wspomnień, jakie pozostały jej po matce, było to, że martwiła się, iż jej dzieci mogą kiedyś porzucić wiarę w Chrystusa. W przypadku Aidy tak się niestety stało. Nie było to tyle świadome odwrócenie się plecami do Boga, co stopniowe oddalanie się — zwyczajna utrata zainteresowania. Wychowywała ją starsza siostra. Ciągłe przeprowadzki sprawiły, że wraz ze swoimi bliskimi przestała uczęszczać na spotkania kościelne. W szkole uczono ich, że nie ma Boga i z czasem przestano o Nim nawet wspominać w jej domu.

Odrodzona wiara

Gdy miała dziewiętnaście lat, przeprowadziła się do Leningradu (dzisiejszy Petersburg). Jej brat Wiktor, starszy od niej o pięć lat, ukończył służbę w marynarce wojennej i osiedlił się tam. Przeniosła się, żeby być blisko niego. Pewnego dnia w ich rozmowie pojawił się temat religii.

— Nie wiem, czy jest jakiś Bóg, czy też Go nie ma — powiedziała Aida.

To, z jakim przejęciem odpowiedział jej brat, zaskoczyło ją.

— Co cię napadło? — powiedział z naciskiem. — Ja nigdy w to nie wątpiłem! Wiem, że Bóg istnieje.

Aida chciała być tego równie pewna, lecz potrzebowała dowodu.

Gdy niedługo po tej rozmowie przechodziła obok antykwariatu, przypomniała sobie, jak ktoś wspominał, że czasami można tam kupić Biblię. Ni z tego, ni z owego, weszła do środka i poprosiła o jeden egzemplarz. Sprzedawca powiedział jej, że Biblie pojawiają się bardzo rzadko i że nie mają teraz ani jednej. Odwróciła się i wyszła, ale jeden z kupujących poszedł za nią i zaproponował sprzedaż Nowego Testamentu za piętnaście rubli.

Były to prawie wszystkie pieniądze, jakie miała, lecz mimo to zdecydowała się na zakup. Brat Aidy niezmiernie się z tego ucieszył, bo bardzo chciał mieć Biblię. Wykryto u niego raka i lekarze powiedzieli mu, że wkrótce umrze. Poprosił też Aidę, aby poszła do jego kościoła powiadomić jego przyjaciół o chorobie.

Spełniła tę prośbę i przyjaciele odwiedzali go regularnie, żeby podtrzymywać go na duchu. Ku jej zdumieniu, mimo postępów choroby jej brat miał coraz więcej pokoju i radości, a jego wiara w Chrystusa umacniała się. Ogromnie pragnęła mieć taką wiarę i pewność. Śmierć była blisko, lecz nie ogarniały go zmartwienia ani strach. Mocno wierzył, że w niebie czeka na niego wieczny dom.

Cztery miesiące po postawieniu diagnozy zmarł. Była przy nim, gdy jego ziemskie życie dobiegło końca. Odczuła wówczas wyraźnie, że nie mówi jej „Żegnaj”, lecz „Do zobaczenia”.

Bardzo chciała mieć tak mocną wiarę. Zarówno życie Wiktora, jak i jego śmierć, odpowiedziały na wiele jej pytań. Pozostałe wątpliwości pomagali jej rozwiązać wierzący przyjaciele brata. W końcu postanowiła, że będzie podążać w wierze za Chrystusem. Nigdy nie żałowała tej decyzji, choć przyszło jej zapłacić za nią wysoką cenę.

Rozpowszechnianie literatury i Słowa Bożego

— Czy oskarżona chce złożyć sądowi wyjaśnienia w związku z postawionymi jej zarzutami? — zapytał sędzia.

— Tak — odparła Aida, wiedząc, że najpierw będzie jej zadawał pytania sam sędzia, który w tym procesie będzie pełnił rolę oskarżyciela, sędziego i ławnika. — Przyznaję się do rozpowszechniania literatury osobom wymienionym w akcie oskarżenia.

— Przyznaje się. Sprawa toczy się szybciej niż myślałem. Powinna była zatrzymać adwokata — pomyślał zapewne oskarżyciel.

Zmuszona była przez sędziego potwierdzić tożsamość wszystkich osób wymienionych w akcie oskarżenia, którym przekazywała materiały. Wyraziła jednak zastrzeżenie, że jedna z publikacji została

nazwana czasopismem, choć w rzeczywistości miała zaledwie dwie lub trzy strony. Przyznała się jednak do przekazywania wyszczególnionych pozycji — nawet cudzoziemcom.

— Czy wszystkie pozostałe fakty zamieszczone w akcie oskarżenia są prawdziwe? — zapytał sędzia, gdy skończyła.

— Tak — odpowiedziała. — Wszystko to, co dotyczy rozpowszechniania przeze mnie literatury, jest zgodne z prawdą. Niemniej jednak literatura ta nie zawiera „szerzonych świadomie fałszywych informacji, szkalujących Związek Radziecki i socjalizm”, to znaczy że jej rozpowszechnianie nie stanowi przestępstwa z paragrafu 190, ustępu 1. Samo rozpowszechnianie literatury nie jest przestępstwem. Dlatego uważam się za niewinną.

Zamiast od razu zabrać się za podważenie jej twierdzenia, sędzia zapytał o Szwedkę, pannę Jursmar, której Aida przekazała materiały, w tym kopie protokołów z procesów dwóch chrześcijan, które odbyły się w dwóch sowieckich sądach. Aida nie zgodziła się na wyjawienie miejsca spotkania z panną Jursmar, tłumacząc, że jest to sprawa prywatna.

Przysłuchując się temu, jak Aida prowadzi linię obrony, prokurator wyraźnie się ożywił. Wiele wskazywało na to, że ta młoda chrześcijanka stawi większy opór, niż się spodziewał.

Aida niechętnie podała inne szczegóły dotyczące spotkania. Ona i panna Jursmar miały wspólnego znajomego w Szwecji i to właśnie on skontaktował je ze sobą. Panna Jursmar przywiozła pięćdziesiąt Nowych Testamentów, które Aida miała zamiar rozdać członkom kościoła podziemnego. Lecz służba bezpieczeństwa skonfiskowała je. W zamian Aida przekazała pannie Jursmar literaturę, w tym trochę listów i kopie protokołów procesowych, które miała ona zawieźć do swoich zwierzchników z Misji Słowiańskiej w celu ich wydrukowania i rozpowszechnienia w różnych krajach.

— Dlaczego oskarżona przekazała Jursmar egzemplarze drukowanych nielegalnie Zwiastuna Zbawienia i Okólnika Braterskiego, a także kopie protokołów z procesów w Moskwie i Riazaniu oraz listy Korewa i Makowickiego? — zapytał ostro sędzia.

— Aby mogła je przeczytać i dowiedzieć się o tym, jak wygląda życie naszego kościoła — odpowiedziała rzeczowo. — Zwiastun Zbawienia to moje ulubione czasopismo, a Okólnik Braterski opisuje życie naszego kościoła. Procesy sądowe stały się jego integralną częścią. Nie sposób poznać rosyjskiego kościoła, nie zaznajomiwszy się z nimi.

W Związku Radzieckim procesy sądowe rzeczywiście stały się normalną częścią życia tych, którzy pragnęli z całego serca podążać za Chrystusem. Aresztowania, pobicia i wyroki więzienne stanowiły cenę, którą niejednokrotnie przechodziło zapłacić za wiarę w Chrystusa. Podziemne czasopisma chrześcijańskie często o tym pisały.

Sędzia nie mógł uwierzyć, że Aida powierzyła tak poufne i ważne informacje kobiecie, którą pierwszy raz widziała na oczy.

— Wśród wierzących przyjaźnie zawiązują się o wiele prościej — starała się wyjaśnić. — Mogę na przykład pojechać do jakiegoś obcego miasta, spotkać się z wierzącymi, których wcześniej nie znałam i po kilku chwilach zaprzyjaźnić się z nimi. Wierzący są jedną, wielką rodziną. Troszczymy się o siebie nawzajem.

Prokurator zaczął przeplatać pytania sędziego swoimi własnymi. Pytał o wszystkie adresy cudzoziemców z kalendarza Aidy. Chciał wiedzieć, czy do nich wszystkich napisała listy.

— Do niektórych tak — odparła.

Po czym nieco zgryźliwie dodała:

— Nie słyszałam o żadnym takim prawie, które zabraniałoby obywatelom radzieckim korespondować z przyjaciółmi za granicą.

Niektórzy wierzący, którzy przyszli obejrzeć proces, z trudem powstrzymali się od śmiechu. Prokurator spojrzął groźnie na Aidę, po czym zaczął odczytywać nazwiska z jej notesu.

Wyjątkowa odwaga

Aida nie od razu została korespondentem wojennym, pracującym na linii frontu rosyjskiego kościoła. Gdy zawierzyła swoje życie Chrystusowi, była piękną dwudziestojednoletnią dziewczyną. Jej serce przepelniała radość z poznania swojego nowego najlepszego Przyjaciela. Chciała opowiedzieć o Nim wszystkim napotkanym ludziom.

Swoją decyzję podjęła w okresie, w którym w Kościele Baptystycznym w Związku Radzieckim nastąpiło przebudzenie duchowe.

— Od jakiegoś czasu wiara słabła — opowiadała później. — Nagle jednak przyszło przebudzenie. To, czego byłam świadkiem, było naprawdę cudowne. Widziałam jak martwi — martwi duchowo — powstawali do życia, a słabi w wierze dokonywali wielkich czynów. Poznałam wielkość pokory i cierpliwości — ogrom walki toczzonej przez kościół. Mój duch również został ożywiony. Od tamtej pory nie potrafiłam już trzymać się na uboczu.

Jej nowi przyjaciele z kościoła Wiktora zachęcali ją do świadczenia o Chrystusie. Widziała, jak drukowali kartki z fragmentami Ewangelii i przesłaniem, wzywającym czytelników do opamiętania i wiary w Chrystusa. Wkładali je potem do skrzynek pocztowych, co wywołało niemałe poruszenie w Leningradzie. Cała sprawa trafiła nawet na łamy lokalnych gazet.

Od pierwszych dni swojej drogi z Chrystusem z wielką odwagą i żarliwością dzieliła się swoją wiarą. Zaledwie kilka miesięcy po nawróceniu obmyśliła specjalny sposób powitania Nowego 1962 Roku. Kupiła dużo pocztówek z obrazem Claude'a Lorraina, przedstawiającym wschód słońca nad portem. Przez wiele dni w każdej wolnej chwili zapisywała na każdej z nich proste życzenia:

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Życzenia noworoczne

Rok za rokiem mija
 Szybko, niezauważenie
 Żal i smutek znikają
 Unoszone w dal przez życie.
 Świat i ziemia przemijają.
 Wszystko ma swój kres.
 Życie to wielki dar. Nie bądź beztroski!
 Co powiesz swojemu Stwórcy?
 Co czeka cię, przyjacielu, po śmierci?
 Odpowiedz na to pytanie,
 Dopóki pozostaje światło.
 Może jutro staniesz przed Bogiem,
 By ze wszystkiego zdać sprawę.
 Zastanów się nad tym głęboko,
 Bo nie będziesz wiecznie żyć na tej ziemi.
 Może jutro zerwiesz na wieki
 Wszelkie więzi z tym światem!
SZUKAJ BOGA, PÓKI MOŻNA GO ZNALEŹĆ!

Wiersz kończył się prostym wezwaniem, takim samym, jak to zamieszczone wcześniej na kartkach drukowanych przez jej przyjaciół: „opamiętaj się i wierz w Chrystusa”.

Gdy napisała wszystkie kartki, ubrała się ciepło i wyszła do miasta w siarczysty mróz. Zaczęła je rozdawać na dużym placu przed Muzeum Historii Religii i Ateizmu. Pracowała szybko, wręczając je

przechodniom wraz z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku. Już prawie skończyła, gdy jakaś mocna ręka chwyciła ją za ramię.

— Co to jest? — powiedział z naciskiem rozgniewany mężczyzna, wymachując jej kartką przed oczami.

— Kartka noworoczna — odpowiedziała, próbując wyrwać się z uścisku.

Sięgała mu do ramienia. Poczowała, że ścisnął ją mocniej. Był naprawdę rozzłoszczony. Rozejrzał się i zaczął wołać milicjanta stojącego na rogu.

— Nie potrzebne nam to tutaj — wycedził.

Nie puścił jej, dopóki milicjant nie chwycił jej za drugie ramię i nie zaczął prowadzić do radiowozu.

Przedsmak

Była to jej pierwsza wizyta na posterunku milicji. Zatrzymano ją na kilka godzin, po czym wypuszczono. Wcześniej jednak założono jej kartotekę, w której zapisano wszystkie informacje na temat jej „pocztówkowej ewangelizacji”. Spokojnie odpowiadała na pytania. Zdumiewało ją to, jak wielki odczuwa pokój. Wiedziała, że Bóg jest z nią. Nie musiała bać się władzy. Zastanawiała się, czy ktoś powiedział temu milicjantowi, że Chrystus go kocha.

Milicja poinformowała o tym incydencie zarówno jej pracodawcę, jak i kierownictwo hotelu robotniczego, w którym mieszkała. Jej pierwszy kontakt z wymiarem sprawiedliwości nastąpił w kwietniu tego samego roku, gdy tak zwany sąd koleżeński rozpatrzył jej sprawę. Siedziała na ławce przed trzema towarzyszami, którzy mieli zdecydować o jej losie. Oskarżycielami, sprowadzonymi w celu postawienia jej zarzutów, byli okoliczni mieszkańcy. Pewien starszy mężczyzna aż trząsł się ze złości, krzycząc:

— Nie chcę oddychać tym samym powietrzem, nie chcę chodzić po tej samej ziemi, co ona.

Inni świadkowie twierdzili, że Wiktor umarł, ponieważ baptyści nie pozwolili mu zwrócić się po pomoc medyczną (co było naprawdę dziwne, bo umarł w szpitalu). Aida była bardzo zaskoczona tym, jakie zarzuty padały pod jej adresem. Została przecież oskarżona o rozdawanie kartek noworocznych! Co to ma wspólnego z jej bratem? Próbowała przemówić w swojej obronie, podobnie zresztą jak wdowa po Wiktorze, lecz zostały zakrzyczane przez rozzłoszczoną publiczność. Pod koniec procesu widzowie obecni na sali zaczęli się domagać,

aby jej sprawa została przekazana do sądu wyższego szczebla, który mógłby wydać bardziej surowy wyrok.

— Do sądu ludowego! Do sądu ludowego! — skandowali.

Aida nie mogła zrozumieć, jak kilka zwykłych pocztówek mogło wywołać w tych ludziach aż taką nienawiść.

Trzej urzędnicy zasiadający w sądzie koleżeńskim unieważnili jej zezwolenie na pobyt w Leningradzie i nakazali wydalenie jej z pracy. Publiczność uznała, że to za mało. Wstali z miejsc, zaczęli tupać nogami i wrzeszczeć na Aidę, domagając się cięższej kary. Dla zapewnienia jej bezpieczeństwa musiano wyprowadzić ją pod eskortą tylnymi drzwiami.

Wyrok sądu nie został wykonany przez wiele miesięcy, co dawało służbie bezpieczeństwa więcej czasu na obserwację i gromadzenie obciążających ją dowodów. Nie chodziło przy tym o jakąkolwiek działalność przestępczą, lecz o jej służbę chrześcijańską. Aida nadal mieszkała w Leningradzie i pracowała gdzie popadło. Życie stało się trudniejsze, lecz jej kłopoty z sowieckim wymiarem sprawiedliwości dopiero się zaczynały.

Nie uznajesz naszych praw

W jej obecnym procesie przesłuchanie trwało nadal. Sędzia i prokurator wypytywali ją o wszystkie kontakty zagraniczne, o każdy skrawek informacji, który kiedykolwiek został komuś przekazany.

Następnie zajęli się publikacjami chrześcijańskimi, które rozprawiała. Sędzia wziął jedną z nich ze stosu materiałów dowodowych i powoli przewracał kartki, szukając fragmentów, które wcześniej zaznaczył. Znalazłszy te, które według niego były najbardziej obciążające, zaczął je czytać na głos — linijka za linijką. Po każdym zdaniu spoglądał na Aidę, żądając wyjaśnień lub potwierdzenia prawdziwości tego, co właśnie odczytał.

Pytał o różne wyznania chrześcijańskie, podkreślając przy tym, że niektóre z nich bez przeszkód odbywają nabożeństwa i nie spotykają ich żadne prześladowania.

— Nie wiem o prześladowaniach wierzących z innych wyznań — odpowiedziała znużona Aida. — Piszemy tylko o prześladowaniach wierzących z Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan i Kościoła Baptystycznego.

Prokurator stwierdził, że każdy cudzoziemiec po przeczytaniu tej literatury myślałby, że wszyscy chrześcijanie w Związku Radzieckim są prześladowani. Po czym podjął czytanie czasopism w miejscu,

w którym skończył sędzia i wypytywał Aidę o każde zdanie, które uważał za niedopuszczalne. Zwrócił uwagę na twierdzenia zawarte w jednym z czasopism, jakoby dzieci chrześcijan spotykały szykany w radzieckim systemie oświaty. Szkoła, jak twierdził, stara się tylko naprawić szkody wyrządzone przez fanatycznych rodziców, którzy zatruwają umysły swoich dzieci głupimi zabobonami.

— Prawo zabrania narzucania wiary nieletnim — powiedział, spoglądając na sędziego, aby upewnić się, że podąża on za jego tokiem myślenia.

— Lecz prawo nie zabrania narzucania ateizmu — odpaliła Aida.

— Ateizm nie jest religią. Kiedy dziecko dorośnie, może samo określić swoją postawę wobec wiary. Ateizm nie jest nikomu narzucany.

— Co zatem należy mówić dzieciom? — zapytała Aida, przenosząc wzrok z oskarżyciela na sędziego. — Prawo nie pozwala mówić, że Bóg istnieje. Pozwala jednak mówić, że Boga nie ma?

Zapadło milczenie. Sędzia zmienił temat, wiedząc, że nie ma na to żadnej odpowiedzi. Zażądał tylko, aby oskarżona nie odbiegała od głównego tematu rozprawy.

Prokurator przeczytał kolejne fragmenty czasopism.

— Czy oskarżona wie, że wspólnota religijna musi być zarejestrowana? — zapytał.

— Tak.

Aida wiedziała również, że rejestracja kościoła oznaczała ściśle podporządkowanie się władzy komunistycznej, odrzucającej istnienie Boga, któremu kościół służy.

— Wasza wspólnota nie zarejestrowała się. Dlatego też nie macie prawa odbywać spotkań, lecz nie z tego powodu, że w naszym kraju są prześladowania wierzących — powiedział tonem zniecierpliwionego nauczyciela, robiącego wykład przedszkolakowi.

— Nasza wspólnota wystąpiła z prośbą o rejestrację — odpowiedziała łagodnie. — Złożyliśmy podanie, lecz decyzja była odmowna.

— Nie otrzymaliście zgody, ponieważ nie chcecie przestrzegać prawa.

— Których praw nie przestrzegamy? — zapytała.

— Domagacie się zajęć katechetycznych dla dzieci i chcecie organizować spotkania religijne dla nieletnich.

— Nie przypominam sobie, aby nasza wspólnota domagała się prawa do prowadzenia zajęć katechetycznych. A zgodnie z prawem rodzice mogą wychowywać dzieci tak, jak chcą.

— Nie, nie mogą! — warknął prokurator. — Prawo zabrania włączania nieletnich do stowarzyszeń religijnych. Wy jednak nie chcecie przestrzegać naszych praw.

— Konstytucja gwarantuje nam wolność religijną. W sformułowaniu tym chodzi o wyznanie wiary. Znaczy to, że można mówić wszystkim o Bogu, czyli swobodnie wyznawać swoją wiarę. Czyż nie tak?

Aida dotknęła teraz sedna sprawy. Radziecka konstytucja gwarantowała wolność religijną, lecz przywódcy radzieccy bali się wiary chrześcijańskiej. Chcieli, żeby naród bez reszty ufał partii komunistycznej. Religia stała się na przeszkodzie i dlatego ją zwalczali.

Mimo to sędzia ponownie nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie Aidy. Po raz kolejny więc zmienił temat i zapytał, dlaczego Aida rozprowadzała literaturę w tak wielkiej tajemnicy, skoro jej treść była zgodna z prawdą?

— Ponieważ ci, którzy prowadzą prześladowania, nie lubią, gdy ten fakt wychodzi na jaw — odpowiedziała, przypominając bardziej wytrawnego adwokata, niż prostą robotnicę. — Wiem, że w literaturze, którą dałam pannie Jursmar, nie było żadnych spreparowanych pomówień. Zwiastun Zbawienia i Okólnik Braterski przedstawiają sytuację wierzących taką, jaką jest w istocie. Zgadza się, że nie jest to nic miłego, ale takie jest prawdziwe życie i należy o tym mówić. Gdy przekazywałam te publikacje pannie Jursmar, zdawałam sobie sprawę, że mogę za to trafić do więzienia. Byłam tego w pełni świadoma. Niemniej jednak nie zmienia to faktu, że te publikacje są zgodne z prawdą.

Prokurator przejrzał swoje notatki, po czym usiadł. W końcu przesłuchanie Aidy skończyło się. Lecz proces trwał nadal. Przyszła teraz kolej na następnych świadków. Najpierw pojawili się sąsiedzi Aidy: Anatolij i Ała Ławrientiewowie. Sędzia i prokurator zasypali ich pytaniami:

- Czy oskarżona rozmawiała z wami o swojej wierze?
- Czy dała wam jakąś literaturę?
- Czy miała telewizor lub radio?
- Czy nie żyła ponad stan?
- Jak się ubierała?
- Co gotowała na obiad?

Ani dla Anatolija, ani dla Ały Aida nie była żadną przestępczynią.

— Aida dobrze żyła ze wszystkimi — powiedział Anatolij. — Nie można było powiedzieć o niej nic złego.

Wezwano kolejnego sąsiada. On także został zasypany gradem pytań na temat ubioru, zachowania i pracy Aidy.

W końcu na świadka została wezwana jedna z wierzących Maria Akimowna Skurlowa, która znała Aidę od pięciu lat. Wspólnie modliły się i czytały Biblię, a gdy Aida wyszła z więzienia po odbyciu rocznego wyroku, zamieszkały razem. Nie próbowała wcale ukrywać, że udzielała jej pomocy.

— Świadek powiedziała, że Aida Skripnikowa została zwolniona z pracy, ponieważ jest wierząca — zapytał sędzia. — Dlaczego więc wy nie zostaliście zwolnieni z pracy? Bo chyba gdzieś pracujecie?

— Nie przyszła jeszcze na mnie kolej — odpowiedziała prosto Maria.

Przyznała też, że cudzoziemcy przychodzili do mieszkania, które dzieliła z Aidą. Nie była jednak w stanie powiedzieć, czy Aida dawała im cokolwiek.

Gdy Aida wstała, żeby zadać pytania swojej przyjaciółce, zaczęła od prześladowań chrześcijan. Maria wymieniła nazwiska wierzących, których przesłuchiowano, u których w domu służba bezpieczeństwa zrobiła rewizję, a także tych, których aresztowano.

— Wiem, że wierzącym wymierzano grzywny — zeznawała Maria. — Sukowitsyn dostał grzywnę...

— Za co dostał grzywnę? — prokurator wszedł jej w słowo.

— Ponieważ się modlił.

— Gdzie się modlił?

— Prowadził modlitwy w mieszkaniu Łukasza. Odbywało się tam spotkanie modlitewne.

— No właśnie! — powiedział prokurator, wydając niemalże okrzyk triumfu. — Spotkanie odbywało się w niedozwolonym miejscu. Macie dom modlitwy. Tam się módlcie!

Gdy zeznała, że wymierzono jej grzywnę za uczestnictwo w spotkaniu chrześcijańskim, ponownie wszedł jej w słowo.

— Gdzie odbywało się to spotkanie?

— W lesie.

— Odprawianie nabożeństw w miejscu publicznym jest zabronione. Właśnie dlatego dostaliście grzywnę — zadowolony z siebie prokurator uśmiechnął się znacząco do sędziego.

— Nikogo innego nie było w lesie. Byliśmy sami. Po spotkaniu rozeszliśmy się. I wtedy niektórych z nas zatrzymano na peronie, gdy już wracaliśmy do domu.

Maria podała jeszcze inne przypadki zastraszania i aresztowań chrześcijan dokonywanych przez milicję, po czym została zwolniona.

Ostatnim świadkiem w sprawie była wierząca przyjaciółka Aidy Jekatierina Andriejewna Bojko. Powiedziała otwarcie, że Aida jest jej przyjaciółką i nazwała ją „dobrą i uprzejmą osobą”.

Opowiedziała o tym, jak służba bezpieczeństwa przyszła do jej mieszkania i wypytywała o Aidę nie tylko ją, lecz także sąsiadów. Funkcjonariusze bardzo wyraźnie sugerowali, że Aida jest szpiegiem.

Jekatierina nie kryła swojego niechętnego nastawienia do strony oskarżenia. Czasami odpowiadała urywanymi zdaniem, a niektóre pytania zbywała zupełnym milczeniem.

— Czy świadek wiedziała o odwiedzinach szwedzkiej turystki u Skripnikowej? — prokurator zażądał odpowiedzi.

— Nie miałam o tym pojęcia. Dowiedziałam się o tym dopiero następnego dnia. Służba bezpieczeństwa przyszła do mieszkania Aidy, gdy akurat tam byłam. Jeden z funkcjonariuszy powiedział, że odebrano jakieś publikacje pewnej osobie z zagranicy, które miała jej przekazać Aida.

Prokurator zapytał ją o wykształcenie, które zakończyła na szkole średniej.

— Dlaczego nie poszliście na studia?

— Chciałam iść na Akademię Medyczną — odparła — lecz w moich aktach znalazła się informacja, że jestem wierząca i należę do ugrupowania odszczepieńczych baptystów. Nie poszłam więc na medycynę. I tak zostałabym wyrzucona.

— Ale nawet nie spróbowaliście — powiedział prokurator z nutą szyderstwa w głosie.

— Z przykładu innych wiedziałam, że i tak nie pozwolono by mi studiować.

Aida spojrzała na swoją przyjaciółkę. Teraz ona miała przesłuchać świadka. Zaczęła od ogólnych pytań, po czym z ogromną z pewnością przeszła do kwestii traktowania chrześcijan przez władzę radziecką. Zapytała o konkretne osoby, którym milicja wymierzyła grzywnę, a Jekatierina potwierdziła, że tak się stało i podała szczegóły dotyczące niektórych przypadków.

— Dlaczego odbywacie spotkania modlitewne w lasach? — wtrącił się sędzia. — Na Wzgórzu Pokłonna mają dom modlitwy. Dlaczego tam nie chodzicie? Wasza wspólnota nie jest zarejestrowana. Odbywacie spotkania modlitewne w niedozwolonym miejscu i zakłóacie porządek publiczny. Właśnie dlatego dostajecie grzywny.

— Złożyliśmy podanie o rejestrację. Nasze spotkanie w lesie nie zakłóciło niczyjego spokoju.

Prokurator zapytał Jekatierinę, czy uważa się za lojalną obywatelkę, której obowiązkiem jest przestrzeganie praw swojego kraju.

— Przestrzegam prawa — upierała się przy swoim.

— Spotykacie się w lasach i w prywatnych mieszkaniach, a wasza wspólnota nie jest zarejestrowana — zripostował. — To znaczy, że nie przestrzegacie prawa.

— Spotkania modlitewne w domu Łukasza nie są wbrew prawu — powiedziała z dużym przekonaniem, po czym zacytowała Lenina, który prawa wymierzone w wiarę nazwał „haniebnymi”.

Nie chcąc spierać się z jednym z twórców komunizmu, prokurator raptownie zwolnił świadka.

Przełom

Aida starała się praktykować wiarę chrześcijańską w ramach prawa radzieckiego. Przez pierwszych kilka miesięcy po nawróceniu regularnie uczęszczała do kościoła, który był zarejestrowany i uznawany przez władzę. Była szczęśliwa, że może wielbić Boga wspólnie z innymi wierzącymi. Wówczas nie wiedziała jeszcze, jakie układy polityczne panowały w tym legalnie działającym kościele.

W miarę upływu czasu zaczęła stykać się z różnymi restrykcjami. Zaangażowała się w spotkania biblijne dla młodzieży. Ostrzeżono ją jednak, aby nie informowała o tym przywódców kościoła. Prawo komunistyczne zabraniało bowiem wpajania „religijnych zabobonów” osobom poniżej osiemnastego roku życia, a przywódcy zarejestrowanego kościoła najwyraźniej bardziej zabiegali o przychyłność władzy, niż o zgubione dusze.

Aidzie przypomniał się kościół domowy, do którego chodziła razem z matką. Odczuwała w nim obecność Bożą. Przychodziły do niego dzieci i młodzież, aby uczyć się o Bogu. Uważała, że zakazywanie młodzieży słuchania ewangelii nie jest słuszne i przeczy nauce Pisma Świętego.

Przełom nastąpił wówczas, gdy zaczęła pracować na rzecz chrześcijan, którzy byli przetrzymywani w więzieniu za wiarę. Początkowo pragnęła informować innych o ich losie i stworzyć dla nich sieć modlitwy i wsparcia. Przywódcy zarejestrowanych kościołów dysponowali listami takich osób. Traktowano je jednak jako tajemnicę

państwową, a nie jako coś, o czym powinni dowiedzieć się pozostali chrześcijanie.

Lecz według Aidy właśnie o tym powinni się oni dowiedzieć. Jakże chrześcijanie w Związku Radzieckim i na całym świecie będą mogli modlić się za swoich uwięzionych braci i siostry w Chrystusie i okazywać im pomoc, jeśli nie wiedzą nawet o ich cierpieniu?

Aida starała się przekazywać te informacje dalej. Doprowadziło to do bezpośredniego konfliktu z przywódcami kościołów zarejestrowanych.

— Chodziło po prostu o to, że władza starała się oddziaływać na kościół od wewnątrz, poprzez duchownych — opowiadała później. — Dążyła do wprowadzania zakazów, które zdusiłyby w kościele życie duchowe. I rzeczywiście do lat sześćdziesiątych osiągnęła już na tym polu znaczące sukcesy.

Stanowisko przywódców było w zupełnej sprzeczności z wysiłkami Aidy. Stała się więc przed wyborem: pozostać w kościele zarejestrowanym i dbać o własne bezpieczeństwo, czy też przyłączyć się do kościoła podziemnego i działać na rzecz uwięzionych chrześcijan. Miała duży sentyment do legalnie działającego kościoła. Należał przecież do niego jej brat przed swoją śmiercią i miała w nim wielu przyjaciół.

Nie chciała jednak pozostać bierna i obrać łatwej drogi. Nie potrafiłaby podążać za przywódcami, którzy najwyraźniej bardziej zabiegali o aprobatę władzy, niż o swoich współwyznawców w więzieniach. Zaangażowała się więc z całego serca w pracę kościoła podziemnego, wiedząc, że przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę za tę decyzję.

Czwartego czerwca 1962 roku w *Smienie*, gazecie będącej na usługach władzy, ukazał się artykuł pt. „Nie bądź trupem pośród żywych”. Jego celem było ośmieszenie wierzących, szczególnie zaś kościoła podziemnego. Autor szyderczo wyśmiewał się z tych, którzy podążają za jakimś iluzorycznym mesjaszem.

Gdy Aida przeczytała ten artykuł, napisała replikę w obronie wiary i tych, którzy ją wyznają. Wysłała swoją odpowiedź do *Smieny*, ale oczywiście nie zezwolono na jej publikację. Sprawa mogłaby się na tym zakończyć, jednakże Aida pokazała artykuł ze *Smieny* i swoją odpowiedź innym wierzącym. Byli pod wrażeniem i poprosili o kopie. Potem przyjechali wierzący z Ukrainy i również poprosili o parę egzemplarzy, które zabrali ze sobą do domu.

Wkrótce setki kopii tych artykułów krążyły wśród wierzących po całym Związku Radzieckim. Tak oto Aida stała się jednym z prekursorów *samizdatu* – nowej praktyki, polegającej na publikowaniu napisanych przez siebie pism. Urzędnicy państwowi nie byli po prostu w stanie upilnować wszystkich powielaczy, kopiarek i pras drukarskich.

Dzięki tej replice nazwisko Aidy Skripnikowej stało się znane tysiącom wierzących, których nigdy nie spotkała. Zainteresowała się nią również służba bezpieczeństwa.

Istota sprawy

W sprawie Aidy mieli zeznawać jeszcze inni świadkowie, lecz nie stawili się w sądzie. Sędzia zdecydował jednak, że mimo to proces będzie kontynuowany.

Sfrustrowana Aida wyraziła niezadowolenie, że zamiast zająć się istotą sprawy, sąd poświęca tak dużo czasu na grzebanie się w jej życiu prywatnym, wypytywanie o jej ubrania, a nawet o to, co gotuje na obiad.

– Proszę wysoki sąd, aby poświęcał nieco więcej uwagi istocie sprawy. Chciałabym na przykład wyjaśnić, dlaczego nasza wspólnota nie została zarejestrowana. Na początek proszę powiedzieć mi, jakie prawa złamaliśmy, że odmówiono nam rejestracji.

– Oskarżona – sędzia odparł cierpko – to sąd zadaje wam pytania, a nie na odwrót.

Widząc, że sędzia jest poirytowany, prokurator dorzucił swoje trzy grosze:

– Nie rozumiem nawet, o co prosi oskarżona.

Aida wzięła głęboki oddech, starając się zebrać myśli.

– Proszę wysoki sąd, aby poświęcał więcej uwagi kluczowym zagadnieniom zawartym w akcie oskarżenia i nie pozwalał, by sprawy poboczne przesłaniały istotę przedłożonej mu sprawy. To mój pierwszy wniosek. Mój drugi wniosek jest następujący: proszę wysoki sąd, aby sprawdził, kiedy dokładnie zostało mi odebrane zezwolenie na pobyt w Leningradzie.

Sędzia zapytał, dlaczego ta informacja jest ważna.

Aida wyjaśniła, że służba bezpieczeństwa gromadziła obciążające ją dowody na długo przed wygaśnięciem jej zezwolenia na pobyt.

– Jeżeli jestem sądzona za nielegalny pobyt w Leningradzie, a nie za moją działalność chrześcijańską, to dlaczego prowadzono

śledztwo w mojej sprawie, jeszcze zanim wygasło moje zezwolenie na pobyt?

— Mogę powiedzieć, dlaczego wszczęto postępowanie w mojej sprawie — kontynuowała. — Dwukrotnie w domu modlitwy podszłam do cudzoziemców, prosząc o Biblię. W obydwu przypadkach została o tym poinformowana władza.

— Zezwolenie na pobyt nie ma nic wspólnego ze sprawą — powiedział sędzia. — Obywatelka jest oskarżona o szerzenie kłamstw, szkalujących państwo radzieckie i socjalizm.

— Jednakże kwestii mojego zatrudnienia i zezwolenia na pobyt poświęcono wiele uwagi w trakcie procesu — Aida nie dawała za wygraną.

— Te sprawy interesowały sąd nie dlatego, że dotyczą ich postawione wam zarzuty, lecz z tego względu, że sąd musi ocenić, jaką jesteście osobą. Może się to wydawać dziwne, że sąd dowiaduje się nawet o charakter oskarżonej. Musimy jednak wiedzieć, jaką oskarżona jest osobą. Wydając wyrok, sąd bierze to pod uwagę.

Aida stwierdziła, że jeśli sąd naprawdę chce poznać jej charakter, to tym ważniejsze byłoby poznanie prawdziwych faktów z jej życia. Wystąpiła więc z wnioskiem o powołanie ostatniego świadka — panny Jursmar, Szwedki, której przekazała literaturę.

— Notatnik tej kobiety został wykorzystany jako dowód rzeczowy przeciwko mnie — argumentowała. — Jeśli jednak chcemy go właściwie zrozumieć, to ona sama powinna osobiście wyjaśnić, co tam zanotowała.

Sędzia zrobił prawdziwe przedstawienie, udając, że poważnie bierze pod uwagę jej wnioski. Zapytał o zdanie prokuratora, po czym zdecydował:

— Po przeprowadzeniu konsultacji sąd postanowił uchylić wnioski strony oskarżonej.

Zadano jeszcze kilka końcowych pytań i odroczonego procesu następnego dnia. Do zakończenia rozprawy pozostały jeszcze tylko mowy końcowe. Oskarżyciel będzie miał okazję do obrony systemu sowieckiego i udowodnienia, że chrześcijanie mogą cieszyć się prawdziwą wolnością religijną, jeśli tylko są gotowi przestrzegać prawa.

Z kolei dla Aidy będzie to ostatnia szansa, żeby otwarcie wypowiedzieć się nie tylko w swojej obronie, lecz także w obronie swoich braci i siostr w wierze. Zdawała sobie sprawę, że ciąży na niej

wielka odpowiedzialność i że może zostać ponownie osadzona w więzieniu. Niemniej jednak jej niebiański Ojciec był dla niej źródłem zachęty i pociechy.

Reedukacja

Więzienie nie było dla Aidy pustą groźbą. Była w nim już wcześniej. Kiedy w 1963 roku sąd koleżeński unieważnił jej zezwolenie na pobyt w Leningradzie, wyjechała na jakiś czas do swojej siostry na Ukrainę. Nieustępliwość i odwaga tamtejszych wierzących zrobiły na niej duże wrażenie. Powróciła do Leningradu z odnowioną determinacją. Służba bezpieczeństwa obserwowała ją. Udało się jej jednak przedostać do miasta. Bez zezwolenia na pobyt mogła zostać w każdej chwili aresztowana. Mimo to cały czas prowadziła swoją służbę.

Wraz z przyjaciółmi nadal spotykali się w lesie poza miastem, aby nie zostali wykryci. I to właśnie w lesie w 1965 roku została po raz pierwszy formalnie aresztowana. Miała wówczas dwadzieścia pięć lat.

— Przyjechała milicja i zaczęła nas rozpędzać — zeznawał później jeden ze świadków. — Popychali nas i ciągnęli za włosy. Zabrali kilka osób. Niektórym dali grzywny, a innych wsadzili do więzienia na dwa tygodnie.

Aida była wśród aresztowanych. Zaaranżowano proces. Na papierze zarzuty nie miały nic wspólnego z religią. Chociaż aresztowano ją poza granicami miasta, to jednak została oskarżona o to, że nie posiadała ważnego zezwolenia na pobyt w Leningradzie.

W trakcie procesu w małej salce w gmachu sądu nie pozwolono jej powiedzieć ani słowa. Proces był zwykłą farsą. Na zakończenie odczytano wyrok — rok więzienia.

Nie załamała się. Znała dobrze wielu wierzących, którzy byli już w więzieniu i wielu takich, którzy byli gotowi tam pójść, jeżeli tak prowadziłby ich Chrystus. Teraz przyszła kolej na nią. Według przywódców sowieckich więzienie było szansą na reedukację.

— Ci biedni ludzie zostali oszukani — tłumaczyli urzędnicy. — Należy ich teraz przekonać o prawdzie i potędze systemu radzieckiego, który jest chlubą naszej ojczyzny.

Oprócz przymusowego udziału w wielu monotonnaich zajęciach reedukacyjnych, musiała spędzić wiele zimnych nocy na twardej, betonowej podłodze. Nigdy nie było wystarczająco dużo jedzenia, a to, które było, niejednokrotnie nie nadawało się nawet dla zwierząt. W trakcie pobytu w więzieniu została przymusowo przeniesiona

do zakładu psychiatrycznego. Po trzydziestu dniach „badań” lekarze stwierdzili, że jest normalna i odesłali ją do celi.

Nie poddała się sowieckiej „reedukacji”. Doświadczenia więzienne nie osłabiły jej wiary w Chrystusa, lecz ją umocniły. Nie zniechęciły jej też do głoszenia ewangelii. Opuściła mury więzienia z jeszcze większym pragnieniem dzielenia się z innymi ludźmi prawdą o Jezusie. Wiedziała już teraz dobrze, jaką przychodzi za to zapłacić cenę. Była jednak nieugięta.

Wolność religijna

W drugim procesie Aidy nadeszła pora na mowy końcowe. Jako pierwszy miał wystąpić prokurator. Na początek zdecydował się przypomnieć niektóre fakty z historii rosyjskiego kościoła.

— Po Wielkiej Rewolucji Październikowej kościół w naszym kraju został oddzielony od państwa i wierzący wszystkich wyznań otrzymali wolność religijną — stwierdził z dumą.

Lecz potem zaczął oskarżać chrześcijan z niezarejestrowanych kościołów o łamanie prawa.

— Wiele wspólnot nie jest zarejestrowanych — mówił oskarżycielskim tonem. — Ich nielegalne spotkania odbywają się w mieszkaniach prywatnych i miejscach publicznych. Niektórzy z ich członków otrzymali wyroki za łamanie ustawy o religii. Wspólnoty te przedstawiają to jako prześladowanie za wiarę, a w rzeczywistości już od wielu lat toczą morderczą walkę z władzą.

Od historii kościoła i ogólnej sytuacji wierzących w Związku Radzieckim przeszedł w końcu do konkretów związanych ze sprawą Aidy.

— Skripnikowa miała powiązania w całym kraju, lecz jej głównym zadaniem było nawiązywanie kontaktów za granicą. Trzeba przyznać, że dobrze się z niego wywiązywała — powiedział złośliwie.

Po czym zaczął mówić bardziej protekcyjnie:

— Aida nie miała szczęścia w życiu. Urodziła się w rodzinie chrześcijańskiej. Należy oczywiście ubolewać nad tym, że dopuszczamy do tego, iż ktoś wymyka się naszej edukacji. Staraliśmy się naprawić ten błąd i poświęciliśmy wiele czasu, aby ukazać jej, jak bardzo aspołeczne jest jej postępowanie.

Pod koniec przemówienia jego głos był coraz silniejszy. Najpierw podał cytaty z niektórych publikacji, znalezionych w domu Aidy.

— W jednym z artykułów została zamieszczona wypowiedź niejakiego Krajukowa, który podczas swojego procesu w Moskwie miał powiedzieć: „Wierzący, którzy przebywają w więzieniach i obozach pracy, nie cierpią dlatego, że złamali prawo radzieckie. Cierpią, ponieważ pozostali wierni Panu”.

Prokurator z powagą pokiwał głową.

— Wszystko to są wierutne kłamstwa, szkalujące Związek Radziecki i socjalizm. W Związku Radzieckim jest wiele różnych religii, kościoły są otwarte i nikt nie jest prześladowany za wiarę. Państwo nie miesza się w wewnętrzne sprawy organizacji religijnych, o ile nie łamią one ustawy o religii. Wina oskarżonej Skripnikowej, która systematycznie szerzy kłamstwa na temat państwa radzieckiego i socjalizmu, jest bezsporna. Odpowiada ona za złamanie paragrafu sto dziewięćdziesiątego, ustępu pierwszego Kodeksu Karnego. W związku z tym wnoszę o skazanie oskarżonej Aidy Skripnikowej na dwa i pół roku więzienia.

Wypowiedziawszy te słowa, usiadł z nieskrywanym uśmiechem zadowolenia na twarzy.

Tylko jedna droga

Sędzia zwrócił się do Aidy, dając jej znak ręką, że może rozpocząć swoje końcowe wystąpienie.

— Miałam zamiar odnieść się do istoty postawionych mi zarzutów — zaczęła spokojnie. — Zostały tu jednak poruszone również inne sprawy, do których muszę się ustosunkować, mimo że, jak zostało to już powiedziane, nie mają one związku ze sprawą.

Rozpoczęła swoją mowę od obalenia niektórych pomniejszych zarzutów przedstawionych przez prokuratora, które dotyczyły między innymi listu do *Prawdy*, napisanego przez nią w 1958 roku, a także jej późniejszej pracy w laboratorium budowlanym. Następnie przeszła do poważniejszych spraw.

— Gdy mówię, że zostałam zwolniona z pracy z powodu swojej wiary, zarzuca mi się, że jest to kłamstwo. Takie są jednak fakty. Po wyjściu z więzienia znalazłam pracę w drukarni. Tydzień po rozpoczęciu pracy byłam na spotkaniu modlitewnym, na które wpadła milicja, zapisując nazwiska wszystkich obecnych. Wiedziałam, że doniosą o tym do mego miejsca pracy.

— Wszyscy w drukarni bardzo się zaniepokoiли, dowiedziawszy się, że jestem wierząca — kontynuowała. — Od razu zaczęli mi mówić,

że jeśli nie zmienię swoich poglądów, to zostanę wyrzucona z pracy. Nie ukrywali tego faktu przede mną. Powiedzieli mi bardzo jasno: „Drukarnia to instytucja polityczna. Nie każdy może tu pracować”. Byłam tym zaskoczona, ponieważ drukarnia ta znajdowała się pod zarządkiem kolei państwowych i nie drukowano w niej niczego tajnego — tylko formularze kolejowe, szablony biletów i rozkłady jazdy. Nie rozumiem, z jakiego powodu nie można mi było zaufać.

— Sytuacja taka utrzymywała się przez trzy tygodnie — wyjaśniała dalej. — Po czym wezwano mnie do biura kierownika i poinformowano, że zostałam zwolniona. Oczywiście nie powiedziano mi, że stało się tak z powodu mojej wiary, gdyż nie istnieje żadne prawo, które pozwalałoby zwolnić kogokolwiek z takiego powodu. Wyrzucono mnie więc z pracy pod pretekstem redukcji zatrudnienia. Gdy poszłam do zakładu i powiedziałam, że zostałam zwolniona w ramach redukcji zatrudnienia, ze zdziwienia pracownikom niemal oczy wyszły z orbit. Jedna z maszyn była cały czas wyłączona, ponieważ nie było nikogo do jej obsługi.

— Kierownik powiedział mi — dodała — że nie mogą mnie zatrudnić, ponieważ moje pozwolenie na pobyt jest ważne tylko poza granicami miasta. Zupełnie jakby wcześniej nie widzieli go, a kierownik nie zaglądał do moich papierów.

Aida powiedziała również sądowi, że gdy milicja zaczęła jej zadawać pytania, zrozumiała, że kolejne aresztowanie jest tylko kwestią czasu.

— Od mojego zwolnienia upłynęło zaledwie sześć miesięcy. Chciałam zrobić coś użytecznego, zanim znowu pójdę do więzienia. Miałam zadanie do wykonania.

Wzięła głęboki oddech. Prowadzenie własnej obrony było niezwykle wyczerpujące i wymagało ogromnego skupienia. Poprosiła więc o dziesięćminutową przerwę i sędzia przychylił się do jej prośby.

Po wznowieniu rozprawy zaczęła odnosić się bezpośrednio do postawionych jej zarzutów:

— Dystrybucja jakichkolwiek publikacji nie jest sama w sobie przestępstwem. Gdyby strona oskarżenia nie dopatrzyła się kłamstw w czasopiśmie *Zwiastun Zbawienia* i *Okólnik Braterski*, nie byłoby żadnych podstaw do postawienia mnie przed sądem. Dlatego też muszę wypowiedzieć się na temat treści tych publikacji, w których doszukano się siedemnastu wywrotowych stwierdzeń, szkalujących Związek Radziecki i socjalizm. Weźmy za przykład choćby

spotkanie przywódców chrześcijańskich, opisane w rozprowadzanej przeze mnie literaturze, które odbyło się wbrew oficjalnemu zakazowi. Ustawa z 1929 roku daje wierzącym prawo do organizacji kongresów, lecz władze, zamiast udzielić zezwolenia, zaczęły prześladować tych, którzy wystąpili z prośbą o organizację kongresu.

Następnie Aida zwróciła się bezpośrednio do sędziego:

— W trakcie swojego zeznania panna Bojko zaczęła cytować Lenina. Pozwolę sobie dokończyć ten cytat: „Tylko w Rosji i Turcji obowiązują nadal haniebne prawa wymierzone w ludzi religijnych. Prawa te albo zabraniają otwartego wyznawania wiary, albo nie zezwalają na jej szerzenie. Należy je uznać za wyjątkowo niesprawiedliwe, haniebne i represyjne”. Niech mi wolno będzie teraz skierować uwagę sądu na słowo szerzenie. Sam Lenin nazwał zakaz szerzenia wiary niesprawiedliwym i haniebnym.

Wzięła kolejny oddech i kontynuowała:

— A teraz opowiem, jak zostałam aresztowana. Jedenastego kwietnia szłam na spotkanie modlitewne. Zauważyłam, że jestem śledzona, ale nie przywiązałam do tego zbyt wielkiej wagi. Naza jutrz jednak milicja przysłała do mojego mieszkania i aresztowała mnie. Przeprowadzono również rewizje w domach innych wierzących. Tylko w związku z moją sprawą przeprowadzono jedenaście rewizji: trzy w Leningradzie, cztery w Permie, trzy w Kirowogradzie i jedną w mieszkaniu mojej siostry w Magnitogorsku. Można jeszcze zrozumieć rewizję w moim domu i w domu mojej siostry. Dlaczego jednak przeprowadzono je również w mieszkaniach innych wierzących? Jedyнным powodem było to, że ich adresy znaleziono w moim notesie. Chcę też zaznaczyć, że w żadnym z tych miejsc nie znaleziono niczego, co miałoby związek z moją sprawą.

Następnie zajęła się przyczynami, dla których wniesiono przeciwko niej oskarżenie:

— Gdy twierdzimy, że stajemy przed sądem z powodu naszej wiary, mówi nam się, że jest to kłamstwo i że jesteśmy oskarżeni o złamanie prawa radzieckiego. Należę do nie zarejestrowanej wspólnoty, która jednak wystąpiła z prośbą o rejestrację. Wszystkie nasze wspólnoty wysłały takie podania z załączonymi statutami. Nikt jednak nie powiedział nam: „Nie wolno wam tego czy tamtego, bo jest to wbrew prawu”. Słyszemy natomiast: „Podpiszcie zobowiązanie, że nie będziecie łamać prawa”. Nie jest to jednak właściwa procedura rejestracyjna.

Zauważyła, że sędzia robi się niespokojny, więc szybko przeszła do końcowych wniosków.

— Chrześcijanie nie mogą zobowiązać się do przestrzegania prawa, które zakazuje im mówić o Bogu i nie pozwala rodzicom wychowywać dzieci zgodnie z wiarą. Pomimo całej swojej lojalności wobec władzy rodzice będący chrześcijanami nigdy nie podporządkują się prawu, które nakazuje im wychowywać dzieci na ateistów. Woleliby już raczej przechodzić przez różne cierpienia i znaleźć się na ławie oskarżonych, niż zobowiązać się do przestrzegania takiego prawa.

— Chrystus powiedział, że mamy głosić ewangelię wszelkiemu stworzeniu — kontynuowała. — Dlatego też wierzący nie mogą podporządkować się prawu, zabraniającemu im mówić o Bogu i zbawieniu. Żaden wierzący tego nie zrobi. Nawet jeśli nie jest misjonarzem ani kaznodzieją, nawet jeśli nie potrafi wygłosić kazania — jest to bez różnicy. I tak nie podporządkuje się takiemu prawu, ponieważ nawet ktoś, kto nie umie głosić kazań, będzie mieć czasami okazję, żeby powiedzieć komuś o zbawieniu. Właśnie z tego powodu wierzący nie mogą zobowiązać się do przestrzegania takiego prawa. Pomimo całego swojego szacunku dla władzy złamią je.

— Powtarzam raz jeszcze — wierzący nie mogą przestrzegać prawa, które zmusza ich do wyparcia się ewangelii. Właśnie dlatego, gdy odpowiadamy przed sądem za złamanie takich praw, mamy całkiem słuszne powody, by uważać, że jesteśmy postawieni w stan oskarżenia za naszą wiarę.

— Wiem, że Zwiastun Zbawienia ani Okólnik Braterski nie zawierają żadnych kłamstw. Jednakże zdaję sobie również sprawę z tego, co to znaczy wysłać je za granicę. Wiedziałam, że mogę zostać za to postawiona przed sądem. Nigdy nie poprosiłabym nikogo innego o wysyłanie Zwiastuna Zbawienia za granicę. Wiem, że jest to niebezpieczne. Dlatego też robię to sama.

Przerwała, zbierając siły na ostatnie słowa, jakie chciała skierować do tych, którzy zadecydują o jej wyroku.

— Kiedyś ludzie rozumieli, że zakaz szerzenia wiary jest niesprawiedliwy. Teraz jest inaczej. Obecnie słyszymy: „Wierz sobie i módl się, jeśli chcesz, lecz nie waz się mówić nikomu o Bogu”. Uciszenie siłą ideologicznego przeciwnika nie jest ideologicznym zwycięstwem. Zawsze nazywano to barbarzyństwem.

Sędzia przerwał jej, rozjuszony tym, że wygłasza mu kazanie.

— Oskarżona nie ma mówić o kościele, tylko o sobie — powiedział, po każdym słowie wskazując na nią palcem.

— Dla chrześcijanina istnieje tylko jedna droga — mówiła dalej niezrażona Aida. — Jeżeli ktoś jest wierzący, konfrontacja z otoczeniem jest nieunikniona. Poznanie prawdy oznacza, że podąża się za nią, głosi ją, a jeśli to konieczne — cierpi za nią. Nie może być inaczej. Nie mogę postępować w inny sposób. Kocham wolność i bardzo chciałabym być na wolności z moją rodziną i przyjaciółmi. Nie chcę jednak postępować wbrew swojemu sumieniu. Cóż mi po wolności, jeśli nie będę mogła nazywać Boga swoim Ojcem? Przeświadczenie, że moja dusza i myśli są wolne, dodaje mi otuchy i sił. To wszystko, co chciałam powiedzieć.

Epilog

Sędzia, nie przekonany argumentacją Aidy, skazał ją na trzy lata więzienia. Wyrok był o pół roku wyższy, niż żądał prokurator. Aida opuściła salę rozpraw pod eskortą dwóch wysokich strażników.

Więzienie nie powstrzymało jej. Zapis jej procesu został mozolnie przepisany na dwudziestu kawałkach płótna, wyciętych z prześcieradeł i podobnych materiałów, i przemycony poza granice Związku Radzieckiego. W efekcie wierzący na całym świecie czytali słowa „Aidy z Leningradu” i modlili się o nią.

Aida Skripnikowa wyszła z obozu pracy 12 kwietnia 1971 roku. Urzędnicy powiedzieli jej wówczas, że nie wyciągnęła żadnej lekcji ze swojej kary. W rzeczywistości nauczyła się wiele. Lecz nie tego, czego oczekiwała władza sowiecka. Zrobiła doktorat z wierności Bożej i jeszcze lepiej zrozumiała, jak wielką radość i zadowolenie daje służba Chrystusowi. Podobnie jak wielu innych chrześcijan na przesłrzeni dziejów doświadczyła tego, co w Liście do Filipian Paweł nazwał „udziałem w cierpieniach Chrystusa”.

Mieszka obecnie w Petersburgu. Jej wiara przetrwała reżim, który usiłował ją zniszczyć. Chrześcijanie tacy jak ona mają teraz prawo do zgromadzeń i głoszenia ewangelii. Jej kościół obchodził ostatnio uroczystość z okazji czterdziestej rocznicy swojego istnienia, w czasie której wspominano wierność Boga. Przygotowano też specjalną wystawę, upamiętniającą tych, którzy za swoją wiarę ponieśli śmierć męczeńską.

Sabina: Świadek miłości Chrystusa

Rumunia
Rok 1945

Rosjanie wypędzili nazistów z Rumunii i krok za krokiem przejmowali kontrolę nad wszystkimi obszarami władzy i życia społecznego. Ich ostatnim posunięciem było zaproszenie duchowieństwa wszystkich religii na spotkanie, które nazwali Kongresem Religii. Oficjalnym celem konferencji miało być uzyskanie poparcia duchownych dla władzy. Dla Sabiny było jednak jasne, że była to jedynie próba przejęcia kontroli nad rumuńskimi przywódcami religijnymi i zamienienia ich w marionetki państwa.

Sabina była niewysoka, niemal pół metra niższa od swojego męża, Richarda. Była głęboko oddana Chrystusowi. Na Kongresie Religii siedziała obok swojego męża. Gdy któryś z rządu duchowny publicznie zobowiązywał się do lojalności wobec komunistów, którzy najechali na ich ojczyznę, pociągnęła Richarda za ramię.

— Richardzie! Czy nie powinienes zareagować? — odezwała się błagalnie. — Musisz coś zrobić. Oni przecież lżą imię Chrystusa!

Richard rozejrzał się po sali parlamentarnej, która była po brzegi wypełniona delegatami. To, co się w niej odbywało, było istnym przedstawieniem. „Całkowita wolność religijna” — brzmiało hasło głoszone przez komunistów, którzy rzekomo opowiadali się za pokojowym współistnieniem wierzących w Boga z władzą komunistyczną, czyli de facto Boga z Józefem Stalinem, który był honorowym przewodniczącym kongresu.

— Jak łatwo można nabrać ludzi — powiedział spokojnie.

Richard i Sabina siedzieli ściśnięci wśród czterech tysięcy biskupów, pastorów, księży, rabinów i mułłów. Przybyli wszyscy — muzułmanie i żydzi, protestanci i prawosławni. Wcześniej odbyło się nawet

nabożeństwo w Patriarchacie. Przywódcy komunistyczni robili znak krzyża. Całowali ikony. Ucałowali też dłoń patriarchy.

Rozpoczęły się przemówienia. Premier Groza, który był zwykłym kolaborantem działającym na zlecenie Moskwy, tłumaczył, że nowy rząd rumuński sprzyja wierze, każdej wierze, i będzie nadal wypłacał pensje duchownym. Planowane są nawet podwyżki uposażeń. Wiadomość ta została przyjęta gorącymi oklaskami.

Następnie zabrali głos księża i pastory. Mówili, jak bardzo cieszy ich to, że rząd docenia religię. Państwo będzie mogło liczyć na Kościół, jeśli Kościół będzie mógł liczyć na państwo. Pewien biskup zauważył, że na przestrzeni dziejów nurty o najróżniejszych odcieniach politycznych przyłączały się do Kościoła. Teraz dołączy czerwień, z czego jest bardzo zadowolony. Wszyscy byli zadowoleni. A cała ta ich radość była transmitowana przez radio bezpośrednio z sali obrad.

— W porządku — powiedział Richard — pójdę i przemówię. Jeśli jednak to zrobię, nie będziesz już miała męża.

Sabina wiedziała, że ma rację. Zdawała sobie sprawę, że pozostali przywódcy religijni mówili to, co mówili z obawy o swoje rodziny, posady i pensje. Była jednak również przekonana, że ktoś musi wykazać się odwagą i obnażyć kłamstwa komunistów, zamiast zasypywać ich pochlebstwami. Spojrzawszy Richardowi prosto w oczy, powiedziała po prostu:

— Nie potrzebny mi mąż, który jest tchórzem.

Richard w milczeniu skinął głową. Wypełnił zgłoszenie informujące, że chciałby zabrać głos i wysłał je do prezydium. Komuniści byli zachwyceni. Pastor Richard Wurmbrand, dobrze znany w całym kraju duchowny luteranski, oficjalny przedstawiciel Światowej Rady Kościołów, pragnie przemówić do zgromadzonych. To naprawdę wielki krok naprzód!

Czas odwagi i prawdy

Gdy Richard zmierzał do mównicy, na sali zaległa cisza. Sabina zastanawiała się, o czym myślą wszyscy obecni i żarliwie modliła się o swojego męża.

— Dziękuję za ten przywilej, że podobnie jak inni mogę swobodnie się wypowiedzieć — rozpoczął. — Gdy dzieci Boże gromadzą się, przybywają również aniołowie, żeby posłuchać o mądrości Bożej.

Dlatego też obowiązkiem wszystkich tu zebranych nie jest wychwalanie ziemskiej władzy, która przychodzi i odchodzi, lecz oddawanie chwały Bogu Stwórcy i Chrystusowi Zbawicielowi, który umarł za nas na krzyżu.

Atmosfera panująca na sali zaczęła się zmieniać. W sercu Sabiny wezbrała radość. W końcu przestano szerzyć komunistyczną propagandę i uwaga zebranych skupiła się na Chrystusie.

— Prawo głosu zostało ci odebrane! — wrzasnął minister ds. religii Burducea, podrywając się na równe nogi.

Richard zignorował go i nadal zachęcał pozostałych przywódców, aby złożyli swoje zaufanie w Bogu, a nie w człowieku, i tylko Bogu byli posłuszni. Publiczność zaczęła bić brawo. Wiedzieli, że miał rację i że tylko on miał na tyle odwagi, żeby powiedzieć to, co należało.

— Odłączcie mikrofon! — Burducea wrzeszczał do swoich podwładnych. — Zabierzcie tego człowieka z mównicy. Natychmiast!

Gdy głos Richarda ucichł, cała sala zaczęła rytmicznie skandować:

— *Pastorul! Pastorul!* *

Zapanowała straszliwa wrzawa, dzięki czemu Richardowi udało się oddalić, zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać. Sabina obserwowała wszystko w milczeniu. Była dumna ze swojego męża, z jego odwagi i oddania Chrystusowi. Lecz jej duma mieszała się z niepokojem. Zastanawiała się, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za publiczne wystąpienie skierowane przeciwko Rosjanom.

Wraz z Richardem zawsze darzyli Rosjan miłością. Często rozmawiali o wysyłaniu do Rosji rumuńskich misjonarzy, aby głosili tam ewangelię. Bóg jednak przysłał — jak często żartowali — Rosjan do nich.

Gdy latem 1944 roku wojska radzieckie wkraczały do Rumunii, Richard i trzydziestojednoletnia wówczas Sabina wyszli im na spotkanie z kwiatami i broszurami ewangelizacyjnymi. Jako rumuńscy Żydzi przeszli pod rządami nazistów przez straszliwe cierpienia. Cała rodzina Sabiny została wymordowana w obozach koncentracyjnych, a Richard był trzykrotnie aresztowany. Gdy zostali chrześcijanami, postanowili, że będą służyć wszystkim będącym w potrzebie, niezależnie od tego, jakie grzechy popełnili. Kierowani tym przekonaniem

* *Pastorul* w języku rumuńskim to tytuł honorowy protestanckiego duchownego.

w 1944 roku starali się docierać z ewangelią do nowo przybyłych komunistów, równocześnie pomagając ukrywającym się hitlerowcom. W czasie okupacji z kolei ukrywali w swoim domu wielu Żydów.

Jeden z żołnierzy hitlerowskich zapytał Sabinę, dlaczego będąc Żydówką, ukrywa swojego wroga, hitlerowca. Odpowiedziała mu po prostu, że nie ma żadnych wrogów, a Bóg kocha wszystkich grzeszników. Podziękował jej, obiecując równocześnie, że wtrąci ją do więzienia, gdy naziści odzyskają władzę.

Umiejętne wykorzystanie czasu

Przez kilka miesięcy od momentu wkroczenia Rosjan panowała względna wolność religijna. Były rumuński dyktator, Ion Antonescu, został przewieziony do Moskwy, potem odesłany do Rumunii i rozstrzelany. Dostojnicy prawosławni, którzy tyranizowali zarówno Żydów, jak i protestantów, utracili swoją absolutną władzę.

Większość Rumunów myślała, że nastąpi w końcu rządy demokratyczne. Sabina wiedziała jednak, na co się zanosi.

Bezpośrednio po Kongresie Religii nie poczyniono żadnych urzędowych kroków. Ale w niedługim czasie komuniści zaczęli wysyłać krzykaczy, którzy mieli za zadanie zakłócać nabożeństwa w kościele Sabiny i Richarda. Co tydzień podejrzanie wyglądający młodzi ludzie stawali z tyłu i zaczęli gwizdać, śmiać się i przeszkadzać.

— Powinniśmy być zadowoleni — powiedział pastor Solheim, który był przełożonym kościoła. — Lepsza hałaśliwa publiczność, która jest zaangażowana, niż spokojna, która tylko udaje, że słucha!

Po jakimś czasie Sabina i Richard otrzymali pierwsze ostrzeżenie. Pracowali właśnie w siedzibie swojej misji, gdy wszedł tajniak.

— Inspektor Riosanu — przedstawił się, zwracając się do Richarda. — To ty jesteś Wurmbrand. A zatem jesteś najbardziej znieprawdopodobnym przeze mnie człowiekiem.

Richard i Sabina spojrzeli na niego zaskoczeni.

— Ale żeby pokazać ci, że nie chowam urazy — ciągnął dalej — przyszedłem, żeby dać ci wskazówkę. W kwaterze głównej służby bezpieczeństwa jest opasła teczka na twój temat. Widziałem ją. Ktoś ostatnio doniósł na ciebie. Dużo rozmawiało się z rosyjskimi przyjaciółmi, nieprawdaż?

Riosanu zatarł swoje szorstkie ręce.

— Ale pomyślałem sobie, że się dogadamy.

Powiedział, że jeśli mu zapłacą, może zniszczyć ten donos.

Sabina włączyła się do rozmowy. Uzgodnili kwotę.

— Dobiliśmy targu — powiedział Riosanu, wciskając pieniądze do kieszeni. — Informatorem jest...

— Nie! — Sabina przerwała mu szybko. — Nie chcemy wiedzieć.

Inspektor spojrział na nią z zaciekawieniem. Lecz Sabina potrząsnęła przecząco głową. Wolała nie wiedzieć, kto na nich doniósł. Gdyby się dowiedzieli, mogliby żywić urazę do tej osoby — a to byłby grzech.

Wurmbrandowie zdawali sobie doskonale sprawę, że pieniądze nie zapewnią im bezpieczeństwa. Wszystko było w ręku Boga. Lecz być może udało się im zyskać nieco na czasie, dzięki czemu będą mogli jeszcze bardziej umocnić kościół podziemny.

Pod koniec 1947 roku aresztowania chrześcijan stawały się coraz częstsze. Wielu przyjaciół Sabiny znalazło się w więzieniu. Pewnego zimowego popołudnia leżała w domu chora na zapalenie oskrzeli. Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła w drzwiach Wierę Jakowlewą, rosyjską lekarzkę, którą kiedyś przelotnie poznała. Nie przyszła ona jednak, żeby zająć się jej leczeniem, lecz by przekazać jej niezwykle ważną wiadomość.

Z jej rodzinnego miasta na Ukrainie wywieziono do syberyjskich obozów pracy niezliczoną liczbę duchownych i wiernych, w tym i ją. Niewielu wróciło.

— Pracowaliśmy przy wyrębie lasu, mężczyźni i kobiety razem — powiedziała. — Mieliliśmy równe prawa: mogliśmy umrzeć z głodu lub zamarznąć.

Nachyliła się i dotknęła rękę Sabiny swoją dłonią, na której były widoczne grube białe blizny. Zadrżała na wspomnienie tamtych dni.

— Codziennie umierali ludzie, padając z wycieńczenia na śnieg — dodała.

Pewnego dnia przyłapano ją, jak rozmawiała z inną więźniarką o Chrystusie. Za karę musiała stać boso na lodzie przez wiele godzin. Wycieńczona nie była potem w stanie wypełnić normy produkcyjnej. Została więc pobita przez strażników.

Większość więźniów zmarła z powodu nieludzkich warunków panujących w obozie i częstych tortur. Wierze jakoś udało się przeżyć. Odwiedziła Sabinę nie tylko po to, aby opowiedzieć o swoim tragicznym losie, lecz także zaświadczyć o Bogu, który był wierny nawet w obozie pracy przymusowej. W smutku i potrzebie okazywał swoją moc.

Sabinę bolała głowa. Nie myślała wcale o cudach. Zastanawiała się tylko, czy ją również spotkają podobne cierpienia.

— Co to może znaczyć? Dlaczego przyszła, aby mi o tym opowiedzieć?

Kiedy Wiera Jakowlewa zaczęła zabierać się do wyjścia, Sabina z wielkim trudem poprosiła ją słabym głosem, żeby została na noc lub poczekała przynajmniej, aż Richard wróci. Ale była już przy drzwiach. Na krótko zatrzymała się i powiedziała:

— Mój mąż również został aresztowany przez służbę bezpieczeństwa. Jest w więzieniu już dwanaście lat. Zastanawiam się, czy się jeszcze kiedyś spotkamy na tej ziemi.

Po czym wyszła.

— Dwanaście lat? — Sabina powtórzyła te słowa i dreszcze przeszły jej po plecach. — Jak to w ogóle możliwe, żeby wytrzymać tak długo?

Prześladowania chrześcijan ze strony komunistów wznagały się. Należało więc wziąć pod uwagę możliwość ucieczki z kraju.

— Nie jest jeszcze za późno, Sabino — zaczął Richard. — Wciąż możemy wyjechać. Wielu innych kupuje sobie wyjazd.

Sabina nic nie odpowiedziała. Wiedziała, że, podobnie jak ona, Richard nie miał wcale wielkiej ochoty wyjeżdżać. Zagrożenie było jednak bardzo realne. Musieli też pomyśleć o Mihaiu, swoim ukochanym ośmioletnim synku — ich jedynym dziecku.

— Gdy wcześniej aresztowali mnie naziści — Richard kontynuował — wypuszczali mnie już po kilku tygodniach. Lecz w przypadku komunistów może to trwać całe lata. Mogą także zamknąć ciebie, Sabino. A co wówczas stanie się z Mihaiem?

Richard dotknął czułego miejsca. Wiedziała dobrze, że gdyby Richard i ona znaleźli się w więzieniu w tym samym czasie, to Mihai nie miałby się gdzie podziać. Mógłby skończyć na ulicy i żebrać o jedzenie. Taka myśl była dla matki nie do zniesienia. Mimo to nic nie odpowiedziała.

W końcu Richard przypomniał jej, co powiedział im jeden z przyjaciół, który zacytował słowa anioła skierowane do Lota: „Uchodź, abyś ocalił swe życie! Nie odwracaj się za siebie”.

— Uciekać, żeby ocalić życie, ale jak i życie? — zapytała.

Potem poszła do sypialni po Biblię i przeczytała na głos słowa Jezusa: „Bo kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa”. Zamykając mocno podniszczoną księgę, zapytała:

— Jeśli teraz wyjedziesz, to czy będziesz jeszcze kiedyś mógł nauczać na temat tego tekstu?

Sprawa wyjazdu została na razie zamknięta. Kilka miesięcy później zamknięto ją na dobre...

Bez śladu

W niedzielny poranek 29 lutego 1948 roku Richard, wychodząc do kościoła, zawołał przez ramię do Sabiny:

— Do zobaczenia na miejscu.

Lecz gdy Sabina dotarła do kościoła jakieś pół godziny później, zastała tylko pastora Solheima, który siedział sam w małym biurze i wyglądał na dosyć zaniepokojonego.

— Richard się nie pojawił — powiedział. — Ale on ma tyle na głowie. Na pewno przypomniał sobie o jakimś pilnym spotkaniu i zapomniiał, że miał tu przyjść.

— Ale obiecał, że spotka się tu ze mną za pół godziny — Sabina odpowiedziała drżącym głosem.

— Może spotkał kogoś, kto potrzebował pomocy — powiedział Solheim. — Przyjdzie.

Podczas gdy pastor Solheim odprawiał nabożeństwo, Sabina wydzwaniała do przyjaciół. Bez skutku. Richarda nigdzie nie było. Strach narastał w jej sercu.

Po południu Richard miał udzielić ślubu młodej parze.

— Nie martw się — pastor Solheim starał się podnieść ją na duchu. — Z Richardem nic nigdy nie wiadomo. Pamiętasz, jak podczas obozu letniego wyszedł rano, żeby kupić gazetę. A potem w porze obiadu zadzwonił, aby nas powiadomić, że nie wróci na śniadanie?

Sabina uśmiechnęła się na tę myśl. Richard przypomniał sobie wtedy o pewnej ważnej sprawie i złapał okazję do Bukaresztu.

— Pewnie znowu zrobił coś takiego — próbowała się uspokoić.

Na niedzielnym obiedzie w małym mieszkaniu Wurmbrandów było zazwyczaj wielu gości. Panowała wesoła atmosfera. Nigdy nie było za dużo jedzenia, ale wierzący przychodzili, żeby porozmawiać ze sobą i wspólnie pośpiewać. Wielu cały tydzień czekało na tę chwilę. Teraz jednak siedzieli w milczeniu wokół stołu i czekali na Richarda. Nie przyszedł. Pastor Solheim musiał udzielić ślubu tego popołudnia. Sabina zadzwoniła do wszystkich szpitali. Chodziła po oddziałach intensywnej terapii, myśląc, że może Richard uległ wypadkowi samochodowemu. Nigdzie go nie było. W końcu przyznała

się przed samą sobą, dokąd musi się udać: do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Richard został na pewno aresztowany.

I wtedy zaczęły się godziny, tygodnie i lata poszukiwań, chodzenia od biura do biura, napierania na wszystkie drzwi, które mogłyby się otworzyć.

Sabina myślała o Wierze, która nie widziała swojego męża przez ostatnich dwanaście lat. O torturach, jakie musiała znosić, gdy powiedziała o Chrystusie innej więźniarce. Wiedziała przy tym, że Richard na pewno popełni podobne przestępstwo. Przypomniała sobie, jak wspólnie z nim dziękowała Bogu, że mogą głosić ewangelię żołnierzom zdobywczej Armii Radzieckiej, tym samym, którzy teraz przetrzymywali jej męża w więzieniu.

Rozeszła się plotka, że Richarda przewieziono do Moskwy. Taki los spotkał rzeczywiście wielu innych. Lecz Sabina nie mogła uwierzyć, że odszedł na zawsze z jej życia. Co wieczór przygotowywała posiłek i siadała przy oknie.

— Może wróci dzisiaj wieczorem — myślała. — Nie zrobił niczego złego. Wkrótce będzie wolny. Komuniści nie mogą być przecież gorsi od faszystów, którzy zawsze wypuszczali go po tygodniu lub dwóch.

Pocieszała Mihaia, płaczącego za swoim tatą. Powtarzała swojemu synkowi, że Bóg opiekuje się jego ojcem — i nimi wszystkimi. Modlili się razem o bezpieczeństwo Richarda i jego szybki powrót do domu.

Lecz nie wrócił. Sabinę zaczęły też prześladować słowa, które Richard wypowiedział kilka miesięcy wcześniej: Gdy byłem aresztowany wcześniej, wypuszczano mnie już po kilku tygodniach. Lecz w przypadku komunistów może to trwać całe lata...

Czuła się, jakby miało pęknąć jej serce. Głęboka miłość, która ich łączyła, pozwoliła im przejść przez wiele burz. Nie mogła sobie wyobrazić, jak ona i Mihai poradzą sobie bez niego. Po kilku tygodniach pastor Solheim zabrał ją do szwedzkiego ambasadora, aby poprosić go o pomoc. Pan Reuterswärd, który w przeszłości wielokrotnie im pomagał, obiecał, że natychmiast porozmawia z ministrem spraw zagranicznych Anną Pauker. Pani Pauker miała gotową odpowiedź:

— Wedle naszych informacji pastor Wurmbrand zbiegł z kraju z walizką pełną dolarów, które zostały mu powierzone na pomoc humanitarną. Podobno przebywa w Danii.

Ambasador przedstawił całą sprawę premierowi. Groza powtórzył wersję Pauker, dodając jowialną obietnicę:

– Myślicie, że Wurmbrand jest w naszym więzieniu? Jeśli zdoła pan to udowodnić, uwolnię go!

Komuniści byli bardzo pewni siebie. Może właśnie dlatego ludzie mawiali między sobą, że gdy ktoś dostanie się w szpony rumuńskiej służby bezpieczeństwa, przestaje istnieć.

Wiadomość

Po kilku miesiącach bezowocnych starań jakiś nieznajomy przyszedł pewnego wieczoru pod drzwi Sabiny. Był nieogolony i unosił się wokół niego zapach śliwowicy. Nalegał, aby porozmawiała z nim bez świadków.

– Spotkałem pani męża – powiedział.

Serce Sabiny zamarło. To była pierwsza informacja o zaginionym mężu.

– Jestem strażnikiem. Niech pani nie pyta, w jakim więzieniu. Ale przynoszę mu jedzenie i on powiedział mi, że dobrze mi pani zapłaci za trochę informacji.

– To zależy. Ile pan chce? – powiedziała. – Tyle razy już nas okłamano.

– Nadstawiam karku, wie pani.

Suma, którą podał, była ogromna. Nie chciał się targować.

Pastor Solheim był równie podejrzliwy.

– Przynies mi kilka słów napisanych własnoręcznie przez Wurmbranda – powiedział strażnikowi i dał mu tabliczkę czekolady z zapasów przeznaczonych na pomoc charytatywną. – Zabierz to do Wurmbranda i przynieś z powrotem list z jego podpisem.

Gdy strażnik wyszedł, Solheim spojrzał na Sabinę i powiedział:

– Nic więcej nie możemy zrobić. Nie mamy pojęcia, czy mówi prawdę, a chce dosyć dużo pieniędzy.

Sabina wiedziała, że pastor Solheim chce oszczędzić jej kolejnego bolesnego rozczarowania.

Dwa dni później strażnik wrócił. Ściągnął czapkę. Namacał coś pod podszewką i podał Sabinie opakowanie z tabliczki czekolady. Rozwinąwszy je ostrożnie, przeczytała:

– Moja najdroższa żono – dziękuję Ci za Twoją słodycz. Mam się dobrze – Richard.

Serce jej zadrżało. On żyje! To jego charakter pisma. Zamasysty, ale wyraźny, zdecydowany, a przy tym niespokojny. Nie sposób

było nie rozpoznać tego żywiołowego spokoju, jaki płynął z tych słów.

— Wszystko z nim w porządku — powiedział strażnik. — Niektórzy nie radzą sobie w odosobnieniu. Nie lubią swojego towarzystwa.

Zionęło od niego wódką.

— Przekazuje pani pozdrowienia.

Sabina zgodziła się zapłacić pieniądze, pod warunkiem że będzie nadal przekazywał informacje.

— W porządku — powiedział w końcu. — Ale dużo ryzykuję. Niektórzy dostają za to dwanaście lat.

Zgodził się, bo kochał pieniądze i alkohol, który można było za nie kupić. Lecz najwyraźniej podziwiał również Richarda i czasami przemyślał mu dodatkową porcję chleba.

Sabina doceniała to, że pomimo ryzyka przekazywał jej wieści od męża. Pijany strażnik stał się jej jedynym kontaktem z Richardem. Na razie będzie musiała się tym zadowolić.

Kara dla rodziny

Prawo komunistyczne było surowe. Żona więźnia politycznego nie mogła otrzymać kartek żywnościowych. Były one przeznaczone tylko dla „pracujących”. Lecz żona więźnia politycznego nie mogła również zostać zatrudniona. Dlaczego? Ponieważ nie miała kartek żywnościowych, a więc nie istniała.

Sabina błagała urzędników:

— Jak mam żyć? Co dam do jedzenia mojemu synowi?

— To wasz problem, a nie nasz — słyszała w odpowiedzi.

Martwiła się też o Mihaia. Od aresztowania Richarda bardzo zmizerniał z powodu niedożywienia. Wiedziała również, że nadal nie może pogodzić się z utratą swojego „rodzeństwa” — sześciorga sierot ocalałych z nazistowskich pogromów we wschodniej Rumunii, które wraz z Richardem przygarnęli.

Po jakimś czasie jednak dowiedzieli się, że Rosjanie postanowili zasiedlić uchodźcami dwie zaanektowane przez siebie wschodnie prowincje rumuńskie: Besarabię i Bukowinę. Stało się jasne, że wcześniej czy później dzieci zostaną im odebrane i wysłane na wschód. Setki innych sierot spotkał taki sam los. Sabina uważała, że gdyby udało się wysłać je do Palestyny, gdzie wkrótce miało powstać państwo izraelskie, to wszystko ułożyłoby się dobrze. Tak więc pewnego pamiętnego dnia zaprowadzili je na turecki parowiec Bulbul,

na pokładzie którego opuszczała Rumunię nieduża grupa uchodźców. Pożegnanie było bardzo bolesne, ale wysłanie ich do Palestyny wydawało się o wiele lepsze niż czekanie na niepewny los, który zgotowaliby im Rosjanie.

Mijały tygodnie. Nie nadchodziły żadne wieści. Z każdym dniem Sabina coraz bardziej się zamartwiała. Rozpoczęły się międzynarodowe poszukiwania, obejmujące obszar od Morza Czarnego po wschodnią część Morza Śródziemnego. Lecz statek zniknął bez śladu. Nadzieja stopniowo gasła. Bulbul prawdopodobnie trafił na minę z czasów wojny i zatonął ze wszystkimi na pokładzie.

Ból był nie do zniesienia. Sabina i Richard kochali te dzieci jak własne, a Mihai traktował je jak rodzeństwo. Gdy Sabina w końcu pogodziła się z faktem, że sieroty zginęły, nie chciała z nikim rozmawiać ani wychodzić z domu. Cała jej wiara została poddana ogromnej próbie.

— Jakże Bóg mógł do czegoś takiego dopuścić? Dlaczego zabrał mi moje dzieci? — pytała siebie nieustannie.

Głęboko w sercu wiedziała oczywiście, że nie może winić Boga za ludzką nienawiść i rozpętywane przez człowieka wojny, które zapewne doprowadziły do przypadkowego zatonięcia parowca. Kochała jednak bardzo te dzieci i nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek pogodzi się z ich utratą.

Pogrążona w smutku, starała się pocieszać Mihaia, który gorzko płakał, gdy tylko pomyślał o dzieciach, które wniosły do jego życia tak wiele radości. Przytuliła go mocno i opowiedziała mu historię, którą często słyszała z ust Richarda:

Gdy pewnego znanego rabin nie było w domu, umarło dwóch jego synów, obydwaj niezwyklej urody i oświeceni w Prawie. Jego zrozpaczona żona zaniósła ich do swojej sypialni i przykryła ich ciała białym płótnem. Wieczorem rabin wrócił do domu.

— Gdzie są moi synowie? — zapytał. — Szukałem ich na podwórzu, ale nigdzie ich nie widziałem.

Żona przyniosła mu kubek wody, aby ugasił pragnienie, lecz on nie przestawał pytać:

— Gdzie są moi synowie?

— Niedaleko — odpowiedziała i położyła przed nim posiłek, żeby mógł coś zjeść.

Po posiłku, zwróciła się do niego:

— Jeśli pozwolisz, chciałabym ci zadać pytanie.

— Pytaj więc — odparł.

— Kilka dni temu pewna osoba dała mi na przechowanie dwa piękne diamenty, a teraz żąda ich zwrotu. Czy powinnam je oddać?

— Co? — powiedział rabin. — Czy wahałabyś się oddać komuś coś, co do niego należy?

— Nie — odparła. — Ale uważałam, że lepiej będzie, jeśli nie zwrócę ich, zanim nie powiem o tym tobie.

Zaprowadziła go do sypialni i ściągnęła białe płótno z ciał.

— Moi synowie! Moi synowie! — głośno rozpaczał ojciec. — Moi synowie, światło mych oczu!

Matka odwróciła się i gorzko zapłakała.

Wreszcie wzięła swojego męża za rękę i powiedziała:

— Czyż nie uczyłeś mnie, że nie możemy się ociążać z oddaniem tego, co zostało powierzone naszej pieczy? Pan dał, Pan wziął. Błogosławione niech będzie imię Pańskie.

Historia ta była niewielką pociechą dla Mihaia. Rozumiał jednak, co matka chciała mu powiedzieć i wiedział, że ma w niej oparcie. Miał już dziesięć lat. Był wysoki jak na swój wiek, miał wystające kości policzkowe i przenikliwe oczy. W szkole uczył się trudnej lekcji, jak być synem „wyrzutka społecznego”. Uwielbiał swojego ojca i Sabinie niełatwo było wyjaśnić mu, jak to możliwe, że został aresztowany i osadzony w więzieniu tylko dlatego, że był pastorem.

Codziennie też znikali kolejni ludzie.

Pewnego razu zwolniono sporą grupę znanych więźniów politycznych. Przyjechali do swoich domów w karetkach pogotowia, pokazali sińce i blizny i opowiedzieli o torturach, którym byli poddawani. Kiedy zrobili już oczekiwane wrażenie, wszystkich ponownie aresztowano. Sabina bała się nawet myśleć, przez co musiał teraz przechodzić jej ukochany mąż. Modliła się, aby się nie załamał i nie zdradził przyjaciół. Obiecał, że raczej umrze niż to zrobi, ale kto wie, ile człowiek może znieść. Święty Piotr obiecał, że nie wyprze się Chrystusa, a potem zrobił to trzykrotnie.

Pukanie do drzwi

Wiara w to, że nawet gdyby Richard umarł, to spotkają się ponownie w przyszłym życiu, była dla Sabiny źródłem pociechy. Umówili się, że będą czekać na siebie przy jednej z dwunastu niebiańskich bram — Bramie Beniamina. Jezus umówił się na podobne spotkanie ze swoimi uczniami. Powiedział, że po swojej śmierci spotka się

z nimi w Galilei. I dotrzymał słowa. Teraz jednak to nie przyszłe życie zaprzętało jej myśli, lecz łomotanie do drzwi o piątej nad ranem.

Dzień wcześniej pracowała ciężko do późnego wieczoru. Wykonywała różne prace w kościele i odwiedzała ludzi. Mihai był u przyjaciół na wsi. Razem z Sabiną w jej malutkim mieszkaniu mieszkała jedna z jej przyjaciółek. Ostry głos, rozdzierający ciszę poranka, przeraził obydwie kobiety:

— Sabina Wurmbrand! Otwierać! Wiemy, że tam jesteś.

Sabina podeszła do drzwi. Bała się, że mężczyźni, stojący na klatce schodowej, mogą w każdej chwili wtargnąć do środka. Gdy otworzyła drzwi, nadzorujący akcję przysadzisty mężczyzna krzyknął:

— Sabina Wurmbrand? Wiemy, że ukrywasz tu broń. Pokaż nam, gdzie ona jest — natychmiast!

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zaczęli wyciągać kufry, otwierać szafki i wysypywać zawartość szuflad na podłogę. Półka z książkami runęła z hukiem na ziemię. Przyjaciółka Sabiny podierała się, żeby je pozbierać.

— Zostaw — warknął jeden z mężczyzn. — Ubierać się.

Dwie kobiety musiały przebierać się w obecności sześciu mężczyzn, którzy przeczesywali mieszkanie, traktując cały ich dobytek.

Od czasu do czasu pokrzykiwali, jakby chcieli zachęcać się nawzajem do kontynuowania tej bezsensownej rewizji.

— A więc nie powiesz nam, gdzie jest ukryta broń!... Przewróćmy to miejsce do góry nogami!

— Jedyna broń, jaką mamy w tym domu, jest tutaj — Sabina odpowiedziała spokojnie, przyklęknęła i ostrożnie podniosła Biblię spod stóp jednego z funkcjonariuszy.

— Idziesz z nami — ryknął przysadzisty oficer — żeby złożyć pełne zeznanie!

Sabina położyła Biblię na stole i powiedziała:

— Proszę, pozwólcie nam na kilka chwil modlitwy. Potem pójdę z wami.

Wychodząc z domu, chwyciła paczkę, którą niedawno dostała od przyjaciółki — były w niej pończochy i trochę bielizny. Tam, gdzie wkrótce miała się znaleźć, okażą się prawdziwym skarbem.

Dzień Wyzwolenia

Jeden ze strażników zawiązał jej oczy, aby niczego nie widziała, po czym pośpiesznie wyprowadzono ją z mieszkania. Po krótkiej jeź-

dzie samochodem przeprowadzono ją przez parking do jakiegoś budynku. Ściągnięto jej z oczu opaskę i wepchnięto do podłużnego pomieszczenia, w którym siedziało stłoczonych wiele kobiet. Od czasu do czasu wywoływano jakieś nazwisko. Poza tym więźniarki czekały w milczeniu. „Zgniły społecznie element” Rumunii oczekiwał na wywołanie swojego nazwiska, aby dowiedzieć się o swoim przyszłym losie.

Był 23 sierpnia — Dzień Wyzwolenia. Tak przynajmniej nazywali go komuniści. Pod wieczór podano czarny chleb i rozwodnioną zupę. Minął kolejny dzień oczekiwania. W końcu wyczytano nazwisko Sabiny. Ponownie zawiązano jej oczy i znowu wieziono ją gdzieś samochodem. Tym razem znalazła się, jak się później dowiedziała, w kwaterze głównej służby bezpieczeństwa. Umieszczono ją w nieco większej celi z kilkoma innymi kobietami.

Pytania na końcu labiryntu

Upłynęło kilka dni. Sabinę przeniesiono z celi zbiorowej do izolatki. Rozejrzawszy się po malutkim pomieszczeniu, szybko zorientowała się, czego w nim brakuje: wiadra. W czasie krótkiego pobytu w więzieniu zdążyła się nauczyć, że wiadro jest niezwykle ważne. Teraz odebrano jej nawet to.

Słyszała odgłosy ciężkich kroków strażników, chodzących po wąskim korytarzu. Gdy zbliżali się do jej celi, zastanawiała się, czy tym razem przyszedli po nią. W końcu nadeszła jej kolej. Drzwi celi otworzyły się ze szczękiem i strażnik krzyknął:

— Odwrócić się!

Znowu zawiązali jej oczy.

— Ruszaj się! W prawo. Teraz w lewo. Znowu w lewo. Szybko!

Szła, popychana przez strażnika, jakby po jakimś labiryncie. Ogarnął ją strach. Zastanawiała się, czy za następnym ostrym zakrętem nie znajdzie się przed plutonem egzekucyjnym i nie umrze w ciemności bez żadnego ostrzeżenia. Próbowwała opanować napięte do granic wytrzymałości nerwy, gdy labirynt nagle się skończył i ściągnięto jej opaskę.

Stała przed wysokim, jasnowłosym porucznikiem, który był mniej więcej w jej wieku.

— Wie pani oczywiście, pani Wurmbrand, jakie przestępstwo przeciwko państwu pani popełniła?

Oficer był uderzająco podobny do chłopaka, z którym kiedyś chodziła w Paryżu. Z trudem mogła zebrać myśli.

— Teraz więc złożę pani dla nas pełne zeznania na piśmie na ten temat — dodał rozkazującym tonem, wskazując na pióro i papier.

— Ale co mam napisać? — zapytała. — Nie wiem, dlaczego mnie tutaj sprowadziliście.

— Ma pani opisać popełnione przez siebie przestępstwa przeciwko państwu!

Sabina wzięła pióro i napisała krótko, że nie poczuwa się w niczym do winy. Oficer przeczytał to, co napisała i rozszłoszczony odesłał ją do celi. Gdy drzwi zamknęły się z hukiem, strażnik powiedział jej:

— A teraz posiedzisz sobie, aż będziesz gotowa napisać to, o co prosił porucznik. Jeśli nie, to dobierzemy ci się do skóry!

— Ciekawe co miał na myśli? — zastanawiała się. — Zastraszanie i szyderstwa? Upokorzenia? Tortury?

Tak wiele mówiło się o tym, jak chrześcijanie są traktowani w więzieniach komunistycznych, że dobrze wiedziała, do czego oprawcy mogą być zdolni. Niektórzy byli więźniowie mówili nawet o torturach psychicznych, które miały zmiękczyć więźnia przed kolejnymi przesłuchaniami. Komuniści odtwarzali nagrania różnych wrzasków i wmawiali więźniom, że są to krzyki ich torturowanych dzieci. Jakże w takiej sytuacji ojciec lub matka nie mieli postradać zmysłów?

Następne przesłuchanie prowadzone przez porucznika dotyczyło spraw związanych z aresztowaniem Richarda.

— Pani mąż jest oskarżony o działalność antyrewolucyjną — stwierdził porucznik. — Może zostać rozstrzelany. Jego koledzy zeznawali. Potwierdzają wysunięte przeciwko niemu oskarżenie.

Serce Sabiny waliło jak oszalałe. Oficer oczywiście kłamał. I obserwował jej reakcję. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy.

— Może po prostu próbują ocalić własną skórę — kontynuował. — Niewykluczone, że to o ni są prawdziwymi kontrrewolucjonistami. Nie potrafimy tego ocenić, chyba że powie nam pani wszystko, co mówili ludzie pracujący w misji. Wszystko. Niech pani mówi otwarcie i wyda prawdziwych kontrrewolucjonistów, a pani mąż jutro wyjdzie na wolność.

Cóż za kusząca propozycja! Lecz Sabina nie ufała komunistom.

— Nic nie wiem — odpowiedziała, spoglądając spokojnie na porucznika.

Posiniaczona przez strażników wróciła na noc do celi. Położyła się na pryczy, opierając stopy o jej kraniec.

— Biedny Richard — pomyślała — jest taki wysoki. Nogi na pewno zwisają mu z łóżka. Co oni z nim teraz robią?

W jednej chwili była gotowa powiedzieć wszystko, aby znowu być bezpiecznie z nim, po czym drżała na samą myśl o tym. Dwa pozornie sprzeczne pragnienia ścierały się w niej — chciała, żeby żył, lecz także, żeby go nie złamali.

Kawałek tynku odpadł ze ściany celi. Podniosła go i narysowała duży krzyż na swoim ciemnym kocu. Podziękowała Bogu za opiekę.

Usłyszała wówczas coś jakby szept Tego, który wysłuchiwał jej modlitwy. W jej myślach pojawiła się cyfra: siedem. Uświadomiła sobie, że jest w celi numer siedem. Siedem to święta liczba. Liczba dni stworzenia.

Dodało jej to otuchy. Leżała na pryczy i szlochała. Jej ciało pozostawało w ciemności, lecz duch unosił się w cudownej światłości, roztaczającej się daleko poza murami więzienia. Położyła dłonie na krzyżu, który narysowała na kocu i zasypiając wyszeptała:

— Wespół z Chrystusem jesteśmy ukrzyżowani.

— Wstawaj! — Mielu, dowódca strażników o ogorzałej twarzy stanął w drzwiach celi następnego dnia wczesnym rankiem.

Sabina wstała i, jak już zdążyła się nauczyć, stanęła twarzą do ściany. Zawiązano jej oczy i ponownie poprowadzono po ciemnym labiryncie.

Tym razem przesłuchiwał ją Mielu. Był od niej dużo starszy i maglował ją przez ładnych parę godzin.

— Z kim sypiałaś?

— Co z nimi robiłaś?

— Chcę wiedzieć, z kim to robiłaś i jak często — wszystkie szczegóły!

Wyczerpana psychicznie i fizycznie, była zupełnie osłupiała tym, jaki obrót przyjęło przesłuchanie.

— Nie powiem tego, czego chcecie — odpowiedziała cicho. — Wiem natomiast jedno, że najgorsza „historia życia seksualnego” nie przeszkodzi komuś stać się wielką świętą, jeśli Bóg tego zechce. Maria Magdalena była kiedyś prostytutką. My pójdziemy w zapomnienie, a ona ciągle będzie podziwiana.

Mielu rzucił jakimś sprośnym przekleństwem i odesłał ją do celi.

Już mnie ktoś kupił

W trakcie kolejnego przesłuchania pokazywano jej zdjęcia różnych ludzi. Niektórych z nich rozpoznała. Między innymi Rosjanina, którego potajemnie ochrzczili w swoim mieszkaniu.

— Czy rozpoznajesz którąś z tych osób? — zapytał łysy funkcjonariusz.

Sabina wiedziała, co by się stało, gdyby podała jakieś nazwisko. Oficer uatrakcyjnił swoją ofertę:

— Powiedz nam to, co chcemy, a wypuścimy na wolność ciebie i twojego męża.

Była to wielka pokusa. Sabina wiedziała jednak, że nie może wydać swojego brata w wierze.

— Nikogo nie poznaję.

Łysy funkcjonariusz podejrzewał, że kłamie i w końcu zapytał, jaka jest jej cena.

— Każda kobieta ma jakąś cenę. Jaka jest twoja? Wolność? Dobra posada dla twojego męża? Pieniądze? Podaj swoją cenę.

Sabina miała już zupełnie dość jego arogancji i pustych obietnic. Myślał tylko o kolejnych aresztowaniach. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

— Zostałam już kupiona — wyjaśniła. — Jezus był torturowany i umarł za mnie. Czy może pan przebić tę cenę?

Cały poczerwieniał. Sabina myślała, że ją uderzy. Lecz rozkazał jej wracać do celi.

Ponownie umieszczono ją w celi zbiorowej. Mijały miesiące. Zaczynała się zima i łapał mróz.

Sabina zamartwiała się o Mihaia. Kto się nim opiekuje? Czy nie mieszka na ulicy? Czy nie jest mu zimno? Może jest chory? A może komuniści jego również uwięzili? Męczyły ją setki pytań. Umierała z niepokoju.

W listopadzie dyrektor więzienia osobiście zawitał do celi, w której siedziała.

— Zostanie odczytana lista nazwisk — wyjaśnił. — Te z was, których nazwiska zostaną wyczytane, mają być gotowe do wyjazdu za dziesięć minut.

Nie podano żadnych dodatkowych informacji. Wśród więźniarek zapanowało poruszenie. Strażnik towarzyszący dyrektorowi odczytywał nazwiska. Sabina była również na liście.

— Co to może znaczyć? — Sabina szepnęła do swojej sąsiadki, która również przygotowywała się do wyjazdu.

— Myślę, że wyjdziemy na wolność — albo zostaniemy rozstrzelane — powiedziała ponuro.

W Jilavie tylko Bóg ci pomoże

Nie zostały jednak uwolnione ani rozstrzelane — przynajmniej na razie. Przewieziono je do Jilavy, więzienia siejącego największą groźbę w całej Rumunii. Słyszała nieraz, jak inni rozmawiali o tym osławionym więzieniu. Była tam ponoć jedna cela, w której panowały wyjątkowo potworne warunki.

— Niech Bóg ma cię w opiece, jeśli wylądujesz w Jilavie w celi numer 4 — przestrzegano się nawzajem.

Strażniczka, która przedstawiła się jako sierżant Aspra poprowadziła więźniarki ciemnymi korytarzami o półkolistym sklepieniu, prowadzącymi do podziemi. W końcu zatrzymały się przed dużymi żelaznymi drzwiami, zabezpieczonymi dodatkowo żardzewiałą kratą.

— Witamy w celi numer 4! — obwieściła z dumą Aspra.

Choć było już blisko południa, w celi panowała niemal zupełna ciemność. Słaba żarówka zwisała z sufitu. Po obydwu stronach wysokiego pomieszczenia o półkolistym sklepieniu były ustawione dwa długie rzędy drewnianych piętrowych prycz. Na samym końcu było małe okno, zamalowane i okratowane.

Dziesiątki oczu wpatrywało się w nowo przybyłe. Panował potworny zaduch. Sabinie przydzielono pryczę na samym końcu, bezpośrednio nad wiadrem służącym za ubikację. Po niespokojnej nocy wyrwał ją ze snu dźwięk pobudki, rozbrzmiewający regularnie o piątej rano. Natychmiast pięćdziesiąt kobiet ustawiło się w kolejce do niedużego wiadra. Później Sabina dowiedziała się, że w czterech celach przetrzymywano dwieście kobiet, natomiast w pozostałej części więzienia stłoczono trzy tysiące mężczyzn. Przy czym Jilava była pierwotnie przeznaczona dla sześciuset więźniów.

O jedenastej kobiety ustawiły się w kolejce po zupę. Sabinę zaskoczyło to, jaka cisza zapanowała w celi, gdy podawano zupę z kromką chleba. Lecz gdy tylko parujący gar opuścił celę, wybuchła straszliwa kłótnia. Kobiety obrzucały się wyzwiskami i walczyły o większą porcję dla siebie. Po chwili wróciły strażniczki i zaczęły okładać więźniarki kijami, wywracając miski z zupą na lewo i prawo. Na podłodze utworzyły się duże kałuże. Rozwścieczona Aspra zapowiedziała, że nazajutrz cała cela nie otrzyma zupy.

Kobiety uświadomiły sobie, że czeka je cały dzień bez jedzenia i w celi ponownie zrobiło się cicho. Stopniowo tu i ówdzie dało się słyszeć ściszone głosy. Jedna z więźniarek zapytała Sabinę, dlaczego została osadzona w więzieniu:

— Nie wyglądasz na niebezpieczną.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Sabiny.

— Jestem żoną pastora — odpowiedziała z uśmiechem.

Usłyszawszy tę odpowiedź, niektóre więźniarki rzuciły kilkoma przekleństwami i odwróciły się. Inne zainteresowały się:

— To na pewno znasz jakieś historie biblijne — powiedziała więźniarka o imieniu Elena, usadawiając się na podłodze obok Sabiny.

— Tak — odpowiedziała Sabina, ponownie się uśmiechając. — Czy chciałbyście jakąś usłyszeć?

Przez kolejnych kilka godzin opowiadała jedną historię za drugą. Więźniarki słuchały jak zahipnotyzowane. W kościele Sabiny wszyscy byli zgodni — nikt nie potrafi opowiadać historii tak jak ona. Zauroczone fascynującymi opowieściami kobiety zapomniały na chwilę, że przez następne trzydzieści sześć godzin nie dostaną nic do jedzenia.

Zainteresowanie Biblią, jakie wykazywały więźniarki, podnosiło Sabinę na duchu. Niedługo jednak miała się przekonać, że pogłoski o więzieniu w Jilavie były jak najbardziej prawdziwe. Strażniczki ślepo wykonywały rozkazy. Jeżeli otrzymały rozkaz pobicia więźniarki, to okładały ją bezlitośnie kijami. Powoli. Dotkliwie. Nie było taryfy ulgowej. Obce im były jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Więźniarki niczym nie różniły się dla nich od dywanów, które należy wytrzepać.

Złudna nadzieja

— Pobudka! Zupa marchewkowa, moje panie!

Sarkastyczne słowa strażniczki zaanonsowały gar obrzydliwej mazi. Wiele kobiet w starszym wieku nie poruszyło się. Były już za słabe, żeby nawet ustawić się w kolejce po jedzenie. Sabina nie wiedziała wówczas, że śmiertelna dieta stanowiła część procesu przygotowawczego do obozów pracy. Bez wątplenia sprawdzała się. Wiadomo było, które kobiety są słabe.

— Jest to oczywiście praca niewolnicza — powiedziała jej pewna współwięźniarka. — Ale nad Kanałem dostaje się siedemdziesiąt dekagramów chleba dziennie. I makaron!

W więzieniu huczało od plotek na temat najnowszego obozu pracy nad kanałem budowanym przy Dunaju. Każdy nowo przybyły więzień miał coś do powiedzenia o tym ogromnym przedsięwzięciu, które będzie kosztować miliardy, choć większość pracy mieli wykonywać więźniowie, rozlokowani w specjalnych obozach. Kanał o długości sześćdziesięciu kilometrów miał przebiegać przez nagie równiny południowej Rumunii i połączyć Dunaj z Morzem Czarnym.

— Nad Kanałem można dostawać z domu, co się chce! — ktoś z kierownictwa więzienia powiedział więźniarkom.

— Nawet czekoladę!?

Sabina była zdumiona. Dla kobiet, które straciły nadzieję na uwolnienie, czekolada stała się szczytem marzeń.

Chodziły też słuchy, że nad Kanałem są ogólnie dostępne ciepłe ubrania i opieka lekarska. Lecz uwagę Sabiny przykuła ostatnia z szeregu obietnic — o wiele ważniejsza niż ubrania i czekolada. Podobno więźniowie nad Kanałem mieli prawo do całodniowych odwiedzin swoich bliskich!

Uchwyciła się więc nadziei, że znowu zobaczy Mihaia i nic poza tym już jej nie obchodziło.

— Ale nie każda będzie miała prawo tam pojechać — ostrzegęła szefowa celi, Viorica. — Jak powiedział mi ostatnio oficer polityczny: „W społeczeństwie socjalistycznym praca jest zaszczytem, którego nie dostępują bandyci”.

Była to typowa metoda więziennej psychologii — dać nadzieję, a potem ją odebrać. Następnie ponownie ją rozbudzić, tyle że w nieco inny sposób. W dniu urodzin Mihaia, 6 stycznia 1951 roku, Sabina dowiedziała się, jak będzie wyglądać ta nowa oferta.

— Mam propozycję — pewnego ranka obwieścił kapitan Zachariasz Ion. — Nie musisz jechać nad Kanał, możesz zostać tutaj jako uprzywilejowana więźniarka. Otrzymasz wszystkie dodatkowe korzyści, takie jak nad Kanałem, ale nie będziesz musiała pracować. To naprawdę wielka szansa.

Sabina wiedziała, że w więzieniu niczego nie dostaje się za darmo. Czekiła więc w milczeniu, aż oficer przejdzie do sedna sprawy.

— Będziesz tylko musiała od czasu do czasu donosić do mnie na inne więźniarki — w całkowitej tajemnicy, oczywiście. To naprawdę bardzo proste. I nikt nie musi wiedzieć o naszej małej umowie.

— Dziękuję — odpowiedziała bez namysłu. — Ale w Biblii można przeczytać o dwóch zdrajcach. Jeden z nich zdradził króla Dawida,

a drugi Jezusa. Obydwaj powiesili się. Nie chcę tak skończyć, a więc nie zostanę informatorką.

W ułamku sekundy Ion zmienił się z uroczego dżentelmena w miotającego groźby funkcjonariusza.

— To w takim razie już nigdy nie wyjdiesz na wolność — ryknął.

Sabina zastanawiała się, czy nie utraciła właśnie szansy wyjazdu nad Kanał. Wiedziała, że jej nazwisko znajdowało się na liście wytypowanych do pracy przy jego budowie i że pierwsza grupa miała wyjechać lada dzień. Drżała na myśl o przymusowej pracy, ale była gotowa na wszystko, żeby tylko zobaczyć znowu Mihaia. Na wszystko — za wyjątkiem zdrady.

Po kilku dniach przeniesiono ją jednak do obozu pracy przymusowej nad Dunajem. Bardzo szybko zorientowała się, podobnie jak i pozostałe więźniarki, że została oszukana.

Kanał

Pierwszego ranka w obozie zaraz po obudzeniu Sabina poczuła drażniący zapach szcurzych odchodów. Usłyszała, jak ktoś radził kobiecie z sąsiedniej pryczy:

— Powinnaś zostawiać im trochę chleba na noc. Nie gryzą wtedy.

Codziennie Sabina wraz z pozostałymi więźniami — zarówno mężczyznami, jak i kobietami — wychodziła do pracy. Budowali obwałowanie. Sabina musiała przenosić duże głazy na odległość dwustu metrów i wrzucać je na barkę. Myślała, że kręgosłup pęknie jej z przeciążenia. Trudno jej było nawet się wyprostować.

Każda grupa robotników miała swojego brygadzystę, który wraz ze swoimi pomocnikami sprawdzał, ile pracy wykonano. Przeciętna norma wynosiła nawet osiem metrów sześciennej dziennie. Jeżeli więźniowie ją wypełnili, następnego dnia była podnoszona. Jeżeli nie sprościli wymaganiom, byli karani.

Sabina nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczała, że warunki panujące w obozie będą aż tak potworne. Gdy zapytała o dodatkowe przywileje, jakie obiecywano, wyśmiano ją.

Coraz więcej kobiet przybywało do pracy nad Kanałem. Podobnie jak Sabina każda z nich pragnęła być ze swoją rodziną, szczególnie z dziećmi. W obliczu ogromu pracy przy budowie Kanału większość z nich zaczynała tracić wszelką nadzieję. Sabina jednak trzymała się nadziei, której nie mogły dorównać największe budowy

i więzienia tego świata. Niektóre więźniarki zaczęły to zauważać i zapragnęły tego samego.

— Sabino, opowiedz nam jeszcze jakieś historie z Biblii — prosily po całym dniu ciężkiej pracy.

Sabina wiedziała, czym to grozi. Zdawała sobie sprawę, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ją przyłapano. Korzystała jednak z każdej okazji, żeby dzielić się ewangelią z pozostałymi więźniarkami. Coraz więcej kobiet przychodziło do niej, opowiadało o swoim grzesznym życiu i pytało, czy mogą otrzymać przebaczenie. Zapewniała je, że tak. Mówiła im też to, co często powtarzał Richard: „Piekło to ciemność, samotność i wspomnianie wyrządzonego przez siebie zła”. Kobiety te bez wątplenia przeżywały w obozie takie właśnie piekło.

Sabina co prawda nie zgodziła się być donosicielką, lecz inni przyjęli tę ofertę. Czasami więźniarki wiedziały, kto donosi, ale nie zawsze mogły mieć stuprocentową pewność. Był to poważny dylemat. Jakaś więźniarka mogłaby na przykład powiedzieć, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o Chrystusie, aby w ten sposób oszukać Sabinę i skłonić ją do dzielenia się wiarą, co było surowo zabronione i wiązało się z poważnymi konsekwencjami. Lecz mogła też mówić prawdę i szczerze chcieć poznać Boga. Nigdy nie można było mieć całkowitej pewności, czy taka prośba jest szczerą, czy też jest to pułapka. Najczęściej Sabina decydowała się mówić.

Niejednokrotnie, gdy informatorka doniosła na nią, zamykano ją w karcerze — wąskiej celi, w której mogła zmieścić się tylko jedna osoba i to na stojąco. Wysyłano ją tam natychmiast po całym dniu pracy, trzymano w nim przez całą noc i wypuszczano rano na kolejny dzień harówki. Podczas pobytu nad Kanałem karcer stał się jej dobrze znanym miejscem.

Promyk nadziei

Zawsze pytała nowych więźniów, czy nie słyszeli czegoś o Richardzie. Nie było jednak żadnych wieści, dopóki pewna więźniarka nie powiedziała jej o kaznodziei, którego spotkała w Vacaresti. Tak naprawdę, to nie spotkała go, lecz słyszała, jak mówił. Jego cela była blisko ubikacji. Gdy więźniowie stali w kolejce do szaletu, „więzienny kaznodzieja” zachęcał ich do naśladowania Chrystusa i otwarcia serc na Jego miłość. Wszyscy w więzieniu pytali o to, kim on jest, ale nikt nie wiedział. Więźniarka powiedziała Sabinie, że jest teraz przekonana, iż był to Richard.

Twarz Sabiny rozpromieniała z radości. Jej Richard żyje! Ten więzienny kaznodzieja to na pewno on. Lecz gdy więźniarka dokończyła swoją opowieść, wszelka nadzieja przysła:

— Pewnego dnia usłyszeliśmy, że kaznodzieja bardzo zachorował. Potem słyszeliśmy go rzadziej, a po jakimś czasie wcale. Mówili, że umarł. Bardzo mi przykro.

Łzy polały się strumieniami po twarzy Sabiny. Nie powiedziała ani słowa. Powierzyła swoje troski Bogu. Poprosiła Go, aby przydał lat życia swojemu wiernemu słudze, jej Richardowi, jeśli jeszcze żyje. Modliła się również o Mihaia. Bała się, że on także może zostać aresztowany i wysłany do pracy przy Kanale. Serce w niej zamarło, gdy pewnego dnia zobaczyła chłopca w jego wieku pracującego wraz z innymi więźniami. Chociaż ulżyło jej, gdy zorientowała się, że nie jest to Mihai, to jednak z wielkim bólem patrzyła na jego wychudzoną postać. Modliła się o tego chłopca i jego matkę, gdziekolwiek by się właśnie nie znajdowała.

W końcu pojawił się promyk nadziei. W najbliższą niedzielę będą odwiedziły! Sabina nie wierzyła własnym uszom. Zobaczy Mihaia — jakie to cudowne! Gdy nadszedł ten wielki dzień, jedna z więźniarek pożyczyła jej sukienkę, gdyż jej własna wyglądała jak podarta szmata — to wynik noszenia ciężkich gładów. Nie mogła się doczekać. Liczyła minuty dzielące ją od chwili, gdy będzie mogła przytulić swojego synka. Lecz gdy przyszła pora odwiedzin, okazało się, że więźniowie i odwiedzający ich bliscy będą stali po dwóch stronach sporego pomieszczenia i będą mogli rozmawiać tylko przez piętnaście minut.

Zobaczyła go. Jej matczyne serce przytuliło go, a oczy narzmięte łzami ogrzewały miłością, której żadne bariery nie mogły zatrzymać. Jaki on chudy i jaki poważny! Czas przestał płynąć. Ze wzruszenia nie byli w stanie prawie nic powiedzieć. I oczywiście nie można było poruszać żadnych spraw osobistych. Gdy ich czas dobiegł końca, Sabina zawołała głośno przez całe oddzielające ich pomieszczenie:

— Mihaiu! Mihaiu! Wierz w Jezusa z całego swojego serca!

Była to najlepsza rada, jakiej mogła mu udzielić.

Zanim skończyła mówić, strażnik popchnął ją szorstko i została wprowadzona.

Gdy wróciła do baraku, pozostałe więźniarki stłoczyły się wokół niej, pytając o to, co Mihai powiedział i jak wyglądał. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Tylko potrząsała głową. Cały czas myślała jedynie o swoim najdroższym synku.

Niestety niektóre więźniarki przez cały dzień czekały na kogoś, kto nie przyszedł. Nocą płakały na swoich słomianych materacach. Sabina modliła się za nie.

Nadeszła zima. Więźniarki znalazły się w jeszcze gorszym położeniu. Nadal pracowały nad Dunajem, ładując ciężkie kamienie na barkę i wrzucając je do lodowatej wody, która oblewała je od stóp do głów. W krótkim czasie Sabina była całkowicie przemoczona. Ubrania sztywniały na przenikliwym wietrze, tworząc lodowatą skorupę. Poruszało się w niej jak w zbroi. W popękanych, napuchniętych i zeszywniałych od zimna palcach nie miała czucia. Ból poczuła dopiero wtedy, gdy przygniótł je ciężki głaz.

Wieczorem po powrocie do baraku kładła swoje przemoczone ubranie do łóżka. Nie było żadnego miejsca, w którym można by je wysuszyć, a gdyby rozwiesiło się je gdzieś, na pewno zostałoby skradzione. Zazwyczaj więc, gdy kładła się spać, wsadzała swój mokry pasiak pod głowę jako poduszkę. Rano ubierała go z powrotem, choć był nadal przemoczony. Jeżeli miała szczęście, to wysechł nieco w drodze do pracy, lecz tylko po to, by znowu nasiąknąć wodą. Była chuda jak patyk i zimny wiatr dosłownie przewiewał ją na wskroś.

Zdolna do pracy

Kolejnym jej zadaniem było ładowanie kamieni na taczki, które inne kobiety zawoziły na barki, zacumowane na Dunaju. Miała poranione dłonie, połamane paznokcie i krwawiące opuszki. Za gorzką ironię losu można by uznać fakt, że jedynie krańcowe wyczerpanie nie pozwalało jej odczuwać w pełni dojmującego bólu, targającego całym jej ciałem.

W końcu pewnego poranka obudził ją odgłos wody ściekającej z okapu baraku. Nadeszła wiosna. Lecz wraz z nią pojawiło się nowe utrudnienie: zmarznięta na beton ziemia zamieniła się w błotnistą breję.

Strażnicy, eskortujący więźniarki do miejsca pracy i z powrotem do obozu, byli jedynymi mężczyznami, jakich widziały. Niektóre z nich opowiadały sobie wulgarne dowcipy na ich temat.

Annie Stanescu, zgryźliwa mała prostytutka, i Zenaida, koleżanka Sabiny, zwykle wiodły w tym prym, prześcigając się w pikantnych komentarzach.

— Ten Petru ma ręce jak goryl — powiedziała pewnego dnia Zenaida ściszonego głosem, żeby nie słyszeli jej strażnicy. — Spójrzcie na jego włosy na karku! Założę się, że jest owłosiony od stóp do głów.

— O, są tu takie, które mogą to potwierdzić — roześmiała się Annie, pokazując galerię złotych zębów.

Niektóre kobiety zachichotały.

— Fuj! — westchnęła Zenaida, udając zniesmaczoną. — Ciekawe co ich w nas pociąga. Nie mogą tego pojąć. Czy możecie sobie wyobrazić bardziej nieapetyczne i nieatrakcyjne istoty niż my?

Riposta Annie na tę uwagę wywołała salwy śmiechu u jej przyjaciółek. Nieprzyzwoite słowa fruwały tam i z powrotem. Sabina patrzyła prosto przed siebie, starając się nie zwracać na to uwagi.

— Nasza mała święta nie lubi brzydkiego gadania! — krzyknęła Annie. — Myśli, że jesteśmy okropne!

Sabina milczała, co jeszcze bardziej rozjuszyło pozostałe więźniarki. Choć Annie rzadko chciała wyrządzić komuś krzywdę swoją paplaniną, to jednak przysłużyła się Sabinie gorzej, niż zamierzała.

Po całym dniu pracy zmęczone i obolałe kobiety ustawiły się w kolumnie, przygotowując się do znojnego marszu błotnistą drogą wzdłuż Dunaju. Petru, jeden ze strażników, szturchnął swojego kolegę, młodego chłopaka o tępym wyrazie twarzy i płaskim nosie, po czym podstawił Sabinie nogę. Sabina upadła twarzą w błotnistą maź.

Strażniczki ryczały ze śmiechu.

Petru chwycił ją mocno, podniósł i postawił na nogi. Cała lepiła się od błota.

— A teraz, moja pani — warknął — potrzebna ci jest kąpiel.

— Do Dunaju z nią! — wrzasnął kobiecy głos.

Sabina starała się wyrwać z jego uścisku, ale drugi strażnik przyszedł mu z pomocą. Petru chwycił ją za nadgarstki, a ten drugi za kostki. Poderwali ją do góry, zamachnęli się i rzucili w górę. Wyładowała na kamienistej przybrzeżnej płyciźnie. Nie mogła złapać oddechu. Była ogłuszona, ale przytomna. Lodowata woda zalewała ją wartkim nurtem, wlokąc jej wątłe ciało po kamieniach. Z brzegu słychać było krzyki, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Gdy tylko usiłowała wstać, pędząca woda podcinała jej nogi. Wszystko na nic. Była za słaba.

Nagle dwie mocne ręce chwyciły ją pod pachy i wyciągnęły na brzeg. Ktoś inny posadził ją i poklepał po plecach. Była oszołomiona i chciało się jej wymiotować. Poczula ostry ból w boku. Kręciło się jej w głowie i szumiało w uszach. Czyżby była to woda życia płynąca w raj? — zastanawiała się. Ale potem otworzyła oczy i zobaczyła błoto, strażników i kolumnę przemokniętych kobiet stojących na brzegu. Nie, na pewno nie jest jeszcze w niebie.

— Wszystko z nią w porządku. Wstawaj! — jakaś kobieta z groźną miną stanęła nad nią.

— Ruszaj się, bo zamarzniesz — dodała łagodniej.

Szorstkie ręce postawiły ją na nogi. Cała się trzęsła, lecz bardziej z powodu szoku niż zimna. Trzymała się dłońmi za klatkę piersiową. Ból był nie do wytrzymania. Z każdą chwilą stawał się bardziej dotkliwy.

Gdy nareszcie wróciła do baraku, obejrzała swoje rany. Miała okropnie posiniaczony bok i zdartą skórę na rękach i nogach. Podniesienie rąk do góry było prawdziwą męką. Udało jej się jakoś zawlec na pryczę. Próbowała zasnąć. Co kilka minut starała się znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję. Lecz takiej nie było.

Rano poszła do obozowej lekarki, złej kobiety o nazwisku Cretzeanu. Cały jeden bok jej ciała pokrywał fioletowo-żółty siniak wyglądający jak mapa Afryki. Nie była w stanie podnieść ręki powyżej bioder.

— Zdolna do pracy! — obwieściła Cretzeanu.

Sabina chciała zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że wszczywanie sporu zakończy się tylko jeszcze ostrzejszą karą, być może karcerem. Podeszła do kobiet, które miały wyruszyć do pracy. Lecz gdy kolumna ruszyła, stanęła z boku.

— Co się z tobą dzieje? — warknęła nadzorczydni, spoglądając na przygarbioną Sabinę.

— Nie mogę iść dzisiaj do pracy — powiedziała. — Strasznie mnie boli. Myślę, że mam złamane zębra.

Możliwe, że nadzorczydni dałaby jej trochę wytchnienia, lecz okrutny Petru szybko zakończył całą sprawę. Chwycił Sabinę za nadgarstek i wyciągnął na bok. Przejmujący ból przeszył całe jej ciało.

— Jej problem jest taki, że wczoraj nie wypełniła normy. Do roboty!

Obrócił ją dookoła i oparł na jej plecach swojego wielkiego buta, po czym nie tyle ją kopnął, co wepchnął do szeregu. Sabina poszła do pracy — tego dnia i każdego następnego. Choć, jak później stwierdzili lekarze, miała złamane dwa zębra.

Diana i Florea

Nadeszło w końcu lato — promyczek nadziei w ponurym obozie. Do baraku Sabiny przydzielono dwie nowo przybyłe dziewczyny.

Niektóre prostytutki znały je, choć obie trzymały się od nich z dala. Nieśmiało zajęły prycze w przeciwległym kącie baraku.

Nieco później Sabina dowiedziała się, że są siostrami. Miały na imię Diana i Florea. Miały ciemną karnację i skupiony wyraz twarzy. Były przy tym ciche i miały dobre maniery. Lecz — jak mówiły te, które je znały — były też prostytutkami, skazanymi jak inne na pracę nad Kanałem.

Otaczała je aura smutku i tajemniczości. Nikt nie wiedział za wiele o ich przeszłości, choć wiele kobiet próbowało wściubić swój nos i czegoś się dowiedzieć. Pracowały niewolniczo i spały, i zapewne pozostałyby dla Sabiny tajemnicą, gdyby Diana nie usłyszała, jak strażniczka wywołuje nazwisko Wurmbrand.

Diana natychmiast podeszła do Sabiny i zapytała:

— Czy znasz Richarda Wurmbranda?

— Tak, jestem jego żoną — odpowiedziała.

— Och! — Nie wiem, co sobie o mnie pomyślisz?

— Co masz na myśli?

— Mój ojciec był świeckim kaznodzieją — powiedziała drżącym głosem. — Czytał nam książki Richarda Wurmbranda. Nazywał je swoim „duchowym pokarmem”. Został wsadzony do więzienia za swoją wiarę. Zostawił chorą żonę i szóstkę dzieci. Ja i Florea jesteśmy najstarsze. Obydwie straciłyśmy pracę w fabryce, gdy ojciec poszedł do więzienia. Wkrótce naszej rodzinie zaczął grozić głód.

Sabina położyła delikatnie dłoń na jej ramieniu, starając się dać jej otuchy. Diana opowiadała dalej rozdzierającą serce historię swojego życia.

— Jakiś czas temu pewien chłopak zaprosił mnie na randkę. Poszliśmy do kina, a potem na kolację. Powiedział, że może załatwić mi pozwolenie na pracę. A potem... — Diana spuściła głowę i otarła łzy, które napłynęły jej do oczu — piliśmy wino, o wiele za dużo wina, a potem... mnie uwiódł.

Wkrótce wydarzyło się to ponownie. Lecz tym razem nie było już mowy o pozwoleniu na pracę. Dostała pieniądze. Wiedząc, jak straszliwie matka potrzebuje ich na utrzymanie rodziny, przyjęła je. Tydzień później przedstawił jej kolegę — po czym zostawił ich samych. Kiedy z kolei ten mężczyzna chciał się z nią kochać, była oburzona. Lecz on także pokazał jej pieniądze, których tak strasznie potrzebowała. I powiedział, że to kolega podsunął mu ten pomysł. Niechętnie oddała mu się.

W miarę napływu kolejnych klientów pozbyła się zupełnie wstydu. Przywykła do takiego życia, a nawet wołała je od harówki w fabryce.

Z tego, jak opowiadała o swoich przeżyciach, Sabina zorientowała się, że coś ukrywa. Nagle przerwała i spojrzała badawczo na Sabinę.

— Myślałam, że będziesz oburzona. Czyż nie napawa cię wstrętem to, że pochodzę z domu chrześcijańskiego i zostałam — prostytutką?

Nie jesteś prostytutką — odpowiedziała łagodnie Sabina. — Jesteś więźniarką. Bo przecież nikt nie jest prostytutką ani świętą, ani nawet kucharką czy stolarzem przez cały czas. Każdy jest sobą. To, co robisz, stanowi cechę tylko części tego, kim jesteś. Może się to zmienić w każdej chwili. A ja wierzę, że już się zmieniłaś, mówiąc mi o tym.

Diana chciała uwierzyć jej słowom, ale widać było wyraźnie, że nie podniosły jej na duchu. Wsunąwszy zaciśnięte dłonie między kolana, siedziała na swojej wąskiej pryczy w pustym baraku. Z jej twarzy biło ogromne napięcie i poczucie winy.

— Gdybym to była tylko ja — wydusiła w końcu z siebie — to nie byłoby tak źle. Ale namówiłam swoją siostrę, żeby się do mnie przyłączyła. Mój chłopak to zaproponował. Powiedział, że to nie jest w porządku, żeby cała rodzina spoczywała na moich barkach. Więc w końcu przedstawiłam go Florei i umówiłam ich.

Wkrótce również Florea została wtajemniczona. Największą trudność sprawiało im zachowanie wszystkiego w tajemnicy przed ich piętnastoletnim bratem, który je ubóstwiał. Podobnie jak ojciec był religijny i niezwykle wrażliwy, ale w ogóle nie znał życia.

— Nie skrzywdziłyby nawet muchy — powiedziała Diana, potrząsając głową. — Staraliśmy się, aby o niczym nie wiedział.

Lecz nowy styl życia siostr — nocne wypadki i nagły napływ pieniędzy — wzbudziły podejrzenia sąsiadów. W niedługim czasie jeden z nich zbadał całą sprawę i powiedział o wszystkim chłopcu.

— Z powodu szoku postradał zmysły — Diana powiedziała ze smutkiem. — Znalazł się w szpitalu dla umysłowo chorych.

Niedługo później został zwolniony ojciec. Kiedy dowiedział się prawdy, powiedział:

— Proszę Boga tylko o jedno — żeby wysłał mnie z powrotem do więzienia, abym nie musiał patrzeć na to, co stało się z moją rodziną.

Strumienie łez popłynęły po twarzy Diany.

— Dostał to, czego chciał — dodała. — Zaczął udzielać dzieciom lekcji z ewangelii i doniesiono na niego do służby bezpieczeństwa. Ten donosiciel powiedział mi później, że zrobił to, żeby mój ojciec nie przeszkadzał nam w interesach. Był nim ten sam chłopak, który mnie uwiódł.

Sabina, zaszokowana i zasmucona tą tragiczną historią, przytuliła do siebie Dianę.

— Wstydzisz się tego, co zrobiłaś i słusznie. W świecie pełnym cierpienia, w którym nawet Bóg został przybity do krzyża, nie możesz pozwolić, żeby Jego imię, które nosisz jako chrześcijanka, została pohańbiona. Taki ból i poczucie winy mogą doprowadzić cię do świetlistej sprawiedliwości. Pamiętaj, żołnierze na Golgocie nie tyle przebili bok Chrystusa, co „otworzyli” go, żeby grzesznicy, tacy jak ty i ja, mogli z łatwością dotrzeć do jego serca i znaleźć przebaczenie.

Diana zastanowiła się chwilę i powoli odpowiedziała:

— Wstyd, cierpienie. Tak, znam je. Ale jest jeszcze coś, co muszę powiedzieć. Nie zawsze nienawidziłam pracy, którą wykonywałam. A teraz przez cały czas złe myśli pojawiają się w mojej głowie. Nie mogę ich zatrzymać.

Codziennie Sabina modliła się o udręczoną Dianę i w końcu ta biedna dziewczyna zrzuciła z siebie brzemię winy. Myślała też dużo o tych dwóch siostrach i tym, że zgrzeszyły, aby zdobyć chleb dla swojej rodziny. Doszła w końcu do wniosku, że być może większy grzech ciąży na tych chrześcijanach z wolnego świata, którzy nie zdali sobie trudu, żeby wysłać im jedzenie, które mogłoby je ocalić.

W pani oczach widzę siebie

Kilka tygodni później przyprowadzono Sabinę do zastępczyni naczelnika obozu. Była to kobieta o rumianej twarzy, z ogorzalymi rękami i dużymi zębami. W swoim okazałym mundurze poruszała się niczym w zbroi.

— Mówisz więźniarkom o Bogu. To musi się skończyć! — ostrzegła surowo.

— Przykro mi, ale nic mnie od tego nie powstrzyma — odpowiedziała Sabina.

Rozwścieczona zastępczyni naczelnika uniosła pięść i zamierzyła się na Sabinę. Po czym zatrzymała się i zaczęła się w nią wpatrywać.

— Czemu się uśmiechasz? — powiedziała z naciskiem.

Twarz pulsowała jej ze złości.

— Jeśli się uśmiecham — powiedziała Sabina — to z powodu tego, co widzę w pani oczach.

— Cóż tam widzisz?

— Siebie samą. Każdy, kto zbliży się do drugiej osoby, może zobaczyć w niej samego siebie. W pani oczach widzę siebie. Ja również byłam impulsywna. Wpadałam we wściekłość i waliłam pięściami. Myślałam tylko o sobie. Dopóki nie zrozumiałam, co to naprawdę znaczy kochać. Ten, kto kocha, potrafi poświęcić się dla prawdy. Od kiedy nauczyłam się tej lekcji, moje dłonie nie zaciskają się w pięści.

Kobieta była najwyraźniej zaskoczona odwagą Sabiny.

— Gdyby spojrzała pani w moje oczy — Sabina mówiła dalej w zupełnej ciszy — to zobaczyłaby pani, jakiej przemiany może dokonać w pani Bóg!

Rozmówczyni Sabiny skamieniała. Choć gniew jej nie minął, powiedziała cicho:

— Odejdź.

Sabina nadal mówiła więźniarkom o Chrystusie. Zastępczyni naczelnika nie przeszkadzała jej.

Wolność

Po upływie kolejnych długich miesięcy Sabina została nieoczekiwanie wypuszczona na wolność. Próbowała przeczytać dokument potwierdzający jej uwolnienie. U góry widniał napis: „Zaświadczenie uwolnienia”. Lecz słońce już zaszło i zrobiło się za ciemno, żeby czytać dalej. Wsiadła do ciężarówki, którą wraz z innymi więźniarkami została wywieziona z obozu. Po niedługim czasie wysadzono je daleko poza rogatkami Bukaresztu.

Szła przez przedmieścia ze swoim tłustym, śmierdzącym tobołkiem. Po raz pierwszy po niemal trzech latach widziała ludzi śpieszących się po pracy do domu i robiących zakupy dla swoich rodzin. Wszędzie wokół toczyło się życie, jakie znała przed swoim aresztowaniem. Nie mogła się doczekać, żeby dotrzeć do domu — jeżeli dom jeszcze w ogóle istniał.

Zastanawiała się nad tym, ile zmian zaszło podczas jej nieobecności. Nie miała pojęcia, co stało się z jej krewnymi i przyjaciółmi. Mihai ma już teraz czternaście lat. Jak się zmienił przez te lata? Bała się, czego może się dowiedzieć, ale zarazem niezmiernie chciała się z nim zobaczyć.

Gdy przejeżdżała tramwajem obok ulicy Zwycięstwa, odżyły w niej smutne wspomnienia z siedziby służby bezpieczeństwa, w której była przetrzymywana na początku. Nic się nie zmieniło. Gigantyczne portrety czterech geniuszy ludzkości — Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina — nadal lustrowały tłumy drepzące po ulicy.

W końcu dotarła do dobrze sobie znanej kamienicy i weszła po schodach na górę. Zapukała do drzwi, mając nadzieję, że to również się nie zmieniło. Prawie zemdląła z wrażenia, gdy drzwi otworzyła jej przyjaciółka.

— Sabina! — przyjaciółka przyłożyła ręce do ust i zrobiła krok do tyłu, żeby się jej lepiej przyjrzeć. — Czy to możliwe?

Uściskały się serdecznie i rozpląkały. Wówczas pojawił się Mihai. Sabina myślała, że serce jej pęknie ze szczęścia, gdy zobaczyła go w drzwiach. Był blady, jeszcze wyższy niż wówczas, gdy odwiedził ją w obozie i wciąż bardzo chudy. Zauważyła również, że zrobił się już z niego młodzieniec.

Gdy się objęli, łzy popłynęły jej po policzkach. Mihai odchylił się nieco i delikatnie zaczął je ocierać.

— Nie płacz tak bardzo, mamó — powiedział.

Sabina była tak bardzo szczęśliwa, trzymając znowu swojego syna w ramionach, iż wydawało jej się, że gdy teraz się wypłaczę, już nigdy nie uroni ani łzy.

Wystarczy jedno słowo

W ciągu pierwszych kilku dni po powrocie do domu czuła się tak, jakby powstała z martwych. Ogromnie cieszyła się, że jest wolna! Niestety, już wkrótce musiała stawić czoła ponurej rzeczywistości. Choć nie była już w więzieniu, to jednak jako żona więźnia i była więźniarka była nadal wyrzutkiem społecznym.

Bez kartek żywnościowych nie mogła nawet kupić chleba. A otrzymanie ich było niemożliwe. Pewnego poranka wiele godzin czekała w kolejce w urzędzie państwowym. Gdy w końcu dotarła do maleńkiego okienka, siedząca za nim dziewczyna warknęła:

— Gdzie jest pani karta pracy? Bez niej nie można otrzymać kartek żywnościowych.

— Ale ja jestem byłą więźniarką. Nie mam możliwości otrzymania karty pracy — wyjaśniła Sabina.

— Nic na to nie poradzę. Nie ma karty pracy i numeru, nie ma kartek żywnościowych — odpowiedziała urzędniczka, spoglądając już na następną osobę w kolejce. — Następny!

Po raz kolejny Sabina i Mihai musieli polegać na życzliwości innych ludzi.

Mieszkanie Wurmbbrandów i cały ich dobytek zostały skonfiskowane. Na szczęście w tej samej kamienicy mieszkali teraz ich przyjaciele, którzy pomogli Sabinie i Mihaiowi zamieszkać na małym, dwupokojowym poddaszu. Meble były rozklekotane, stare łóżka miały popękane sprężyny, nie było bieżącej wody ani toalety. Sabina cieszyła się jednak, że jej syn jest znowu przy niej i postanowiła stworzyć dla nich dom.

Pewnego poranka, kilka miesięcy po uwolnieniu Sabiny z więzienia, w drzwiach ich poddasza stanął urzędnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Był to otyły mężczyzna z tubalnym głosem i czarnymi włosami z przedziałkiem pośrodku. Miał ze sobą teczkę, pekąjącą w szwach od upchanych w niej dokumentów.

Krzyczał, że Sabina jest złą matką i nie troszczy się odpowiednio o swojego syna. Sabina siedziała w milczeniu. Wiedziała, co się zbliża.

Po co w ogóle — powiedział w końcu — jest nadal związana z mężem? Kontrrewolucjonistą, z którym już nigdy się nie spotka! Zdrowy rozsądek podpowiada, że młoda inteligentna kobieta, taka jak ona, powinna rozwieść się z wrogiem państwa. Jeśli nie uczyni tego teraz, to z pewnością później. Jak długo ma zamiar występować przeciwko państwu w tym swoim ślepym, głupim uporze?

Zastraszał, to znowu przymilał się i opowiadał rozdzierające serce historie o nieuchronnym losie Sabiny. Miłość? — drwił — miłość? To wierutna bzdura — nic takiego nie istnieje. Potrzeba jej nowego męża i ojca dla dziecka. Nie ma żadnej miłości dla kontrrewolucjonistów.

Gotując się z gniewu, pomyślała: Masz czelność mówić tak do mnie w moim domu. Nie poślubiłam mojego męża tylko dla szczęśliwych chwil. Zostaliśmy połączeni na zawsze i niezależnie od tego, co się wydarzy, nie rozwiódę się z nim.

Urzędnik przekonywał i namawiał ją przez kolejne pół godziny. Ona zaś w ogóle się nie odzywała. Przypomniało jej się stare przysłowie: Nawet Bóg nie może zaprzeczyć komuś, kto milczy.

W końcu urzędnik dał sobie spokój, potrząsając swoją okrągłą głową.

— Wcześniej czy później przyjdiesz do nas — powiedział, zamykając za sobą drzwi. — One wszystkie to robią — wiesz?!

Sabina słyszała jego hałaśliwie kroki na schodach.

— Idzie do swojej następnej ofiary — pomyślała ze smutkiem — u której zapewne bardziej mu się poszczęści.

Władze czyniły wszelkie starania, żeby skłonić żony więźniów do wystąpienia o rozwód. Po pierwsze więzień, usłyszawszy o tym, że został porzucony, częstokroć zupełnie tracił wolę walki, a nawet chęć do życia. Po drugie łatwiej było wówczas nakłonić takie żony do życia na modłę komunistów. Kiedy rozwód był już sfinalizowany, kobiety te strasznie pragnęły zapomnieć o swoich mężach i najłatwiejszym na to sposobem było przyjęcie linii partyjnej. Sabina знаła mnóstwo rozwódek, które jak papugi powtarzały hasła szydzące z więźniów politycznych — mężczyzn, których kiedyś kochały i których dzieci urodziły. Po trzecie pozbawione ojca dzieci były zdane na łaskę państwa i już od najmłodszych lat można je było poddawać indoktrynacji.

Wystarczyło jedno słowo, żeby to wszystko załatwić. Kiedy zadzwonił urzędnik, mówiło się: „Tak”. A on zajmował się resztą. Kilka dni później mąż zostawał poinformowany w obecności innych więźniów ze swojej celi, że jego żona postanowiła się z nim rozwieść. Mężczyzna taki myślał wówczas: Kogo ja w ogóle teraz obchodzę? Byłbym głupcem, gdybym nie uległ i nie podpisał tych bredni, które mi podsuwają jako warunku wyjścia na wolność. Nawet jeśli podpisał, to w więzieniu mógł spędzić jeszcze kilka lat. W międzyczasie jego żona poślubiła innego mężczyznę i miała dzieci ze swoim nowym mężem. Tak oto niszczone rodziny.

Sabina zachęcała żony więźniów, aby przygotowały się na odwiedziny urzędników i były wierne swoim mężom. Aby kochały ich takimi, jakimi są, a nie takimi, jakimi według nich powinni być. Radziła im, aby w chwilach pokusy myślały o szczęśliwych chwilach ze swojego małżeństwa.

Niestety, nazbyt często jej wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Naciski na żony więźniów okazywały się zbyt silne.

Kolejna pokusa

Sabina miała już czterdzieści trzy lata, gdy w jej życiu pojawił się Paul. Wiedziała, że jest w niej zakochany. Od wielu miesięcy nie miała żadnych wieści o Richardzie. Czuła, że lata uciekają. Nie była nawet pewna, czy jej mąż jeszcze żyje. Tak wielu zapukało do jej drzwi i opowiadało o tym, że byli w więzieniu z pastorem Richardem Wurmbrandem i że on zmarł. Czy była to prawda — czy też kolejna sztuczka komunistów?

Gdy myślała o Paulu, ciężko jej było słuchać własnych mądrych rad, których często udzielała innym kobietom. Paul był dobry i uprzejmy. Podobnie jak ona był chrześcijaninem żydowskiego pochodzenia. Mieszkał w jednym pokoju ze swoimi rodzicami, którzy byli już w podeszłym wieku, i czasami zabierał Mihaia do kina lub pomagał mu w nauce.

— Oto ktoś — myślała często — z kim kobieta mogłaby spędzić życie w miłości i wzajemnym zaufaniu.

Czasami, gdy rozmawiali, chwycił ją za rękę. Nie wysuwała jej. Ich relacja nigdy nie rozwinęła się w coś, co kościół lub prawo uznaloby za cudzołóstwo. Mimo to wiedziała, że postępuje źle.

Pewnego dnia odwiedził ją jej pastor.

— Wiesz, jak bardzo cię kocham i cenię — powiedział z poważną miną. — I nic nie zdoła tego zmienić. Znam ciebie i Richarda od wielu lat. Mam nadzieję, że wiesz, iż niezależnie od tego, czy zgrzeszycie czy nie, czy stracie wiarę czy też ją zachowacie, nadal będę troszczył się o was w taki sam sposób. Bo jesteście dla mnie ważni niezależnie od okoliczności.

Był bardzo przejęty i mówił z wyjątkową szczerością.

— Wybacz mi więc, że zapytam — powiedział po chwili, patrząc Sabinie prosto w oczy. — Jak wygląda twoja znajomość z Pauliem?

Przez chwilę Sabina milczała.

— Nie myśl, że ja nie przechodziłem przez takie próby. Proszę jednak, odpowiedz na moje pytanie.

— On jest we mnie zakochany — powiedziała, opuszczając głowę.

— A czy ty jesteś w nim zakochana?

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Być może.

— Pamiętam, co Richard zwykł mówić — pastor rozwijał swoją myśl. — „Żadna namiętność nie zdoła oprzeć się głosowi rozsądku. Jeśli zaczekasz, jeśli dasz sobie czas na przemyślenia, to zrozumiesz, jak wielką krzywdę mógłbyś lub mogłabyś wyrządzić swojemu mężowi lub żonie, a także swoim dzieciom”. Chciałbym, żebyś podjęła trudną decyzję — najtrudniejszą ze wszystkich. Już więcej nie spotykaj się z tym mężczyzną.

Miał rację. Była to rzeczywiście bardzo trudna decyzja. Sabina chciała zapanować nad swoimi uczuciami i zapomnieć o Paulu, ale była też matką i kobietą. Wiedziała, że byłby dobrym mężem i wrażliwym towarzyszem życia, dzięki któremu pozbyłaby się dojmującego poczucia samotności. Byłby też dobrym ojcem dla Mihaia. Pokusa

była prawie ponad jej siły, zważywszy to, że nawet przyjaciele z kościoła mówili jej: „Twój mąż nie żyje. Miałaś wystarczająco ciężkie życie. Dlaczego ten mężczyzna nie miałby się tobą zaopiekować? Jest dobrym chrześcijaninem i kocha cię”.

Tylko pastor miał na tyle odwagi, żeby powiedzieć jej prawdę. Wiedziała, że ma rację. Zdawała sobie sprawę, że szatan chce zniszczyć jej reputację. W końcu z wielkim trudem powiedziała Paulowi, że nie mogą się już więcej spotykać i postanowiła nadal czekać na Richarda.

Pocztówka

Kilka tygodni później szorowała podłogę w kościele, gdy nagle wpadła tam jej przyjaciółka Marietta, wymachując kartką pocztową. Łzy spływały jej po policzkach.

— Myślę — Sabino, myślę, że to od...

Nie była w stanie mówić dalej. Ukłęknęła obok Sabiny na mokrych deskach, nie mogąc złapać tchu.

Sabina odwróciła tanią pocztówkę na drugą stronę. Była podpisana przez Vasila Georgescu, lecz duże, nieregularne i piękne litery nie pozostawiały żadnych wątpliwości — był to charakter pisma Richarda. Oczy jej się zamgliły i przycisnęła pocztówkę do piersi. Wiedziała, że wszystko co piszą więźniowie polityczni jest poddawane cenzurze i że mogą napisać tylko dziesięć linijek. Co Richard mógł napisać po tak wielu latach, nie wiedząc nawet, czy jego żona i syn jeszcze żyją? Wstrzymała oddech i przez załzawione oczy przeczytała: „Czas i odległość dławią małą miłość, ale wielką umacniają...” Richard prosił też, aby w określonym dniu przyjechała zobaczyć się z nim w szpitalu więziennym w Tirgul-Ocnie.

Kartka od Richarda była najwspanialszą nowiną, jaką mogła otrzymać. Lecz choć bardzo pragnęła się z nim zobaczyć, nie mogła pojechać. Co tydzień musiała stawiać się na posterunku milicji. Pomimo jej wielokrotnych prośb nie uchylono jej zakazu opuszczania miasta. Nie zobaczy więc swojego ukochanego męża. Cieszyła się jednak, że Mihai będzie mógł pojechać zamiast niej.

Tirgul-Ocna to małe miasteczko daleko na północy Rumunii, po drugiej stronie Karpat. Trasa pociągu, licząca wiele set kilometrów, wiedzie przez góry. Z Mihaiem pojechała przyjaciółka Sabiny, nazywana przez nich ciocią Alicją, ale tylko on mógł zobaczyć się z ojcem.

Sabina niecierpliwie wyczekiwała ich powrotu. Nie było ich dwa dni i przez cały ten czas nachodziły ją przeróżne zmartwienia i pytania: Czy Mihaiowi uda się zobaczyć z ojcem? Czy pozwoli Richardowi zatrzymać kilka ciepłych ubrań i jedzenie, które mu wysłała? Skoro jest w więziennym sanatorium, to musi być bardzo chory. Czy będzie miał siłę, żeby wstać z łóżka lub choćby porozmawiać z Mihaiem? I jak zareaguje Mihai, gdy zobaczy swojego ojca po tak wielu latach? Czy będzie zdruzgotany, widząc go w tak ciężkim stanie?

Wrócili późno wieczorem. Był grudzień. Sabina usłyszała ich, jak wchodzą po schodach.

— Widzieliśmy go! Widzieliśmy go! On żyje. Trzyma się na nogach! — krzyczała Alicja jeszcze na klatce schodowej.

Weszli do mieszkania obsypani śniegiem.

— Mihaiu! — Sabina przytuliła się do niego, przyciskając policzek do jego wełnianego płaszcza, pokrytego kryształkami lodu.

— Mamo! Tato ma się dobrze i mówi, żeby ci powiedzieć, że wie, że wkrótce do nas wróci. Powiedział, że jeśli Bóg może dokonać jednego cudu i sprawić, że mnie zobaczył, to może dokonać także drugiego i połączyć nas wszystkich razem.

Rozplakali się.

— Musieliśmy całymi godzinami czekać w śniegu — opowiadała Alicja. — Wpuścili nas przed główną bramę, a potem staliśmy na placu otoczonym ogrodzeniem z drutu kolczastego, z dala od budynków sanatoryjnych. Więźniowie przechodzili przez otwarty teren do baraku, w którym spotykali się z odwiedzającymi. Ich widok był przerażający! Grupki okutanych postaci na tle błyszczącego śniegu. Jak szare widma. Wśród nich zobaczyłam idącego Richarda. Nie można go było przegapić. Jest taki wysoki. Machałam jak szalona, ale mnie nie zauważył. Byliśmy strasznie stłoczeni i wszyscy machali. Tylko Mihaiowi pozwolono z nim rozmawiać.

— W takich warunkach niewiele mogliśmy powiedzieć — dodał Mihai. — Na pożegnanie tato powiedział mi: „Mihaiu, jedyne, co mogę ci dać jako ojciec, to tę radę: dąż zawsze do najwznioślejszej z cnót chrześcijańskich, którą jest zachowywanie we wszystkim właściwej miary”.

Sabina włożyła kartkę od Richarda do swojej Biblii. Czytała ją setki razy. Richard powiedział jej później, że w więzieniu stał się mistrzem w pisaniu miniaturowych liścików. Ponieważ w niewielu słowach potrafił zawrzeć bardzo dużo treści, inni więźniowie przychodzili do niego po pomoc w zredagowaniu przydzielonych im

dziesięciu linijek. Rozmawiali też między sobą o tym, co Richard napisał. W rezultacie dziesiątki więźniów zaczynało swoje kartki od słów: „Czas i odległość dławią małą miłość, ale wielką umacniają”. W taki oto sposób przesłanie miłości i nadziei rozchodziło się wszędzie, a więzienny kaznodzieja miał pełne ręce roboty.

Pewnego pięknego poranka

Rok 1956 zastał cały blok komunistyczny w buntowniczym nastroju. Sowieckie „plany pięcioletnie” spaliły na panewce. Niedobory żywności były takie jak zawsze. Pensje były niskie. Rozwiały się też wszystkie nadzieje rozbudzone po śmierci Stalina.

W lutym na XX Zjeździe KPZR Chruszczow wygłosił swoje tajne przemówienie, w którym potępił Stalina i jego poczynania. Rosjanie nigdy go nie opublikowali, ale w niedługim czasie wszystkie kraje Europy Wschodniej poczuły wiejący z Moskwy ciepły powiew odwilży. Pojawiało się coraz więcej oznak destalinizacji. Ogromne siły milicyjne i niezwykle rozbudowana służba bezpieczeństwa zostały zredukowane liczebnie. W celu ratowania gospodarki negocjowano z krajami zachodnimi kontrakty handlowe warte miliony dolarów. Kolektywizacja została złagodzona. W kilku krajach bloku komunistycznego rozpoczęła się walka o przywództwo w partii. Najwspanialsze jednak było to, że w wyniku amnestii codziennie uwalniano setki więźniów politycznych.

Sabina nie śmiała nawet marzyć, że Richard będzie pośród nich. Nie było żadnych podstaw, by w to wierzyć. Wciąż miał przed sobą dwanaście lat odsiadki. Lecz pewnego pięknego czerwcowego poranka w 1956 roku po powrocie od przyjaciół zastała go w domu. Był wychudzony i miał ogoloną głowę. Przypominał bardziej szkielet niż mężczyznę. Gdy ją objął, niemal zemdląła. Bała się, że już nigdy nie znajdzie się w jego ramionach. Tego wieczoru przyjaciele z całego Bukaresztu przychodzili się z nim zobaczyć. Było dużo śmiechu i łez.

Richard bardzo wiele wycierpiał w więzieniu. Torturowano go najwymyślniejszymi metodami i faszowano lekami. Na swoim zmaltretowanym ciele miał osiemnaście blizn po torturach. Lekarze odkryli, że jego płuca były pokryte zrostami po gruźlicy. Nie mogli wprost uwierzyć, że przeżył w więzieniu osiem i pół roku (w tym trzy lata w podziemnej izolatce) w zasadzie nie leczony. Dostał teraz najlepsze łóżko w szpitalu. Wszyscy uwolnieni więźniowie spotykali się z uprzejmością i szczodrością ludzi dosłownie na każdym kroku.

Stanowili najbardziej uprzywilejowaną grupę w Rumunii. Doprowadzało to komunistów do szału.

Niedługo po tym, jak jego stan się poprawił, Sabina i Richard obchodzili dwudziestą rocznicę ślubu. Nie mieli ani grosza na prezenty, lecz mimo to Richardowi udało się zdobyć ślicznie oprawiony notatnik, w którym co wieczór zapisywał wiersze miłosne do Sabiny — miłości swojego życia.

Obydwoje przeszli przez wiele pokus i cierpień. Bóg był ich siłą, a miłość motywacją. Mieli za sobą dziesięć tragicznych lat. Niestety ten koszmar jeszcze się nie skończył.

Otocz go swoimi aniołami

Wieczorem 13 stycznia 1959 roku pewna kobieta z kościoła Wurmbrandów przybiegła do nich z płaczem. Tydzień wcześniej pożyczyła trochę kopii kazań Richarda. Setki z nich, powielonych na powielaczu, krążyło po całej Rumunii. Było to całkowicie wbrew prawu. Kobieta ta chciała ostrzec Richarda, że służba bezpieczeństwa przeprowadziła nalot na jej mieszkanie i zabrała te pożyczone kopie. Bała się, że niedługo mogą przyjść po niego. Z kolei od innego przyjaciela dowiedzieli się, że młody pastor, który twierdził, że jest przyjacielem Richarda, zadenuncjował go. Możliwe, że go szantażowano i zmuszono do podpisania donosu pod karą więzienia.

Następnego dnia o pierwszej w nocy rozzłoszczeni funkcjonariusze służby bezpieczeństwa po raz kolejny załomotali w drzwi Wurmbrandów i wtargnęli na ich malutkie poddasze.

— To ty jesteś Richard Wurmbrand? — powiedział głośno kapitan dowodzący akcją. — Idź do drugiego pokoju. I zostań tam.

W ich małym mieszkanku znowu kłębiło się wielu mężczyzn otwierających szafki, wysypujących zawartość szuflad i wyrzucających papiery na podłogę. Na biurku Richarda znaleźli kartki z notatkami, kazania napisane na maszynie, sfatygowane Biblie. Wszystko zostało skonfiskowane.

Potem wpadł im w ręce notatnik, który Sabina dostała na rocznicę ślubu. Richard zapisywał w nim dla niej wiersze miłosne.

— Proszę, nie zabierajcie tego. To jest pamiątka, prezent. Na nic wam się nie przyda — błagała ich.

Nic to jednak nie pomogło. Kapitan założył Richardowi kajdanki i wyprowadził go z drugiego pokoju.

— Czy nie wstyd wam traktować w ten sposób niewinnych ludzi?
— Sabina powiedziała odważnie.

Richard przesunął się w jej stronę, ale chwycili go i odciągnęli.

— Nie opuszczę tego domu bez walki, jeśli nie pozwolicie mi objąć mojej żony — ostrzegł.

— Puśćcie go — powiedział kapitan i jeden z funkcjonariuszy ściągnął mu kajdanki.

Richard i Sabina uklęknęli pośród stojących wokół nich funkcjonariuszy i zaczęli się modlić. Potem cicho zaśpiewali pieśń „Jedynym fundamentem Kościoła jest Jezus Chrystus, nasz Pan”.

Ciężka ręka opadła na ramię Richarda.

— Musimy iść. Jest już prawie piąta — powiedział cicho kapitan.

Miłość Richarda i Sabiny zrobiła na nim wielkie wrażenie. W oczach miał łzy.

Kajdanki ponownie znalazły się na nadgarstkach Richarda i funkcjonariusze wyprowadzili go z mieszkania. Sabina zeszła za nimi po schodach. Na dole Richard odwrócił się i powiedział:

— Uściskaj Mihaia.

A po chwili zastanowienia dodał:

— I pozdrów tego pastora, który doniósł na mnie.

Po czym zniknął, wepchnięty do furgonetki.

Sabina biegła za odjeżdżającą furgonetką, ślizgając się po oblodzonej ulicy, płacząc i wołając:

— Richardzie! Mój kochany Richardzie!

W końcu furgonetka zniknęła za rogiem. Sabina zatrzymała się bez tchu. Była zrozpaczona. Po chwili wróciła na poddasze. Drzwi były otwarte na oścież. Szlochając, rzuciła się na podłogę.

— Panie, powierzam mojego męża w Twoje ręce — modliła się.
— Jestem bezsilna, ale Ty potrafisz przechodzić przez zaryglowane drzwi. Postaw wokół niego aniołów. Sprowadź go z powrotem!

Siedziała w ciemności i modliła się, aż nastał nowy dzień. Rano odwiedziła ją Alicja. Sabina wciąż siedziała na podłodze. Czerwonymi od płaczu oczami spojrzała na swoją przyjaciółkę i powiedziała:

— Znowu ukradli mojego Richarda.

Epilog

Richard zniknął na kolejnych sześć lat. W ciągu tego całego okresu Sabina miała okazję zobaczyć go tylko raz. Z wielkim odda-

niem prowadziła nadal swoją służbę w kościele podziemnym i wiernie czekała na męża. Nigdy nie zwątpiła w to, że Bóg sprowadzi go z powrotem.

W grudniu 1965 roku Richard został wykupiony z Rumunii za dziesięć tysięcy dolarów przez norweską Misję dla Żydów i Hebrajski Alians Chrześcijański. Średnia cena za więźnia politycznego wynosiła wówczas tysiąc pięćset dolarów. Richard i Sabina nie chcieli opuszczać swojej ojczyzny, lecz wierzący z kościoła podziemnego przekonali ich, że powinni wyjechać z Rumunii, aby mogli stać się głosem tych, którzy są prześladowani za wiarę i świadczyć o niezwykłej miłości Bożej, przejawiającej się w ekstremalnie ciężkich okolicznościach. Rok później Richard, Sabina i Mihai dotarli do Stanów Zjednoczonych. Mimo iż komuniści grozili im śmiercią, natychmiast stali się rzecznikami ciemionych chrześcijan.

W październiku 1967 roku, mając tylko sto dolarów i starą maszynę do pisania, która stała na stole w kuchni, Wurmbrandowie napisali pierwszy numer biuletynu Głos Męczenników. Od tamtej pory jest on wydawany regularnie. Na całym świecie rozprowadzono blisko dziesięć milionów jego kopii w kilkudziesięciu językach.

Doświadczenia, jakie ich spotkały, ubogaciły ich wewnątrznie. Od samego początku swojego pobytu w Stanach Zjednoczonych nieustrudzenie dzielili się przesłaniem nadziei i miłości w obliczu prześladowań i męczeństwa.

Krótko przed swoją śmiercią spowodowaną chorobą nowotworową w sierpniu 2000 roku Sabina poprosiła swojego ukochanego Richarda (również bardzo chorego), aby podszedł do jej łóżka. W obecności nielicznego grona przyjaciół powiedziała mu ponownie, jak bardzo go kocha i poprosiła, aby wybaczył jej wszystkie błędy, które popełniła. Odczuwała wówczas ostry ból, lecz nie zgodziła się na przyjmowanie żadnych środków uśmierzających. Chciała bowiem mieć trzeźwy umysł i być w pełni świadoma, gdy przyjdzie jej pożegnać się z doczesnym życiem, w którym zaznała tak wiele cierpienia, ale zarazem tak wiele radości. Wiodła życie, którego źródłem była miłość Chrystusa i miłość tę okazywała wszystkim, którzy ją znali. **

** Dokładniej losy rodziny Wurmbrandów opisują książki: Richard Wurmbrand: *„Torturowani z powodu Chrystusa”* oraz Sabina Wurmbrand: *„Wcierpieniu i nadziei”*, Wydawnictwo Euro-Laser, Kraków 2005.

Tara: Niekończąca się ucieczka

Pakistan
Czerwiec 1985

Listonosz podszedł do rezydencji i zajrzał przez okno. Już sam przedpokój był tak duży, jak wiele domów w pakistańskich wioskach.

— Mam paczkę dla Tary — powiedział, gdy służa w końcu otworzył drzwi. — Potrzebny mi jej podpis. Czy mogę wejść?

Pod pachą niósł średniej wielkości brązowe tekturowe pudełko. Długopis miał już przygotowany.

— Nie, nie może pan wejść — służa odpowiedział stanowczo. — Proszę dać mi tę paczkę, a przekażę ją. Ojciec nie pozwala córce podchodzić do drzwi.

— Dobrze — listonosz zgodził się niechętnie. — Muszę jednak mieć podpis Tary lub jakiegoś opiekuna. W przeciwnym razie nie mogę zostawić paczki. Rozumie pan?

— Tak, tak — odparł zniecierpliwiony służa, wyciągając ręce po przesyłkę. — A teraz, proszę dać mi tę paczkę.

Tara przyglądała się wszystkiemu zza rogu, zastanawiając się, o co to całe zamieszanie i kto miałby jej wysyłać paczkę.

— Co to jest? — zapytała służę. — Od kogo?

Służa wzruszył ramionami i dał jej kartkę do podpisania. Nie dbale zapisała swoje nazwisko i wzięła paczkę. Była cięższa, niż myślała. Chwyliła ją w dwie ręce i wolnym krokiem poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Chociaż jej rodzina była dosyć liczna, to jednak miała ona swoją własną ładnie umeblowaną sypialnię. Naprzeciwko dużych okien były wbudowane szafy, a po dwóch stronach łóżka stały śliczne stoliki nocne, na których lśniły ozdobne kryształowe lampy. Ojciec miał słabość do swojej córeczki. Jej pokój był pełen prezentów, które od niego dostała.

Była ogromnie przejęta — tak jak każde inne dwunastoletnie dziecko, gdy dostaje pocztą nieoczekiwaną paczkę. Położyła pudełko na podłodze, uklękła przed nim i zdarła taśmę zabezpieczającą. Zajrzawszy do środka, aż westchnęła. Radość i ciekawość szybko zamieniły się w niepokój. Poderwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi. Otworzyła je na tyle, aby wystawić głowę. Rozejrzała się po korytarzu. Chciała się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Zamknęła drzwi, tym razem przekręcając również klucz w zamku. Po czym powróciła do otwartego pudełka, leżącego na środku pokoju.

Wewnętrzny głos odpowiadał jej, że powinna po prostu oddać tę paczkę ojcu.

— Tak byłoby bezpiecznie — mówiła sobie.

Mogłaby po prostu powiedzieć, że nie ma pojęcia, dlaczego ją dostała. Prawda była jednak taka, że dobrze wiedziała, skąd jest ta paczka. Było w niej coś, o co poprosiła. Kilka tygodni wcześniej wypełniła i wysłała mały kupon z lokalnej gazety. Zamówienie zostało właśnie zrealizowane. Bała się jednak, co się z nią stanie, jeśli wszystko się wyda. W jej młodej głowie zaczęły się kłębić przeróżne myśli. Musiała postanowić, czy zatrzyma przesyłkę, oczywiście w tajemnicy, czy też powie ojcu.

Ciekawość przewyciężyła strach i Tara wyjęła z pudełka jedną z małych książeczek. Na kremowej okładce widniało słowo: Genesis. Usiadła na łóżku, otworzyła ją i zaczęła czytać.

Od dnia, w którym otrzymała kurs biblijny, z wielką pasją pochłaniała materiał, niemal co tydzień przerabiając dwie lub trzy nowe lekcje. Wypełnione testy wsadzała do kopert, zaklejała je i prosiła sługę, aby je wysyłał. Co jakiś czas otrzymywała pocztą dyplom uznania za pomyślne ukończenie kolejnej części kursu.

Pochodziła z wpływowej, ortodoksyjnej rodziny muzułmańskiej, znanej w całym Pakistanie. Nie miała wcale zamiaru zmieniać swojej wiary. Kurs biblijny po prostu bardzo ją zaciekał. Szczególną radość sprawiały jej przepiękne dyplomy, które otrzymywała. Zadania były proste i interesujące. A poza tym wszystkiemu towarzyszył dreszczyk emocji. Musiała bowiem codziennie pieczołowicie ukrywać pod swoim łóżkiem pudełko razem z jego zawartością. Słudzy, którzy pomagali jej wysyłać i odbierać pocztę, zobowiązali się do dochowania tajemnicy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ojciec wpadłby w szal, gdyby się o tym dowiedział. Wiedzieli jednak również, że była ukochaną córeczką tatusia. Byłby rozgniewany, ale zapewne skończyłoby się na tym, że nakrzyczałby na nią i zabrał jej kurs biblijny. Była to dla niej po prostu rozrywka.

— Czy nauka może komuś zaszkodzić? — pytała samą siebie.

Dwa i pół roku później wysłała ostatni test — ukończyła cały kurs, obejmujący wszystkie księgi Biblii. Odczuwała prawdziwą satysfakcję, że udało się jej opanować tak duży materiał. Nie mogła się przy tym nadziwić, że wszystko było za darmo i że tajemnica nie wydała się. Gdy po kilku tygodniach przyszła kolejna przesyłka, jej zdziwienie było tym większe. Paczka była o wiele mniejsza niż ta, w której przysłano kurs, ale dosyć ciężka jak na swój rozmiar. Wysłali ją ci sami ludzie, którzy wysłali kurs i dyplomy. Nie miała jednak pojęcia, co było w środku. Ku swojemu zdumieniu znalazła w niej piękną niebieską Biblię ze złożonymi krawędziami stron. Była to najpiękniejsza książka, jaką kiedykolwiek widziała. Otworzyła ją i na pierwszej stronie zauważyła swoje imię i nazwisko zapisane ozdobnymi literami oraz gratulacje za pomyślne ukończenie całego kursu biblijnego. Delikatnie przewracała pelurowe kartki, po czym ukryła swój nowy podarunek pod kółkiem razem z innymi książkami. Już samo posiadanie kursu biblijnego było wystarczająco niebezpieczne. Gdyby jednak przyłapano ją z Biblią, byłaby z tego straszna awantura.

Nie miała wówczas pojęcia, jak straszna.

Chrześcijanka

Minął rok. Tara ukończyła z wyróżnieniem dziesiąty rok nauki w szkole i otrzymała propozycję przeprowadzenia badań religioznawczych w Iranie. Jej rodzina dosyć często odbywała pielgrzymki do tego kraju i Tara miała wielką ochotę na wyjazd. Sądziła również, że potajemnie ukończony kurs biblijny pomoże jej w zdobyciu większej wiedzy na temat chrześcijaństwa.

Rodzina towarzyszyła jej w podróży. W trakcie pobytu w Iranie Tara po raz pierwszy spotkała chrześcijanina. Pewnego popołudnia wyszła z hotelu, żeby zrobić trochę zdjęć na dziedzińcu przed położonym opodal meczetem. Były jej potrzebne do referatu, który miała przygotować. Młoda dziewczyna z zagranicy nie powinna była spacerować sama po ulicy. Obiecała jednak swojemu najstarszemu bratu, który tego dnia się nią opiekował, że nie będzie odchodzić daleko od hotelu. Niechętnie pozwolił jej wyjść.

Gdy chodziła po dziedzińcu, robiąc zdjęcia, natrafiła na dziwny widok. Jakiś mężczyzna siedział na ziemi obok dziewczyny, która była może o kilka lat młodsza od niej. Miał złożone ręce i patrzył w niebo. Najwyraźniej z kimś rozmawiał.

— Co robisz? — zapytała, czując, że coś dziwnego przyciąga ją do tego człowieka.

— Rozmawiam z Bogiem — odpowiedział po prostu.

— Nie możesz rozmawiać z Bogiem — zaprotestowała, przerywając swoją wypowiedź niewinnym śmiechem. — Bóg nie zejdzie na dół, żeby z tobą porozmawiać, a ty nie możesz wznieść się do Niego. Chyba że umrzesz. Jakże więc możesz mówić, że rozmawiasz z Bogiem?

Mężczyzna spojrział na nią spokojnie i z uśmiechem dodał:

— Ja nie tylko z Nim rozmawiałem. Otrzymałem również odpowiedź.

Była teraz już zupełnie pewna, że ten człowiek oszalał.

— Dostałeś odpowiedź? Nie jesteś prorokiem ani aniołem. Jakże mógłbyś otrzymać odpowiedź od Boga?

— Czy chciałabyś się dowiedzieć, jak można rozmawiać z Bogiem?

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała.

Ani przez chwilę mu nie wierzyła, ale chciała usłyszeć, co powie. Była pewna, że nie będzie to mieć żadnego sensu.

— To spotkajmy się jutro o czwartej po południu.

Wyciągnął czystą kartkę papieru i zapisał adres swojego kościoła i drogę do niego.

— Przyjdź, a dowiesz się nie tylko, jak można rozmawiać z Bogiem. Dowiesz się również, że On cię kocha.

Gdy wróciła do hotelu i opowiedziała o tym, co się jej przydarzyło, brat bardzo się rozżłościł.

— Co ty sobie wyobrazasz? Nie możesz tam iść. To jest kościół chrześcijański! Jesteśmy w Iranie, a ty jesteś muzułmanką. Gdyby przyłapano cię w takim miejscu, mogliby cię powiesić!

— Mam napisać pracę na temat różnych religii. Jak mam to zrobić, jeśli nie mogę przeprowadzić żadnych badań? — protestowała.

Stanęło na tym, że brat zgodził się pójść na posterunek policji i złożyć oficjalną prośbę o udzielenie pozwolenia na pójście do kościoła. Stamtąd odesłano go do sądu, który wydał odpowiednie zaświadczenie. Urzędnicy zażądali jednak, żeby podczas wizyty w kościele towarzyszyło jej dwunastu policjantów i starszy brat.

— Nie musisz się bać — powiedział jej brat. — Będę z policjantami zaraz za drzwiami, gdyby coś się wydarzyło.

Zastanawiała się, co takiego dzieje się w kościele, że konieczne są aż takie środki bezpieczeństwa.

Nazajutrz o czwartej po południu weszła do kościoła. Wchodziła powoli, drżąc lekko na całym ciele. Brat i ochrona czekali na zewnątrz. Oprócz mężczyzny, którego spotkała na dziedzińcu, nigdy dotychczas nie widziała nikogo, kto nie był muzułmaninem. Zastanawiała się, jak wyglądają chrześcijanie, jak się zachowują. Czy są niebezpieczni?

Znalazła miejsce z tyłu kościoła. Usiadła blisko głównego wejścia, aby w razie potrzeby mogła szybko wyjść. Większość drewnianych ławek była już zajęta. Zaczął się śpiew. Śpiewano różne pieśni. Wydawało się jej, że w tekstach piosenek rozpoznaje niektóre z wersetów, które przerabiała w ramach kursu biblijnego. Po śpiewie jakiś mężczyzna wszedł na podium i zaczął mówić o modlitwie. Powiedział, że każdy, kto pragnie poprosić o modlitwę w jakiejś sprawie, jest proszony o wyjście do przodu.

Wśród osób, które wychodziły z ławek, zauważyła znajomego mężczyznę. Niósł na rękach małą, może ośmioletnią dziewczynkę – zapewne córkę – która wyglądała na bardzo chorą i straszliwie osłabioną. Jej ręka zwisała bezwładnie na plecach niosącego ją ojca. Oczy były zupełnie pozbawione wyrazu. Życie ledwie się w niej tliło.

Mężczyzna podszedł do przodu i zaczął się na głos modlić, prosząc Boga, aby uzdrowił jego dziecko. Pozostali przyłączyli się do jego błagań. Tara znowu pomyślała sobie, że trzeba być naprawdę szalonym, by w ten sposób rozmawiać z Bogiem. W imię czego Bóg miałby zstąpić na ziemię, żeby pomóc temu dziecku? Nie miało to dla niej absolutnie żadnego sensu. Lecz pomimo swojego sceptycyzmu była zafascynowana tym, co widziała. Chciała wszystko dokładnie zapamiętać i opisać w swojej pracy.

Nagle zauważyła, że dziewczynka zaczęła się poruszać. Jej nogi powoli się wyprostowały i ojciec delikatnie postawił ją na podłodze, pomagając jej stanąć na nogach o własnych siłach.

— Mój Boże! — pomyślała. — To nie do wiary.

Zebrani w kościele zaczęli ponownie śpiewać pieśni pochwalne dla Boga. Mała dziewczynka, już zupełnie zdrowa, przeszła między rzędami ławek i podeszła do Tary. Spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała po prostu:

— *Emmanuel.*

Po czym odwróciła się i wróciła do ojca.

Wszystko to, co się wydarzyło — i myśli, kłębiące się w jej głowie — napawały Tarę przerażeniem. Dlaczego ta mała dziewczynka podeszła akurat do niej? W kościele było przecież tak wiele osób. Jak to się stało, że jej nogi zostały uzdrowione? I co znaczy *Emmanuel*? Jej poszukiwania dostarczyły jej więcej pytań niż odpowiedzi. Postanowiła jednak rozwikłać tę tajemnicę.

O tym, czego była świadkiem w kościele, nie odważyła się powiedzieć nikomu. Lecz oczywiście nie mogła o tym zapomnieć. Po powrocie do domu w Pakistanie udała się do jedyne go miejsca, w którym, jak sądziła, może znaleźć jakieś odpowiedzi. Sięgnęła po niebieską Biblię. Tym razem nie czytała jej, by odrobić kolejne zadanie, lecz wytrwale poszukiwała prawdy. Codziennie śłęczała nad Pismem Świętym, starając się zrozumieć, na czym polega różnica między Biblią a Koranem. Usiłowała się dowiedzieć, dlaczego muzułmanie są tak wrogo nastawieni do chrześcijan.

— Bóg chrześcijan musi być prawdziwy — myślała. — Gdyby tak nie było, to jak mógłby słyszeć ich, gdy się modlą?

Zdradzona

Po jakimś czasie zrozumiała, że sama nie da sobie z tym rady. Musi z kimś porozmawiać. Kurs religijny — a także to, czego była świadkiem w kościele i co przeczytała w Biblii — nie tylko nie odpowiedziało na jej pytania, lecz wzbudziło nowe. Strasznie chciała zrozumieć, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

— Tatusiu, idę spotkać się z przyjaciółmi — powiedziała ojcu, przygotowując się do wyjścia.

Po raz pierwszy w swoim szesnastoletnim życiu okłamała go. Pośpiesznie wyszła z dużej, luksusowej rezydencji swojej rodziny. Targały nią wyrzuty sumienia, ale musiała dowiedzieć się, na czym polega wiara chrześcijańska. Wiedziała, że jedynym sposobem na rozwianie wątpliwości będzie ponowna wizyta w kościele.

Pojechała na drugi koniec miasta, weszła do kościoła i jak poprzednio usiadła z tyłu. Nabożeństwo właśnie się zaczynało. Po nabożeństwie przedstawiła się mężczyźnie, który je prowadził i powiedziała, że, jeśli to możliwe, chciałaby mu zadać kilka pytań. Pastor zgodził się. Wychodziła z założenia, że kościół to kościół, a chrześcijanin to chrześcijanin i że każdy z nich będzie w stanie jej pomóc. Niestety w tym przypadku myliła się.

Przychodziła do pastora co tydzień z wieloma pytaniami. W miarę upływu czasu czuł się on coraz bardziej nieswojo. Obawiał się

o swoje bezpieczeństwo i niejedną raz dawał jej do zrozumienia, że byłoby lepiej, gdyby już nie przychodziła.

— Dokąd jednak mam pójść, aby znaleźć odpowiedzi na moje pytania? — odpowiadała.

Jej wytrwałość przekonała go na jakiś czas, lecz w końcu doszedł do wniosku, że ryzyko jest zbyt duże. Licząc na uwolnienie się od kłopotów raz na zawsze, spotkał się z ojcem Tary i poinformował go o jej częstych wizytach w jego kościele i pytaniach na temat Biblii. Kilkuminutowa rozmowa wystarczyła, by zdradzić nastoletnią mużłankę, która usiłowała się dowiedzieć, kim naprawdę jest Bóg.

— Co ty u diabła wyprawiasz?! — ojciec Tary wrzeszczał na nią, gdy tego popołudnia wróciła do domu. — Czy masz pojęcie, jaki wstyd przyniosłaś mnie i naszej rodzinie? Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, żeby spotykać się z tym człowiekiem? On nie jest mużłamaninem. Tylko chrześcijaninem! Jak mogłaś być taka głupia? A może jesteś jedną z nich?

Tara była zaszokowana tym wybuchem złości u ojca. Nie знаła go w ogóle z tej strony. Usiłowała wytłumaczyć, że zadawała tylko pytania i nie miała zamiaru przechodzić na chrześcijaństwo, lecz nie chciał jej słuchać. W gniewie kazał jej zniknąć mu z oczu. Pobiegła zapłakana do pokoju. Nie miała pojęcia, co to wszystko znaczy i jak ma ułagodzić jego gniew.

Wiele pytań nadal pozostawało bez odpowiedzi. Siedziała sama w pokoju, nie mogąc się otrząsnąć z tego, co się właśnie wydarzyło. Mimo to coś przyciągało ją do niebieskiej, oprawionej w skórę Biblii. Ocierając łzy z twarzy, otworzyła ją. Usiłowała czytać, choć nadal huczała jej w głowie gwałtowna tyrada ojca.

Stopniowo wciągnęła się w lekturę. Słowa ze starożytnej księgi, pełne Bożej miłości, wpływały na nią kojąco i dodawały otuchy. Czytanie Pisma Świętego tak bardzo ją pochłoneło, że straciła poczucie czasu i nie zauważyła, kiedy ojciec wszedł do pokoju. Początkowo z jego twarzy można było wyczytać, że jest mu przykro, iż tak strasznie nawrzeszczał na swoją córeczkę. Gdy jednak zobaczył, co czyta, jego skrucha przerodziła się w szal.

— Jesteś chrześcijanką! Teraz widzę to! — krzyczał.

— Tatusiu, przysięgam, nie jestem chrześcijanką. Jestem tylko ciekawa. Musisz mi uwierzyć!

— Nie okłamuj mnie! To po co miałabyś czytać Biblię?

— Proszę, tatusiu! To tylko książka. Wiesz, że ostatnio prowadzę dużo badań.

Rozpaczliwie starała się przekonać go o swojej niewinności, gdy nagle zamachnął się i uderzył ją mocno w twarz.

— Jak mogłaś zrobić coś takiego naszej rodzinie? Jesteśmy muzułmanami!

Zaszokowana i obolała, odsunęła się o kilka kroków, wpatrując się w niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Nie mogła uwierzyć, że ją uderzył. Ojciec podszedł do niej i wymierzył jej kolejny policzek.

— Urodziliśmy się muzułmanami i umrzemy muzułmanami. A ty, ty nie jesteś już moją córką!

Głośny szloch Tary ściągnął jej najstarszego brata, który wbiegł do pokoju, aby zobaczyć, co się stało.

— Twoja siostra została chrześcijanką! Odwiedzała pastora, a teraz przyłapałem ją na czytaniu Biblii!

Gdy brat usłyszał te oskarżenia, po jego zatroskaniu nie zostało ani śladu. Wpadł w szal, zamierzył się na Tarę i zaczął ją bić razem z ojcem. Jego wzrok padł na niebieską Biblię. Z ogromną zawziętością zaczął rozrywać ją na strzępy. Ojciec znalazł płócienny pasek, złożył go na pół i zaczął na oślep bić nim swoją córkę po twarzy i plecach. Tara leżała skulona ze strachu na podłodze i rozpaczliwie szlochała.

— Ojcze, musisz znaleźć jej męża. I to szybko, zanim będzie za późno — powiedział czerwony z gniewu brat.

Gdy wychodzili z pokoju, ojciec kiwał przytakująco głową.

Emmanuel, Emmanuel

Leżąc na podłodze, Tara po raz pierwszy pomodliła się:

— Boże, nie rozumiem, o czym mówią mój ojciec i brat. Nie jestem chrześcijanką. Jestem muzułmanką. Lecz nie wiem teraz, którą drogą powinnam iść. Proszę, pokaż mi ją, a pójdę nią.

Po zakończeniu modlitwy odczuła dziwny pokój. Nie podnosząc się z podłogi, zapadła w głęboki sen. Po jakimś czasie poczuła, jak ktoś unosi jej głowę i czule głaszcze ją po policzku. Usłyszała głos. Brzmiał tak, jakby ktoś zbliżał się do niej z tyłu.

— *Emmanuel, Emmanuel* — mówił.

Usiadła szybko i rozejrzała się po pokoju. Nie było w nim nikogo. Starając się odtworzyć w pamięci ten dziwny sen — bo przecież to był sen, prawda? — próbowała powtórzyć to dziwaczne słowo, które usłyszała już po raz drugi: *Emmanuel*.

Położyła się na łóżku i wróciła myślami do tamtego wydarzenia w Iranie.

— Co to znaczy? — myślała głośno. — I dlaczego ciągle słyszę to słowo?

Ostrożnie dotknęła swojej twarzy, krzywiąc się z bólu. Nigdy dotychczas ojciec jej nie uderzył. Gniew i gwałtowność, z jaką ją bił, zdruzgotały ją. Zawsze byli sobie tacy bliscy. Teraz wiedziała, że już nigdy tak nie będzie. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie łatwo pohamować wściekłość ojca. Ani też powstrzymać jej przed uporczywym poszukiwaniem prawdy.

Kilka dni później ojciec postanowił z nią porozmawiać. Twarz miała nadal posiniaczoną. W jego oczach ponownie malował się smutek.

— To prawdziwy wstyd, że ojciec bije swoją córkę. Musisz zrozumieć, że nie chciałem cię skrzywdzić. Lecz to, co zobaczyłem, było po prostu ponad moje siły. Proszę, wybac mi.

Siedziała w milczeniu. Bała się do końca zaufać kolejnemu przejawowi czułości ojca.

— Wiem, że przyszła teraz pora — kontynuował — abyś wyszła za mąż.

Przypomniła sobie wówczas, co powiedział jej brat, gdy ją zbili. Lecz miała dopiero szesnaście lat i wcale nie chciała wychodzić za mąż.

— Tatusiu, jestem za młoda, żeby wychodzić za mąż. Chcę skończyć studia — starała się zachować spokój.

Ojciec wstał i nieco bardziej stanowczym głosem dodał:

— Powiedziałem, że najlepiej będzie, jeśli wyjdiesz za mąż. To nie jest tylko prośba.

Coraz większy chłód wyczuwalny w jego głosie przyprawił ją o ciarki. Nie miała jednak zamiaru dać łatwo za wygraną:

— Nie, tatusiu, nie chcę. Jestem taka młoda i najpierw chcę skończyć szkołę. Nie chcę zaaranżowanego małżeństwa, tatusiu! Kim on jest? Jak się nazywa? W co wierzy?

Te ostatnie słowa wyrwały jej się zupełnie nieświadomie. Jakże głupie ze strony młodej muzułmanki było zadanie takiego pytania. Dla jej rodziny istniała tylko jedna religia: islam. Ojciec wpadł w furię i znowu zaczął wrzeszczeć:

— Co to znaczy: W co wierzy? Wyznajemy tutaj tylko jedną religię! Jesteśmy muzułmanami!

Chwył ją za ramię i przyciągnął bliżej do siebie, tak że patrzył jej prosto w oczy.

— Jesteś chrześcijanką! Tak! Teraz jestem tego pewien!

Zanim udało się jej powiedzieć słowo w swojej obronie, ojciec ponownie uderzył ją w twarz. Był całkowicie przekonany, że jego córka przeszła na chrześcijaństwo i robił to, co uważał za swój obowiązek.

Gdy kolejny cios dosięgnął jej twarzy, do pokoju weszła jedna z jej sióstr. To, co zobaczyła, przeraziło ją i zaczęła krzyczeć.

Ojciec i brat Tary, nie zważając na błagania członków rodziny i służ, którzy akurat znaleźli się w pobliżu, zawlekli ją do jej pokoju i zamknęli za sobą drzwi na klucz. Trzęsąc się ze strachu, skuliła się w kącie. Miała podstawy, by obawiać się o swoje życie.

Ojciec i brat bili ją wszystkim, co wpadło im w ręce: kablem elektrycznym z jednej z kryształowych lamp i metalową poprzeczką z szafy. Wynieśli lub wypchnęli na korytarz wszystkie jej rzeczy — dywany, łóżko, ubrania, sprzęt elektroniczny, prawie każdy drobiazg. Gdy ta okropna scena dobiegła końca, pokrwawiona Tara leżała bezwładnie w środku swojego zupełnie pustego pokoju. Ostatnie słowa ojca, zanim zatrzasnął drzwi, brzmiały:

— Albo wyjdiesz za mąż, albo umrzesz. Wybór należy do ciebie. Jeśli chcesz być chrześcijanką, to nie ma dla ciebie miejsca w tym mieście. Lecz jeśli wyjdiesz za mąż, to będziesz mogła być moją córką. W przeciwnym razie umrzesz tutaj w samotności.

Ucieczka

Leżała na chłodnej posadzce, tracąc, to znowu odzyskując przytomność. Nikomu nie pozwolono udzielić jej pomocy. Rodzina uważała, że z pewnością zmądrzeje, jeśli zostawi się ją samą bez jedzenia i pomocy medycznej. Trzeciego dnia spróbowała usiąść, lecz jej włosy przywarły do podłogi w kałuży zaschniętej krwi. Była wciąż oszołomiona. Starła się ogarnąć myślami to, co się wydarzyło. Gdy oglądała swoje rany, ogarnęła ją fala smutku. Poczowała mdłości. W najczarniejszych snach nie myślała, że jej poszukiwania Boga mogą doprowadzić do czegoś tak potwornego. Teraz jednak myślała tylko o jednym — o ucieczce. By uratować życie. Dotychczas nie spędziła ani jednego dnia bez swojej rodziny. Nie miała pojęcia, co ma robić, ale nie miało to znaczenia. Wiedziała, że musi działać.

Z trudem podeszła do swojej szafy, aby zobaczyć, czy coś w niej nie zostało. Znalazła jedną rzecz, której nie zauważyli: małą torbę podrózną z ostatniego wyjazdu do Iranu. Było w niej parę ubrań, nieco pieniędzy, a także trochę biżuterii i paszport. Po cichu ściągnęła zakrwawione ubranie i włożyła nowe, krzywiąc się z bólu przy każdym ruchu. Gdy była gotowa, stanęła na środku swojego pokoju i po raz ostatni rozejrzała się wokół. Wiedziała, że jeśli odejdzie, już nigdy nie będzie mogła wrócić do domu. W jej kulturze ucieczka była czymś niemal równie złym jak przejście na chrześcijaństwo. Była w pełni świadoma, że rodzina nigdy nie pogodzi się z takim upokorzeniem. Jeżeli ją złapią, to tym razem na pewno ją zabiją.

Z ciężkim sercem wymknęła się przez okno swojej sypialni i ukradkiem wyruszyła w stronę przystanku autobusowego. Była obolała, zeszywniała i zrozpaczona. Przy życiu trzymał ją tylko strach przed tym, co zrobiłby ojciec lub brat, gdyby ją znaleźli — i głębokie pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o Bogu chrześcijan. Gdy dotarła na dworzec autobusowy, kupiła bilet w jedną stronę do miasta położonego o kilka godzin drogi, które ledwo co знаła. Była tam kilkakrotnie z rodziną i miała zamiar znaleźć schronienie w kościele, który tam widziała. Każdy chrześcijanin z tego miasta z pewnością jej pomoże. Tak przynajmniej sądziła.

Podróż autobusem trwała długo. Pasażerowie przyglądali się pokrwawionej nastolatce i szeptali coś między sobą. Jako atrakcyjna dziewczyna z szanowanej rodziny kuliła się ze wstydu, wiedząc, co muszą sobie myśleć. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżywała. Miała tylko nadzieję, że jej poszukiwania Boga są warte tych wszystkich wyrzeczeń. Starła się unikać spojrzeń, gapiących się na nią zewsząd ludzi. Oby tylko ci nieznajomi nie oddali jej w ręce policji. Kobiety w jej kraju mają niewiele praw i rzadko można je spotkać w miejscu publicznym bez męskiego członka rodziny.

Gdy autobus w końcu dojechał na miejsce, szybko wysiadła i próbowała wtopić się w tłum, co nie było takie łatwe, zważywszy, że była posiniaczona i zakrwawiona. Pocieszała się, że gdy tylko dotrze do kościoła, będzie mogła się umyć.

Przy drzwiach wejściowych spotkała oficera Armii Zbawienia. Ku jej zdziwieniu próbował odwieść ją od zamiaru szukania pomocy w kościele.

— Na twoim miejscu nie chciałbym być sam na sam z duchownym tego kościoła. Chodzą pogłoski... — powiedział.

Była bliska płaczu.

— Co to znaczy? — zapytała. — Myślałam, że chrześcijanin to chrześcijanin, a teraz mówi mi pan, że ten kościół nie jest dla mnie dobry. Czy po to opuściłam dom?

— Zabiorę cię do swojego domu — powiedział uprzejmie. — Mogę ci pomóc i zapewnić ochronę.

Chociaż miała poważne wątpliwości, czy powinna pójść do domu tego mężczyzny, to jednak wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia. Niechętnie zgodziła się. Okazało się, że ma żonę i dwóch synów. Cała rodzina była dla niej miła — przez jakieś dwa tygodnie. Wówczas zaczęły się podejrzenia. Żona zastanawiała się, czy przypadkiem jej mąż nie chce mieć romansu z tą śliczną młodą dziewczyną, która u nich gości. W końcu Tara nie mogła już tego dłużej znieść i poprosiła mężczyznę, żeby zabrał ją gdzie indziej.

— Na pewno zna pan kogoś w jakimś innym mieście, kto mógłby mi pomóc — błagała. — Proszę mnie tam tylko zawieźć, a ja już sama znajdę sobie pracę. Doceniam pańską pomoc, ale nie chcę sprawiać waszej rodzinie więcej kłopotów.

— Rzeczywiście, znam pewnego człowieka, który mógłby ci pomóc. Pochodzi nawet z twojego miasta — odpowiedział.

Gdy usłyszała te słowa, przeraziła się.

— Nie sądzę, że to dobry pomysł — powiedziała. — Mój ojciec nie wie, gdzie jestem, i nie chcę, żeby się dowiedział. Proszę mi tego nie robić.

— Nie martw się — zapewnił. — Znam tego człowieka. Pomoże ci.

Wyklęty wujek

Nie widziała wyjścia z tej sytuacji. Zgodziła się więc spotkać z tym człowiekiem. Gdy zobaczyła go w umówionym miejscu, omal nie zemdląca.

— To mój ojciec! Oszukał mnie pan! — krzyknęła.

— Nie, to nie twój ojciec. Przysięgam — odparł. — Idź i przywitaj się z nim.

Ku swojemu ogromnemu zdumieniu dowiedziała się, że ten mężczyzna — uderzająco podobny do jej ojca — jest w rzeczywistości jej wujkiem, którego nigdy nie poznała.

— Dlaczego ojciec nigdy nam o tobie nie powiedział? — zapytała.

— Zostałem chrześcijaninem w 1952 roku, zanim wprowadzono prawo szariat — tłumaczył, nawiązując do przyjęcia przez państwo prawa koranicznego. — W tamtych czasach nawrócenie nie było

przestępstwem, ale nie było akceptowane społecznie. Twój ojciec wyrzekł się mnie. Od tamtej pory pracuję tutaj jako pastor. A teraz widzę, że Bóg przysłał mi ciebie. Nie martw się. Zaopiekuję się tobą. Będę traktował cię jak córkę.

Ogromny ciężar spadł jej z serca. Poczuła, jak budzi się w niej iskierka nadziei. Może będzie mogła się tu osiedlić, znaleźć pracę i kontynuować naukę.

Wujek był dobrym i wielkodusznym człowiekiem. Szybko go pokochała i zaczęła podziwiać. Wiele godzin rozmawiał z nią o chrześcijaństwie i odpowiadał na wszystkie jej pytania. Dzięki niemu poznała znaczenie słowa *Emmanuel* — „Bóg jest z nami”. Po dwóch miesiącach pobytu w jego domu i wspólnych rozmów nabrała przekonania, że wie dokładnie, kim jest Jezus. W modlitwie poprosiła Boga o odpuszczenie grzechów i oddała Mu całe swoje serce.

Poszukiwania Boga zakończyły się pomyślnie, lecz ciężkie doświadczenia dopiero się zaczynały.

Kłopoty pojawiły się na nowo, gdy pewnego dnia do wujka przybył w odwiedziny kuzyn. Zobaczył Tarę i zaczął coś podejrzewać.

— Nie, nie — wujek zapewniał go. — To tylko przyjaciółka, przyjechała do nas na kilka dni.

Lecz kuzyn nie dał się przekonać. Gdy wrócił do domu, zadzwonił do jej ojca i powiedział mu, że dziewczyna, która mieszka u jego brata, to prawdopodobnie Tara.

Kilka dni później Tara pracowała w kuchni swojego wujka, gdy nagle usłyszała pośpieszne kroki, zbliżające się od strony drzwi frontowych. Chciała zobaczyć, co się dzieje i omal nie zderzyła się z wujkiem, gdy ten wpadł do kuchni, machając rękami jak szalony.

— To twój ojciec! Idzie tutaj. Musisz uciekać — teraz! Szybko! Ukryj się u przyjaciela, o którym ci mówiłem. Tu masz trochę pieniędzy. Uciekaj już! I nie martw się. Nic nie powiem twojemu ojcu. Zajrzę do ciebie za kilka dni.

Ojciec i brat Tary stali już dosłownie w progu, gdy wybiegała tylnymi drzwiami. Nie miała ani chwili do namysłu — musiała uciekać. Gnał ją strach. Pędziła co sił w nogach. W kieszeni odnalazła kartkę z adresem gospodarstwa za miastem, którą miała zawsze przy sobie — na wypadek, gdyby coś takiego się przydarzyło. Nie mogąc złapać tchu i czując ból w nogach, dotarła w końcu na główną, zatłoczoną ulicę. Przestała biec, by nie wzbudzać podejrzeń i zaczęła iść szybkim krokiem. Zatrzymała taksówkę, usiadła na tylnym siedzeniu i zamknęła oczy. Nie mogła uwierzyć, że znowu musi uciekać

— zaledwie po dwóch krótkich miesiącach pobytu w domu swojego niedawno odnalezionego wujka. Lecz chociaż serce łomotało jej jak zwariowane — z powodu nagłego przyływu adrenaliny i szybkiego biegu — to jednak równocześnie doznawała dziwnego uczucia pokoju. Modliła się w duchu o swojego tatę i brata, prosząc, żeby nie sprawili wujkowi zbyt wiele przykrości.

W gospodarstwie przebywała dziesięć dni, aż sytuacja w mieście uspokoiła się. W końcu odwiedził ją wujek. Nie mogła się doczekać, żeby wrócić z nim do domu. Kiedy jednak zobaczyła wyraz jego twarzy, serce jej zamarło:

— Coś nie tak, wujku? — zapytała.

— Taro, wiesz, jak bardzo cieszyłem się, że mieszkałaś z nami przez ostatnie dwa miesiące — rozpoczął, nie spuszczać z niej wzroku. — Czułem się tak, jakby Bóg dał mi córkę, której zawsze pragnąłem — zarówno przez pokrewieństwo krwi, jak i w sensie duchowym. Ale nie możesz ze mną wrócić. To zbyt niebezpieczne. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale twój ojciec powiedział, że musisz umrzeć. Dla niego i jego rodziny jest to sprawa honoru.

Wiedziała, że wujek mówi prawdę. Zdawała sobie sprawę, że ojciec i bracia nigdy nie przestaną jej szukać — i nie miała cienia wątpliwości, co by się stało, gdyby wpadła w ich ręce. Nie mogła zebrać myśli. Czuła, że za chwilę zacznie rozczulać się nad sobą. Lecz smutek w oczach wujka poruszył jej serce — przestała myśleć o sobie, bo przecież nie tylko ona cierpiała.

— Wujku, proszę, niech nie będzie ci przykro — powiedziała, ścisnąc go za rękę. — To ja powinnam przeprosić za to, że sprawiłam ci tyle kłopotów. Jestem tak bardzo wdzięczna Bogu, że przyprowadził mnie do ciebie. Dałeś mi odpowiedzi, których szukałam i mam teraz pokój, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwałam. Nigdy nie zdołam ci się za to odwdziaczyć.

Było to smutne pożegnanie. Tara po raz kolejny miała zmienić miejsce pobytu. Wujek załatwił jej mieszkanie u znajomych w odległym mieście. Gdy żegnała się z nim, starała się nie dać po sobie poznać, że jest jej bardzo ciężko. W środku jednak myślała tylko o jednym: czy kiedykolwiek przestanie uciekać.

Jak w więzieniu

W nowym domu przyjęto ją z otwartymi ramionami. Rodzina, u której zamieszkała, składała się z miejscowego pastora, jego żony

i trzech synów. Chłopcy od razu uznali Tarę za swoją nową siostrę. Najstarszy syn Rubin szczególnie podziwiał ją za odwagę.

Ojciec i bracia Tary nie zaprzestali pościgu. W trosce o jej bezpieczeństwo zdecydowano, że większość czasu powinna spędzać w swoim pokoju. Przebywała w nim w ciągu dnia, a także wieczorami, gdy ktoś przychodził w odwiedziny (zważywszy, że ojciec rodziny był pastorem, było tak niemal codziennie).

Jej pokój był podzielony na dwie części: sypialnię i miejsce do nauki. Całość nie zajmowała nawet połowy powierzchni pokoju, w którym dorastała. Cieszyła się, że mieszka z rodziną, której może zaufać, lecz pobyt w zamknięciu doskwierał jej coraz bardziej. Wiedziała, że zbyt długo tego nie wytrzyma.

— Proszę, pozwólcie mi wyjść z pokoju — poprosiła pewnego poranka. — Wiem, że staracie się zapewnić mi bezpieczeństwo, ale czuję się jak więzień. Tak nie można żyć.

Pastor rozumiał ją i chciał, by mogła poruszać się swobodnie i wychodzić z domu. Wiedział jednak, że jej ojciec i bracia wciąż jej szukają. Kręcili się nawet po mieście. Zadawali pytania i wcale nie kryli się z tym, że mają zamiar ją zabić.

— Taro, jeszcze troszeczkę, a potem pozwolimy ci wyjść — powiedział. — Proszę, bądź cierpliwa. To dla twojego dobra.

Wiedziała, że nie ma wyboru. Gdyby ktoś ją rozpoznał, naraziłaby nie tylko siebie, lecz także swoją przybraną rodzinę. Starła się więc dobrze wykorzystać czas i dużo się uczyła. Lecz wiele dni po prostu przepłakała. Ten mały pokój stał się jej domem na cały rok.

W końcu pewnego wieczoru usłyszała przypadkiem, jak pastor mówił, że kościołowi potrzebna jest nowa sekretarka. Gdy nazajutrz przyszedł do jej pokoju, poprosiła go o tę pracę.

— Proszę — błagała. — Niech mi pastor da tę pracę! Przez ten cały czas pisałam na maszynie kazania pastora. Wiem, że sobie poradzę. Jestem tu już od roku. Mój ojciec i brat z pewnością szukają mnie już gdzie indziej.

Pastor nie był do końca przekonany, ale wiedział też, że nie może jej bez końca trzymać w zamknięciu. Obiecał więc, że zapyta swojego przełożonego, czy nie zechciałby dać jej tej pracy.

Tydzień później pracowała już w kancelarii kościoła.

— Taro, słuchaj bardzo uważnie — pouczał ją pastor. — Jesteś moją siostrzenicą, która przyjechała z innego miasta. Proszę, przestań zwracać się do mnie: „pastorze”. Od tej pory będziesz mówić do

mnie „wujku”, a my będziemy nazywać cię „Rebeka”. Nie opowiadaj nikomu o swoim życiu. Rozumiesz?

Rozumiała doskonale — i nie posiadała się ze szczęścia.

Pracowała wzorowo. Znała angielski i pastor przełożony, który był Brytyjczykiem, od razu ją polubił. Powierzono jej nadzór nad finansami kościelnymi. Zaczęła nawet prowadzić zajęcia katechetyczne dla dzieci.

Pastor przełożony wiedział o jej przeszłości i pozwolił jej również prowadzić indywidualną posługę wśród potajemnie nawróconych muzułmanów. Powoli zaczęła nabierać przekonania, że na tym właśnie będzie polegać jej służba. Dziękowała Bogu, że przeprowadził ją przez doświadczenia, jakie spotykają innych nowo nawróconych. Oni z kolei, słuchając o jej niezwykłych przeżyciach, nabierali otuchy.

Sześć miesięcy po rozpoczęciu pracy została potajemnie ochrzczona w małej wannie w piwnicy kościoła. Tylko jej przybrana rodzina, pastor przełożony i wujek uczestniczyli w tej uroczystości.

Pasja ewangelizacji

Minęły dwa lata, od kiedy zamieszkała ze swoją nową rodziną. Miała już osiemnaście lat i pragnęła rozwijać swoją służbę. Była zadowolona z pracy sekretarki, ale ogromnie chciała ewangelizować. Większość pracowników misji pochodziła z rodzin chrześcijańskich. Ona zaś, jako była muzułmanka, mogłaby docierać do ludzi jej podobnych. Została brutalnie potraktowana przez ojca i braci, a rodzina się jej wyrzekła. Pragnęła dzielić się swoim świadectwem. Była bowiem przekonana, że znajdują się tacy, którzy będą chcieli jej słuchać.

— Rubinie! Proszę, pozwól mi pojechać z tobą — błagała go pewnego dnia, gdy wybierał się w podróż ewangelizacyjną.

— Nie, Taro — odpowiedział z bólem serca, wiedząc, jak bardzo chciała ewangelizować. — To zbyt niebezpieczne. Ktoś może poczuć się zgorzony twoim nawróceniem i doniesie na ciebie na policję. Mnie co najwyżej aresztują, ale jeśli złapią ciebie, to z pewnością zostaniesz zabita.

Rubin pokochał Tarę jak siostrę i nie chciał narażać jej na niebezpieczeństwo. Wiedział jednak, że nie da za wygraną. Tara miała już przygotowany argument:

— Rubinie, co jest ważniejsze — powiedziała z naciskiem — moje bezpieczeństwo czy zgubione dusze, które starasz się pozyskać?

Poddał się i Tara zaczęła razem z nim podróżować, ucząc się od niego sztuki ewangelizacji.

Kolejne dwa i pół roku minęło bez żadnych kłopotów. Tara przywykła do swojego nowego życia w roli siostrzenicy pastora i ukończyła część studiów. Zaczęła się zajmować organizowaniem potajemnych chrztów dla byłych muzułmanów i hindusów, z których większość była owocem pracy ewangelizacyjnej prowadzonej przez nią i Rubina. Przyczyniła się także do uruchomienia programu kształcenia analfabetów i powstania służby wśród dzieci.

Cały czas miała się na baczności. Lecz po tych wszystkich latach czuła w końcu, że ułożyła sobie życie z dala od gróźb ojca i braci. Jej jedynym zmartwieniem było kilku członków kościoła, którzy nie chcieli uwierzyć, że jest siostrzenicą pastora i zazdrościli, że jej służba tak bardzo się rozwija. Choć z tym jakoś dawała sobie radę. Lecz w piękne niedzielne popołudnie, gdy wychodziła z kościoła, wydarzyło się coś, co zupełnie ją przerosło.

Kolejna ucieczka

Rozpoznała go natychmiast — był to jej kuzyn. Gdy zaczął się w nią wpatrywać, cała zeszytniała. Postanowiła przejść obok niego, nie dając po sobie poznać, że go zna.

— Poczekaj! Chciałbym z tobą porozmawiać — zawołał.

Po tonie jego głosu zorientowała się, że nie jest pewny, kim ona jest. Nie było jej w domu ponad cztery lata i znacznie się zmieniła. Po prostu zignorowała jego prośbę, jakby go nie słyszała i szła dalej. Wówczas usłyszała słowo, którego bała się najbardziej...

— Tara!

Odrzuciła się i odpowiedziała z udawaną uprzejmością:

— O, cześć. Czy mówisz do mnie? Mam na imię Rebeka. Nie sądzę, bym cię znała. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Trochę się śpieszę.

Jeżeli jej twarz nie zdradziła jej, to z pewnością głos. Nie miała wątpliwości, że kuzyn znalazł to, czego szukał. Ojciec i brat będą tutaj za kilka godzin. Czuła, że zaczyna ogarniać ją panika. Przyśpieszyła kroku i starała się wtopić w dosyć przerzedzony tłum przechodniów. Serce waliło jej tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi.

Na ruchliwej ulicy złapała taksówkę:

— Na lotnisko proszę.

W torebce miała pieniądze, ale nie miała pojęcia, dokąd ma się udać. Po raz kolejny była w potrzasku. Chciała tylko wydostać się z tego miasta, zanim brat lub ojciec ją znajdą. Na lotnisku przeczytała szybko tablicę odlotów, rozpaczliwie starając się wybrać jakieś miejsce, do którego mogłaby polecieć. Ostatecznie zdecydowała się na lot do miasta we wschodniej części kraju. Liczyła na to, że choć na chwilę znajdzie się z dala od niebezpieczeństwa. Po wylądowaniu nie wiedziała zupełnie, co ze sobą zrobić. Skończyło się na tym, że spędziła na lotnisku długą i ciężką noc. Zadzwoiła do Rubina, aby jej przybrana rodzina nie martwiła się. Potem siedziała sama ze swoimi myślami i wspomnieniami, starając się znaleźć ukojenie w cichej modlitwie. Chwilami miała ochotę zapytać Boga, dlaczego właśnie ją to wszystko spotyka. Była zmęczona ciągłą ucieczką i zastanawiała się, czy kiedykolwiek w swoim życiu będzie się czuć bezpieczna.

Nazajutrz, straszliwie zmęczona i wyczerpana emocjonalnie, wróciła do swojej przybranej rodziny. Martwiła się o nich. Okazali jej tak wiele miłości i wsparcia. Pomagając jej, narażali na niebezpieczeństwo zarówno siebie, jak i cały kościół. Rubin powiedział jej, że stara się załatwić dla niej wizę, aby mogła wyjechać z kraju. Była pełna obaw, ale zarazem na myśl o wyjeździe odczuwała pewną ulgę. Za granicą nie będzie przynajmniej musiała martwić się tym, że pakuje w kłopoty swoich drogich przyjaciół. I nie tylko przyjaciół. Wiedziała bowiem, że gdyby ją złapano, władza mogłaby wykorzystać ten cały incydent do wywołania wielkiego skandalu wokół całej społeczności chrześcijańskiej w Pakistanie. Tak, najlepiej będzie, jeśli wyjedzie.

Miała nadzieję, że jeśli przez jakiś czas nie będzie się nikomu rzucać w oczy, to będzie bezpieczna. Lecz dwóch członków kościoła, zazdrosnych o to, jak wiele uwagi poświęcała jej rodzina pastora, postanowiło wziąć sprawy w swoje ręce. Zadzwoiło do CID-u — pakistańskich służb wywiadowczych — i donieśli, że pewna młoda kobieta z ich kościoła zbyt wiele czasu spędza na ewangelizacji.

Odstępcza córka

Tara została wezwana do biura CID-u, gdzie poinformowano ją, że zostanie założona jej kartoteka i zaczną być gromadzone informacje w celu potwierdzenia zasadności podejrzeń. Funkcjonariusze CID-u chcieli również skontaktować się z jej rodziną. Nie mogła wprost uwierzyć, że tyle razy uciekała tylko po to, by w końcu wydał ją ktoś z kościoła. Wiedziała, że większość osób w kościele jest

jej życzliwych. Przez cały ten czas starała się również milczeć na temat swojej przeszłości. Wystarczyła jednak tylko jedna lub dwie osoby, żeby jej los się odwrócił. Czuła się tak, jakby wpadła w jakiś ogromny wir, który wciąga ją coraz głębiej pod wodę bez żadnej nadziei na ratunek.

Modliła się do Boga, aby ocalił ją jeszcze ten jeden raz i wtedy przypomniało się jej słowo *Emmanuel*. Teraz już wiedziała, że znaczy ono, iż Bóg jest z nią. Pomyślała, że to wystarczy. Jeżeli Bóg sprawił, że ryba wypłynęła Jonasza na brzeg, to może również wydostać ją z paszczy CID-u!

Nie pójdzie to jednak łatwo, gdyż skonfiskowano jej paszport. Zadawano jej też mnóstwo pytań i wypełniano wiele formularzy. Rubin był razem z nią niemal przez cały czas i starał się przekonać CID, że jest jego siostrą, ale nie wierzyli mu. Nazwiska na paszportach nie zgadzały się. A poza tym z paszportu Tary wynikało, że jest muzułmanką. Co zatem robiła z rodziną chrześcijańską?

W gmachu CID-u spędziła cały dzień. W końcu pozwolono jej wrócić do domu. Wcześniej jednak otrzymała zakaz opuszczania miasta. CID miał się z nią wkrótce skontaktować. Potrzebowała znaku od Boga — czegoś, czego mogłaby się uchwycić. Nie miała teraz paszportu, a odnalezienie jej prawdziwej rodziny było dla wywiadu tylko kwestią czasu. Wiedziała, że to byłby jej koniec. Czasami zastanawiała się, jakiej metody użyłby ojciec, żeby ją zabić.

Gdy wychodziła, jeden z funkcjonariuszy, który znał jej rodzinę, ale wiedząc, jakie zagraża jej niebezpieczeństwo, zachował milczenie, szepnął jej do ucha:

— Taro, posłuchaj mnie. Jestem przyjacielem jednego z twoich kuzynów. Wiem, kim jesteś. Musisz jak najszybciej opuścić kraj. Nie tylko ty jesteś w niebezpieczeństwie.

Była zaskoczona, ale zarazem poczuła ulgę. To prawdziwy cud, że funkcjonariusz CID-u nie wydał jej. Mało tego, nie tylko nie wyjawiał jej tajemnicy, lecz także potwierdził to, co powinna teraz zrobić. Musi wyjechać z Pakistanu. Ale jak? Nie ma paszportu. A gdyby nawet miała, to dokąd miałyby pojechać?

Rubin natychmiast zaczął chodzić od ambasady do ambasady, starając się zdobyć dla niej wizę. Wszędzie mu odmawiano, informując, że konieczny jest jakiś kontakt w danym kraju — ktoś, kto zobowiązałby się pokryć koszty pobytu Tary. W końcu pewien kraj na Bliskim Wschodzie zaproponował trzymiesięczną wizę za tysiąc dolarów. Tara nie była specjalnie zadowolona z wyjazdu do innego

kraju islamskiego, ale, jak już nieraz bywało, nie miała wyboru. W dniu, w którym wpłaciła pieniądze za wizę, dowiedziała się, że CID przygotowuje nakaz jej aresztowania. Odkryto bowiem, że organizuje chrzty dla byłych muzułmanów i że przeszła z islamu na chrześcijaństwo. Uznano ją za odstępczynię. Dowiedziała się również, że jej rodzice także wnieśli przeciwko niej oskarżenie. Potwierdzili, że przeszła na chrześcijaństwo i zgodnie z prawem koranicznym osobiście zalecili wydanie wyroku śmierci przez powieszenie.

Jej rozpacz się pogłębiała — całymi dniami nie wychodziła z pokoju. Spodziewała się, że lada dzień jej rodzina złapie ją i zabije. Co gorsza, mogą także zabić jej przybraną rodzinę. A wszystko to przez nią. Jej modlitwy były teraz krótsze, lecz zawsze zawierały żarliwą prośbę do Boga, aby jej nie zostawiał, aby był jej *Emmanuelem* — nawet wówczas, gdyby prowadzono ją na szubienicę.

Niezwykłe Boże plany

Podczas gdy traciła wszelką nadzieję, Rubin robił co mógł, żeby zdobyć nowy paszport i dokumenty tożsamości, odpowiadające wizie, którą uzyskali. Kazał jej obciąć włosy i ubrać do zdjęcia okulary przeciwsłoneczne. Załatwił również zaświadczenie lekarskie, stwierdzające, że jest bardzo chora i nie może osobiście odebrać dokumentów z urzędu. W końcu w niedzielę wielkanocną 1996 roku wszedł do jej pokoju z dobrą nowiną:

— Taro, mam wszystkie dokumenty, których potrzebujesz do podróży. Wesółch Świąt!

— Nie mogę w to uwierzyć — wykrzyknęła. — Jak tego dokonałeś? Ile cię to kosztowało?

— Nieważne — odpowiedział, uśmiechając się szeroko. — Powiedziałem ci, że Bóg ci pomoże. Uratował cię z rąk CID-u. On musi mieć dla ciebie jakieś niezwykłe plany, Taro. Szczególnie jeśli spojrzeć na te wszystkie kłopoty, jakie cię spotkały.

Jego promienny uśmiech świadczył wyraźnie, że cieszy się, iż część tych kłopotów stała się jego udziałem.

Wiara i wytrwałość Rubina wiele ją nauczyły. Był dla niej kimś więcej niż bratem w wierze. Był prawdziwym przyjacielem, na którego zawsze mogła liczyć. Nigdy jej nie zawiódł. Gdy o tym myślała, ogarnęła ją kolejna fala smutku. Było jej żal rozstawać się ze swoją chrześcijańską rodziną i wszystkimi zadaniami w kościele, które z taką radością wykonywała.

— Mam jeszcze jedną prośbę, zanim wyjadę — powiedziała. — Chcę wziąć udział w chrzcie, który przygotowaliśmy dla nowo nawróconych.

Rubin miał już powiedzieć „nie”, lecz prawda była taka, że był za bardzo wyczerpany, by spierać się z Tarą. A poza tym i tak wiedział, kto postawi na swoim.

— No pewnie — powiedział z uśmiechem, wzruszając ramionami — ale zaraz potem musisz wyjechać.

Następnego dnia wieczorem Tara uczestniczyła w potajemnym chrzcie, do którego przystąpiło sześciu nawróconych. Znała ich wszystkich. Oni z kolei znali niezwykłą historię jej życia. Wiedziała, że może im zaufać, bo doświadczyli tych samych prześladowań.

Niektórzy z nich pochodzili z Pakistanu, większość jednak wywodziła się z innych krajów. Jedna osoba była z Chin, druga z Afganistanu, a dwie kolejne z Iranu i Iraku. Nierzadko zdarzało się, że obywatele innych krajów przejeżdżali przez Pakistan i tu właśnie się nawracali.

Nie mogła się nadziwić temu, jak Bóg jej używa. Jutro ma wyjechać ze swojej ojczyzny z powodu swojej wiary, podczas gdy wielu innych przyjeżdża do jej kraju i znajduje wiarę. A większość okolicznych chrześcijan, w tym wielu z jej własnego kościoła, nie ma o tym wszystkim bladego pojęcia. Trudno było bowiem zaufać tym, którzy tak bardzo zabiegali o własne bezpieczeństwo.

Kolejna zdrada

Tara zostawiła za sobą trudy życia w Pakistanie i — znalazła się w nowych opałach. Umknęła, przynajmniej na jakiś czas, z rąk swojej rodziny, lecz stale musiała mieć się na baczności, żeby nie zdradzić, kim jest. Ciągłe istniało zagrożenie, że może zostać aresztowana i deportowana do Pakistanu. A gdyby kiedykolwiek wróciła do ojczyzny, zostałaby natychmiast przekazana ojcu. Jej los byłby przypieczętowany.

Staną teraz w obliczu jeszcze jednego wyzwania. W świecie islamskim jest przyjęte, że kobieta powinna wyjść za mąż przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia. Jeśli tego nie zrobi, zostaje uznana za prostytutkę. Zazwyczaj jest wówczas zatrzymywana przez władzę, poddawana reedukacji i przymusowo wydawana za mąż. Tara nie miała zamiaru wychodzić za mąż, przynajmniej na razie, gdy jej życie było w zupełnej rozsypce. A już na pewno nie miała najmniejszej ochoty na małżeństwo skojarzone przez islamskich urzędników.

Ponadto była teraz pozbawiona wsparcia swojej przybranej rodziny i miała tylko trzymiesięczną wzię.

Szybko zorientowała się, że roztrząsanie sytuacji, w jakiej się znalazła, spowoduje tylko, że nadzieja, jaką nosi w sercu, zgaśnie zupełnie.

– Straciłam wszystko – powtarzała sobie – ale znalazłam Boga. Jakże niewielka to strata w porównaniu z tak wielkim odkryciem. *Emmanuel* – Bóg jest ze mną. Któż może być przeciwko mnie? Zyskałam więcej, niż zdołam kiedykolwiek utracić. *Emmanuel*. Bóg ze mną.

Słowa te stały się jej modlitwą, która po raz kolejny pozwoliła jej przejść zwycięsko przez istne piekło.

W nowym kraju Rubin załatwił jej pracę sekretarki w kościele na pół etatu. Pensja ledwie wystarczała na jedzenie, nie mówiąc już o czynszu. Dorabiała więc, gotując obiady dla żony pastora, która więcej mówiła o biżuterii i modzie, niż o Chrystusie. Słuchając jej, zastanawiała się, czy to jest ta wiara, dla której ryzykowała własnym życiem. Ponownie zaczął ją ogarniać niepokój. Walczyła z depresją. Rozpacz targała jej duszę.

Po jakimś czasie udało się jej znaleźć inną pracę u projektanta odzieży, dzięki czemu zyskała prawo do wystąpienia o zezwolenie na trzyletni pobyt. Jeden problem został rozwiązany, lecz zbliżał się kolejny – jeszcze większy.

Po otrzymaniu prawa stałego pobytu zaczęła się włączać do działalności różnych służb prowadzonych przez kościół. Nawiązywanie kontaktów przychodziło jej z łatwością, lecz nieco trudniej było zorientować się, komu można zaufać.

Nie wiedziała wówczas, że jeden z jej nowych przyjaciół pracował dla czasopisma chrześcijańskiego, wydawanego w Pakistanie. Od swoich znajomych w Pakistanie dowiedział się, że Tara nie jest tą osobą, za którą się podaje. Chcąc „poznać jej historię”, podszedł do niej pewnego dnia po nabożeństwie.

– Taro, wiem, że musi ci być naprawdę ciężko w tym obcym kraju. Musisz uczyć się nowego języka i jesteś sama bez rodziny. Może zechciałabyś przyjść do nas na obiad? Pragniemy ci pomóc.

Zgodziła się.

– Miło będzie poznać nowych przyjaciół – pomyślała.

Podczas pierwszych kilku spotkań dziennikarz dotrzymywał słowa. Zapraszał do siebie na obiad Tarę i kilku innych chrześcijan w jej wieku. Spędzali wspólnie miłe popołudnia. Lecz z każdą

wizytą zaczął zadawać coraz więcej pytań — konkretnych pytań — o jej przeszłość.

— Wolałabym raczej nie mówić o sobie — odpowiadała uprzejmie, nie chcąc obrazić swojego nowego przyjaciela.

Gdy pojawiło się kolejne zaproszenie, odmówiła.

Dziennikarz nie miał jednak zamiaru dać za wygraną. Następnego dnia zadzwonił:

— Taro, wiem, że masz kłopoty finansowe. Ja i moi przyjaciele naprawdę chcemy ci pomóc. Proszę, przyjdź na spotkanie i opowiedz nam o swoim życiu, a zdobędziemy dla ciebie trochę pieniędzy. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Możesz nam zaufać.

Niechętnie zgodziła się. Jak dotąd jedynymi chrześcijanami, którzy znali całą historię jej życia, byli członkowie jej przybranej rodziny w Pakistanie. Bardzo uważała, żeby nie zdradzić nikomu, kim jest. Utrzymanie tego w tajemnicy było sprawą życia i śmierci.

Upłynął miesiąc. Udzieliła wielu wywiadów różnym dziennikarzom. Za każdym razem okazywali jej współczucie i mówili, że zrobią, co w ich mocy, aby jej pomóc. Minął kolejny miesiąc: następne wywiady, dużo łez, lecz wciąż nie było pieniędzy. Zaczęła się zastanawiać, o co tu chodzi. W końcu zadzwoniła pewna kobieta i zapytała, ile pieniędzy dostaje z banku co miesiąc.

— O czym pani mówi? Nie mam nawet konta w banku. Bank oczywiście nie wysłał mi żadnych pieniędzy. Dlaczego mieliby to zrobić? — zapytała.

— Och, musiała zajść jakaś pomyłka — odpowiedziała kobieta. — Ludzie wysyłali pieniądze na to konto, myśląc, że są one dla ciebie. Z tego co wiem, zebrała się dosyć pokaźna suma.

Została wykorzystana — gorzka prawda dotarła do niej. Ze świadectwa jej życia zrobiono dochodowy interes. Niedługo później zobaczyła czasopismo. Artykuł z pierwszej strony opisywał los nastoletniej muzułmanki, która w cudowny sposób znalazła Chrystusa i ucieka przed swoją rodziną, która chce ją zabić. Było w nim wymienione nawet jej imię! Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Jak mogło do tego dojść? — westchnęła. — Co gorsza, jak mam teraz ukrywać się przed rodziną? — zamartwiała się.

Była u kresu wytrzymałości. Zastanawiała się, ile jeszcze oszustw i wybiegów będzie w stanie znieść. Sytuacja powtórzyła się bardzo szybko, gdy po niedzielnym nabożeństwie podszedł do niej pewien mężczyzna.

— Opowiedz nam o swoim życiu — powiedział. — A zdobędziemy dla ciebie pieniądze.

Tym razem jednak krył się za tym podtekst. Usłyszała też od niego, że jest bardzo piękna i że pewnie czuje się samotna. Tego było już za wiele. Uderzyła go w twarz.

— Masz żonę i córkę! — powiedziała oburzona. — Jesteś chrześcijaninem! Jak możesz robić coś takiego?

Mężczyzna, zaskoczony jej reakcją, przyłożył dłoń do czerwieniącego się policzka i warknął:

— Zapłacisz mi za to.

Nie odważył się zrobić większej sceny, ponieważ niedaleko na ulicy byli jacyś ludzie.

— W porządku — odparła, nadal kipiąc ze złości. — Powiedz mi tylko ile, a zapłacę. Tylko trzymaj się ode mnie z daleka!

Problem był w tym, że nie chodziło mu o pieniądze.

Trzy dni później w nocy cegła wybiła szybę w jej małym mieszkaniu. Słyszała jakichś mężczyzn, krzyczących na dole na ulicy, ale nie mogła nic zrozumieć, bo mówili łamanym arabskim. Zerknęła przez szparę w zasłonach. Mężczyźni podnieśli więcej kamieni i zaczęli rzucać nimi w jej okna, wybijając wszystkie szyby. Udało się jej wychwycić kilka słów, które wykrzykiwali: muzułmanka... teraz chrześcijanka!... odstępczyni! Policja! Zadzwońcie na policję...

Zerknęła jeszcze raz spoza zasłony i zobaczyła, jak wskakują do taksówek i odjeżdżają z piskiem opon. Rozpoznała dwóch z nich. Byli przyjaciółmi mężczyzny, którego spoliczkowała.

Modliła się, aby ich groźby wezwania policji były tylko blefem, żeby ją nastraszyć. No cóż, jeśli to był blef, to zadziałał. Była przeżazona. Okazało się jednak, że nie blefowali. Kilka godzin później w drzwiach jej mieszkania zjawili się policjanci, pytając o to, co się wydarzyło. Zabrali ją na posterunek.

Wszystko w rękę Boga

— Otrzymaliśmy informację, że jest pani muzułmanką i przeszła pani na chrześcijaństwo — i że jest pani również niezamężna — zaczęło się przesłuchanie.

Wiedziała, że policja może bez trudu odnaleźć jej ojca i uzyskać dostęp do materiałów z kartoteki w Pakistanie. Udzielała krótkich, wymijających odpowiedzi, między poszczególnymi pytaniami powtarzając w duchu jedno słowo: *Emmanuel*.

Po kilku godzinach pozwolono jej odejść. Policja zapowiedziała jednak, że będzie ją mieć na oku. W kółko pytali, dlaczego nie wyszła za mąż i nakłaniali do znalezienia sobie męża. Zaproponowali nawet kandydaturę pewnego mężczyzny, o którym wiedzieli, że przyjąłby ją za żonę.

Zadziwiająco, jak szybko Tara zamieniła się z ofiary, której mieszkanie zostało zaatakowane, w osobę oskarżoną. Takie są właśnie „prawa” chrześcijan w kraju islamskim.

Kandydat na męża

Następne cztery miesiące upłynęły bez większych incydentów. Tara świetnie radziła sobie jako projektantka odzieży i zaangażowała się bardziej w działalność kościoła. Udzielała również pomocy innym nawróconym na chrześcijaństwo muzułmanom, którzy musieli się ukrywać. Było to dla niej świetne zajęcie, jako że miała już na tym polu ponad dziesięcioletnie praktyczne doświadczenie. Wiedziała jednocześnie, że mężczyzna, którego uderzyła w twarz, nie zadowolony takim obrotem sprawy. Pragnął czegoś więcej. Widziała to po tym, jak na nią patrzył. Chciał ją mieć, albo zniszczyć.

Na żadne z tych rozwiązań nie mogła się zgodzić.

Siedziała w swoim mieszkaniu, gdy zadzwonił telefon. Był to ten sam mężczyzna. Tym razem miał do przekazania nowinę. Z dumą obwieścił, że napisał artykuł i zawiesił go na kościelnej tablicy informacyjnej. Twierdził w nim, że Tara jest prostytutką. Właśnie dlatego nosi takie ładne ubrania i wciąż jest panną. Zachęcił ją, aby przyszła obejrzyć jego dzieło.

Rozwścieczona rzuciła słuchawkę. Ten człowiek nie miał zamiaru dać za wygraną. Nie martwiła się zbytnio tym, co pomyśla sobie członkowie kościoła. Ci, którzy ją znają, wiedzą, jaka jest prawda. Nie mogła wyjść za mąż, ponieważ znajdowała się w nieustannym niebezpieczeństwie. A ładne ubrania to próbki jej własnych projektów. Prawdziwym problemem będzie policja. To, że artykuł dostanie się w ich ręce, było tylko kwestią czasu. Zasadniczo rzecz biorąc, kazali jej wyjść za mąż, a ten artykuł tylko umocni ich w przekonaniu, że mieli rację. Gdy tylko się dowiedzą, dostanie wezwanie na posterunek.

Tydzień później jej obawy spełniły się. Umieszczono ją w islamskim ośrodku reedukacyjnym, gdzie wpajano jej na nowo nauki Koranu. Następnie miała być wydana za mąż za muzułmanina. Przebywała w małym pokoju, nieustannie modląc się w duchu. Nie miała

pojęcia, jak mogłaby się stamtąd wydostać, nie wyrażając zgody na małżeństwo. Wyglądało na to, że znalazła się w błędnym kole. Ojciec chciał, żeby wyszła za mąż i był gotów ją zabić, gdy odmówiła. Teraz sytuacja się powtórzyła. Jeżeli nie uda się jej „zresocjalizować”, zostanie odesłana do rodziców w Pakistanie. Kiedyś nie podporządkowała się woli ojca, a teraz nie miała zamiaru słuchać kierownictwa ośrodka. Nie widząc żadnego wyjścia z tej sytuacji, powierzyła wszystko Bogu w modlitwie.

Minęły prawie trzy miesiące. Codziennie uczęszczała na przymusowe lekcje z Koranu, a resztę czasu spędzała sama w swoim pokoju. Pewnego dnia jeden z pracowników ośrodka zakłócił monotonie jej życia, obwieszczając:

— Taro, masz gościa.

— Ja? Gościa? Nikt nawet nie wie, że tu jestem.

— Mówi, że chce z tobą porozmawiać. Uważamy, że dobrze by było, gdybyś z nim wyszła na parę godzin.

— Wyszła z nim? — zdumiała się. — Nawet nie znam tego człowieka. O co w tym wszystkim chodzi?

Bardzo się zdenerwowała. Sądziła, że jest to kolejna sztuczka, mająca na celu wydać ją za mąż. Mężczyzna ten obiecał jednak, że po obiedzie odprowadzi ją z powrotem. Nie była specjalnie zachwycona tym pomysłem, choć nie miała nic przeciwko temu, żeby choć na chwilę wydostać się ze swojego pokoju. Postanowiła więc, że pójdzie z nim na obiad, ale będzie go zupełnie ignorować.

Mężczyzna był w jej wieku. Był przystojny i mówił cichym, łagodnym głosem.

— Taro, wiem, kim jesteś — powiedział. — Dowiedziałem się o tobie od mojego przyjaciela, który jest muzułmaninem.

Próbowała nie zwracać na niego uwagi, lecz im dłużej mówił, tym bardziej zyskiwał jej zainteresowanie.

— Ja również jestem chrześcijaninem — mówił dalej niskim, ciepłym głosem. — Ale nikt o tym nie wie. Uciekłem z Pakistanu tak jak ty. Właściwie to pochodzę z tego samego miasta. Wiem również, że w ośrodku reedukacyjnym zaaranżowano dla ciebie małżeństwo z muzułmaninem, który ma już trzy żony.

Wzdrygnęła się. Powiedziano jej o tym już wcześniej. Próbowała udawać zupełnie niezainteresowaną tym, co mówił i szło jej całkiem nieźle, dopóki nie powiedział:

— Jeśli odmówisz, zostaniesz deportowana z powrotem do Pakistanu — do swojego ojca.

Nie wiedziała, komu ma wierzyć. Jak to możliwe, że ośrodek reedukacyjny zorganizował jej spotkanie z nieżonatym mężczyzną, który jest chrześcijaninem i pochodzi z jej rodzinnego miasta?

— Czego zatem chcesz? — zapytała w końcu.

— Chcę się z tobą ożenić — odpowiedział.

Dar niebios

Gdy wróciła do ośrodka reedukacyjnego, czekało już na nią trzech urzędników.

— Podjęliśmy decyzję, Taro — powiedział jeden z nich. — Wyjdiesz za mąż za Zahida. Ma już trzy żony i jest gotów poślubić również ciebie. Jest dobrym człowiekiem. Zajmiemy się wszystkim. Nie musisz się o nic martwić. Lecz jeśli odmówisz, zostaniesz deportowana do Pakistanu.

Musiała podjąć decyzję. Gdy mężczyzna, z którym była na obiedzie, poprosił ją o rękę, nie dała żadnej odpowiedzi. Cała ta sytuacja była zdecydowanie ponad jej siły. Wszystko działo się tak szybko. Potrzebowała czasu do namysłu. Na modlitwę. Jakże pragnęła porozmawiać ze swoją przybraną rodziną — z kimkolwiek, kto wiedział o niej wszystko, kto mógłby jej udzielić porady.

— Nie wyjdę za Zahida — odpowiedziała ku zdziwieniu urzędników.

— W takim razie możesz spakować swoje rzeczy. Wracasz do Pakistanu.

— Spakuję moje rzeczy, lecz z innego powodu. Wychodzę za mąż. Tyle że nie za Zahida. Poślubię tego mężczyznę, który zabrał mnie na obiad.

Urzędnicy byli zaskoczeni, ale zgodzili się. Byli gotowi zgodzić się na wszystko, co pozwoliłoby ujarzmić tę młodą kobietę.

Tara skontaktowała się z mężczyzną, który się jej oświadczył, i przekazała mu nowinę:

— Wychodzę za ciebie.

Nie była do końca pewna, czy jego motywry są czyste. Było to więc dosyć ryzykowne — lecz nie tak bardzo, jak poślubienie Zahida. Wiedziała przynajmniej, jakie są jego przekonania.

Decyzja zapadła. Ponownie zwróciła się w modlitwie do *Emma-nuela* — Boga, który pomógł jej przetrwać tak wiele. Miała już prawie dwadzieścia siedem lat i od ponad dziesięciu lat ukrywała się. Jeżeli jej przyszły mąż oszukał ją, to dobrze wiedziała, jakie problemy ją

czekają. Jeżeli jednak był szczerzy, to był darem niebios. Małżeństwo z nim pozwoli jej opuścić ośrodek reedukacyjny i położyć kres plotkom o jej prostytutce. Będzie miała nawet partnera w swojej służbie wśród tych, którzy potajemnie przeszli z islamu na chrześcijaństwo. Lecz czy przypadkiem nie zakończy się to kolejną katastrofą? Nie sposób było znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania.

W końcu przypomniała sobie słowa modlitwy, które wypowiedziała, gdy umieszczono ją w ośrodku reedukacyjnym. Powierzyła wtedy wszystko Bogu. Teraz zrobiła to ponownie. Nie musiała już martwić się o swój los.

— *Emmanuelu*, Boże, który jesteś z nami — modliła się — nie opuszczaj nas.

Epilog

Mężczyzna, którego poślubiła Tara, rzeczywiście okazał się być darem niebios. Jest oddanym chrześcijaninem i wraz z nią prowadzi posługę wśród nawróconych muzułmanów.

Urodził im się chłopczyk — Jakub. Wciąż działają w ukryciu. Są nieustannie obserwowani przez pracowników ośrodka reedukacyjnego. W związku ze swoją działalnością Tara jest wielokrotnie wzywana na przesłuchania.

— Kto przychodzi do was na obiad? — pytają urzędnicy.

— Dlaczego ta kobieta zatrzymała się u was wczoraj na noc?

— Dlaczego wyjechałaś dzisiaj na cztery godziny?

Dla Tary życie to nieustanna gra z niepewnością.

Niewykluczone, że największe wyzwania dopiero ją czekają. Za kilka lat, gdy jej syn będzie na tyle duży, by mówić, bez wątpienia będzie również wypytywany o różne sprawy przez urzędników islamskich. Niemniej jednak inne wyzwanie jest o wiele bliższe. Zaledwie kilka miesięcy przed udzieleniem wywiadu autorom *Płomiennych serc*, zauważył ją jeden z jej kuzynów — zatrudniony tylko po to, aby ją odnaleźć i odesłać do ojca w celu wymierzenia „sprawiedliwości”.

Dla jej bezpieczeństwa nie można powiedzieć nic więcej o miejscu jej pobytu ani o szczegółach jej służby. Jedno jest jednak pewne: żyje ona w zupełnie innym świecie niż przeciętny chrześcijanin. Większość wierzących, nawet z jej własnego kościoła, nie wie nic o historii jej nawrócenia i niebezpieczeństwach, jakie na co dzień jej zagrażają. Możliwe, że nie byłiby nawet w stanie tego zrozumieć. Może właśnie dlatego Bóg potrzebuje takich osób jak ona, aby były światłem dla kolejnych „odstępnych” synów i córek.

Ling:

W szkole cierpienia

Chiny

Rok 1973

Dziewięcioletnia Ling razem ze swoją starszą siostrą przez cały dzień chodziły po wiosce, zebrząc o jedzenie. Odpoczywały właśnie pod dużym miłorzębem, rozpościerającym się nad ich chatą, gdy zawołała ją matka:

— Ling, chodź szybko. Twój ojciec chce się z tobą zobaczyć.

Wraz z siostrami większość czasu spędzały poza ciasną, przepelnioną chatą z bambusa i trzciny, którą jej rodzina nazywała domem. Ich głównym zajęciem było zebranie o jedzenie lub wygrzebywanie węgla w pobliskiej hucie, który rodzice sprzedawali lub używali do gotowania. Odkąd Ling sięgała pamięcią, jej rodzina była zawsze okropnie biedna, lecz ostatnio ich sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Ojciec bardzo szybko podupadał na zdrowiu. Ling martwiła się, co przyniesie przyszłość. Bała się też o swoją mamę.

— Ling, proszę, nie każ czekać swojemu ojcu — znużonym głosem prosiła matka.

Ling niechętnie opuściła swoje zacisze pod drzewem i przyłączyła się do swojej matki, sióstr i młodszego brata, stojących wokół łóżka, w którym sypiała cała ich sześciuosobowa rodzina. Było ono najważniejszym meblem w ich jednoizbowej chacie.

— Ling, podejdź bliżej — zwrócił się do niej ojciec. — Chciałbym zobaczyć twoją piękną buzię.

Usiadła na krawędzi łóżka i usiłowała się uśmiechnąć. Nie mogła patrzeć na swojego ojca w takim stanie. Odkąd wrócił ostatni raz ze szpitala, był bardzo słaby. Ledwo się ruszał. Matka nic o tym nie

mówiła, lecz ona wiedziała dobrze, że ojciec umiera. Rak wyniszczał jego ciało. Od miesięcy nie był w stanie pracować.

Ojciec podniósł rękę w kierunku zebranych wokół jego łóżka. Niemal wszyscy rzewnie płakali.

— Dzieci, obiecacie mi, że będziecie się opiekować swoją matką. Troszczcie się też o siebie nawzajem. Już niedługo będę z wami. Lecz zawsze pamiętajcie, że was kocham.

Matka szlochała po cichu. Ojciec wyciągnął ręce, żeby pogłaskać ją po twarzy.

— Obiecay mi, że kiedy mnie już nie będzie — mówił do niej — wyjdiesz za mąż za mocniejszego mężczyznę. Kogoś, na kim można bardziej polegać, kto lepiej ode mnie zaopiekuje się wami. I proszę — pamiętajcie, żeby zawsze modlić się do Boga.

Wszyscy, którzy ich znali, widzieli, jak bardzo się kochają. Ling nigdy nie słyszała, żeby krzyczeli na siebie czy wypowiedzieli choćby jedno ostre słowo. Nie mogła znieść widoku umierającego ojca. Ścisnęło się jej serce, gdy patrzyła na rozpacz matki. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ciągle mówią o Bogu i modlą się. Często widziała, jak kłękają przy łóżku. Zapytała ich kiedyś, co robią. Odpowiedzieli, że „modlą się do Boga”.

— Gdzie więc Bóg jest teraz? — powątpiewała. — Jeżeli Bóg naprawdę jest, to dlaczego mój ojciec umiera?

Powstrzymała się siłą od płaczu i wybiegła z domu.

Nieco później tego popołudnia matka powiedziała dzieciom, że jej teściowie — dziadkowie dzieci — przyjadą w odwiedziny. Ling była zaskoczona. Wiedziała, że nie przejmowali się oni specjalnie swoim synem ani jego rodziną. Właściwie, to mało powiedziane. Babcia wyklęła ich rodzinę, ponieważ matka Ling nie wydała na świat więcej chłopców!

Po kilku dniach dziadkowie rzeczywiście przyjechali. Gdy tylko przekroczyli próg maleńkiego domku rodziny Ling, ich syn odszedł na zawsze. Odmówili jakiegokolwiek pomocy przy organizacji pogrzebu.

Nie mając pieniędzy na trumnę i nie mogąc liczyć na pomoc teściów, matka Ling ostrożnie owinęła ciało swojego zmarłego męża w najpiękniejsze niebieskie płótno, jakie udało się jej znaleźć. Właśnie tak chowano najbiedniejszych z biednych.

Ling, jej rodzeństwo i matka pogrążeni w żalu myśleli, że gorzej już być nie może. Okazało się, że się mylili. Gdy dziadkowie

przygotowywali się do wyjazdu, oznajmili, że zabierają ze sobą młodszego brata Ling. Matka i pozostałe dzieci gwałtownie protestowały. Wszystko na nic. Mały chłopczyk został im odebrany.

Trzy dziewczynki ze swoją matką zostały same w rodzinnej chacie i zastanawiały się, jak długo uda im się przetrwać.

— Proszę, Ling, uklęknij i módl się ze mną — pewnego poranku poprosiła ją matka.

Niechętnie uklęknęła przy łóżku obok matki. Zbliżała się zima. Podłoga ziębiła jej delikatne kolana. Była niezadowolona, że musi tak klęczeć. Uważała, że wystarczająco dużo wycierpiała.

Matka klęczała tuż obok i cicho płakała. Początkowo Ling myślała, że płacze ze smutku. Po chwili jednak zorientowała się, że wylewa swoje serce przed Bogiem i znowu z Nim rozmawia. Nie wiedziała, co powiedzieć. Mogła tylko cierpieć na klęczkach, by chociaż w ten sposób okazać matce wsparcie. Bo przecież, jaki sens ma rozmawianie z powietrzem? A gdyby nawet Bóg istniał, to i tak nie chciałaby z Nim rozmawiać po tym wszystkim, co na nich zesłał.

Przez kilka miesięcy po śmierci ojca rodzinie Ling jakoś udało się przeżyć z pomocą sąsiadów, którzy litowali się nad nimi. Lecz życie stawało się coraz trudniejsze. W końcu matka oznajmiła, że przeprowadzą się do jej rodziców w prowincji Henan. W kulturze chińskiej kobiety wychowuje się w przekonaniu, że powinny polegać na mężczyźnie. Nie wypadało więc, aby mieszkały same, a rząd odmówił im jakiegokolwiek pomocy.

Gdy przyjechały do dziadków, Ling była zdumiona wielkością ich domu. Rodzice jej matki nie byli wcale bogaci, lecz w porównaniu z chatą, w której dorastała, mieli prawdziwy pałac. Babcia przeprowadziła dziewczynki przez wąską kuchnię do pokoju z tyłu domu. Była to mała, nędzna komórka, służąca wcześniej za spiżarnię.

— Możecie tu wszystkie spać — powiedziała szorstko.

Ling rozejrzała się po tym ciasnym, nieprzyjemnym miejscu i uśmiechnęła się z przekąsem. Poczuła się tam od razu jak w domu.

Ich nowe życie zdominował niekończący się konflikt między matką i babcią. Matka chciała podjąć pracę w brygadach robotniczych, co pozwoliłoby jej zamieszkać w oddzielnym mieszkaniu, natomiast babcia nalegała, aby wyszła za mąż.

Ojczym

Pewnego dnia, gdy wracała ze szkoły, usłyszała przez drzwi, że znowu wybuchła kłótnia.

— Ależ mam, nie chcę ponownie wychodzić za mąż — mówiła łamiącym głosem jej matka. — Nigdy nie pokocham nikogo tak jak Juna. Wiedziałaś, że tak jest, gdy zgodziłam się przeprowadzić do was. Jeżeli tylko porozmawiałabyś z kimś z brygad robotniczych, żeby pozwolili mi pracować i pomogłabyś mi znaleźć dla nas mieszkanie, to wiem, że potrafiłabym zaopiekować się dziećmi. Proszę, matko! Proszę, nie rób tego.

— Jesteście tu już dwa lata — krzyknęła w odpowiedzi babcia. — Już dłużej tego nie zniosę! Tak nie wypada postępować. Szu-Tan to porządny człowiek i zdoła zapewnić byt twoim dzieciom. A poza tym, ojciec już wszystko zaplanował: Wychodzisz za mąż w przyszłym tygodniu.

Tydzień później Ling miała ojczyma.

Jeżyła się na ostry ton jego głosu i tęskniła za łagodnym głosem swojego ojca. Szu-Tan traktował ją i jej siostry jak zwierzęta. Skrycie żywiła do niego pogardę. Życie w biedzie to jedno. Lecz o wiele gorsze jest życie w biedzie razem z ojczymem, który uważał ją za co najwyżej służącą.

Mimo wszystko jakoś sobie radziła i nie mówiła nikomu, co myśli. Ponieważ matka wyszła ponownie za mąż, pozwolono im podjąć pracę. Poza szkołą Ling pracowała na pastwiskach razem z pasterzami z brygad robotniczych. Miejscowi urzędnicy oceniali wydajność pracy w skali dziesięciopunktowej. Zależała od tego wysokość płacy i różnych dodatków. Ciężko pracujący mężczyzna mógł uzyskać maksymalnie dziesięć punktów dziennie. Młoda Ling osiągała dziewięć.

Pomogła również zaprojektować proste urządzenie do robienia tofu. Zaprzęgało się do niego wołu, który obracając nim, wprawiał w ruch dwa duże kamienie, które z kolei ścierały soję na proszek. Szu-Tanowi bardzo spodobał się ten pomysł. A ponieważ nie mógł pozwolić sobie na wołu, zaprzągnął do pracy Ling i jej starszą siostrę. Tak oto „praca wołu” stała się ich codziennym zajęciem przez następne cztery lata.

Nieustanna harówka sprawiła, że w wieku piętnastu lat Ling była silna i zdrowa. Marzyła też o chwili, w której będzie mogła zacząć żyć na własną rękę. Z każdym dniem wzrastała jej pogarda dla ojczyma, który czerpał zyski z tofu, produkowanego przez nią i jej siostrę, a mimo to nie chciał kupić ani jednego wołu. Bo i po co? Miał przecież pasierbice.

Matka, która przez pierwszych kilka tygodni małżeństwa z Szu-Tanem płakała bez końca, modliła się teraz rzadziej. W wiosce Ru Tain, w której mieszkali, było zaledwie kilka osób potajemnie wierzących i tylko jedna Biblia, której i tak nie mogła czytać, bo była analfaberką. Z jej ust wypływała już tylko jedna prosta modlitwa. Ling słyszała ją czasami późno w nocy:

— Boże, proszę, ochraniaj moje dzieci, szczególnie Ling i jej siostrę. Muszą pracować tak ciężko. Proszę, ochraniaj je. To moja jedyna prośba.

Zastanawiała się, dlaczego matka rozmawia z Bogiem o niewolniczej pracy, którą ona i jej siostra wykonywały. Powinna przecież porozmawiać z właścicielem niewolników! Boga najwyraźniej niewiele to wszystko obchodzi — myślała rozgorączcona za każdym razem, gdy ojczym dokładał im pracy. Wyczuwając zapewne wzrastającą wrogość Ling wobec siebie, ojczym pewnego dnia zasugerował, że powinna znaleźć sobie męża. Zaproponował nawet, że pomoże jej wybrać odpowiedniego kandydata.

— Tak będzie najlepiej dla wszystkich — powiedział.

Ling wiedziała, że chce się jej po prostu pozbyć. Miałyby jedno usta mniej do wykarmienia.

Niewidzialny Bóg

Stanęła wobec trudnego wyboru. Sprzeciw wobec żądań ojczyma ścierał się w niej z obowiązkiem posłuszeństwa rodzinie. Gdyby nie zgodziła się wyjść za mąż, okryłaby hańbą swoich bliskich i przyniosła ogromny wstyd matce — byłby to ból, którego by nie zniosła. Obawiała się jednak, że gdyby zdecydowała się na małżeństwo, to jej mąż mógłby być taki, jak Szu-Tan. Pozostało więc tylko jedno wyjście: samobójstwo. Zadręczała się tymi myślami. Ból rozdzierał jej serce. Śmierć wydawała się jedyną drogą ucieczki z potrzasku.

Matka wiedziała, że jej córka popada w głęboką depresję i bała się o nią.

— Ling, jesteś urodzonym liderem — powiedziała pewnego dnia, starając się podnieść ją na duchu. — Bóg na pewno ma dla ciebie jakieś szczególne plany.

Ling nie miała ochoty słuchać o niewidzialnym Bogu swojej matki. Dla niej nie miało to żadnego sensu. Głupie zabobony matki i okrutny wyzysk ze strony ojczyma powodowały, że zaczęła tracić nadzieję na to, że będzie lepiej.

Widząc, jak bardzo przygnębiona jest jej córka, matka nie spuszczała z niej oka. Bała się, że może zrobić sobie krzywdę. Pewnego dnia udało się jej w końcu przyprowadzić swoją zrozpaczoną córkę na spotkanie jednego z małych kościołów domowych, które powstały w wiosce. Ling uznała, że jest to lepsze od ścierania soi na tofu i, mówiąc szczerze, całkiem miło spędziła czas. Oprócz niej i matki były tam obecne tylko dwie osoby.

Przysłuchiwała się, jak pozostała trójka śpiewa pieśń i myślała o wierze swojej matki.

— Jakże może ona wierzyć tak ślepo w Boga, którego nie można zobaczyć? — dziwiła się.

Lecz pomimo całego swojego sceptycyzmu nie potrafiła zrozumieć, dlaczego twarz jej matki tak bardzo jaśnieje. Wyglądała tak, jakby śpiewała dla niewidzialnych aniołów.

Boże narzędzie

Kilka dni później usłyszała, jak matka ponownie się o nią modli. Tym razem jednak słowa modlitwy przykuły jej uwagę.

— O, Boże — dobiegł ją łagodny głos matki — proszę, zbaw moje dzieci, szczególnie Ling. Wiesz, jak bardzo potrafi być uparta i nieposłuszna. Proszę, zamień tę nieustępliwość w coś, co będziesz mógł użyć.

Ta część modlitwy była jej dobrze znana. Słyszała ją już niejednym razem. Znajome słowa wywołały uśmiech na jej twarzy. Lecz następna część modlitwy zupełnie ją zaskoczyła.

— Słyszałam historię Abrahama, który złożył Tobie w ofierze swojego syna Izaaka — modliła się dalej matka. — Ja również chciałabym teraz złożyć Ci w ofierze jedno z moich dzieci. Chciałabym ofiarować Ling.

Ling zadrżała.

— Złożyć mnie w ofierze? Czyżby moja matka oszalała?

Przez kilka dni nie mogła przestać myśleć o tej modlitwie. Była zupełnie zdezorientowana. W końcu, gdy pewnego poranka usłyszała, że matka znowu się modli, wpadła do pokoju, żeby powiedzieć jej, co o tym wszystkim myśli.

— Znowu składasz mnie w ofierze swojemu Bogu, matko? Poproś Go, żeby zamęczył mnie na śmierć ciężką pracą, czy też żeby uderzył we mnie piorunem? A tak w ogóle, to gdzie jest ten Pan Jezus, o którym ciągle mówisz? Niech stanie przede mną, abym mogła

Go dotknąć. Wtedy uwierzę! A tak właściwie, to kto pójdzie do nieba? Bezradne staruszki takie jak ty? Jak chcesz się tam dostać? Po drabinie? A może wdrapiasz się na jakieś wysokie drzewo?

Po twarzy matki widziała, jak wielki ból jej zadaje. Nie chciała jej ranić, ale miała już po prostu wszystkiego dość.

Nagle usłyszała swój szorstki, władczy głos i uświadomiła sobie, że takim samym tonem mówi do swoich siostr. Dzięki swojej dużej sile przekonywania stała się samozwańczym liderem rodzeństwa. Siostry zazwyczaj ustępowały jej, wiedząc, że w przeciwnym razie mogłaby im narobić kłopotów. Teraz jednak równie bezdusznie rugała własną matkę. Żałowała, że ją rani, ale nie mogła się powstrzymać. Miała już powyżej uszu tych wszystkich śmiesznych modlitw do nie istniejącego Boga.

Mijały dni. Ling nadal ciężko pracowała. Z powodzeniem udawało się jej unikać tematu zamążpójścia i ojczym w końcu dał sobie z tym spokój i zaczął ją po prostu ignorować. Była przekonana, że zmienił zdanie pod wpływem matki. Odczuwała ulgę, ale zarazem doskwierało jej poczucie winy, że była taka szorstka wobec swojej mamy. Mając nadzieję, że zdoła jakoś zadośćuczynić za ten wybuch złości, nadal towarzyszyła jej na cotygodniowych spotkaniach kościoła domowego.

Z nadejściem wiosny przestała myśleć o samobójstwie.

Pewnego dnia jak zwykle pracowała przy wyrobie tofu, gdy nagle podbiegła do niej matka, krzycząc:

— Ling, on przyjechał!

— Kto? — zapytała.

— Ewangelista, o którym tak dużo słyszałyśmy! Nie pamiętasz, jak ci o nim mówiłam? Dzisiaj wieczorem będzie głosił kazanie. Powiedziałam wszystkim, że przyjdziemy. Umyj się i przebierz. Pośpiesz się!

Zanim zdążyła zebrać myśli, matka odeszła w pośpiechu.

— Świetnie — pomyślała — samozwańczy znawca Boga.

Na wieczorne spotkanie poszła częściowo dlatego, żeby nie robić przykrości matce. Stary kaznodzieja mówił płynnie i bez wysiłku. Nie tyle głosił kazanie, co opowiadał o Adamie i Ewie. Tłumaczył, jak grzech pojawił się na świecie. Zapewniał, że Bóg kocha ludzi tak bardzo, iż posłał swojego Syna, aby umarł na krzyżu za grzechy każdego człowieka i przyniósł przebaczenie. Jego słowa przenikały głęboko do jej duszy. Czuła, jak serce w niej topnieje. Nigdy nie

przypuszczała, że taka miłość i poświęcenie mogą istnieć naprawdę. Słyszała tę historię już wcześniej, ale nie miała ona dla niej zbyt wielkiego sensu — aż do tamtego dnia.

Wieczór spędziła razem z matką w domu ciotki. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający krzyż. Nie mogła oderwać od niego oczu. Głęboko poruszona, podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Przypomniła sobie historię, którą kaznodzieja tak barwnie opowiadał.

— Jeżeli Jezus umarł za mnie, to co ja dla Niego zrobiłam? — zapytała samą siebie, odczuwając dojmującą skruchę.

Upadła na podłogę i rozpłakała się, wołając w modlitwie do niewidzialnego Boga, którego istnieniu tak kategorycznie zaprzeczała. Po chwili poczuła dłoń matki na swoim ramieniu.

— Ach, mammo! Przepraszam — szlochała. — Bardzo przepraszam za te wszystkie złe rzeczy, które powiedziałam o twoim Bogu i za to, jak wyśmiewałam się z ciebie i nie wierzyłam w to, co mi powiedziałeś. Jestem taką złą osobą. Jakże Bóg będzie mógł mi kiedykolwiek wybaczyć?

Oczy matki zaszklily się. Uszczęśliwiona przytuliła swoją córkę — i swoją nową siostrę w Panu.

— Ling, kochanie, to już zostało odpuszczone — powiedziała. — To Boża łaska pociągnęła cię dzisiaj ku Bogu. Teraz już na wieki będziesz dzieckiem Bożym. Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić. Wierzę, że Bóg ma jakiś wyjątkowy plan dla ciebie. Już od dawna jestem o tym przekonana.

Ling nie płakała tyle od śmierci swojego ojca.

Owce między wilkami

Przez kolejny rok uczęszczała z matką na cotygodniowe spotkania, lecz już nie jako obserwator, tylko aktywny członek powiększającej się wspólnoty. Miejsce depresji zajęła wewnętrzna radość. Była przekonana, że jej kłopoty skończyły się. Wówczas pewnej nocy miała sen:

Wąska ścieżka biegła prosto przez pola. Po lewej stronie pszenica była wiotka i zielona i łatwo ugiwała się pod podmuchami wiatru. Lecz po prawej stronie pszenica była dojrzała. Niektóre kłosa opadały w dół pod ciężarem dorodnych jasnobrązowych ziaren. W miarę, jak pole pszenicy znikало w oddali, Ling spoglądała to w jedną, to w drugą stronę. Zastanawiała się, jak niecodzienny

musiał tam panować klimat i jak dziwna musiała być tam gleba, skoro wydała taki plon.

Nazajutrz rano opowiedziała matce swój niezwykły sen. Ku jej zaskoczeniu matka powiedziała, że śniło się jej coś podobnego. Widziała ciężkie, dojrzałe kłosa pszenicy, lecz także małe kiełki fasoli rosnący na środku pola. Potem usłyszała głos, pouczający ją, aby „podlewała ten delikatny kiełek, żeby nie usechł”.

Ani Ling, ani jej matka nie rozumiały znaczenia swoich snów. Zdawały sobie jednak sprawę, że nie bez powodu otrzymały taką samą wizję. Odpowiedź otrzymały w następnym tygodniu na spotkaniu modlitewnym. Fragment omawiany tego wieczoru pochodził z dziesiątego rozdziału Ewangelii Łukasza: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo. Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki”.

Ling zastanawiała się, czy takie właśnie było znaczenie tych snów. Była zarazem przerażona i przejęta tym, co Bóg dla niej przygotował. Ciekawiła ją również druga część tego fragmentu i jego znaczenie.

— Ale jak miałabym zostać misjonarką? — zapytała pewnego razu matkę. — Jestem za młoda i prawie nic nie wiem. Nawet nie znam Biblii.

Matka tylko spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Doskonale rozumiała już znaczenie tych snów: jej córka zanieś ewangelię zgubionym душom w Chinach. Tego jednego była pewna.

Niedługo po swoich siedemnastych urodzinach — z odrobiną pieniędzy i jedzenia, bez Biblii i celu podróży — Ling wyruszyła zupełnie sama, aby głosić ewangelię w Chinach. Chciała z tym trochę zaczekać i zdobyć najpierw nieco więcej wiedzy, lecz matka nalegała:

— Nie musisz dużo wiedzieć. Opowiadaj tylko o Jezusie. Powiedz ludziom to, co wiesz. Jeśli jest to od Boga, to pobłogosławi twoją służbę.

Zachęcona przez matkę opuściła dom.

Chodziła po prostu od wioski do wioski, dzieląc się swoją wiarą. Gdy tylko trafiała do wioski, w której była Biblia, uczyła się na pamięć wersetów, które później wykorzystywała w kolejnej wiosce. Uczyła się także pieśni. Nie miała pojęcia, jak pięknie potrafi śpiewać, dopóki nie zauważyła, że jej głos przyciąga ludzi, którzy później zostają, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia ta młoda głosicielka.

Już sam fakt, że była młodą, niezamężną kobietą, samotnie podróżującą po Chinach, wystarczał, żeby przyciągnąć uwagę wielu ludzi.

Bóg błogosławił jej służbę. W miarę upływu czasu coraz więcej osób przychodziło na spotkania. Ku jej zdumieniu, w pierwszych wioskach, które odwiedzała, przychodziło po siedem osób, by w kolejnych, zaledwie po tygodniu, było ich już siedemdziesiąt. Pismo Święte mówiło prawdę: Pola są dojrzałe, a ludzie są bardzo spragnieni ewangelii. Bóg powołał ją więc na jednego ze swoich posłańców. Cóż za niezwykła myśl! Nieustannie modliła się, aby okazała się godna tego powołania. Przede wszystkim chciała być przykładem. Pragnęła mówić tylko o tym, co sama przeżyła i czego była pewna.

Marzyła również o Biblii i zaczęła prosić o nią Boga.

— Jak mogę być głosicielką Słowa Bożego bez Biblii? — pytała Go w modlitwie.

Charyzmatyczna osobowość i żarliwe oddanie Panu zjednywały jej uznanie szczególnie wśród młodzieży. Niektórzy z młodych ludzi zaproponowali, że będą jej towarzyszyć w podróżach, na co z radością przystała.

Gdy jednak na spotkania zaczęło przychodzić coraz więcej osób, a jej pasja głoszenia ewangelii stawała się coraz silniejsza, zrozumiała, że nie poradzi sobie już zbyt długo bez Biblii. Właśnie wtedy dotarła do pewnej wioski, w której wierzący mieli tylko niektóre fragmenty Ewangelii Mateusza. Z rozdziału dwudziestego piątego przeczytali przypowieść o dziesięciu pannach. Pięć z nich było roztropnych i wzięło ze sobą oliwę, żeby podtrzymać płomień w swoich lampach. Pięć zaś było głupich i nie zrobiło tego. Wszyscy chrześcijanie z tej wioski potraktowali ten fragment dosłownie i cały czas nosili przy sobie naczynie z oliwą, aby nie okazało się, że podzielił los głupich panien, gdy powróci Pan Jezus.

Ling ogromnie pragnęła mieć swoją własną Biblię, aby mogła ją dogłębnie poznać i pomagać innym wierzącym ją zrozumieć. Gdy więc przypadkiem usłyszała, że sześć kilometrów dalej pewna kobieta ma Biblię, pośpieszyła tam co tchu. Okazało się, że rzeczywiście miała ona kilka egzemplarzy Pisma Świętego, które morze wyrzuciło na brzeg po tym, jak chrześcijańska grupa misyjna, usiłująca przemycić je nocą do Chin, została zmuszona do wyrzucenia ich za burtę. Niektórzy wierzący, mieszkający wzdłuż brzegu morskiego, odnaleźli część z nich. Ta kobieta pieczołowicie suszyła na słońcu każdą kartkę oddzielnie.

Kiedy Ling poprosiła ją o jedną z Biblii, tłumacząc, że Bóg powołał ją do głoszenia ewangelii, bardzo się zaniepokoiła.

— Nie, nie, nie! — odpowiedziała. — Te Biblie są bardzo cenne. Czy wiesz, jak ciężko jest dostać Biblię? I skąd właściwie mam wiedzieć, że w ogóle jesteś wierząca?

Ling nie ustawała w prośbach, ale bez skutku. Kobieta nie chciała rozstać się z ani jedną ze swoich Biblii. Biedna Ling musiała wyglądać na ogromnie zawiedzioną, bo kobieta powiedziała jej w końcu, że jeśli powie bezbłędnie z pamięci Ojciec nasz, to ona przemyśli całą sprawę jeszcze raz.

To dawało jakąś nadzieję. Ling wyszła podniesiona na duchu i poszła prosto do wioski, w której mieszkał pewien stary chrześcijanin, który miał w domu Biblię. Traktował ją z wielką czcią. Gdy ją zobaczyła, zrozumiała, dlaczego — była ręcznie przepisana. Dłonie tego starca były na trwałe zdeformowane — to efekt całych tysięcy godzin, poświęconych na pieczołowite przepisywanie Biblii znak za znakiem.

Wielkie marzenia — początek misji

Gdy przedstawiła swoją prośbę, stary człowiek ostrożnie podał jej Biblię i pozwolił przepisać słowa Ojciec nasz, aby mogła nauczyć się ich na pamięć. Na widok starannie zapisanych znaków oniemiała z wrażenia. Zastanawiała się, ile lat musiał poświęcić na przepisanie tych tysięcy wersetów. Później w trakcie swoich podróży zobaczyła jeszcze wiele takich Biblii. Pełen miłości trud, jaki ci ludzie wkładali w tę pracę, pozwolił jej jeszcze lepiej zrozumieć, jak wielką wartość ma Słowo Boże. Postanowiła nauczyć się na pamięć jak największej liczby fragmentów. Zobowiązała się również, że będzie dostarczać Biblie wierzącym w całych Chinach — jeśli oczywiście Bóg umożliwi realizację tego marzenia.

W drodze powrotnej do domu tej kobiety zaczęła się martwić, czy aby na pewno bezbłędnie nauczyła się na pamięć modlitwy Pańskiej. A co jeśli ten człowiek popełnił błąd? A co jeśli ona pomyliła się przy przepisywaniu?

Nie było jednak powodu do obaw. Egzamin zdała doskonale, bezbłędnie recytując modlitwę Pańską. Mimo to kobieta kazała się jej jeszcze pomodlić, aby upewnić się co do szczerości jej zamiarów. Potem zadawała wiele pytań na temat jej służby. Pytała też o to, jak uwierzyła w Chrystusa. Przesłuchanie w końcu się skończyło.

Kobieta uklękła razem z Ling, przycisnęła Biblię do piersi i wręczyła ją nowej właścicielce. Przepraszyła, że była taka drobiazgowa i wyjaśniła:

— Kiedy nasi bracia znaleźli te Biblie na brzegu, zaczęli rozprawiać je po Chinach. Było to bardzo niebezpieczne. Niektórzy zapłacili za to własnym życiem. Pamiętam o ich ofierze i dlatego tym bardziej cenię te Księgi.

Ling miała teraz swoją Biblię. Część kartek była nadal wilgotna, ponieważ kobieta nie zdążyła ich jeszcze wysuszyć. Otworzyła dzięsiąty rozdział Ewangelii Łukasza, delikatnie przewracając pomarszczone kartki, i ze łzami w oczach przeczytała znajome słowa: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo. Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki”.

Pierwszą część przykazania Jezusa rozumiała bardzo dobrze. Wyruszyła samotnie jako pracownica Pańska i żniwo rzeczywiście okazało się wielkie. Zastanawiała się jednak, jak wypełni się druga część tego fragmentu i prosiła o siłę.

Poszukiwani

Plakat wyglądał złowieszczo: „Poszukiwani za przestępstwa przeciwko państwu” — głosił nagłówek. — „Każdy, kto widział osoby z poniższej listy, powinien niezwłocznie powiadomić o tym organa lokalnej władzy. Czeka nagroda”. Ling przeczytała te słowa i zadrżała, przejeżdżając wzrokiem po liście. Poruszała wargami, odczytując nazwiska osób, które znała. Wiele z nich było jej przyjaciółmi i współpracownikami. Na liście pojawiło się też jej nazwisko.

Nie była zaskoczona, choć odkrycie to podziałało na nią otręziająco. Przez jakiś czas wszystko szło gładko. Jako podróżująca misjonarka radziła sobie całkiem dobrze. Miała żywo w pamięci tego starego ewangelistę, który zmienił jej życie, gdy przyjechał do wioski i opowiedział prostą historię o Adamie i Ewie, grzechu i wielkiej ofierze Jezusa Chrystusa. Pragnęła iść za jego przykładem. W niedługim czasie zauważyła, że jednym z najskuteczniejszych sposobów docierania do ludzi było po prostu przeczytanie na głos kilku wybranych fragmentów Pisma Świętego. Wielu Chińczyków wiedziało, jaką rzadkością jest Biblia. Słuchali więc z wielką uwagą i całym sercem chłonęli przesłanie czytanych historii.

O dziwo, kłopoty zaczęły się od jej własnych krewnych. Podróżowała od wioski do wioski i wieści o jej służbie szybko się roznosiły. Wówczas krewni zaczęli jej zarzucać, że przynosi wielki wstyd rodzinie.

— Jest coraz starsza — mówili wzburzeni. — Powinna wyjść za mąż, a nie błąkać się po okolicy jak jakaś wariatka!

Ling rozważała powrót do domu, lecz z innego powodu. Ojczym był wściekły, że stracił swoją siłę roboczą. Początkowo sądził, że Ling wróci, gdy tylko poczuje głód. Jednakże po upływie kilku miesięcy uświadomił sobie, że odeszła na dobre. Odwiedzała oczywiście swoich najbliższych, ale nigdy na dłużej niż kilka godzin.

Szu-Tan nie chciał zatrudnić pomocnika ani kupić wołu. Zaprzął więc do pracy przy wyrobie tofu matkę Ling. Gdy Ling usłyszała o jego bezdusznosci, przedostała się chyłkiem do domu i powiedziała matce:

— To dla ciebie stanowczo za dużo. Zostanę w domu.

— Nie! Absolutnie nie — odpowiedziała matka. — Musisz mi obiecać, że będziesz wierna powołaniu Bożemu. Poradzę sobie z tym. To niewielka cena za to, że ty głosisz ewangelię. Rozumiesz? Musisz dalej zbierać żniwo dla Pana.

Postąpiła zgodnie ze słowami matki. Wkrótce jednak pojawiły się kolejne problemy. W niektórych wioskach miejscowa milicja rozpoczęła rozprawę z „nielegalnymi spotkaniami” i „działalnością sekciarską”. Wielu wierzących bało się organizować spotkania z jej udziałem. Niekiedy odmawiano jej nawet jednego posiłku. Zmusiło ją to do odbywania coraz dalszych podróży w głąb kraju. Wszędzie chodziła na piechotę. Za równowartość dwóch złotych mogłaby pokonać większość trasy autobusem, ale nie było jej stać na bilet.

Na szczęście, gdy jej przyjaciele dowiedzieli się o tych wyprawach misyjnych, ofiarowali jej buty, które przyjęła z radością.

Pomimo piętrzących się trudności jej służba przynosiła coraz lepsze rezultaty. Na spotkania przychodziło często ponad sto osób. Jej donośny głos niósł się daleko, gdy przemawiała pod gołym niebem do tłumnie zgromadzonych wieśniaków. Kościoły domowe powstawały w wielu wioskach, co oczywiście zwróciło uwagę władz. Początkowo chrześcijanie nie przyznawali się do tego, że nie chcą podporządkować się oficjalnemu, popieranemu przez rząd kościołowi o nazwie Trójsamodzielny Ruch Patriotyczny (TSPM). Prawda była jednak taka, że nawet gdyby chcieli przyłączyć się do niego, to

i tak w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów nie było ani jednego takiego kościoła!

Wkrótce służba bezpieczeństwa zintensyfikowała prześladowania chrześcijan. W odpowiedzi wierzący przenieśli swoje spotkania w odludne miejsca, a śpiew i kazania stały się cichsze. Ling musiała uważać, komu zwierza się ze swoich planów, i nie przebywać długo w jednym miejscu. Wielu zagranicznych misjonarzy, pracujących w okolicy, usłyszało o niej i często prosili ją o spotkanie. Zdawała sobie dobrze sprawę, że wiąże się to z dodatkowym ryzykiem i wzbudza niepotrzebne zainteresowanie milicji. Mimo to z wielką ochotą spotykała się z braćmi i siostrami z zagranicy, aby opowiedzieć im o tym, co Bóg robi w Chinach. Misjonarze przywozili Biblię, które z radością rozprowadzała wśród nowych kościołów domowych. Mimo to Biblii nadal było bardzo niewiele. Zazwyczaj mogła zostawić kościołom tylko po jednym egzemplarzu. W dalszym ciągu przepisywano Pismo Święte ręcznie.

Ubłoczone kolana, tętniące serca

Zimą 1983 roku prześladowania i aresztowania chrześcijan były już zakrojone na szeroką skalę. Ling musiała się cały czas ukrywać, jako że wraz z wieloma swoimi współpracownikami była na rządowej liście poszukiwanych. Odwiedzenie matki nie wchodziło teraz w rachubę. Służba bezpieczeństwa bez wątpienia obserwowała jej dom. W wiosce Towkil Ling musiała wyprowadzić mieszkańców daleko na pola, aby móc bezpiecznie podzielić się z nimi ewangelią. Łało jak z cebra i nigdzie nie było żadnego zadaszenia. Wszyscy jednak zostali i chłonęli każde słowo.

Gdy poprowadziła ich w modlitwie, wyrażającej skruczę przed Bogiem, uklękneli wraz z nią w grząskim błocie. Kolana wszystkich zapadły się w błotnistej mazi. Tego dnia ponad sto osób uwierzyło w Chrystusa i uznało Go za swojego Zbawiciela. Cieszyła się razem z nimi, drżąc zarazem na myśl o tym, co miało nadejść. Wiedziała jednak również, że ogień prześladowań sprawi, iż powiew Duch Świętego będzie jeszcze silniejszy i dotrze jeszcze dalej. Ponownie postanowiła być wierna swojemu powołaniu — bez względu na wszystko.

Trzydzieści kilometrów dalej w wiosce Datwin spotkała kilku kaznodziejów, którzy podróżowali po wioskach, głosząc ewangelię i starając się ująć uwadze milicji. Jeden z nich był znany jako wujek Fun. Podobnie jak jego towarzysze podzielał wizję i pasję Ling.

Wraz ze swoimi współpracownikami służył Panu od wielu lat. Był najstarszy w tej grupie. Miał już za sobą pięcioletni wyrok w obozie pracy przymusowej.

Ling i pozostali ewangeliści połączyli siły. Było ich w sumie dziesięcioro: dziewięciu mężczyzn i Ling. Postanowili, że będą nadal głosić proste przesłanie o Chrystusie i stopniowo przekazywać pieczę nad kościołami domowymi miejscowym przywódcom. Ci członkowie grupy, którzy nie byli jeszcze po ślubie, tak jak Ling, zobowiązali się również, że dopóki dzieło, którego się podjęli, nie będzie mocno ugruntowane, nie zawrą związku małżeńskiego.

Największym wyzwaniem, przed jakim stanęli, nie były jednak prześladowania, lecz dotkliwy brak Biblii. Uzgodnili więc, że Ling będzie odpowiedzialna za dostarczanie kolejnych egzemplarzy Pisma Świętego, jako że nawiązała już kontakty z zagranicznymi misjonarzami, którzy przemycali Biblię do Chin. Swój czas dzieliła więc między zakładanie kościołów domowych po wioskach a wyszukiwanie z pomocą wujka Funa wszystkich miejsc, w których można było zdobyć Biblię.

Ciężka praca i rosnące niebezpieczeństwo

Ewangelizując i rozprowadzając Biblię, przemierzała przynajmniej pięćdziesiąt kilometrów dziennie — głównie na rowerze. Podróże stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Zdawała sobie sprawę, że służba bezpieczeństwa ją obserwuje. Aresztowanie było tylko kwestią czasu. Starła się na to przygotować. Czytała więc kościołom w wioskach coraz więcej fragmentów Pisma Świętego mówiących o prześladowaniach. Chciała, żeby byli gotowi na cierpienie. Pragnęła też być dobrym przykładem, gdyby to jej przyszło wycić ten kielich.

Służba stawała się coraz trudniejsza. Bywały dni, że nie miała nic do jedzenia. Niektórzy chrześcijanie krytykowali ją. Ich zdaniem dwudziestoletnia niezamężna kobieta nie powinna była podejmować się takiej pracy. Część spadającej na nią krytyki wynikała z uwarunkowań kulturowych. Niektórzy jednak byli po prostu zazdrośni. Tak czy owak, te wszystkie uwagi na jej temat nie były niczym przyjemnym.

W latach osiemdziesiątych wspólnie ze swoimi współpracownikami kontynuowała podróże misyjne. Coraz częściej dochodziły ich słuchy, że władza nęka i aresztuje chrześcijan, a nawet poddaje

ich torturom. Centralne władze Chin były coraz bardziej zaniepokojone gwałtownym rozwojem kościołów domowych w całym kraju, szczególnie że w tym samym czasie oficjalne kościoły TSPM traciły członków. Dla Ling i pozostałych ewangelistów stało się jasne, że wierzący pragnęli nowego wylania Ducha Świętego, co zaowocowałoby dynamicznym rozwojem ruchu kościołów domowych. W odpowiedzi władza przeprowadziła ogólnokrajową kampanię, mającą na celu zmiążdżenie tego ruchu. Prześladowania nasiliły się. Milicja w terenie otrzymała szerokie uprawnienia. Miała prawo postępować z chrześcijanami, szczególnie liderami, według własnego upodobania. Często oznaczało to tortury i więzienie bez procesu.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Ling – mądra i pełna współczucia misjonarka – była powszechnie znaną postacią. Mimo to udało jej się uniknąć kłopotów z władzą.

Dotrzymać przyrzeczenia

W kwietniu 1994 roku była skrajnie wyczerpana.

– Powinnaś nieco odpocząć – powiedział jej wujek Fun. – Może też nadeszła teraz odpowiednia pora w planie Bożym, abyś wyszła za mąż.

Nie spodobał jej się ten pomysł.

– Wiesz wujku, że złożyłam przyrzeczenie pozostałym członkom naszej grupy. Ślubowaliśmy, że nie spoczniemy ani nie zawrzemy związku małżeńskiego, dopóki kościół nie zostanie zbudowany na mocnym fundamencie. Wierzący potrzebują przywódców, którzy będą ich umacniać, aby mogli stawić czoła tym strasznym prześladowaniom. A poza tym do Guangzhou dotarł kolejny transport Biblii. Zabieram ze sobą Szena i Dżena, żeby je stamtąd zabrać. Wrócimy za kilka dni.

Nie przekonało to starego Funa, ale nie chciał się z nią spierać. Ling potrafiła być uparta. Lecz przecież właśnie dlatego włączyła ją do swojej grupy. Był przekonany, że Bóg wykorzysta jej żarliwość w dziele budowy powstających właśnie kościołów domowych i że przyczyni się ona do ich rozkwitu. A poza tym wraz z żoną pokochali ją jak córkę.

Wiedział również dobrze o trudnościach, jakie ją spotykały, o zażdrości innych chrześcijan i ciągłym braku zrozumienia ze strony tych, którym nie mieściło się w głowie, że nie wyszła za mąż. Zawsze pamiętała o tym w modlitwie.

Pierwsze aresztowanie

Ling i jej współpracownicy zabrali Biblie i w drodze powrotnej zatrzymali się wieczorem w domu przyjaciół. Czas upływał w bardzo miłej atmosferze. Pomodlili się wspólnie i zażywali kojącego wypoczynku. Było już dość późno, gdy Ling przeprosiła wszystkich i wyszła, żeby jeszcze przed snem zadzwonić do kogoś. Gdy tylko znalazła się na zupełnie pustej ulicy, usłyszała, że jakiś mężczyzna woła ją po imieniu. Szedł szybkim krokiem w jej kierunku. Kiedy był już blisko, zobaczyła w świetle lampy ulicznej, że jest to milicjant. W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, lecz gdy tylko się odwróciła, drogę zastawił jej inny milicjant.

— No cóż — pomyślała — w końcu mnie złapali.

Spodziewała się, że ta chwila nadejdzie, od kiedy przeczytała swoje nazwisko na liście osób poszukiwanych przez milicję. Przez cały ten czas była jednak całkowicie przekonana, że stanie się to dopiero wówczas, gdy Bóg uzna, że przyszła na to właściwa pora. Myśl ta była teraz dla niej źródłem pociechy.

— Pójdiesz z nami — powiedział jeden z milicjantów, pokazując swoją odznakę.

Najwyraźniej czekali na nią. Dobrze wiedziała, co oznacza aresztowanie. Odetchnęła jednak z ulgą na myśl, że wzięli tylko ją, a pozostałych zostawią w spokoju i nie będą przeszukiwać małego mieszkania, w którym się zatrzymali.

Lecz zamiast zaprowadzić ją do stojącego opodal samochodu, zabrali ją z powrotem do mieszkania.

— Dokąd mnie zabieracie? — zapytała.

— Do środka — odpowiedział pierwszy z milicjantów.

Był wysoki, tak jak Ling, i mówił spokojnym głosem, który wytrącił ją z równowagi. Gdy wprowadzali ją z powrotem do bloku, kłębiły się w niej przeróżne myśli:

— Szen i Džen są żonaci. Na pewno nie poślą ich do więzienia. Ile Biblii znajdą? Czy zniszczyłam tę kartkę ze wskazówkami, jak znaleźć dom pastora, od którego wzięliśmy Biblie?

Wchodząc do mieszkania przed milicjantami, szybko szepnęła do Szena i Dżena:

— Powiedzcie im, że was wynajęłam i że nic nie wiecie. Wezmę na siebie całą odpowiedzialność.

Milicjanci szybko oddzielili ją od pozostałych, posadzili na krześle przy stole i rozłożyli przed nią bardzo oficjalnie wyglądający dokument. Zauważyła, że w jednym z wykropkowanych miejsc w pierwszym akapicie wpisano jej nazwisko.

— Podpisz to — warknął poirytowany funkcjonariusz, wsuwając jej do ręki długopis.

Szybko przeleciała wzrokiem leżący przed nią papier urzędowy. Był to nakaz rewizji, na mocy którego milicjanci mogli przeszukać jej pokój i zabrać wszystkie „dowody” rzeczowe. Podpisała, co trzeba i nagle poczuła, że ogarnia ją ogromne zmęczenie. Wiedziała, że będzie to długa noc...

Milicjanci zaczęli wywracać mieszkanie do góry nogami. Grzebali w jej ubraniach. A potem znaleźli pudła z Bibliami...

Zabrano ją do Więzienia 91, jednego z czterech słynnych chińskich więzień. Przesłuchujący ją oficerowie chcieli tylko trzech rzeczy: nazwisk, nazwisk i jeszcze raz nazwisk.

— Kto pomaga ci finansowo?

— Kim są pozostali przywódcy?

— Kto dał ci te Biblie?

Wiedząc, z czym wiązałoby się podanie personaliów kogokolwiek z jej grupy, odmawiała odpowiedzi.

Przesłuchania odbywały się regularnie przez kolejne dwa miesiące.

Oprócz częstych przesłuchań musiała pracować razem z innymi więźniami przy produkcji zapalniczek. Kontrola jakości była bardzo ścisła, ponieważ eksportowano je na Zachód. Po jakimś czasie zachorowała. Miała wysoką gorączkę i czuła się fatalnie. Jeżeli jednak nie wypełniała dziennej normy, była bita.

Wiemy, jak otwierać usta

W lipcu przeniesiono ją. Milicja z jej rodzinnego miasteczka dowiedziała się o jej aresztowaniu i wystąpiła z prośbą o ekstradycję. Ścigali ją od przeszło dziesięciu lat i teraz wprost nie posiadali się z radości. Byli też o wiele bardziej doświadczeni w przesłuchiowaniu więźniów. Jeden z nich powiedział jej:

— Wiemy, jak otwierać usta.

Wysoka gorączka i przymusowa praca w Więzieniu 91 osłabiły ją. Przesłuchania były dla niej istną męką. Była zziębnięta i bliska utraty przytomności. Przesłuchujący traktowali ją ostro, ale niczego

im nie powiedziała. Stosowali inne techniki niż ci, którzy ją aresztowali, ale chcieli tego samego: nazwisk.

- Z kim jeszcze współpracujesz? — pytali w kółko.
- Z kim masz kontakty za granicą?
- Opowiedz nam o swoich nielegalnych spotkaniach.
- Kto przekazuje ci książki i Biblię?

Natarczywe pytania przyprawiły ją o zawrót głowy, ale trzymała się. Pomimo ogromnej pokusy, by wyjawić nazwiska współpracowników, nie zrobiła tego. Czasami przesłuchujący pokazywali jej zdjęcia, na których była razem ze swoimi współpracownikami.

— Jeżeli wiesz już, z kim pracuję, to dlaczego chcą, żebym podawała nazwiska? — zastanawiała się. — W czym mogłabym im jeszcze zaszkodzić?

Pewnego strasznego dnia do pokoju przesłuchań weszło dzieśięciu mężczyzn. Jeden z nich trzymał mały zacisk z otworami po obydwu stronach. Dwaj strażnicy brutalnie zmusili ją do położenia się na brzuchu na podłodze. Jedną rękę wyciągnęli jej z boku na plecy, a drugą wykręcili do góry przez ramię, tak że jej dłonie znalazły się o kilka centymetrów od kręgosłupa. Następnie kolejny strażnik oparł się butem na jej plecach, aby łatwiej mu było przyciągnąć jej dłonie do siebie. Z kolei ci, którzy trzymali jej ręce, szybko przymocowali zacisk do jej kciuków. Skręcili go mocno, ściskając ze sobą kciuki.

Gdy bezlitośnie wykręcano jej stawy barkowe, słyszała, jak trzeszcza jej kości. Następnie strażnicy puścili jej ręce i piekielny ból przeszył jej straszliwie powyginane ciało.

„Zaciskanie kciuków” było tak bardzo okrutne, że rząd zabronił stosowania go wobec kobiet. Ling jęczała z bólu, myśląc o ironii losu: wielu wieśniaków zniechęcało ją do prowadzenia służby, ponieważ była kobietą i robiła to, co uważano za pracę dla mężczyzn. A teraz jest torturowana jak mężczyzna.

Wiedziała dobrze, co ją czeka. Miała wybór: mogła umrzeć lub zdradzić swoich braci w wierze. Uznała jednak, że śmierć będzie łatwiejsza.

- Wstawaj — wrzasnął oficer, kopiąc ją w stopy.

Usiłowała podnieść się na kolana, gdy straszliwe uderzenie laską w plecy powaliło ją na podłogę. Ból przeszył ją niczym błyskawica. Nie mogła złapać tchu. Poruszenie jakkolwiek częścią ciała było praktycznie niemożliwe. Miała napuchnięte nadgarstki. Ręce wywinięte do tyłu zupełnie ścierpły.

— Proszę, ja nie mogę... — mówiła drżącym głosem, starając się ze wszystkich sił zachować przytomność umysłu. Krople zimnego potu spływały jej po czole i piekły w oczy. W swojej udręce modliła się do Boga. Zastanawiała się, czy tak czuł się Jezus, gdy modlił się w Getsemane, wiedząc, że będzie cierpiał i umrze. Bardzo możliwe, że spotka ją taki sam los...

Przesłuchanie trwało trzy godziny. Przez cały czas miała kciuki zaciśnięte na plecach. Jej ciało było okropnie powykrcęcane. W końcu straciła przytomność z bólu.

Kiedy się obudziła, leżała twarzą do ziemi w swojej brudnej celi. Słyszała jakieś głosy dochodzące z zewnątrz. Po chwili ktoś wszedł do środka, podniósł ją i położył na drewnianej pryczy. Nie była w stanie się poruszyć. Ból był zbyt dotkliwy. Nie mogła nawet podnieść się, żeby coś zjeść lub skorzystać z wiadra, pełniącego rolę sedesu. Leżała tak przez piętnaście dni, podczas gdy oficerowie zastanawiali się, co mają z nią zrobić.

W ciągu kolejnych pięciu miesięcy w straszliwych więziennych warunkach stopniowo wracała do sił po torturach. Po czym władza, nie znalazłszy żadnego obciążającego ją dowodu ani nie zdoławszy zmusić jej do wyjawienia nazwisk innych wierzących z jej rozległej siatki współpracowników, niechętnie wypuściła ją na wolność.

Szkoła cierpienia

W zimny i wietrzny styczniowy dzień w 1995 roku Ling zapukała do drzwi swojej współpracownicy.

— Ling! — wykrzyknęła jej przyjaciółka Rut, zobaczywszy stojącą przed sobą wychudzoną postać.

Szybko wciągnęła ją do środka, rzuciła się jej na szyję i zasypała pytaniami:

— Ling, wszyscy tak bardzo martwiliśmy się o ciebie. Dlaczego się z nami nie skontaktowałaś? Jesteś taka chuda! Czy wszystko z tobą w porządku? Milicja nie chciała nam nic o tobie powiedzieć. Jak udało ci się przeżyć? Jak wydostałaś się z więzienia?

Wiść o jej powrocie szybko rozeszła się wśród wierzących. Z tej okazji zorganizowano na poczekaniu specjalną uroczystość. Ling była wyczerpana, ale zarazem uszczęśliwiona, że jest znowu ze swoimi braćmi i siostrami w wierze. Gdy zebrali się na modlitwę i dziękczynienie, powiedziała:

— Tak bardzo wam dziękuję za Wasze żarliwe modlitwy o mnie w ciągu tych ostatnich miesięcy. Wiem, że nie podołałabym bez Bożej pomocy i wsparcia, jakie okazywaliście mi w modlitwie. Wiercie mi, było wiele takich dni, kiedy wydawało mi się, że nie dam już rady. Lecz Bóg był wierny i za każdym razem przypominał mi o swojej miłości. Myślę, że cierpienie jest szkołą. Jeżeli z powodzeniem ukończy się tę szkołę, to znaczy, że zrobiło się to, co do nas należy. Jeśli nie, życie się po prostu rozsypuje. Dla mnie więzienie było taką szkołą. Kiedy tam byłam, nie miałam niczego, na czym mogłabym się oprzeć, oprócz Boga. Dzięki temu przybliżałam się do Niego. Zawsze uczyłam was, abyście byli mocni w wierze i mężnie stawiali czoła każdemu wyzwaniu. Teraz mogę powiedzieć z jeszcze większym przekonaniem, że Jezus będzie z wami bez względu na to, przez co będziecie musieli przechodzić.

Przed aresztowaniem Ling zgłębiała życie Pawła i pozostałych nowotestamentowych apostołów, którzy cierpieli dla Chrystusa, i dużo uczyła na ten temat. Teraz żartowała sobie ze swoimi współpracownikami, że kiedy pójdzie do nieba, to najpierw będzie chciała przywitać się z Jezusem, a potem uścisnąć dłoń Pawłowi i zapytać go: „Czy twoje życie na ziemi było równie ciężkie jak moje?”

Miała niespełna trzydzieści lat. Z racji tego, że tak wiele razy była maltretowana, jej organizm nie funkcjonował normalnie. Chciała jednak dawać dobry przykład i natychmiast wznowiła służbę w kościołach domowych: nauczała, prowadziła spotkania grup biblijnych, spotykała się z zagranicznymi kontaktami, koordynowała udzielanie pomocy potrzebującym i przepływ informacji, dbała o to, by Biblię płynęły nieprzerwanym strumieniem w głąb Chin. Z powodu srogich prześladowań wszczętych przez władze w latach osiemdziesiątych wierzący rozproszyli się po całym kraju i sieć kościołów domowych powiększyła się do kilku milionów osób. W związku z tym ze zdwojoną żarliwością zabiegała o to, aby każdy kościół miał przynajmniej jedną Biblię.

Pewnego wrześniowego wieczoru w 1996 roku pożegnała się z małżeństwem misjonarzy z Europy i wróciła do domu. Około dziesiątej w nocy wraz z przyjaciółmi usłyszała pukanie do drzwi.

Jakiś męski głos zawołał:

— Dobry wieczór! Chcemy tylko sprawdzić waszą kartę mel-dunkową.

Ling spojrzała na Funa i Szena i pokiwała głową. Wiedziała, że to na pewno milicja. Otworzyła drzwi i pięciu funkcjonariuszy wepchnęło się do środka.

— Jesteście aresztowani — oświadczył jeden z nich, podczas gdy pozostali założyli wszystkim kajdanki. Patrzyła z przerażeniem, jak milicjanci po raz kolejny przekopywali jej rzeczy. Będzie to kolejna długa noc...

Starzy przyjaciele

Gdy dotarli na posterunek, przyprowadzono ją do komendanta — wygadanego mężczyzny, który zajmował się nią w czasie poprzedniego aresztowania.

— Towarzyszu komendancie, oto panna Ling... — zaczął podkomendny.

— Tak, znam ją — odparł z uśmiechem przełożony, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie. — Jesteśmy starymi przyjaciółmi. No cóż, Ling, myślę, że zostaniesz tu przez jakiś czas. Wasze akta są naprawdę okazałe. Dzisiaj wieczorem zgarnęliśmy jeszcze dwóch waszych liderów. Ogólnie rzecz biorąc, odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Zadarł brodę lekceważąco.

— Wsadźcie ją do celi dwunastej — rzucił przez ramię, wychodząc z pokoju. — Wracam do domu.

Po tygodniu zupełnego braku zainteresowania jej osobą niepokój Ling nasilił się. Dlaczego mnie nie przesłuchują? Dlaczego oficer był tak z siebie zadowolony? Jak dowiedzieli się o innych, których aresztowali? Uświadomiła sobie, jak dużo muszą wiedzieć, i ze wszystkich sił starała się nie poddać panice. Podejrzewała, że milicja jeszcze lepiej orientuje się teraz, jak duże ma ona wpływy. Prawdopodobnie śledzili ją od chwili, gdy wyszła na wolność po poprzednim aresztowaniu. Bez wątpienia wiedzą, jak często spotykała się ze swoimi zagranicznymi kontaktami. Na pewno nie uszły ich uwagi spotkania, które odbywała z gośćmi przyjeżdżającymi do jej prowincji w celu zasięgnięcia informacji o ruchu kościołów domowych.

— No cóż — myślała — to wszystko ma sens. Kościół rozwija się w postępie geometrycznym. Służba bezpieczeństwa musiała więc, prędzej czy później, dowiedzieć się o szczegółach mojej działalności.

Stopniowo pogodziła się z życiem więziennym. Słowa Jezusa: „oto posyłam was jak owce między wilki”, przyproważyły ją o drżenie serca. Czyżby po raz kolejny miały wypełnić się w jej życiu?

Kolejne cztery miesiące były prawdziwą udręką.

— Proszę — błagała czasami funkcjonariuszy. — Jeśli chcecie mnie zabić, to zabijcie. Jeśli chcecie mnie skazać, to skażcie. Jeśli

chcecie mnie zwolnić, to zwolnijcie! Ale nie trzymajcie mnie tutaj bez żadnego powodu, jak poprzednim razem.

Nikt jednak nie zwracał na nią większej uwagi. Czasami tylko strażnik opluł ją lub wyśmiał.

Niekiedy wydawało się jej, że oszaleje. Codziennie przesiadywała na twardej, drewnianej ławce, która służyła jej za łóżko. W malutkiej celi, przeznaczonej jedynie na areszt tymczasowy, było ciągle mokro. Czasami było tam stłoczonych nawet dwadzieścia kobiet, które większość czasu musiały poświęcać na zbieranie wody z podłogi.

Więźniarki były często wprowadzane i wyprowadzane z celi, a potem przenoszone do innego więzienia lub zwalniane. Władza jednak praktycznie zupełnie ignorowała Ling, która niemalże nie opuszczała tego maleńkiego, zatłoczonego pomieszczenia. W ciągu długich dni nie wolno jej było położyć się ani nawet oprzeć o ścianę. Musiała stać albo siedzieć wyprostowana na drewnianej desce, służącej za łóżko. Ponadto chmary much i owadów powodowały, że pobyt w tej brudnej celi stawał się istnym koszmarem.

W końcu pewnego dnia w drzwiach celi pojawił się komendant milicji z jakimś formularzem w ręku.

— Podpisz to — rozkazał.

Ling sięgnęła przez kraty po formularz.

— Co to jest? — zapytała.

— Po prostu podpisz to — warknął, rzucając w nią kartką. — Zostajesz przeniesiona.

Serce w niej zamarło, gdy szybko przebiegała wzrokiem przez dokument i zauważyła, że było to powiadomienie, iż zostaje wysłana na trzy lata do „obozu pracy reedukacyjnej”. Rząd chiński dawał więźniom piętnaście dni na odwołanie się od takiej decyzji lub podjęcie jakiejś próby obrony. Lecz ona nie otrzymała takiego prawa.

— Wyjeżdżasz jutro — powiedział komendant.

Zanim zdołała zaprotestować, odszedł dumnie wyprostowany. Podeszwy jego błyszczących lakierok uderzały miarowo o betonową podłogę, aż w końcu zniknął na końcu długiego korytarza.

Trzy lata.

— Och, Boże, proszę, miej w opiece kościół — modliła się w karetkce więziennej, która wiozła ją do rejonu znanego jako Osiem-nastokilometrowa Rzeka, w którym był położony obóz pracy. Była wdzięczna za wszystko, co osiągnęła wspólnie ze współpracownikami, lecz równocześnie niepokoila się o ich los. Wiedziała, że przynajmniej czterech spośród dziesięciu czołowych przywódców z jej

sieci kościołów domowych przebywa teraz w więzieniu. Oprócz niej w miejscowym więzieniu był przetrzymywany wujek Fun, a dwaj inni zostali zesłani do obozu pracy.

Gdy dotarła na miejsce, otrzymała miskę ryżu i małe pudełko z rzeczami osobistymi, po czym odprowadzono ją do celi.

Modlitwa – nieodzowna jak tlen

– Witamy Ling! Powiedziano nam, że przybędziesz! – jakiś głos powitał ją, gdy drzwi celi zamknęły się z trzaskiem.

Okazało się, że kilka wierzących kobiet z jednej z jej grup będzie przebywać razem z nią w celi. Usłyszawszy ich radosne powitanie, uśmiechnęła się. Zachowywały się tak, jakby były szczęśliwe, że wsadzono ją do więzienia. Lecz tak naprawdę cieszyły się tylko z tego, że umieszczono ją w ich celi. Uściskały się serdecznie i pomodliły szepcąc. Ling zastanawiała się, ilu jeszcze chrześcijan dołączy do nich.

Przydzielono jej górną pryczę. W pierwszą noc weszła na swoje łóżko i zaczęła się modlić na głos.

– Ej! – krzyknęła jedna ze współwięźniarek. – Nie wolno tego tu robić. Jeśli cię przyłapią, zostaniesz ukarana.

– Chrześcijanom nie można zabronić się modlić. To tak, jakby zabronić im oddychać – odparła Ling.

– No cóż, tak to już jest – powiedziała jakaś inna kobieta. – I nie tylko to. Nie wolno mieć też długich włosów.

Ling wplotła palce w swoje długie, jedwabiste włosy. Nie była próżna, ale nie mogła sobie wyobrazić siebie z obciętymi włosami. Miała zawsze długie włosy, tak jak jej matka. Zastanawiała się, jak brzydko będzie wyglądać z krótkimi. Czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Pomodliła się w duchu, aby Bóg ocalił jej włosy. Wiedziała, że była to głupia prośba. Rozejrzała się po celi i zauważyła, że wszystkie pozostałe kobiety miały krótkie włosy i wyglądały brzydko.

Życie w obozie różniło się od więziennego. Po wielu długich tygodniach pobytu w areszcie Ling była zadowolona, że w ciągu dnia może wyjść na dwór. Jedzenie było nieco lepsze, lecz przez trzy-miesięczny okres próbny musiała pracować przy wyrobieniu peruk od piętnastu do szesnastu godzin dziennie. Znowu pomyślała o ironii losu, przesuując dłoń po szczecinie, która teraz sterczała jej z głowy. Praca przy wyrobieniu peruk była nużąca i trudna. Normy dzienne były wysokie. Nierzadko zdarzało się, że więźniarki wymiotowały z prze-męczenia. Ling trudno było uciec myślami od tych okropności.

Życie było bardzo monotonne — pobudka, posiłek, praca i sen — i znowu pobudka, posiłek, praca i tak w kółko. Czasami, gdy było dużo pracy lub normy nie zostały wykonane, więźniarki pracowały nocami. Największym wyzwaniem dla Ling było znalezienie czasu na rozmyślanie o Bogu i modlitwę, która była ważną częścią jej dotychczasowego życia. Ponadto, po tylu latach swobodnego podróżowania po centralnych Chinach, głoszenia ewangelii, nauczania i troszczenia się o ludzi, życie obozowe ze wszystkimi swoimi regułami i obostrzeniami było dla niej prawdziwą udręką.

To wszystko ma sens

Codziennie o piątej rano rozlegał się gwizdek i więźniarki zrywały się na równe nogi. Miały dziesięć minut na pościelenie łóżek i ustawienie się w szereg na dziedzińcu, piętnaście minut na posiłek i cały dzień na pracę w fabryce. Rozkład dnia był taki sam przez siedem dni w tygodniu. Nie było ani jednego dnia odpoczynku. Dla większości kobiet, w tym i Ling, życie zamieniło się w permanentny stan wyczerpania i monotonii. Ling pracowała obok prostytutek, handlarek narkotykami, złodziejek, porywaczek i wielu innych kobiet, które uznano za „margines społeczny”. Krańcowo wycieńczona z coraz większym trudem znajdowała czas na wieczorną modlitwę, gdyż morzył ją sen.

Po kilku tygodniach zaczęła zauważać, że dają o sobie znać jej stare przyzwyczajenia. Postanowiła więc powierzyć wszystko Bogu. Ponownie odczuła przemożne pragnienie, by dzielić się swoją wiarą z innymi wierzącymi.

— Bóg stawia nas w różnych sytuacjach, abyśmy nauczyły się posłuszeństwa, czyż nie tak? — powiedziała im. — Wiem zatem, że Bóg umieścił nas tutaj w określonym celu. Żyjemy wśród kryminalistek, które posługują się plugawym językiem i zachowują się nieprzyzwoicie. Jestem pewna, że Bóg pragnie, abyśmy nauczyły się kochać te kobiety i okazywać im Jego miłość. Łatwo jest kochać tych, którzy są na wolności — naszych przyjaciół i współpracowników. Lecz Bóg chce, abyśmy nauczyły się kochać również takich ludzi.

Była wdzięczna za tę garstkę chrześcijanek wśród setek więźniarek. Gdy jedna z wierzących popadała w zniechęcenie, inna podnosiła ją na duchu. I chociaż spotkania modlitwne i rozmowy o Bogu były zabronione i nie można było tego robić otwarcie, to jednak Ling korzystała z różnych okazji, by modlić się o więźniarki i dodawać im

otuchy. Dobra sposobność ku temu nadarzała się choćby w fabryce w czasie przerwy na skorzystanie z ubikacji lub w kolejce po obiad.

W niedługim czasie władze obozu zauważyły, że Ling posiada zdolności przywódcze. Powierzono jej więc funkcję brygadzystki. Dzięki temu awansowi miała teraz więcej okazji do dzielenia się swoją wiarą. Podlegało jej pięćdziesiąt więźniarek z jej baraku, a w fabryce peruk nadzorowała dwieście kobiet. Choć praca była wymagająca, a kłótnie między więźniarkami doprowadzały ją czasami do szału, to jednak doskonale radziła sobie ze swoimi obowiązkami i po jakimś czasie zdobyła serca kilku podległych sobie kobiet.

— Dlaczego tu jesteś? — pytały niektóre więźniarki. — Jesteś taka uprzejma i potrafisz być dobrą kierowniczką. Mogłabyś zrobić prawdziwą karierę poza więzieniem.

Korzystała z każdej nadarzającej się okazji, żeby wyjaśnić, z jakiego powodu przebywa w więzieniu. Z czasem wiele kobiet potajemnie uwierzyło w Chrystusa. Choć nie miały Biblii, uczyła je tych fragmentów Pisma Świętego i pieśni, które znała na pamięć. Uczyła je także, jak się modlić. Pamiętała dobrze tego starego człowieka, który pieczołowicie przepisał całą Biblię. Wspominała również, z jakim oddaniem sama uczyła się na pamięć obszernych fragmentów Pisma Świętego. Jakże była teraz zadowolona, że to robiła.

Czy ktoś taki jak ja może uwierzyć?

Władze obozu zwróciły uwagę na nieskazitelną postawę Ling. Jej brygada osiągała najlepsze wyniki, ponadto rzadziej niż w innych brygadach dochodziło w niej do kłótni i wypadków. Pewnego dnia przełożona Ling zatrzymała ją na korytarzu fabrycznym.

— Ling, widziałam twoje akta — powiedziała. — Wiem o twojej działalności i o tym, że jesteś wpływową przywódczynią chrześcijańską. Jesteś już tutaj jedenaście miesięcy. Przyglądałam się twojej pracy i temu, jak traktujesz inne więźniarki, szczególnie te, które są wulgarne i gwałtowne i ciągle sprawiają kłopoty. Wydaje mi się, że jesteś dla nich bardzo życzliwa, choć sama nie zachowujesz się tak jak one. Dlaczego?

— Nie zachowuję się tak jak one, bo jestem chrześcijanką — odpowiedziała poruszona Ling — i całe swoje życie podporządkowałam Jezusowi Chrystusowi. On jest sensem mojego życia. To dzięki Niemu mogę kochać wszystkich ludzi.

Wstrzymała oddech, czekając na reakcję pani Tao. Już sama wzmianka o religii mogła spowodować wydłużenie wyroku lub doprowadzić do osadzenia w jednoosobowej celi. Ling nigdy nie była do końca pewna, czy ten, kto zadaje jej pytanie, nie chce przypadkiem przyłapać jej na czymś. Lecz ku jej zaskoczeniu szefowa zapytała z przejęciem:

— Czy ktoś taki jak ja może uwierzyć?

— Oczywiście! — odparła. — Lecz czy nie boi się pani, że straci pani swoje stanowisko? Czy nie boi się pani, że władza wyrzuci panią z wojska?

— A czy ty nie boisz się, że mogę wydłużyć twój wyrok za gadanie takich bzdur? — odparła pani Tao, trafiając w samo sedno.

— Dopóki będę wiedzieć, że mój pobyt w tym miejscu służy określonej sprawie — że dzięki temu pani uwierzyła w Jezusa — mogę tu zostać na wieki.

— Podoba ci się tu?

— Nie, wcale. Lecz jestem tutaj, bo Jezus panią kocha. Zarówno ja, jak i pani otrzymałyśmy swoje życie od Boga.

Rozmawiały jeszcze jakiś czas. Ling odpowiadała na wszystkie pytania swojej zwierzchniczki. Mówiła jej o miłości i dobroci Boga.

Pani Tao była zainteresowana, lecz nie dawała się łatwo przekonać. Kontynuowały więc swoje potajemne rozmowy przez kilka miesięcy. W końcu pewnego dnia powiedziała do Ling:

— Nawet jeśli miałabym uwierzyć, to będę musiała to zrobić potajemnie. Wiesz, w moim sąsiedztwie mieszka trochę chrześcijan, lecz nigdy z nimi nie rozmawiałam. Jest to trudne ze względu na stanowisko, które zajmuję. Jesteś pierwszą chrześcijanką, którą tak naprawdę poznałam.

Ling jedynie uśmiechnęła się w odpowiedzi, modląc się za panią Tao w swoim sercu.

Przez dwa lata pobytu w obozie pracowała i służyła Bogu najlepiej, jak umiała. Jednakże długie godziny pracy i niedożywienie spowodowały, że podupadła na zdrowiu. Były takie chwile, gdy nie była pewna, jak długo to jeszcze wytrzyma. I wtedy właśnie, pewnego grudniowego dnia pani Tao wezwała ją do swojego biura. Siedziała za swoim biurkiem, miała groźny wyraz twarzy i trzymała w ręku kartkę papieru.

— Co to jest? — spytała Ling.

— Otrzymałam polecenie w twojej sprawie. Mam zmienić twój wyrok — odpowiedziała.

Ling osłupiała. Usiłowała przypomnieć sobie jakieś niedawne incydenty, z powodu których jej wyrok mógłby zostać wydłużony. Oczywiście nic takiego nie zaszło. Ktoś jednak mógł złożyć na nią jakiś kłamliwy donos. Zaprzyjaźniły się z panią Tao i cały czas opowiadała jej o Chrystusie. Może ktoś podsłuchiwał ich rozmowę i doniósł na nią.

Tysiące myśli przebiegały jej przez głowę. Dotarły do niej tylko ostatnie słowa przeczytane przez panią Tao: „... o jeden rok”.

Serce w niej zamarło. Pani Tao spojrzała na nią ze zdumieniem, nie rozumiejąc, skąd to przygnębienie na jej twarzy.

— Ling! Czy słyszałaś, co przeczytałam? — zapytała ostro. — Uznano cię za całkowicie zresocjalizowaną i skrócono twój wyrok o rok!

Ling zaniemówiła.

— No cóż, muszę przyznać, że po raz pierwszy widzę, by zabrakło ci słów — pani Tao powiedziała z uśmiechem. — Gratuluję Ling, zostaniesz zwolniona w ciągu trzech tygodni.

Zupełnie inny świat

Trzy tygodnie później w mroźny poranek zziębnięta i wychudzona Ling stała przed obozem po kostki w śniegu, niespokojnie wyczekując wujka Funa.

— Zresocjalizowana — przemknęło jej przez myśl.

Znaczy to tylko tyle, że nie przyłapano jej na nauczaniu i ewangelizowaniu więźniarek. Miała również nadzieję, że na jakiś czas zostawią ją w spokoju.

Bardzo cieszyła się, że będzie mogła ponownie głosić ewangelię na wolności i nieść otuchę członkom kościoła. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie miała już tyle sił, co kiedyś. Z wielu elementów życia więziennego trudno będzie się otrząsnąć.

— O, Panie, proszę, pomóż mi ponownie dostosować się do życia poza więzieniem. I proszę, bądź nadal z moimi siostrami w wierze, które tam jeszcze przebywają.

W końcu Fun i Szin podjechali małym samochodem. Z wielką radością rzuciła się im na szyję. Ponieważ odwiedziny w więzieniu narażałyby wierzących na ogromne kłopoty, w ciągu ostatnich dwóch lat miała niewielu gości. Okazało się, że w międzyczasie niektórzy z przywódców kościoła ożenili się, wielu chrześcijanom urodziły się dzieci, powstało też kilka nowych wspólnot.

Gdy tylko samochód wyjechał na ruchliwą ulicę, zaczęło się jej zbierać na wymioty.

— Oto kolejna rzecz, której nie robiłam od jakiegoś czasu — pomyślała — jazda samochodem.

Czterogodzinna podróż była dla niej istnym koszmarem. Zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu walczyła z chorobą lokomocyjną, usiłując cieszyć się z tego, że jest wolna.

Jak się spodziewała, przystosowanie się do normalnego życia przychodziło jej z trudnością. Więzienie to zupełnie inny świat. W obozie nigdy nie wolno było gasić światła. Praca w fabryce trwała niemalże na okrągło. Nawet cele były dobrze oświetlone. Podczas jej nieobecności przywództwo w kościele umocniło się, co jeszcze bardziej utrudniało jej podjęcie na nowo roli lidera, szczególnie że była kobietą. Wydawało się jej, że nie ma teraz dla niej miejsca wśród przywódców kościoła, choć równocześnie zdawała sobie sprawę, że musi odpocząć i wrócić do zdrowia. Nie powinna zatem brać na siebie zbyt wielu obowiązków. Może więc będzie to dla niej lepsze.

Aresztowani — co do jednego

Zamieszkała z rodziną jednego z przywódców chrześcijańskich. Mieli duży dom w centralnych Chinach. Dostała pokój na pierwszym piętrze. W połowie sierpnia miało się tam odbyć tajne spotkanie liderów kościoła. Chciała w nim uczestniczyć, lecz w tym samym czasie przydzielono jej ważne zadanie w zachodnich Chinach. Podejrzała, że starają się jej nie narażać, ale nie była pewna. W spotkaniu miało uczestniczyć około trzydziestu kluczowych liderów. Byłaby to wspaniała okazja do odnowienia starych znajomości — i podjęcia się na nowo przywódczej roli. Tak się jednak nie stało.

Gdy wykonała już swoje zadanie w zachodnich Chinach, dnia 23 sierpnia wieczorem otrzymała pilną wiadomość.

— Ling! Przyjeżdżaj szybko. — Wszyscy liderzy zostali aresztowani — co do jednego. Zostałaś tylko ty!

Dotarła do domu nazajutrz rano. Wierzący wpadli w panikę. Niektóre z żon uwięzionych liderów wylewały na nią swoją frustrację, z jakiegoś powodu sądząc, że to ona jest wszystkiemu winna. Od przyjaciół dowiedziała się, że milicja jej także szukała, choć była na wolności dopiero nieco ponad sześć miesięcy.

Natychmiast przejęła kontrolę nad sytuacją. Najpierw zebrała wszystkich miejscowych wierzących i poszczególnym grupom przydzieliła zadanie dowiadywania się o los jednego lub dwóch spośród

aresztowanych przywódców. Mieli zebrać ubrania, jedzenie i pieniądze i dostarczyć je na posterunek milicji dla „swoich” liderów.

Aresztowanie pastorów wywarło wielki wpływ na Kościół w całych Chinach, jako że byli oni czołowymi przywódcami chrześcijańskimi w swoich regionach. Wieść o ich uwięzieniu szybko rozeszła się za granicą za pośrednictwem poczty elektronicznej, a także w całych Chinach dzięki audycjom Głosu Ameryki. Ling starała się koordynować przepływ informacji. Dzwoniono dosłownie z całych Chin i całego świata, żeby dowiedzieć się czegoś o ich losie. W niedługim czasie zaczęły przyjeżdżać rodziny uwięzionych. Ling gościła każdą z nich i starała się odpowiadać na ich pytania najlepiej, jak umiała.

Po pięciu tygodniach wszyscy liderzy z wyjątkiem sześciu zostali zwolnieni, lecz dopiero po zapłaceniu wysokich grzywn (aż do tysiąca jenów na głowę). Ling podjęła się zebrania potrzebnych pieniędzy. Wierzący byli bardzo biedni, więc zapłacenie wszystkich grzywn stanowiło nie lada problem. Nie poddawała się jednak. Uwięzieni bracia byli warci więcej niż góry złota. Niestrudzenie wyprasała się dosłownie o każdy grosz i w końcu zebrała tyle, ile trzeba.

Była wyczerpana i przytłoczona nadmiarem obowiązków. Myślała, że padnie z wycieńczenia. Wiedziała jednak, że nie może spocząć, dopóki nie zrobi wszystkiego, co w jej mocy, żeby doprowadzić do uwolnienia pozostałych sześciu pastorów — najbardziej wpływowych liderów w ich organizacji — a zatem stanowiących najcenniejszy łup milicji. Obawiała się, że mogą zostać straceni.

Pozostało jeszcze tylko jedno wyjście. Zadzwoiła na posterunek milicji.

— Czy mogłabym porozmawiać z komendantem?

— Kto mówi? — zapytał dyżurny milicjant.

— Nazywam się Ling. Komendant będzie wiedział, kim jestem. Szuka mnie.

— Ling, moja stara przyjaciółko! Cóż za niespodzianka, że się odezwałaś — znajomy, spokojny głos dobiegł ze słuchawki. — Skąd dzwonisz?

— Nieważne. Muszę z panem porozmawiać o moich przyjaciółkach, których przetrzymuje pan w więzieniu.

— Oczywiście. Zapraszam na posterunek, to sobie porozmawiamy.

— Nie. Zgodzę się na spotkanie z panem tylko w hotelu Jasny Księżyc. I musi pan przyjść sam. Będę obserwować to miejsce i jeśli ktoś przyjdzie z panem, nie pojawię się na spotkaniu.

Wiedziała, że się zgodzi. Przyjdzie choćby z ciekawości. Bo właściwie dlaczego ewangelistka, która wymykała mu się przez kilka ostatnich miesięcy, zaprasza go teraz na spotkanie?

— Dobrze. Kiedy chciałabyś się spotkać?

— Dzisiaj o siódmej.

Gdy odłożyła słuchawkę, spotkała się z wierzącym, któremu wiedziała, że może zaufać. Wyjaśniła mu, o co chodzi i zapytała, czy nie mógłby towarzyszyć jej do hotelu i poczekać na zewnątrz.

— Jeżeli nie wyjdę, to będziesz wiedział, że zostałam aresztowana.

Za dziesięć siódma stali we dwójkę w ukryciu niedaleko hotelu, obserwując okolice. Zobaczyli komendanta. Towarzyszyła mu grupa milicjantów. Serce Ling zadrżało. Miała już odejść, gdy zauważyła, że do środka wszedł tylko komendant, a pozostali funkcjonariusze zostali przed wejściem. Weszła więc do hotelu tylnymi drzwiami i przysiadła się do stolika komendanta.

— Ling, cieszę się, że cię widzę — powiedział ciepło, jakby naprawdę byli przyjaciółmi. — Ale czy nie boisz się, że cię aresztuję?

— Gdybym się bała, to by mnie tu nie było. Przyszłam jednak.

Obydwoje złożyli zamówienie. Ling wyjaśniła kelnerowi, że ona będzie płacić, po czym przeszła do rzeczy.

— Co pan robi z moimi przyjaciółmi? Pozostałych wypuścił pan po opłaceniu grzywny. Jeżeli chce pan pieniędzy, to je zdobędzie. Ile pan chce?

— Spokojnie, Ling — powiedział komendant. — Jeszcze nawet nie zaczęliśmy jeść. A poza tym nie mogę dla nich nic zrobić i to z twój winy. To ty zrobiłaś z tego publiczne widowisko.

Wiedziała, że stara się ją onieśmielić i nie miała zamiaru się wycofać. Postanowiła spróbować innej taktyki. Rozmawiali przy kolacji przez dwie godziny. Od czasu do czasu napomykała o swojej wierze. Tłumaczyła, dlaczego ona i uwięzieni pastory z tak wielką pasją głoszą przesłanie o Jezusie Chrystusie. Komendant słuchał z uwagą, widząc w jej oczach prawdziwą troskę o przyjaciół, lecz to wszystko było na nic. Nie dał żadnej nadziei na ich zwolnienie.

Przesunęła dłonią po swoich czarnych włosach. Nareszcie zaczęły odrastać. Przypomniała sobie też, jak matka ofiarowała ją Bogu w modlitwie i powtórzyła w myślach tekst z Pisma Świętego, który zaprowadził ją aż tak daleko: „*Zniwo wprawdzie wielkie... robotników mało... owce między wilki*”.

Zastanawiała się, czy nie nadeszła pora, by wrócić do szkoły cierpienia.

Znowu w szkole

Gdy komendant skończył posiłek, wiedziała, że jej czas już prawie upłynął. Pamiętała, że przed wejściem do hotelu czekają milicjanci. Złożyła ostateczną propozycję:

— No cóż. Szukał mnie pan i oto jestem. Proszę mnie aresztować, a wypuścić moich przyjaciół.

Komendant przekrzywił głowę i lekko się uśmiechnął.

— Ling — powiedział szczerze — jesteś bez wątpienia jedną z najbardziej wyjątkowych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Po czym bez słowa wstał i wyszedł z restauracji.

Siedziała w milczeniu przez kilka minut, myśląc, że zawiodła. Było jej ciężko na sercu. Zrozpaczona wróciła do domu. Wiedziała, że jej współpracownikom — jej przyjaciołom, którzy nadal są więzieni, nie będzie łatwo.

Po jakimś czasie dowiedziała się, że aresztowano dwóch kolejnych pracowników chrześcijańskich, a liderów, którzy byli nadal przetrzymywani w więzieniu, przekazano władzom lokalnym z ich miejsc zamieszkania i poddano okrutnym torturom. Otrzymali wyroki od jednego roku do dwóch lat obozu pracy.

Prowadziła nadal swoją posługę, lecz doskwierała jej samotność. Ostatni pobyt w więzieniu mocno nadszarpnął jej zdrowie. Z racji tego, że jej stan stopniowo się pogarszał, wielu liderów zachęcało ją do rezygnacji z pełnionych obowiązków. Nie zgodziła się. Miała bowiem żywo w pamięci słowa zachęty matki i to, jak ciężko pracowała ona przy ścieraniu soi, aby jej córka mogła zajmować się głoszeniem ewangelii. Bardzo za nią tęskniła. Nie widziały się od wielu lat. O odwiedzinach nie mogło jednak być mowy. Było to teraz po prostu zbyt niebezpieczne.

Pozostała więc jedyną kobietą w gronie przywódców. Często, gdy była sama, płakała, prosząc Boga, aby dał jej siłę i wytrwałość.

Szesnastego kwietnia 2002 roku jej telefon ponownie zadzwonił. Trzydziestu chrześcijan z jej grupy zostało porwanych przez fanatyczną chińską sektę. Zadzwoniła do swojego „przyjaciela” w komisaracie. Pora znowu wziąć się do pracy...

Epilog

Życie Ling jest wciąż pełne trudów, lecz owoce jej pracy są widoczne gołym okiem. Dzięki „zaaranżowanemu” przez nią spotkaniu

z komendantem Bóg dał jej możliwość otwartego wypowiedzania się o krzywdach wyrządzanych chrześcijanom, należącym do chińskich kościołów domowych. Równocześnie jednak jej kontakty z władzami wywołały spore kontrowersje wśród chrześcijan. Wielu z nich zdecydowanie sprzeciwiało się temu, co robiła. W odpowiedzi na ich krytykę, tłumaczy:

— To prawda, że jesteśmy chrześcijanami, lecz jesteśmy również Chińczykami, a Chiny to wciąż nasz kraj.

Nigdy nie poszła na kompromis ani nie uchylała się od głoszenia ewangelii. Nie pozwalała również, aby strach lub groźba aresztowania przeszkodziły jej w wykorzystywaniu wszelkich nadarzających się okazji do odważnego stawiania w obronie braci i siostr w wierze. Jej nazwisko figuruje na rządowej liście poszukiwanych, lecz jest także ujęte w Bożym rejestrze osób chronionych. Dzięki cudownej Bożej opatrności udało się jej uniknąć powrotu do więzienia.

Jest jednak gotowa tam wrócić, jeśli okaże się to konieczne.

— Jestem gotowa wrócić do szkoły cierpienia — powiada. — Wiem, że jeśli Bóg liczy włosy na mojej głowie, to będzie również prowadzić mnie swoją drogą i pozostanę w Jego woli.

Kolejne wyzwanie, jakiemu stawia czoła, wiąże się z postanowieniem, że pozostanie niezamężna, dopóki przywództwo w kościele nie umocni się. Grono liderów uznało, że zajmie to dziesięć lat. Uważała więc, że będzie mogła potem wyjść za mąż. (Była wówczas dopiero nastolatką.) Teraz ma jednak już ponad trzydzieści lat, a życie niezamężnej kobiety w tym wieku jest w Chinach bardzo trudne.

Niejednokrotnie słyszała (nawet od pastorów kościołów domowych, które pomagała zakładać), że miejsce kobiety jest w domu i że powinna się zajmować sprzątaniami, gotowaniem i wychowywaniem dzieci. W żadnym razie nie neguje tej niezwykle istotnej roli kobiety. Zdaje sobie jednak sprawę, że czasami Bóg miewia inne plany od tych ogólnie przyjętych. Przypomina więc swoim krytykom, że w początkowym okresie rozwoju ruchu kościołów domowych to właśnie kobiety podejmowały się niebezpiecznego dzieła ewangelizacji. Zauważa również, o czym dobrze wie wielu chińskich przywódców kościelnych, że dwie trzecie członków zespołów ewangelizacyjnych, wysyłanych w odległe rejony Chin, stanowią kobiety.

Obecnie żyje wizją Olimpiady, która ma odbyć się w Pekinie w 2008 roku. Uważa, że przyczyni się ona do wspaniałego rozwoju kościołów domowych.

Pora więc znowu brać się do pracy...

Gladys: Przebaczenie drogą życia

Indie

Listopad 1981

Był ciepły, parny dzień. Trzydziestoletnia Gladys Weatherhead przyjechała do regionu Majurbhańdz, położonego około sto siedemdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Kalkuty w stanie Orisa, rozciągającym się nad Zatoką Bengalską.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tutaj jestem — myślała, chłonąć każdy widok i dźwięk. Ostry zapach chili, unoszący się przez otwarte okna domów i sklepów, mieszał się z odorem rozkładających się śmieci, odkrytych ścieków i świętych krów, swobodnie spacerujących po ulicach. Upał jeszcze bardziej wzmacniał wszystkie zapachy. Gladys cieszyła się jednak, że po pobycie na chłodnej północy jest znowu w cieplejszym klimacie.

Podróż samochodem od granicy pakistańskiej była dla niej nie lada doświadczeniem. Kierowca jechał zygakiem, omijając ciężarówki, riksze, taksówki, krowy, rowery i niekończące się sznury ludzi — tworzące na drogach niewyobrażalne zamieszanie. Wychowywała się w cichym australijskim miasteczku, położonym z dala od dużych aglomeracji. Nie mogła się więc nadziwić, że ten cały chaos stanowił najwyraźniej zupełnie normalną część codziennego życia w Indiach.

Z okna hotelowego w nerwowym napięciu obserwowała ludzi kłębiących się na położonej poniżej ulicy. Wstrzymywała oddech za każdym razem, gdy matka z dziećmi wchodziła na jezdnię między niekończący się sznur jadących pojazdów. A na widok kobiet siedzących na skuterze tyłem do kierującego i trzymających kurczowo swoje pakunki, mogła się tylko modlić w duchu. Na niemilosiernie zatłoczonych ulicach skutery często podjeżdżały na odległość

dosłownie kilkunastu centymetrów od kołyszających się autobusów i ciężarówek.

Liczba ludności Indii zbliżała się do miliarda. Gladys była pod wielkim wrażeniem ogromnych rzesz ludzi, którzy zdawali się być dosłownie wszędzie. Nie mogła uwierzyć w to, że otacza ją tak wielkie morze istnień ludzkich: bose dzieci z brudnymi buziami, matki ubrane w jaskrawe, różnokolorowe sari i noszące na czołach tradycyjny hinduski znak, wysuszeni starcy z twarzami pooranymi zmarszczkami. Każdy z nich stworzony przez Boga.

Była zachwycona. Po dwunastu latach często zniechęcającego oczekiwania jej marzenia się w końcu spełniły. Będzie mogła służyć ubogim w obcym kraju zgodnie z powołaniem, jakie otrzymała od Boga. Niejednokrotnie zastanawiała się, czy ten dzień w ogóle nadejdzie...

Pragnienie służby

Gdy miała zaledwie osiemnaście lat, uczestniczyła w swojej rodzinnej Australii w chrześcijańskiej konferencji na temat misji. Zrozumiała wówczas, że Bóg powołuje ją do takiej właśnie służby. Dorastając na farmie w Queensland, chodziła do kościoła i słyszała wiele kazań. Poznała nawet kilku misjonarzy, których jej rodzice zaprosili do domu. W każde sobotnie popołudnie matka zbierała wszystkie swoje dzieci wokół siebie i czytała im historie o życiu misjonarzy. Afryka, Indie, Chiny... Gladys była zafascynowana tymi niezwykłymi opowieściami z odległych miejsc i podziwiała oddanie misjonarzy.

Przez całe dzieciństwo słyszała bardzo wiele o misjach. Nie spodziewała się jednak, że ta konferencja wywrze na niej aż tak wielkie wrażenie i okaże się przełomem w jej życiu. Pamięta dokładnie chwilę, kiedy coś w jej sercu zmieniło się i nabrała głębokiego przekonania, że Bóg powołuje ją do pracy misyjnej za granicą. Coraz lepiej rozumiała też, dlaczego misjonarze z taką pasją oddawali się swojej służbie.

Między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia wszystkie decyzje podporządkowywała temu, że kiedyś będzie misjonarką. Ukończyła szkołę pielęgniarską, co było dosyć oczywistym wyborem dla młodej kobiety, planującej pracować wśród ubogich w krajach trzeciego świata. Starła się też, jak mogła, trzymać na dystans wszystkich potencjalnych narzeczonych, jeśli nie odczuwali podobnego powołania do pracy za granicą. Nie było to dla niej łatwe. Wiedziała

jednak, że Bóg nie chciałby, aby związek z mężczyzną odwiódł ją od celu, jaki sobie wyznaczyła. W pracy zawodowej radziła sobie doskonale. Została nawet przełożoną pielęgniarek w małej klinice. Była także katechetką i, na ile mogła, udzielała się w swojej wspólnotcie.

Bardzo lubiła, gdy do jej małego kościoła przyjeżdżali pracownicy chrześcijańskich organizacji charytatywnych. Chłonoła każde ich słowo i wyobrażała sobie, że sama podejmie się kiedyś takiej służby. Obawiała się tylko publicznych wystąpień — ta część pracy misyjnej nie pociągała jej, lecz raczej budziła przerażenie. Nie była aż tak bardzo nieśmiała. Uważała po prostu, że Bóg nie obdarzył jej odpowiednimi ku temu zdolnościami.

— Zadowolę się tym, że będę okazywać Bożą miłość w praktyczny sposób, jako pielęgniarka — powtarzała sobie.

W 1980 roku skończyła dwadzieścia dziewięć lat i powoli zaczynała powątpiewać w to, czy uda jej się zrealizować swoje marzenia. Głęboko w sercu była przekonana, że Bóg czuwa nad jej losem i wszystko dzieje się w wyznaczonym przez Niego czasie. Miała jednak mnóstwo pytań. Toczyła się w niej wewnętrzna walka. Zastanawiała się, czy nie powinna wyjść za mąż. Lat przybywało, a niejednokrotnie słyszała, że misjonarze wyjeżdżali na pola misyjne, gdy mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, a czasami nawet wcześniej. Wiele jej koleżanek miało już mężów i dzieci. Gdy patrzyła na ich szczęście rodzinne, coraz trudniej było jej trzymać się marzeń o służbie ubogim w krajach trzeciego świata.

Tego samego roku spotkała Mike'a Heya, pracownika organizacji misyjnej Operation Mobilization (OM), który od kilku lat działał aktywnie w Indiach. Entuzjizm Gladys zrobił na nim ogromne wrażenie. Dosłownie zasypała go pytaniami na temat działalności OM-u w Indiach: Jacy tam są ludzie? Czy można im otwarcie głosić ewangelię? Jak bardzo są otwarci? Na jakiej zasadzie działa OM? Skąd czerpicie wsparcie finansowe?

Mike uśmiechnął się, wyczuwając jej wzrastające podekscytowanie, i cierpliwie starał się odpowiadać na wszystkie pytania.

— Może to jest właśnie to — rozmyślała. — Może to jest odpowiedź na te wszystkie lata oczekiwania!

Przez kolejnych kilka tygodni przeczytała wszystko, co tylko mogła, na temat Operation Mobilization. Dowiedziała się, że wymagane jest zadeklarowanie gotowości służby na dwa lata i że każda osoba powinna szukać prowadzenia Bożego odnośnie kraju, w którym chciałaby służyć. Zasady funkcjonowania OM-u oraz głębokie

oddanie jego pracowników i liderów przekonały ją, że jest to miejsce dla niej. Odczuwała wewnętrzny pokój i zaczęła przygotowywać się do dwuletniego wyjazdu w ramach tej organizacji.

W maju 1981 roku była gotowa, by po raz pierwszy w życiu wyjechać z Australii. Nadal nie miała pojęcia, gdzie spędzi ten dwuletni okres. Na razie wyjeżdżała na całe lato do Europy, by odbyć szkolenie. Długo czekała na ten moment, więc nawet pożegnanie z rodziną i przyjaciółmi było radosne. Od chwili spotkania z entuzjastycznym misjonarzem Mikiem Heyem pragnęła pracować w Indiach. Była jednak gotowa pojechać w każde inne miejsce, bo chciała być całkowicie otwarta na wszystko, co zamierzył dla niej Bóg. W przeddzień wyjazdu spotkała się ze swoimi bliskimi. Wspólnie zaśpiewali jedną ze swoich ulubionych pieśni: „Zmartwychwstał Pan”.

— Wiem, żyje Pan, w Nim mam pewność jutra — powiedziała, gdy skończyli śpiewać.

Pobyt w Europie był dla niej prawdziwą szkołą życia. We wszystko wkładała całe swoje serce. Spanie na zimnej podłodze, kąpiel raz w tygodniu, sprzątanie toalet w domu noclegowym, posługiwanie wśród populacji azjatyckiej w Anglii i szukanie woli Bożej odnośnie kraju, do którego wyjedzie się po ukończeniu szkolenia — wszystko to stanowiło część kursu przygotowawczego do pracy na polu misyjnym. Ani przez chwilę nie wątpiła w sens podjętego wyzwania i nie przestawała marzyć o Indiach. Nie wiedziała wiele o tym kraju ani o jego mieszkańcach, lecz ciekawość i zapał, które zostały w niej rozbudzone, nie słabły.

Po koniec letniego szkolenia jadła posiłek wspólnie z małżeństwem koordynującym pracę zespołów pracujących w Anglii. Zapytali ją, dokąd chciałaby wyjechać na misję.

Wyjaśniła, że zgłosiła się do służby na statkach misyjnych OM-u, a także do zespołów pracujących w Indiach.

— Nie jestem jeszcze do końca pewna, co mam wybrać — powiedziała. — Chcę po prostu pojechać tam, gdzie będę najbardziej użyteczna dla Boga.

— Gladys, nie jesteś już najmłodsza — powiedziała łagodnie kobieta.

Gladys troszkę się obruszyła tą „nie najmłodszą”. Może zajęła się pracą misyjną później niż większość osób, ale miała dopiero trzydzieści lat. Widząc jej zakłopotanie, kobieta uśmiechnęła się i szybko wyjaśniła:

— Nie, nie. Nie jesteś stara. Jesteś po prostu starsza i dojrzała niż większość nowych pracowników OM-u. Znasz lepiej Biblię, jesteś lepiej wykształcona i masz duże doświadczenie życiowe. Indie potrzebują ludzi takich jak ty.

Gladys uśmiechnęła się i podziękowała Bogu za te mądre słowa zachęty. Podobną radę usłyszała od Mike'a Heya. Bóg odpowiadał na jej modlitwy, stawiając na jej drodze ludzi, którzy utwierdzali ją w jej decyzji. Słowa pieśni, która stała się tematem przewodnim jej życia, rozbrzmiały w jej sercu: „Tak wiem, że On zna moją przyszłość, więc warto żyć, bo pewność mam, że żyje Pan”.

Dom dla trędowatych

Była właśnie w drodze na swoją pierwszą placówkę OM-u w Cuttacku w Indiach, gdy jej kierowca zapytał, czy nie mogliby na chwilę zjechać z drogi. Zajęta oglądaniem niekończących się tłumów mężczyzn, kobiet i dzieci, ciągnących zatłoczonymi drogami, nie zwracała za bardzo uwagi na to, co mówi kierowca, dopóki nie usłyszała:

— ... w Majurbhańdźi w domu dla trędowatych. Nie masz nic przeciwko temu, Gladys? Nie zatrzymamy się tam długo.

Po dotarciu na miejsce kierowca spotkał się z wysokim, przy stojnym misjonarzem z Australii Grahamem Stainesem. Gladys słyszała, że w okolicy pracowali inni Australijczycy, ale dotychczas żadnego z nich nie poznała. Graham zaprowadził ją do domu misyjnego, w którym czekała samotnie, podczas gdy ci dwaj mężczyźni zajęli się omówieniem swoich spraw.

Rozejrzała się wokół, po czym przejrzała niewielką książeczkę o pierwszej pracownicy tego domu — Kate Allenby. Poruszyła ją intrygująca historia tego ośrodka. Zauważyła też, że ten siedemdziesięcioletni bungalow emanował dziwnym spokojem. Każda część tego parterowego budynku zdradzała swój wiek — od chłodnych, betonowych podłóg, przez półmetrowej grubości ściany, pokryte wieloma warstwami wapna, aż po szeroką werandę, która osłaniała wnętrze domu przed prażącym słońcem.

Gdy tak czekała, zastanawiała się, dlaczego nie pojawia się żona Grahama, żeby zaproponować filiżankę herbaty, co jak zdążyła się już zorientować, należało do indyjskiej tradycji. Żona jednak nie przyszła i wkrótce Gladys razem ze swoim kierowcą jechali dalej na południe do Cuttacku.

W ciągu pierwszych miesięcy służby z zespołami misyjnymi OM-u była bardzo zabiegana, ale zarazem bardzo szczęśliwa. Starą

się nauczyć miejscowych tradycji i zwyczajów. Pierwsze sześć tygodni spędziła w Cuttacku z grupą miejscowych pracowników zajmujących się pomocą humanitarną. Wraz z pięcioma innymi kobietami mieszkała w dwóch małych pokojach. Wszędzie leżały poukładane pudła z literaturą. Jedzenie miało zawsze kolor żółty, wodę przynoszono w wiadrach, a za ubikację służyła betonowa płyta z dziurą w środku. Dziękowała Bogu, że wychowywała się na farmie i poznała wartość ciężkiej pracy. Bywały jednak dni, gdy popadała w zniechęcenie i z trudem udawało się jej zachować pozytywne nastawienie i z pokorą przyjmować wszystko to, co Bóg dla niej przygotował.

Codziennie wychodziły dwójkami i starały się sprzedawać książki chrześcijańskie, chodząc od domu do domu i rozmawiając z ludźmi o Panu Jezusie. Gladys uwielbiała odwiedzać mieszkańców miasta, ale w swoim sercu ogromnie pragnęła udać się do odległych wiosek plemienia Santhal, rozsianych w górach na północ i zachód od Baripady. Przechodzili przez niektóre z nich podczas swojej pierwszej podróży po okolicy. Proste, gliniane chaty, kryte strzechą, stały bardzo blisko drogi i były otoczone drzewami. Obok każdej z nich była wykopana ręcznie sadzawka.

Słyszała o zwyczajach plemienia Santhal i o tym, że czcili duchy. Czasami nawet, aby je obłaskawić, składali w ofierze ludzi. Ich warunki życia były w najlepszym razie prymitywne. Umieralność wśród dzieci była alarmująca. Bardzo często przyczyną śmierci były choroby, które są obecnie całkowicie uleczalne lub którym można by z łatwością zapobiec. Rodzice wierząc, że by uratować dzieci muszą obłaskawiać duchy, wydawali pieniądze na zakup kadzideł i zwierząt ofiarnych.

Jako pielęgniarka wiedziała, że podstawowa edukacja na temat higieny mogłaby im ogromnie pomóc, a jako chrześcijanka była pewna, że Jezus może przynieść im jeszcze większe uzdrowienie i uwolnić z potwornej niewoli, jaką jest kult duchów. Gdy rozmyślała o ich losie, ogarniało ją coraz większe pragnienie, aby dotrzeć do tych wiosek i zanieść ich mieszkańcom dobrą nowinę, która płonęła w jej sercu.

W styczniu 1982 roku nadarzyła się ku temu okazja. W ramach kolejnego zadania miała wziąć udział w obozie organizowanym przez miejscowych chrześcijan, mającym na celu zapoznanie misjonarzy z warunkami życia w dżungli. Do jednej z wiosek musieli iść ponad dziesięć kilometrów po trudnym, górzystym terenie, lecz Gladys nie posiadała się z radości, że uczestniczy w tej wyprawie. Z wielkim entuzjazmem brała udział we wszystkich codziennych

czynnościach: czerpaniu wody ze studni, kąpeli w rzece i spaniu między pluskami. Miejscowe kobiety uwielbiały spędzać czas z wysoką australijską pielęgniarką o jasnej karnacji i z wielkim zapalem uczyły ją swojego prostego stylu życia.

Miłość do ostatnich z ostatnich

Wioska, do której się udała, była położona niedaleko domu dla trędowatych w Majurbhańdzi. Gladys miała więc kilka okazji, żeby spotkać się z Grahamem, który, jak się okazało, nie był żonaty. Ich spotkania dotyczyły zazwyczaj spraw związanych z misją i chociaż starała się odsuwać na bok swoje uczucia i skupiać się na tym, co miała do zrobienia, to jednak jej sympatia ku niemu była coraz większa.

Po niedługim czasie dostała kolejne zadanie, które wiązało się z częstymi podróżami po Indiach. Cieszyła się, że ma okazję zobaczyć tak wiele nowych miejsc, lecz cały czas wracała myślami do domu dla trędowatych i plemienia Santhal. Była pełna podziwu dla Grahama i innych osób za to, jak opiekowali się swoimi pacjentami — chorymi na trąd biedakami wyrzuconymi ze swoich wiosek. Hinduizm wmawiał nieszczęsnym ofiarom trądu, że grzechy z ich poprzednich wcieleń stanowią przyczynę choroby. Wpojono im, że nie są godni, by otrzymać choćby kubek wody. W rezultacie żyli w potwornych warunkach — wyrzuceni ze swoich domów i odtrąceni przez rodziny żebrali na ulicach. Stanowili najniższą warstwę społeczną i nikt nie okazywał im więcej miłości niż Graham.

Chorym, którzy przybywali do domu dla trędowatych, podawano lekarstwa, powstrzymujące rozwój choroby. Personel otaczał ich troską i współczuciem. Informowano ich również, że trąd jest uleczalny i nie jest klątwą rzuconą przez Boga. Gladys była zdumiona przemianą, jaka zachodziła u wielu pacjentów pod wpływem zwykłego ludzkiego współczucia i kilku ciepłych słów. Lekarstwa pomagały w gojeniu się ran, miłosierdzie leczyło dusze.

Była zafascynowana pracą prowadzoną w tym domu, lecz czasami miała wątpliwości co do czystości swoich motywów. Czy podobał jej się Graham, czy prowadzona przez niego misja? Mimo iż zaczynała żywić do niego coraz głębsze uczucia, wiedziała, że nie dla niego przyjechała do Indii. Poza tym nie miała pojęcia, czy Graham je odwzajemnia. A co, jeśli by tak było? — rozmyślała. I tak musiałby najpierw porozmawiać z liderami OM-u, zanim mogłaby wywiązać się między nimi jakaś bliższa znajomość. Taka była zasada.

Wczesną wiosną zamiary Grahama stały się jasne. Otrzymała informację, że poprosił jej zwierzchników z OM-u o pozwolenie na nawiązanie z nią korespondencji. Nie posiadała się ze szczęścia! Wiosną i latem napisali do siebie mnóstwo listów. Byli naprawdę zaskoczeni tym, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Dorastali w miejscowościach odległych od siebie zaledwie o sześćdziesiąt kilometrów. Wywodzili się z podobnych środowisk i obydwójce otrzymali powołanie do pracy misyjnej w młodym wieku. Im dłużej korespondowali, tym bardziej uświadamiali sobie, że Bóg najwyraźniej pragnie połączyć ich ze sobą. Uroczystość zaślubin w obecności uszczęśliwionych krewnych i przyjaciół odbyła się w Australii szóstego sierpnia 1983 roku.

Wszyscy w domu dla trędowatych byli zachwyceni Grahamem i jego młodą oblubienicą. Dada, jak czule nazywali go miejscowi, służył wiernie i niestrudzenie w Majurbhańdzi bez mała dwadzieścia lat i teraz Bóg wspaniale nagroził go cudowną żoną, która równie żarliwie kochała Boga i dzieliła jego miłość do mieszkańców Indii. Dla mieszkańców wioski i pacjentów ośrodka ich małżeństwo było cudownym świadectwem Bożej miłości. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali na powrót państwa Stainesów z Australii.

Pojawiły się jednak przeszkody. Pierwszą próbą, jakiej młode małżeństwo musiało stawić czoła, była odmowa wydania Gladys wizy indyjskiej. Z niewyjaśnionych powodów urzędnicy po prostu nie zezwolili jej na powrót. W końcu nowożeńcy postanowili, że Graham wróci do Indii sam i na miejscu spróbuje załatwić wizę dla żony.

Po kilku miesiącach licznych zabiegów i modlitw rząd indyjski wyraził w końcu zgodę na przyjazd Gladys. Otrzymała jednak wizę tylko jako żona Grahama, a nie pracownica zagranicznej misji humanitarnej. Musiała także złożyć zapewnienie, że nie będzie nawracać Hindusów na chrześcijaństwo. Zgodziła się. Razem z Grahamem wiedzieli przecież dobrze, że i tak nie można nikogo siłą zmuszać do uwierzenia w Chrystusa. Ich głównym celem było okazywanie Bożej miłości pacjentom chorym na trąd. A jeśli któryś z nich zdecyduje się otworzyć swoje serce na tę miłość, to będzie już jego wybór.

Spełnione pragnienia

Gladys wróciła do Baripady pod koniec 1984 roku. Powitał ją uradowany Graham. Była bardzo szczęśliwa, że znowu jest ze swoim mężem i szybko wcieliła się w swoją nową rolę żony i gospodyni. Choć brakowało jej wypraw do wiosek, ze spokojem podjęła się swoich nowych obowiązków. Nie miała wielkich wymagań i taka postawa

już wielokrotnie pozwalała jej dostosować się do różnorodnych zmian zachodzących w jej życiu.

Jako swoje motto obrała słowa Psalmisty, wiszące na ścianie pięknego starego bungalowu misji: „Raduj się w Panu, a On spełni pragnienia twego serca”. Uwielbiała pracować w swoim nowym domu i pomagać w opiece nad chorymi na trąd. Szczególnie lubiła razem z Grahamem odwiedzać kościoły plemienia Santhal. Uczestniczyli tam w niedzielnych nabożeństwach. Spędzała też trochę czasu z kobietami, zachęcając je do trwania w Panu.

W 1985 roku przyszło na świat ich pierwsze dziecko — Estera Joy. Potem urodziło się jeszcze dwóch chłopców: Filip w 1988 roku i Tymoteusz w 1992 roku. Gladys bardzo cieszyła się, że jest matką tej małej gromadki. W miarę jak dzieci dorastały, zaczynały się bawić z dziećmi z sąsiedztwa, co otwierało przed nią zupełnie nowe możliwości służby.

Pełne oddanie

Przez całe lata dziewięćdziesiąte Gladys i Graham pracowali wiernie wśród chorych na trąd oraz w wioskach plemienia Santhal. Gladys bardzo lubiła zabierać swoje pociechy do okolicznych wsi, aby mogły bawić się z miejscowymi dziećmi. One z kolei uwielbiały wyjeżdżać ze swoim ojcem na różne obozy w dżungli i coroczne pięciodniowe konferencje, organizowane przez miejscowych pastorów, na których Graham wspierał ich w nauczaniu Słowa Bożego.

Gladys i Graham byli świadomi, że wielu wierzących z plemienia Santhal spotykało się z ciągłymi prześladowaniami z powodu swojej wiary. Zawsze starali się być wrażliwi na ich potrzeby i modlili się o mądrość w swoich kontaktach z nimi. Graham nigdy nie udawał się do wiosek, żeby nawracać kogokolwiek lub przekonywać do zmiany wiary. Wspierał natomiast miejscowych pastorów i kościoły, które powstały w wyniku Bożego działania. Mimo to chrześcijan z plemienia Santhal spotykało wiele nieprzyjemności. Często oskarżano ich o to, że przeszli na chrześcijaństwo pod przymusem lub dlatego, że dostali pieniądze od obcokrajowców.

Pewien dwunastoletni chłopiec został zaatakowany, ponieważ był chrześcijaninem. Gdy wszedł na drzewo, żeby rozejrzeć się, gdzie jest jego bydło, inni chłopcy z okolicznych wiosek, rozjuszeni, że przeszedł na chrześcijaństwo, otoczyli drzewo i nie pozwalali mu zejść. Naigrawali się z niego i jego wiary, po czym tak głęboko

nadziali go na kij, że umarł. Jego owdowiała matka pogrążyła się w rozpacz.

Grupa Hindusów obrzuciła kamieniami, a potem utopiła innego młodego chłopca tylko dlatego, że był chrześcijaninem. Oprócz przemocy fizycznej chrześcijanie byli nękani przez miejscową ludność w różnoraki sposób. Czasami rabowano lub niszczone ich dobytek. Nie pozwalano im uprawiać roli lub czerpać wody ze studni należącej do wioski. Co roku docierały wieści o prześladowaniach, lecz Gladys i Graham nie otrzymywali żadnych pogroźek pod swoim adresem. Nigdy też nie martwili się, że mogą stać się celem ataku fanatyków.

— Usługujemy ludziom chorym na trąd. Jakież może to stwarzać zagrożenie? — myślała Gladys.

W spokojny czwartkowy poranek w styczniu 1999 roku modliła się i czytała kolejny rozdział książki z rozmyślaniami na każdy dzień. Historia na ten dzień opowiadała o dwunastoletniej dziewczynce, która traciła wzrok. Gdy w szpitalu odwiedził ją pastor, powiedziała mu:

— Pastorze, Bóg odbiera mi wzrok.

Przez chwilę pastor milczał. Potem powiedział:

— Jessie, nie pozwól mu na to.

Dziewczynka zdziwiła się bardzo, po czym mądry pastor dodał:

— Sama mu go oddaj.

Ta historia poruszyła jej serce. Wiedziała, że Pan pyta ją, czy jest gotowa oddać Mu wszystko, co kocha — męża, dzieci, cały swój dobytek. Toczyła się w niej wewnętrzna walka. Łzy spływały jej po policzkach. Oddała serce Chrystusowi, gdy miała zaledwie trzynaście lat i od tamtej pory starała się żyć tylko dla Niego. Gdy wyjeżdżała do Indii, zostawiła wszystko, a wraz z Grahamem całe swoje życie poświęcili służbie. Sądziła, że oddała Bogu wszystko. Lecz głęboko w sercu odczuwała pokusę, żeby zatrzymać przy sobie to, co kocha najbardziej — swoich najbliższych.

W końcu pomodliła się, dając Bogu odpowiedź, na jaką jej zdaniem zasługiwał:

— Tak, Panie Jezu. Jestem gotowa. Weź wszystko, co mam i użyj tego w swoim planie — mojego męża, dzieci i wszystko, co posiadam. Powierzam Ci wszystko.

Gdy powiedziała amen, odczuła, że Duch Święty otula ją i napełnia jej serce pokojem. Przypomniała sobie historię Abrahama, który ofiarował Bogu swojego syna Izaaka. Nie miała pojęcia, co czeka jej rodzinę. Była jednak pewna, że Bóg będzie z nimi.

W następnym tygodniu Graham wybierał się do wioski Manoharpur na kolejny obóz w dżungli. Ogromnie się cieszył, że zabiera ze sobą dziesięcioletniego Filipa i sześcioletniego Tymoteusza. Chłopcy również nie posiadali się ze szczęścia. Uwielbiali wyjeżdżać na obozy. Była to prawdziwa przygoda: podróżowanie dżipem i obozowanie bez prądu i bieżącej wody. Lecz największą radość sprawiało im spędzanie czasu z tatą. Święta Bożego Narodzenia przebiegły w szalonym tempie. Cały czas mieli mnóstwo gości. Gladys wiedziała, że chłopcom przyda się pobyc trochę z tatą sam na sam. Jazda samochodem zajmie cztery godziny. Będą więc mieli sporo czasu na rozmowę.

Trzynastoletnia Estera chodziła do szkoły z internatem. Odwiedziły ją właśnie dwie koleżanki z klasy. Była zadowolona, że zostanie w domu i trochę odpocznie razem z przyjaciółkami i mamą.

W środę dwudziestego stycznia Gladys krzątała się po domu, starając się wszystko zorganizować i wyprawić swoich bliskich w drogę.

— Filipku, czy skończyłeś się pakować? — zawołała do swojego starszego syna.

Był bardzo praktyczny i uporządkowany, zupełnie jak jego tata. Bez trudu nawiązywał nowe kontakty i był bardzo wrażliwy na potrzeby innych. Gladys była dumna, że szczerze kocha ludzi. Nie mogła uwierzyć, że już za kilka miesięcy będzie miał jedenaście lat. Byli ciągle tak bardzo zajęci, że czasami wydawało się jej, iż życie jej dzieci przemyka obok niej i nie ma nawet czasu, żeby się nimi nacieszyć.

— Chłopcy, czas ruszać w drogę — zawołał Graham.

Gladys odprowadziła szybko swoich synów do dżipa, w którym czekał już ich tato. Ucałowała ich wszystkich i mocno przytuliła. Zawsze znajdowali czas na serdeczne pożegnanie, bo nigdy nie było wiadomo, co może się wydarzyć, szczególnie na niemiłosiernie zatłoczonych indyjskich drogach. Gladys wiedziała, że Tymek trochę się denerwuje przed podróżą, ponieważ w listopadzie minionego roku uczestniczył w wypadku samochodowym. Wypadł z siedzenia, ale nie odniósł poważnych obrażeń. Bardzo się jednak przestraszył. A potem, zaledwie dwa tygodnie temu, znowu o mało nie doszło do wypadku, gdy na górskiej drodze duża ciężarówka zajechała drogę dżipowi, w którym jechał. Wiedziała, że boi się jazdy samochodem i starała się dodać mu otuchy.

— Powodzenia! Zobaczymy się w poniedziałek — krzyknęła za nimi, gdy odjeżdżali.

Gdy odwróciła się w stronę bungalowu, przypomniała sobie, że nie sprawdziła torby Filipa.

— Mam nadzieję, że pamiętał, aby zabrać kurtkę — pomyślała.

Po czym myślami wróciła do Tymka. Był lekko przeziębiony, więc spakowała mu trochę dodatkowych ubrań. W górach może być naprawdę chłodno. Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie nadwerży sobie zbyt głośno śpiewaniem. Był ich domowym pieśniarzem i kaznodzieją. Uwielbiał głosić kazania jak jego tata. Czasami widywała go, jak ustawia krzesła w pokoju, żeby bawić się w kościół. Upłynęło już trochę czasu, od kiedy bawił się tak po raz ostatni. Lecz w miniony poniedziałek, gdy przechodziła przez pokój dzienny, zauważyła, jak wygłasza kazanie i śpiewa na całe gardło do pustych krzesel, pełniących rolę ławek w jego wymyślonym kościele.

Miała zamiar usiąść i posłuchać go, gdy tylko skończy to, co właśnie robiła. Ale gdy wróciła, zajął się już czymś innym.

Nie wiedziała wtedy, że była to jego ostatnia zabawa w kościół.

W sobotę dwudziestego trzeciego stycznia o czwartej trzydzieści nad ranem zadzwonił telefon. Zaspana wstała pośpiesznie z łóżka, chwiejnym krokiem podeszła po ciemku do telefonu i podniosła słuchawkę do ucha. Słuchała przez chwilę, starając się opanować strach, który niczym lodowata włócznia przeszył jej serce. Obudzone przez telefon, Estera i jej koleżanki pojawiły się w drzwiach, gdy odkładała słuchawkę.

— Co się dzieje, mamo? — zapytała Estera.

— Ktoś spalił dzipy misji — odpowiedziała. — Nie wiem nic więcej, więc postarajmy się nie martwić. Pomodlimy się, a potem spróbujcie się jeszcze trochę przespać. Jestem przekonana, że nikomu nic się nie stało, a wiecie, że mamy przed sobą pracowity dzień. Powiem wam o wszystkim, gdy tylko się czegoś dowiem.

To, czego się dowiedziała, okazało się bardziej makabryczne, niż mogłaby sobie wyobrazić...

Niepohamowana wściekłość

Niewielka wioska Manoharpur była od jakiegoś czasu podzielona na tle kulturowym. Na przestrzeni lat dwadzieścia dwie z około stu pięćdziesięciu zamieszkujących ją rodzin przeszły na chrześcijaństwo. Przez większość czasu obydwie grupy współżyły ze sobą pokojowo, lecz ostatnio obecność chrześcijan zaczęła coraz bardziej drażnić pozostałych mieszkańców.

Napięcie bardzo się wzmoгло, gdy latem 1998 roku niektórzy z chrześcijan nie zaprzestali uprawy swoich pól w trakcie święta Radza, wzbudzając w ten sposób oburzenie współplemieńców. Santhalowie wierzą, że w tym okresie ziemia „miesiączkuje”. Burzliwy konflikt między chrześcijanami i wyznawcami tradycyjnej religii Santhalów udało się w końcu zażegnać, lecz napięcie pozostało. Potem, zaledwie kilka tygodni przed obozem, w którym uczestniczył Graham ze swoimi synami, doszło do kolejnego incydentu. Członkowie plemienia Santhal byli oburzeni, że wierzący z ich wioski grali chrześcijańską muzykę na swoim weselu. Plemię to było znane z ogromnej żarliwości, z jaką strzegło swojej tradycji. Ta kulturowa odmienność dołała oliwy do ognia i w fanatycznych członkach plemienia wywołała niepohamowaną wściekłość.

Przyjazd Grahama do wioski dał rozwścieczonym Santhalom okazję, na którą czekali. Mogli teraz wyrównać rachunki z tymi, którzy ośmielili się wystąpić przeciwko ich zwyczajom. Zwrócili się o pomoc do Dary Singha, działacza społecznego i fanatyka religijnego, który był prawdziwym mistrzem w wykorzystywaniu frustracji społecznych do swoich celów. W swojej działalności posługiwał się głównie przemocą, skierowaną zarówno przeciwko chrześcijanom, jak i muzułmanom.

We wczesnych godzinach rannych dwudziestego trzeciego stycznia jego ponury aktywizm osiągnął niewyobrażalne rozmiary.

Wieczorem po przybyciu Graham i chłopcy skończyli posiłek i powiedzieli dobranoc swoim współpracownikom. Około dziewiątej trzydzieści cała trójka wsiadła do swojego dżipa i ułożyła się do snu. W nocy panowało przenikliwe zimno, więc Graham pieczołowicie ułożył na dachu samochodu słomiane materace, aby nie zmarzli. Zawsze dbał o to, aby chłopcy mieli jak najwygodniej i modlił się razem z nimi, zanim położył się obok nich.

Dżip był zaparkowany obok innego samochodu przed domem modlitwy, a jeden z przyjaciół Grahama, dr Ghosh, nocował niedaleko w domu pewnej chrześcijańskiej rodziny. Około północy, obudzony krzykami i wrzaskami, wyskoczył z łóżka i popędził do okna. Na widok ogromnego tłumu biegnącego przez pola ogarnęło go przerażenie. Mężczyźni uzbrojeni w siekiery, kije i noże i trzymający pochodnie nad głowami zmierzali prosto w kierunku dwóch dżipów. Wrzeszcząc przeraźliwie, rzucili się na samochód Grahama, przecinając opony i wybijając szyby. Bili przerażonych pasażerów i zadawali im ciosy swoją bronią. Graham ze wszystkich sił starał

się ochraniać swoich ukochanych chłopców. Na próżno. Dr Ghosh podbiegł do drzwi, lecz były zablokowane od zewnątrz. Uwięziony w środku domu mógł tylko z przerażeniem obserwować potworny rozwój wypadków, rozgrywający się na jego oczach.

Rozszalały motłoch nie miał żadnej litości dla Grahama i chłopców. Nie było żadnej możliwości ucieczki. Oprawcy ustawili strażników przy wszystkich okolicznych chatach, aby nikt nie mógł pomóc ofiarom. Wrzeszczeli do bezradnych wieśniaków:

— Nie wychodźcie, albo was też zabijemy!

Hasda, będący współpracownikiem Grahama od ponad dwudziestu lat, krzyczał przeraźliwie, aby zaniechano tej brutalnej napaści. Z przerażeniem patrzył, jak napastnicy układają słomę pod dżipem. Dara Singh jako pierwszy podłożył ogień. Gdy Hasda rzucił się w stronę samochodu, próbując ugasić płomienie wodą, został brutalnie pobity. Bezlitosny motłoch stał i przyglądał się, jak Graham, Filip i Tymoteusz krzyczeli w potwornych mękach, aż płomienie uciszyły ich jęki i zamieniły ich ciała w popiół.

Zaledwie sto metrów od miejsca tej strasznej zbrodni grupa młodzieży santhalskiej przy rytmicznych uderzeniach bębnów wykonywała tradycyjny taniec Dangri, zachowując się tak, jakby nie działo się nic niezwykłego.

Po godzinie napastnicy zniknęli wśród pól. Hasda, którego już wcześniej przepędzili, pobiegł jak szalony po pomoc do wodza wioski. Wysłano posłańca, aby powiadomił policję w innej wiosce, oddalonej o jakieś dwadzieścia kilometrów. Było już jednak za późno. Gdy Hasda wrócił na miejsce wydarzeń i zobaczył wypalony szkielet dżipa Grahama, ogarnął go bezbrzeżny smutek. W środku widział wyraźnie trzy zwęglone ciała, przytulone mocno do siebie w ostatnim uścisku. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku.

Gdy przerażeni chrześcijanie wyszli ze swoich chat i zebrali się wokół tych makabrycznych zgliszcz, stali przez chwilę zupełnie oniemiali. Wszyscy myśleli o tym samym: Jak powiemy o tym Gladys i Esterze?

Ocean smutku

O siódmej, gdy Gladys ubierała się i przygotowywała na kolejny pracowity dzień, telefon zadzwonił po raz drugi. Tym razem był to dziennikarz, który pytał o wiek Grahama i chłopców.

— O czym pan mówi? — zapytała.

Dziennikarz, uświadomiwszy sobie, że nie wie ona o tym, co się wydarzyło, i nie chcąc być tym, który jej o tym powie, pożegnał się uprzejmie i odłożył słuchawkę. Lecz telefon nie przestawał dzwonić. Ludzie z okolicznych wiosek zasypywali ją pytaniami.

— Gladys, słyszeliśmy, że Graham i chłopcy zniknęli — powiedział jeden z przyjaciół.

— Zniknęli? Mój Boże! — wykrzyknęła. — Co dzieje się z moimi kochanymi chłopcami? Co mogło się stać?

W końcu przysłała jej przyjaciółka Gayathri i zajęła się odbieraniem telefonów. Robiło się coraz większe zamieszanie, a ona nadal nie wiedziała, co tak naprawdę zaszło. Przeżywała prawdziwe katusze, ale wciąż oczekiwała, że lada moment Graham i chłopcy pojawią się w drzwiach domu. Po prostu nie dopuszczała do siebie myśli, że coś złego mogło się im przydarzyć. Nie traciła nadziei na to, że wkrótce wrócą.

W ciągu następnych dwóch godzin zaczęli przychodzić przyjaciele. Pojawiało się też coraz więcej dziennikarzy, chcących robić zdjęcia. Wszędzie były dziesiątki osób — w środku, na dworze, na werandzie. Panowało straszliwe zamieszanie. Gladys zajmowała się witaniem gości i podtrzymywaniem Estery na duchu. Nadal nie rozumiała, co dokładnie się wydarzyło i nikt nie wiedział, jak przekazać jej te straszliwe wieści.

W końcu około dziewiętej trzydzieści Gayathri chwyciła ją za rękę i powiedziała:

— Gladys, muszę z tobą porozmawiać.

Poprosiła wszystkich o wyjście z jednego z pokoi i wciągnęła tam Gladys za sobą.

— Gladys, nie chcę, żebyś była twarda jak kamień — powiedziała — ale musisz być mocna ze względu na Esterę.

Gladys słuchała z niedowierzaniem. Chciała protestować, fakty były jednak nieubłagane.

— Nie! — krzyczała w myślach. — To nie może być prawda! Na pewno nie byli w dziapie. To jakaś pomyłka. Nie mogli — na pewno — nie spłonęli żywcem. Jakże coś takiego mogłoby się wydarzyć? Któż mógłby się zdobyć na takie zło?

Czuła, jak jej serce ogarnia rozpacz. Ale musiała się upewnić. Może jej przyjaciółka się pomyliła. Może to wszystko nieprawda...

— Gayathri... to znaczy, że oni... nie żyją? Graham i Filip, i Ty-moteusz — wszyscy zginęli?

Z pełnych smutku oczu Gayathri wyczytała, że to nie pomyłka. Usiadła zdruzgotana.

— Jak powiem o tym Esterze? — jęknęła.

Czas stanął w miejscu. Nie potrafiła nawet wyrazić swojego bólu. Przez następnych kilka minut siedziała w milczeniu. Zbierała siły, żeby przekazać Esterze tę straszną wieść. Telefon nie przestawał dzwonić. Ludzie dzwonili z Australii, chcąc się dowiedzieć, co się stało. Przychodziło coraz więcej przyjaciół i sąsiadów, żeby dzielić z nimi smutek. Flesze z aparatów dziennikarzy nadal błyskały. Lecz Gladys myślała tylko o swojej córce.

— Mamusiu, czy już coś wiadomo? — spytała.

Gladys chwyciła jej dłonie i spojrzała w jej niewinne oczy.

— Wygląda na to, że zostaliśmy same — powiedziała łagodnie.

Po czym bez cienia namysłu dodała:

— Ale wybaczymy im.

— Tak, mamusiu, wybaczymy.

Oczy Estery zaszklily się. Stała zupełnie oniemiała. Gladys przytuliła ją mocno, starając się zrozumieć, dlaczego spotkało je takie zło, które tak nagle i dramatycznie zmieniło ich życie. Była zupełnie otepiała. Trzymała się tylko dlatego, że była w ciągłym ruchu. W końcu podszedł do niej syn miejscowego lekarza i zapytał cicho:

— Chcą wiedzieć, co mają zrobić z ciałami.

Ostateczność tego stwierdzenia wymazała wszelkie tłące się jeszcze wątpliwości, że być może to wszystko jest jakąś potworną pomyłką.

— Przywieźcie je z powrotem do Baripady. Graham poświęcił całe swoje życie temu krajowi. Chciałby być tutaj pochowany — powiedziała.

Cały następny tydzień upłynął na przyjmowaniu gości, spotkaniach z dziennikarzami i urzędnikami miejskimi. W końcu z Manoharpur przyjechali współpracownicy Grahama i wyszły na jaw szczegóły tej potwornej napaści. Gladys dowiedziała się, że wielu wieśniaków zeznało, iż widziało szeroki snop jasnego światła, który unosił się nad płonącym samochodem. Usłyszała także o koszmarze, jaki przeżyli chrześcijanie z tej małej osady, którzy mogli tylko bezradnie się wszystkiemu przyglądać i o odwadze ich przyjaciela Hasdy, który starał się ugasić ogień.

Stopniowo uświadamiała sobie, że nie był to jakiś przypadkowy incydent, spowodowany przez pijanych lub sfrustrowanych wieśniaków. W rzeczywistości była to część zakrojonego na szerszą skalę

planu, którego celem było zadanie śmiertelnego ciosu społeczności chrześcijańskiej. Jako swoją ofiarę spiskowcy obrali Grahama.

Biednego Hasdę przytłoczył smutek. Jego rodzice byli kiedyś mieszkańcami domu dla trędowatych, a on sam się tam urodził. Gladys wiedziała, że bardzo kochał Grahama i chłopców. Ogromnie mu współczuła.

Ojcie, wybacz im...

Pogrzeb odbył się w poniedziałek rano o dziesiątej, o tej samej godzinie, o której Graham i chłopcy mieli wrócić do domu z obozu w dżungli. Przywieziono trzy trumny pokryte kwiatami. Wkrótce w całej Baripadzie życie jakby zamarło. Sklepy i szkoły zostały zamknięte. Wielu urzędników miejskich przyszło na pogrzeb, żeby pożegnać Grahama i chłopców. Gladys i Esterę zadziwił niemalże tyśięczny tłum, gdy usiadły na trawie razem z mieszkańcami domu dla trędowatych, pogrążonymi w żalu po stracie swojego Dady. Tradycyjne nabożeństwo indyjskie było jakby zaplanowane przez Boga. Wielu żałobników spontanicznie wyrażało swoje kondolencje i dzieliło się wersetami z Pisma Świętego. Niektórzy namawiali Gladys, żeby powiedziała kilka słów. Nie była jednak przygotowana, żeby przemawiać do tak ogromnego tłumu. Spytała więc Esterę:

— Czy dasz radę stanąć na podium i zaśpiewać ze mną piosenkę?

Estera zgodziła się. Gdy wraz z córką wchodziły na podium, zapadła cisza. Zaśpiewały pieśń, która towarzyszyła Gladys przez te wszystkie lata.

„Wiem, żyje Pan, w Nim mam pewność jutra...” Głęboko ufała Bogu, ale gdy śpiewała tę pieśń razem z Esterą, myślała, że tak naprawdę pewności starcza jej tylko na ten jeden dzień. Żyła z dnia na dzień. To jednak wystarczyło. Z czasem jej życie stało się świadectwem niezłomnej wiary w obliczu tragedii. Chociaż była pogrążona w żalu i wyczerpana emocjonalnie, to jednak w głębi serca odczuwała pokój. Chciała pokazać światu, iż jest dumna, że jej mąż i dzieci ponieśli męczeńską śmierć dla Chrystusa.

W wypowiedzi dla prasy jej dzielna córka powiedziała:

— Jestem wdzięczna, że Bóg pozwolił im cierpieć dla Niego.

Ona sama wyraziła podobne odczucia:

— Naprawdę modłę się: „Ojcie, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. Wierzę również, że wszystko współdziała ku dobremu dla tych,

którzy kochają Boga, którzy są przez Niego powołani. Bez wątpienia Bóg poprzez to wydarzenie zrealizuje swoje odwieczne zamiary. Niech imię Jego będzie pochwalone.

Wielu przyjaciół i krewnych zaczęło ją namawiać, żeby spakowała się i wróciła razem z Esterą do względnie bezpiecznej Australii. Uważali, że praca w domu dla trędowatych ustanie, jeżeli Gladys nie znajdzie kogoś, kto mógłby zająć miejsce Grahama. Zadawali również tysiące pytań: Czy przewieziesz ciała do Australii? Jak ty i Estera będziecie teraz żyć? A co z domem dla trędowatych?

Była tym wszystkim zaskoczona. Indie były jej domem. Nigdy nie brała pod uwagę wyjazdu. Gdy dziennikarze pytali ją o plany na przyszłość, odpowiadała: Mój Bóg sprawuje kontrolę nad wszystkimi sytuacjami i okolicznościami. Uczyni tylko to, co jest dobre. Jest moją siłą i oparciem. W swoim Słowie obiecał, że „nigdy mnie nie opuści ani nie porzuci”. Będę nadal służyć w Indiach i ta nadzieja będzie mi przyświecać.

Przebaczenie leczy rany

Po upływie dwóch miesięcy przygotowywała się do odebrania indyjsko-australijskiego wyróżnienia, przyznanego dla uhonorowania Grahama. Poproszono ją, aby wygłosiła przemówienie. Gdy rozeszła się wieść, że będzie uczestniczyć w tej uroczystości, ponad trzysta osób wypełniło po brzegi niedużą aulę. Po raz pierwszy od śmierci Grahama i chłopców zgodziła się wystąpić publicznie. Nad zapewnieniem jej bezpieczeństwa czuwała w pobliżu duża grupa policjantów.

Tuż przed wygłoszeniem przemówienia czytała w skupieniu stary wiersz Annie Johnson Flint, który dodawał jej ostatnio otuchy:

Gdy brzemień się zwiększa, Pan łaski przysparza
I siły, gdy stale naciera moc wraża.

Gdy wzmagą się boleść, okaże ci litość,
I pokój cudowny zwycięży wnet nicość.

Bez granic ta miłość, ta łaska bez miary
Nie w stanie jej pojąć człowiek spracowany,
Gdyż skarby niezmierne w Jezusie nam dane;
Choć Pan daje, daje — są niewyczerpane!

Gdy przeczytała ostatnią linijkę, prowadzący uroczystość właśnie zakończył ją przedstawiać.

Weszła na podium i na początku powiedziała, że współczucie przychodziło Grahamowi z ogromną łatwością. Jeśli ktoś był chory, był przy nim. Mogło to być późno w nocy lub wcześniej rano. Nie miało to żadnego znaczenia. Graham nie zastanawiał się nad tym, co mógłby zrobić dla kogoś w potrzebie. Po prostu działał.

Po skończonym przemówieniu odebrała nagrodę. Mimo iż uroczystość zakończyła się, nikt nie chciał wychodzić. Wszyscy chcieli przywitać się z dzielną wdową, która nie powiedziała złego słowa na tych, którzy okrutnie zamordowali jej męża i dwóch synów. Zaproszono ją na obiad, na którym pewna kobieta zadała jej pytanie:

— Jak udało się pani wybaczyć?

— Nie było innego wyjścia. Przebaczenie jest najlepszym lekarstwem — odparła bez namysłu.

Dopóki nie wypowiedziała tych słów, nie zdawała sobie do końca sprawy z tej prawdy. Wybaczyła mordercom swojego męża i synów w chwili, w której usłyszała tę potworną wieść. A przebaczenie okazało się drogą do uzdrowienia. Od tej chwili wiedziała, jakim przesłaniem powinna się dzielić.

Zaproszenia na publiczne wystąpienia napływały z wielu miejsc. W miarę możliwości przyjmowała je i zawsze mówiła o przebaczeniu. Niestrudzenie powtarzała — miłość musi być szczerą. Mamy okazywać sobie szacunek, tak jak mówi dwunasty rozdział Listu do Rzymian: „Błogosławcie tych, którzy was prześladują. Błogosławcie, a nie złorzeczcie. Weselcie się z tymi, którzy się weselą. Płaczcie z tymi, którzy płaczą. Bądźcie zgodni we wzajemnych uczuciach. Nie gońcie za wielkością, lecz niech was pociąga to, co pokorne. Nie uważajcie sami siebie za mądrych. Nikomu złem za złe nie odpłacajcie. Starajcie się dobrze czynić wobec wszystkich ludzi. Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi”.

Od swojego pierwszego publicznego wystąpienia na uroczystości wręczenia nagrody była zapraszana na niezliczone spotkania w szkołach, kościołach i innych miejscach. Czasami w ciągu dwóch dni przemawiała na sześciu różnych spotkaniach. Jej przesłanie jest trwałym świadectwem miłości dla mieszkańców kraju, w którym przemoc wobec chrześcijan nasila się. Nikt bardziej niż Gladys nie nadaje się do dzielenia się nim.

Epilog

Gladys nadal mieszka w domu dla trędowatych w Majurbhańdzi. Podróżuje też po całym świecie, mówiąc o prześladowaniach w In-

diach i dzieląc się przesłaniem przebaczenia. Naród indyjski był pod wielkim wrażeniem jej postawy i przesłania o miłości Chrystusa, płynącego z ust najbardziej niespodziewanego posłańca: cudzoziemki, wdowy, prostej kobiety, której jedynym celem jest służba biednym i pozbawionym środków do życia.

Wielka szkoda, że dopiero brutalne zabójstwo misjonarza i jego dwóch ukochanych synów przyciągnęło uwagę tego narodu. Gladys wiernie pełni rolę rzeczniczki Boga, dowodząc, że „wszystko współdziała dla dobra tych, którzy Go kochają”. W odpowiedzi na swoje przesłanie otrzymała tysiące listów z całych Indii, nawet od wyznawców hinduizmu, z przeprosinami za haniebne przestępstwo popełnione przeciwko jej rodzinie.

Poznawszy osobiście moc przebaczenia, jest przekonana, że pozostaje ono niezwykle ważnym przesłaniem, również dla chrześcijan. Podczas konferencji dla kobiet, na której przemawiała, powiedziano jej, że na zewnątrz czeka dziewięćdziesięcioletni mężczyzna, który upiera się, że musi się spotkać z kobietą, która potrafiła wybaczyć zabójcom jej najbliższych. Gdy w końcu udało mu się z nią porozmawiać, zwierzył się, że wiele lat temu zmarła jego córka, najprawdopodobniej z powodu zaniedbań ze strony lekarza. Nigdy nie zdołał mu tego wybaczyć. Gladys porozmawiała z nim, po czym we wspólnej modlitwie wyrazili przebaczenie dla tego lekarza.

Rok po napadzie Dara Singh wraz z czternastoma innymi osobami został aresztowany i oskarżony o zamordowanie Grahama, Filipa i Tymoteusza Stainesów. W czerwcu 2002 roku została wezwana do sądu, by złożyć zeznania w trakcie procesu. Było to dla niej największe wyzwanie od chwili, w której dowiedziała się o zabójstwie męża i synów. Miała teraz stawić czoła człowiekowi, który był za to odpowiedzialny. Była to próba prawdziwości jej przebaczenia.

Obrońca Singha twierdził, że jego klient jest niewinny i starał się zdyskredytować Grahama. Dowodził, że to on sam przez nieuwagę podpalił dzipa, gdy korzystał z kuchenki turystycznej. Gladys spojrzała na Dara Singha, po czym zajrzała we własne serce. Poprosiła Boga, aby pomógł jej okazywać mu miłość i współczucie i nigdy nie patrzeć na niego z nienawiścią. W chwili oddawania książki do druku proces nadal się toczył.

Z Gladys i Esterą spotkaliśmy się w Kalkucie. Przed odjazdem Gladys przeczytała nam jeszcze inny wiersz, który był dla niej źródłem wielkiego pokrzepienia po śmierci męża i synów. Został na-

pisany przez nieżyjącego już poetę Edgara Guesta. Nosi tytuł „Bezpieczny w domu”.

Kochani, jestem już w domu w Niebie
Dom to wspaniały jest i piękny
W pełnym radości wiecznym świetle
Jestem szczęśliwy i promienny.

Skończył się już wszelki ból i smutek
Niepokój, zamęt i rozterki
Bezpieczny w mym niebiańskim domu
Mam pokój, który trwa na wieki.

Dziwi was to, czemu tak spokojnie
Doliną cienia szedłem odważnie?
To Jezus i Jego miłość do mnie
Rozświeśla miejsca ciemne i straszne.

I On sam wyszedł mi na spotkanie
Na drodze, którą tak ciężko iść.
Idąc oparty o Jego ramię,
Czyż mogłem wątpić i w lęku żyć?

Proszę, tak bardzo nie rozpaczajcie,
Bo nadal kocham was bez końca.
Spróbujcie spojrzeć poza widzialne,
Zaufać woli naszego Ojca.

Nie wolno wam więc stać beczynnienie,
Bo przecież czeka na was praca.
Zróbcie to teraz, póki trwa życie
Odpoczniecie w Jezusa pałacach.

A kiedy dzieło będzie skończone,
Łagodnie weźmie was On do Domu.
Wspaniałe będzie to spotkanie
Och, cóż za radość zobaczyć was znowu!

(przekład Agata Gochnio)

Mai: Wolność w Wietnamie

Wietnam
Listopad 1989

Zapach oceanu poczuli z daleka, mimo iż nie było go jeszcze widać. Mai szła za swoim bratem Hongiem prawie krok w krok po wąskiej ścieżce. Mieli jeszcze jedno wzniesienie do pokonania. Morski wiatr mierzwił im włosy i podnosił na duchu. Mai czuła, jak wzbiera w niej radosne podniecenie. Każdy krok przybliżał ich do wolności!

W końcu wspięli się na wzgórze i zobaczyła łódź, właściwie kądłub zrobiony ze z grubsza ociosanych i pokrytych smołą desek, na którym była umocowana licha bambusowa przybudówka, służąca za mostek kapitański. Wyglądała tak, jakby miała rozlecieć się na drobiutki kawałeczki, gdyby tylko ktoś w nią kopnął. Mai zatrzymała się i chwyciła Honga mocno za rękę, nie pozwalając mu iść dalej.

— W życiu na to nie wsiądę! — powiedziała, ciągnąc go za ramię, dopóki się nie odwrócił i nie spojrzał na nią. — To coś nie wypłynie nawet z portu, a co dopiero mówić o dopłynięciu aż do Hongkongu!

— Musisz popłynąć, Mai — powiedział Hong, odwracając się w stronę oceanu i ciągnąc ją za sobą.

Mai jeszcze raz przyjrzała się łodzi. Czuła, jak ogarnia ją strach. Na płaskim pokładzie nie było nic poza bambusową budką. Patrzyła, jak uchodźcy z Wietnamu włączają na tę krypę. Niektórzy uważnie oglądali się za siebie, obawiając się, że chińska milicja może właśnie teraz zrobić nalot i odesłać ich z powrotem do Wietnamu.

— Nie... nie mogę, Hong — wyjąkała. — Ja... Nie jestem na to gotowa.

— Nie byłaś też gotowa, żeby przejść przez zieloną granicę do Chin, a udało nam się. Teraz ruszaj. Musisz popłynąć. Zapomniałaś, jak wiele kosztowało to ojca?

Hong sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął obszarpaną chusteczkę. Rozwinął ją ostrożnie, spojrzął przez ramię, czy nikt nie podgląda i pokazał jej dwie złote monety. Każda z nich ważyła ponad pięć deagramów i każdą z nich można było zapłacić za podróż łodzią do Hongkongu — był to bilet do wolności.

— Czy wiesz, ile zajęło ojcu, żeby tyle zaoszczędzić? — kontynuował. — Od lat snuł plany i oczekiwał tego dnia. Sam nigdy nie zakosztuje wolności, ale kupił ją dla ciebie. Więc wsiadaj!

— Nie kupił tego dla mnie. To miał być bilet Trunga — odpowiedziała z rozdrażnieniem.

Towarzyszem podróży Honga miał być ich starszy brat. Ojciec zaplanował, że zapewni wolność dwóm synom, mając nadzieję, że zarobią trochę pieniędzy i będą w stanie wydestać z Wietnamu jeszcze kogoś ze swojego rodzeństwa.

— Tak, to był bilet Trunga. Wiesz przecież, że jego żona właśnie urodziła dziecko. Nie może więc teraz wyjechać, a tobie się poszczęściło. Będiesz wolna w Ameryce albo w Australii. Będziesz mogła zdobyć lepsze wykształcenie. A pewnego dnia będziesz bogata!

Nadal trzymał ją za rękę, częściowo prowadząc, a częściowo ciągnąc w stronę łodzi.

— Gdzie będziemy załatwiać swoje potrzeby? — utyskiwała. — Tam nie ma toalety.

— Toaleta będzie wszędzie wokół nas — powiedział Hong, śmiejąc się ironicznie.

W końcu zatrzymał się i spojrzął na nią.

— To jest nasza szansa, Mai — powiedział. — Tego właśnie chciał dla nas ojciec. Abyśmy wydostali się z Wietnamu. Abyśmy byli wolni. Zdobyli wykształcenie. Mieli jakąś korzyść z naszej pracy. Nie mógł znieść myśli o tym, że wszystkie jego dzieci spędzą swoje życie w biedzie. Byłby naprawdę nieszczęśliwy, gdyby zobaczył, że się wahasz. No, ruszaj!

Stanęli na nabrzeżu. Zagniewany mężczyzna spojrzął na nich, wyciągając rękę. Hong wiedział, czego chce — złota. Włożył chusteczkę do jego dłoni, pociągnął ją za róg i wypadły z niej dwie monety. Kapitan uważnie się im przyjrzał. Jedną z nich włożył do ust i ścisnął zębami, aby sprawdzić, czy jest prawdziwa.

— Wsiadajcie — burknął.

Zrobili, co kazał. Mai ogromnie żałowała, że przed odjazdem nie uściskała jeszcze raz swojej matki! Że nie porozmawiała nieco dłużej

z ojcem. Zastanawiała się, czy ta łódź — w końcu zaczęła tak o niej myśleć — rzeczywiście zawiezie ich tam, dokąd chcieli. Szybko pomodliła się do ducha swojego dziadka i pradziadka o bezpieczną podróż.

Wybrali sobie miejsce blisko dziobu, aby być z dala od hałaśliwego silnika. Zdenerwowanie i fale kołyszące łodzią spowodowały, że zrobiło się jej niedobrze, jeszcze zanim wypłynęli z doku. Płakała, patrząc, jak linia brzegu z wolna znika za horyzontem.

Dni potwornie się dłużyły. Panowała straszliwa nuda. Mai i Hong szybko zorientowali się, że nie zabrali wystarczająco dużo jedzenia na tak długą podróż. Gdy zabrakło im pożywienia, byli na łasce swoich czterdziestu trzech współpasażerów. Czas włókł się niemiłosiernie. Wokół rozciągał się jedynie bezkres oceanu.

Sztorm

Mai wynurzyła się, rozpaczliwie machając rękami, wypływając słoną wodę i łapczywie łapiąc powietrze.

— Pomocy! — wołała przeraźliwie, szukając wzrokiem w ciemności łodzi lub Honga. Kolejna fala zwała się na nią. Desperacko starała się nabrać trochę powietrza przed kolejnym zanurzeniem w spienionej wodzie.

Wynurzając się ponownie, poczuła, że ktoś obejmuje ją ręką.

— Płyn do brzegu — męski głos krzyknął jej do ucha.

Mai rozpoznała w nim jednego z uchodźców, uciekających z ich ojczyzny na tej rozklekotanej łodzi. Zaczęli płynąć razem. Spoglądała do tyłu na nadciągające fale, ostrzegając, gdy tylko któraś z nich miała ich ponownie zalać. Mężczyzna wpatrywał się w brzeg.

W końcu dopłynęli na płyciznę. Przeszli kilka kroków i zupełnie wyczerpani upadli na piasek. Pozostali uchodźcy również gromadzili się na plaży. Wszyscy trzęśli się z zimna na silnym morskim wietrze. Ich mokre ubrania oblepione były piaskiem. Mai krzyknęła z wielką ulgą, gdy zobaczyła Honga. Uściskali się mocno. Ze względu na sztorm nie było żadnych szans na rozpalenie ogniska. Siedzieli więc skuleni, próbując bezskutecznie się ogrzać i z utęsknieniem czekając na wschód słońca.

Mai myślała o szokujących zmianach zachodzących w jej życiu. Zaledwie kilka dni temu była siedemnastoletnią licealistką w północnym Wietnamie, mieszkającą szczęśliwie ze swoim ojcem i matką w domu pokrytym czerwoną dachówką niedaleko granicy chińskiej. A teraz siedziała skulona na smaganej wiatrem plaży w Chinach

i nie była pewna, czy uda się jej kiedykolwiek dotrzeć do Hongkongu i wolności.

Jej ojciec zawsze pragnął, aby jego siedmioro dzieci miało życie lepsze niż on. Tak wiele razy słyszała jego „kazania” na ten temat, że mogłaby je wyrecytować z pamięci. Nigdy jednak nie wspominał w nich o byciu rozbitek...

Myślała o swojej matce, śmiejącej się z ambitnych planów swojego męża dla ich dzieci. Była to jej zdaniem strata czasu i pieniędzy. Miała pieczę nad finansami rodzinnymi i nie chciała dawać swoim dzieciom pieniędzy na książki i przybory szkolne. Ojciec często sprzedawał kurę lub jakieś inne zwierzę, a potem wciskał potajemnie kilka banknotów swoim dzieciom na opłacenie kolejnego semestru. Za każdym razem, gdy jego żona odkrywała, co zrobił, wybuchała między nimi straszliwa kłótnia. Obrzucali się wyzwiskami, przeklinali i wrzeszczeli na siebie. Dzieci starały się trzymać z dala od tych awantur. Lecz co najważniejsze — nadal chodziły do szkoły.

Jeden ze starszych braci Mai wyjechał z Wietnamu i przez jakiś czas pracował jako robotnik w Bułgarii. Zobaczył zagranicę, a jego opowieści jeszcze bardziej spotęgowały pragnienie ojca, aby umożliwić ucieczkę pozostałym dzieciom.

Mai była teraz poza Wietnamem, lecz nie w miejscu, które wymarzył sobie ojciec. Siedziała skulona na plaży. Jej koc przepadł gdzieś we wzburzonym morzu. Sztorm wyrzucił wszystkich pasażerów na brzeg. Kapitan został na łodzi, ustawiając ją dziobem w stronę fal i starając się jakoś przetrwać burzę. Zanim wiatr ucichł i słońce w końcu wzeszło ponad taflę wody, minęły chyba całe wieki. Mai nigdy nie była tak zadowolona z nastania nowego dnia.

Zziębnięci uchodźcy siedzieli na plaży, dopóki kapitan nie dał im znaku ręką, że mogą wrócić na łódź. Podpłynęli do niej i wgramolili się na pokład, z którego sztorm zmył dosłownie wszystko. Przepadły ich ubrania, koce, jedzenie, kubki i garnki. Mai i Hong przykucnęły, mając nadzieję, że do Hongkongu nie będzie już więcej sztormów. Zastanawiali się, czy ta łódź w ogóle popłynie, kiedy wszyscy pasażerowie znajdą się znowu na pokładzie.

Podróż zdawała się trwać bez końca. Po czterdziestu dwóch dniach dotarli wreszcie do Hongkongu. Lecz nie powitano ich tam z zadowoleniem. Policja nie pozwoliła im zejść na ląd. Wysłano ich natomiast na Cow Island. Była to niezbyt zachęcająca wysepka, na której rolnicy wypasali bydło. W końcu Mai, Hong i pozostali uchodźcy mogli wysiąść z łodzi, lecz to, co ich tam oczekiwało, było

niemal równie nieprzyjemne jak to, co zostawili za sobą. Codziennie przybijało tam prawie sto podobnych łodzi. Organizacje humanitarne rozdawały przybyszom konserwy, lecz Mai nie była przyzwyczajona do takiego rodzaju jedzenia i po każdym posiłku miała rozstrój żołądka.

Życie w obozach

Po tygodniu od przybycia na Cow Island Mai i Hong zostali umieszczeni w swoim pierwszym obozie dla uchodźców. Po miesiącu przeniesiono ich do Obozu Dziewiątego. Po roku znaleźli się w Obozie Trzecim.

W nowym miejscu musieli znaleźć dla siebie jakiś kąt do zamieszkania. Wielu uchodźców nie przebierało w środkach, żeby zapewnić sobie większą przestrzeń życiową. Mai i Hong musieli nieustannie mieć się na baczności i wystrzegać się napaści. W Obozie Trzecim było wyjątkowo niebezpiecznie. Przypominał on właściwie strefę działań wojennych. Uchodźcy z tych samych regionów Wietnamu jednoczyli się ze sobą i walczyli przeciwko Wietnamczykom z innych regionów. Za broń służyło dosłownie wszystko: cegły, żarówki, kable elektryczne, części łóżek i zaostrome pręty. Czasami bitwy trwały całymi dniami, jako że różne grupy usiłowały przejąć kontrolę nad obozem. Policja z Hongkongu zupełnie nie panowała nad sytuacją. Na terenie obozu panowała iście darwinowska anarchia.

W czasie walk kobiety i dzieci ukrywały się, starając się nie rzucić nikomu w oczy. Mężczyźni zaś walczyli ze sobą. Wraz z kilkoma innymi osobami Mai siedziała skulona na swoim łóżku w małej przybudówce — a właściwie desce położonej na kilku kamieniach — mając nadzieję, że bijatki wkrótce ustaną. Podobnie jak pozostali marzyła o wydostaniu się z obozu, marzyła o wolności.

Bóg tak umiłował świat

Po jednej wyjątkowo groźnej bijatyce Hong i Mai zostali przeniesieni do kolejnego obozu — Lang Gin. Był to obóz karny, który służył do izolowania „wichrzycieli”. Mai nie mogła zrozumieć, dlaczego ich tam wysłano. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. W obozie tym stał budynek, który służył za kościół. Mai nie miała pojęcia, czym jest kościół, lecz pewnego dnia znalazła się koło tego budynku i zajrzała do jednego z pomieszczeń. Na ścianie wisiał

duży biały transparent. Na jego środku widniał czerwony krzyż. Pod krzyżem zobaczyła kilka słów w języku wietnamskim. Zajrzała przez drzwi, żeby móc je przeczytać: „Bóg tak umiłował świat”.

Zaintrygowana weszła do środka. Ludzie tam zgromadzeni śpiewali pieśń, której nigdy wcześniej nie słyszała. Następnie wstał jakiś mężczyzna i zaczął mówić po wietnamsku. Słuchała uważnie. Podało jej się to, co mówił. Opowiadał o Bogu, który troszczy się o ludzi i naprawdę ich kocha. Nie chce nikogo straszyć ani narzucać swojej woli. Chciała dowiedzieć się więcej na temat tej grupy i jej dziwnych nauk, choć nie miała najmniejszego zamiaru porzucać religii, którą przejęła od rodziców. Bóg, który ukochał świat, mógł jedynie dołączyć do przodków i bożków, którym oddawała cześć.

Po ponad dwóch latach pobytu w obozach dla uchodźców w Hongkongu jedna z jej przyjaciółek zaprowadziła ją do wróżki. Usiadła naprzeciwko niej, mając nadzieję, że powie, kiedy w końcu ona i jej brat wydadzą się z obozu do jakiegoś wolnego kraju. Stara kobieta spojrzała jej głęboko w oczy, po czym chwyciła ją za dłonie.

— Ach, tak, widzę wyraźnie. Ktoś oprócz brata ci towarzyszy.

Spojrzała na nią zdezorientowana.

— Nie, jesteśmy tu sami.

Wróżka zrobiła zatroskaną minę.

— Ach — powiedziała, kiwając szybko głową — musi to być ktoś z poprzedniego wcielenia, który podąża za tobą w tym życiu.

— Podąża za mną? — zapytała Mai, spoglądając powątpiewająco to na wróżkę, to na swoją przyjaciółkę.

Domyśliła się, że kobieta ta ma na myśli demona.

— Czego on chce? Co mogę zrobić, żeby zostawił mnie w spokoju?

— Musisz wrócić do domu i paść przed nim na kolana. Módl się i proś go, aby zostawił cię w spokoju.

Nie po raz pierwszy Mai oskarżono o to, że ma demona. Jako siedmioletnia dziewczynka była bardzo chora. Wysoka gorączka wyniszczała jej organizm, który nie przyjmował pokarmu ani napojów. Matka wezwała jej wujka, który był szamanem, aby odprawił obrzędy w celu wypędzenia złego ducha wywołującego chorobę. Wujek bił ją laską, twierdząc, że wystraszy w ten sposób złego ducha i wypędzi go razem z chorobą. Mai wołała o pomoc, lecz jej bliscy tym mocniej ją trzymali. Następnie wujek chwycił ją za włosy i uderzył jej głową w metalową ramę łóżka, starając się w ten sposób wytrząsnąć z niej demona. Czasami bicie trwało całą noc. Mai krzyczała

z bólu, lecz jej rozdzierające krzyki tylko wzmagają wysiłki wujka, obwieszającego z dumą:

— Teraz diabeł z niej wychodzi.

Wujek miał także małego metalowego konika, którym nakłuwiał jej skórę, aby uwolnić z niej zło.

Wszystkie te wysiłki zdały się na nic. Mai była nadal chora. W końcu ojciec zawiózł ją do szpitala. Po kilku dniach zażywania przepisanych przez lekarza lekarstw choroba ustąpiła. Mai zastanawiała się potem, dlaczego lekarstwa miały o wiele większą moc niż szaman. Teraz z kolei myślała o tym, czy wróżka mówi prawdę. Czyżby oddanie czci temu „towarzyszowi” mogło naprawdę przekonać demona, żeby zostawił ją w spokoju?

Poszła do dużej świątyni buddyjskiej na terenie obozu i tak jak jej rodzice odprawiła odpowiednie rytuały. Nie była do końca przekonana co do skuteczności zaleceń wróżki, lecz wolała nie ryzykować, szczególnie jeśli ten „towarzysz” mógłby przeszkodzić jej w otrzymaniu wizy i wyjeździe do wolnego kraju. Zapaliła kadzidło i uprzejmie poprosiła ducha, aby odszedł i zostawił ją w spokoju.

Lecz im dłużej modliła się przy ołtarzu, tym bardziej stawała się niespokojna. Głęboko w sercu wiedziała, że jej niepokój nie ma nic wspólnego ze światem duchów. Obóz dla uchodźców był najgorszym z możliwych więzień i nie mogła się doczekać, kiedy się stamtąd wydostanie. Ciągła walka o przeżycie wyczerpywała ją. Po jej pogodnym usposobieniu nie było ani śladu. Była teraz znerwicowana i sfrustrowana. Jakiś niewytłumaczalny smutek zagnieździł się w jej sercu. Pragnęła zmiany i zastanawiała się, czy wyjazd do wolnego kraju wypełni pustkę, którą odczuwa.

Nazajutrz znowu przechodziła obok kościoła. Zobaczyła ponownie napis o Bożej miłości i zaczęła zastanawiać się nad tym, kim ten Bóg tak naprawdę jest i dlaczego „tak ukochał świat”. Czy ją też „tak ukochał”?

Weszła do środka i spojrzała na półkę z książkami. Wzięła najgrubszą, jaką mogła znaleźć, w nadziei, że może znajdzie w niej coś o tym Bogu miłości. Otworzyła ją i zaczęła czytać: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię...”

— To książka historyczna — pomyślała, przeczytawszy kilka kolejnych linijek. W szkole nienawidziła historii — wszystkich tych dat, nazwisk i miejsc, które trzeba było znać na pamięć. Szybko zamknęła książkę i odłożyła na półkę. Palcem wodziła po grzbietach pozostałych książkach, po czym wybrała tym razem najcieńszą

— taką zwykłą w ładnej skórzanej oprawie. Otworzyła ją i rzuciła okiem na pierwszą stronę — było na niej pełno imion. Zaczęła czytać bardziej uważnie. Była to historia o młodym małżeństwie oczekującym dziecka. Dziecko to było zupełnie wyjątkowe. Jego narodziny obwieściła gwiazda, a wielcy mędrcy przyszli je powitać.

— Kim jest to dziecko? — zastanawiała się. — Kim jest Jezus?

W drodze do Boga, który kocha

W następną niedzielę przyszła znowu do kościoła. Kaznodzieja mówił o mocy Bożej.

— Diabeł — powiedział pastor — nie boi się nikogo ani niczego. Z wyjątkiem jednej osoby — Boga. Tam gdzie jest Bóg, nie będzie demonów.

Mai otworzyła szeroko oczy. Zachodziła w głowę, czy mówca przypadkiem nie wie o tym rzekomym towarzyszu z jej dawnego wcielenia, który podobno za nią podąża. Bardzo chciała uwierzyć w Boga, o którym mówił. Miała już dość świata duchów, który od dzieciństwa napawał ją ogromnym lękiem i przysporzył tak wielu cierpień. Pragnęła tylko pokoju.

Gdy na końcu kazania pastor wezwał słuchaczy do pokuty, wybiegła do przodu. Nie rozumiała do końca wszystkiego. Wiedziała jednak, że chce czcić Boga, przed którym uciekają demony, Boga, który ją ukochał i uwolni.

Od tamtej pory, zawsze gdy się bała — zazwyczaj późnym wieczorem, gdy leżała już w łóżku i słyszała odgłosy bijatyk — czytała Nowy Testament i modliła się do Boga. Pastor powiedział jej, że diabeł boi się, gdy ona czyta Nowy Testament. Czytała więc sumiennie każdego dnia!

Większość mieszkańców obozu chodziła do świątyni buddyjskiej. Mai nadal robiła to razem z nimi. Demony mogą się jej bać, gdy czyta Biblię — rozumowała — lecz nie zaszkodzi, tak na wszelki wypadek, złożyć im też jakąś ofiarę. W swoim namiocie miała wciąż bożki i codziennie modliła się do nich oraz do Boga chrześcijan. Jeżeli jedna religia pomaga — myślała — to dwie mogą pomóc jeszcze bardziej. Inni uchodźcy postępowali podobnie — z różnych religii oferowanych w obozie wybierali to, co im akurat pasowało.

Lecz pewnej niedzieli pastor mówił o tym, że nie należy mieć innych bogów ani wyznawać innych religii. Powiedział, że chrześcijanie powinni wyznawać tylko jedną religię i czcić tylko jednego

prawdziwego Boga. Po nabożeństwie Mai wróciła do swojego namiotu i wyrzuciła wszystkie bożki. Niektórzy buddyści usiłowali ją powstrzymać, ale uparła się. Jeżeli Bóg chce, żeby wierzyła tylko w Niego, to jest gotowa usunąć wszystko, co wiązało się z jej dawną religią.

Po prostu mnie użyj

Niedługo po tym, jak wyrzuciła swoje bożki, usłyszała kazanie o śmierci Jezusa na krzyżu — o karze, jaką poniósł za nasze grzechy. Bóg po raz kolejny przemówił do niej w szczególny sposób. Po raz pierwszy w swoim życiu zdała sobie sprawę z ogromu swojej grzeszności i zapagnęła okazać skruchę.

— Wybacz mi, Boże — modliła się. — Użyj mnie. Tak jak chcesz, tam gdzie chcesz. Po prostu mnie użyj.

Chociaż nie wiedziała wiele o Piśmie Świętym ani o chrześcijaństwie, zaczęła dzielić się swoją wiarą ze wszystkimi mieszkańcami obozu. Z wielką pasją czytała Biblię, a Duch Święty pomagał jej ją zrozumieć. Im więcej się uczyła, tym więcej świadczyła o Chrystusie.

Chcąc się dowiedzieć, w co wpakowała się jego siostra, Hong również poszedł na kilka nabożeństw obozowego kościoła. W końcu i on uwierzył w Chrystusa, lecz jego oddanie Bogu nie było równie głębokie jak Mai. Myślał przede wszystkim o wolności, o wydostaniu się z obozu i wyjeździe do kraju, w którym mógłby być niezależny. Snuł wiele planów o swojej przyszłej pracy, firmach, które założy i dobrobycie, jaki zdobędzie. Liczył też po cichu na to, że jako chrześcijanin będzie mógł szybciej dostać wizę na Zachód.

W kościele Mai poznała o dziesięć lat starszego mężczyznę. Zaczęli się spotykać. On również czekał na wyjazd na Zachód, mając nadzieję na szybkie założenie firmy i zarobienie dużych pieniędzy. W miarę rozwoju ich znajomości zauważyła, że zaczyna myśleć w podobny sposób. Głód Pisma Świętego zniknął, życie modlitewne było uboższe. Jej myśli krążyły raczej wokół tego, jak wyda swoje pieniądze, kiedy będzie już wolna. Modliła się tylko tyle, żeby uspokoić własne sumienie i czuć, że ma wstęp do nieba.

Po głębokich, pełnych żarliwości modlitwach, które kiedyś wpływały z jej serca, nie zostało ani śladu. Prosiła teraz Boga głównie o to, aby pomógł jej wydostać się z obozu. Rozważali małżeństwo. Chciała za niego wyjść, ale uważała, że jest jeszcze za młoda. Miała przecież dopiero dwadzieścia lat.

Pewnej nocy, gdy leżała w łóżku, usłyszała głos:

— Nie zostawię cię. Gdy powrócę, wezmę cię ze sobą.

Obudziła się i wtedy wydało jej się, jakby usłyszała coś jeszcze: donośny, przejmujący i rozdzierający krzyk.

— Czy słyszałaś ten krzyk? — Duch Święty przemówił prosto do jej serca.

— Tak — odpowiedziała. — Co to było?

— To krzyk tych, którzy zostali. Krzyk bólu i cierpienia.

Wyjdźmy... poza obóz

Następnego dnia duchowe lenistwo zniknęło bezpowrotnie. Do jej modlitw powróciła dawna żarliwość. Modliła się teraz o znacznie ważniejsze sprawy niż dobrobyt i bilet na Zachód. Wstawiała się za swoją rodziną, a także za chrześcijanami w Wietnamie, którzy cierpieli dla Chrystusa.

Pewnego razu, gdy czytała Biblię, natknęła się na fragment trzy-nastego rozdziału Listu do Hebrajczyków:

Dlatego i Jezus, aby krwią swoją uświęcić lud, poniósł mękę poza miastem. Również i my wyjdźmy do Niego poza obóz, dzieląc z Nim Jego urągania. Nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjść. Przez Niego więc składajmy Bogu ofiarę czci ustawicznie, to jest owoc warg, które wyznają Jego imię.

„Wyjdźmy do Niego poza obóz” — słowa te jakby ożyły i wypaliły znamię na jej duszy. Zaskoczyło ją powołanie, które Bóg umieścił w jej sercu: *Wróć do Wietnamu. Dziel się tam moim Słowem. Powiedz tym, którzy tam zostali, aby wzywali Mojego imienia.*

Zdawała sobie sprawę, że za służbę Chrystusowi w Wietnamie przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Wiedziała, że jeśli pójdzie za głosem Bożym, będzie cierpieć. Ale chciała pojechać. Powiedziała Bogu, że zrobi wszystko, o co ją poprosi. Skoro miała wrócić do Wietnamu, to była gotowa to uczynić.

Była również świadoma, jak ogromna ciemność zalega nad Wietnamem. Widziała ją we własnej rodzinie. Gdy dorastała, w jej domu był ciemnoczerwony ołtarz, na którym stały trzy wazy. W każdej z nich paliło się kadzidło dla jednego z trzech przodków, których czcili: jej dziadka, pradziadka i prapradziadka. Gdy umierał ojciec rodziny, usuwano najstarszy pojemnik z kadzidłem i zastępowano go nowym, przeznaczonym dla niedawno zmarłego.

Duchy są wszędzie — mówiono Wietnamczykom. Podobnie jak większość tamtejszych buddystów jej rodzina robiła, co mogła, by je obłaskawić. Zabijali kury lub świny, żeby złożyć je w ofierze na ołtarzu. Rytmicznie wypowiedzanymi zaklęciami zapraszali swoich przodków, aby przybyli i spożyli pokarm, mając nadzieję, że za-skarbią sobie ich życzliwość. Mai ogromnie pragnęła podzielić się prawdą Bożego słowa ze swoją rodziną i pozostałymi Wietnamczykami, żyjącymi w tej potwornej ciemności.

Gdy chrześcijanie zebrali się ponownie na nabożeństwie, powiedziała, że chciałaby o czymś poinformować. Wstała uśmiechnięta i oznajmiła:

— Usłyszałam głos Pana. Przemówił do mnie.

Rozejrzała się po sali, spoglądając na zgromadzonych, którzy byli już teraz jej przyjaciółmi. Byli jej niemal równie bliscy jak rodzina.

— Bóg powołał mnie do tego, abym wróciła do Wietnamu. Chce, abym dzieliła się Jego miłością z tymi ludźmi. Abym powiedziała im prawdę.

Reakcja wielu wierzących była natychmiastowa — ale nie taka, jakiej oczekiwała.

— To głos diabła! — krzyknął pewien mężczyzna.

— To nie może być od Boga — powiedziała starsza kobieta, zamykając gwałtownie swoją Biblię. — Bóg przyprowadził cię do Hongkongu i zaprowadzi cię bezpiecznie do wolności. Sprawি, że będzie ci się dobrze powodziło, abyś mogła pomóc swojej rodzinie. Bóg na pewno nie chciałby, żebyś wracała do Wietnamu.

— Jeśli tam wrócisz, będziesz cierpieć — powiedział ktoś inny. — Wiem. Widziałem to. Być może nawet przez to porzucisz Boga. Bóg n i g d y nie poprosiłby cię o to, abyś tam wróciła.

Mai spojrzała na swojego chłopaka, mając nadzieję, że zobaczy aprobatę na jego twarzy. On jednak daleki był od tego. Odwróciwszy się na pięcie, wymaszerował z sali.

Wiele osób z kościoła usiłowało jej wyperswadować ten pomysł. Lecz jej brat nie zadowolił się jedynie mówieniem. Gdy wspomniała o wyjeździe, wymierzył jej policzek.

— Jak śmiesz pluć w marzenia naszego ojca? — zapytał. — Całymi latami oszczędzał pieniądze, żeby zapewnić ci wolność. A teraz to wszystko odrzucisz? Podepczesz serca własnych rodziców? Już więcej nie wspominaj o powrocie! Ani słowem!

Mai nie mogła zrozumieć, jak jej własny brat mógł ją tak potraktować i jak inni chrześcijanie mogli ją krytykować za pragnienie dzielenia się ewangelią. Prosiła Boga o mądrość i wytrwałość, aby pomimo sprzeciwu ze strony swojego brata potrafiła go nadal kochać. Była pewna, do czego powołuje ją Bóg, ale modliła się, aby inni również to zrozumieli.

Bardziej od policzka, który wymierzył jej Hong, bolała ją reakcja jej chłopaka.

— Bóg wyprowadził cię z Wietnamu — powiedział jej. — Dlaczego teraz miałbyś chcieć, abyś tam wróciła? Nie możesz tam jechać!

Gdy nie udało mu się przekonać jej do zmiany zdania, zerwał z nią.

— Nie mogę ożenić się z kobietą, która rezygnuje ze swoich marzeń — stwierdził. — Bóg tak wiele już ci dał. To, że teraz odwracasz się od tego wszystkiego, przynosi hańbę zarówno Jemu, jak i twojej rodzinie.

— Ja mam marzenia — odpowiedziała Mai błagalnym głosem i ze łzami w oczach. — Bóg dał mi nowe marzenia. Marzę o tym, aby powiedzieć moim rodakom o miłości Chrystusa. Chcę im powiedzieć, że nie muszą już zabijać zwierząt, że ofiara została już za nich złożona.

— A więc mamy różne marzenia — powiedział chłodno. — Nic już nas nie łączy.

Mai patrzyła, jak odchodzi. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach.

Z powodu niedożywienia i fatalnych warunków panujących w obozach podupadała na zdrowiu. Lecz zdrowie duchowe nigdy jej bardziej nie dopisywało. Chociaż jej chłopak rzucił ją, a kościół powątpiewał w słuszność jej postępowania, ona sama nie miała wątpliwości, co musi zrobić. Bóg powoływał ją do powrotu do Wietnamu.

Jedyne nazwisko na liście

Umówiła się na spotkanie w biurze obozu, podczas którego chciała złożyć prośbę o pozwolenie na powrót do Wietnamu. W noc poprzedzającą spotkanie nie mogła zasnąć przez wiele godzin. Rozmyślała o swojej decyzji. Zastanawiała się, dlaczego tak niewiele osób w obozie okazywało jej wsparcie. W modlitwie oddała tę sprawę Bogu. Postanowiła, że pójdzie wszędzie tam, dokąd On zechce i zrobi wszystko, o co On poprosi. Odczuwała zupełny pokój. Nie mogła się

doczekać chwili, gdy będzie mogła mówić mieszkańcom Wietnamu o miłości Jezusa.

W końcu zasnęła. We śnie widziała swój powrót do Wietnamu. Nie była sama. Pewna kobieta jechała razem z nią. Towarzyszył im też jakiś mężczyzna. Odczuła bardzo wyraźnie, że Bóg zapewnia ją w ten sposób, że nie będzie musiała wracać sama.

Gdy nazajutrz rano szła do biura obozu, nie miała wątpliwości, że podejmuje słuszną decyzję. Otworzyła drzwi i zamaszystym krokiem podeszła do biurka.

— Chcę wrócić do Wietnamu.

Mężczyzna za biurkiem spojrzął na swojego młodego gościa. Na jego twarzy rysowało się współczucie połączone ze zdziwieniem.

— Chcesz wrócić!

— Tak.

— Jak długo jesteś w Hongkongu?

— Prawie pięć lat.

— Twój pobyt tu już niedługo się skończy. Prawdopodobnie za kilka miesięcy dostaniesz wizę i będziesz mogła się stąd wydostać. Będziesz mogła wówczas pojechać do Ameryki albo do Australii. Nie rezygnuj teraz.

— Nie rezygnuję — odpowiedziała stanowczo. — Nie chcę już wyjechać na Zachód. Chcę wrócić do swojej ojczyzny.

— Mało kto chce to zrobić. Ostatnio obniżono nawet opłatę za zgłoszenie takiego wyjazdu, bo nikt tego nie robi. Myślę, że wiesz, co to znaczy?

— Tak, wiem — powiedziała pewnie. — Ale Bóg powołał mnie, abym wróciła.

— Bóg cię powołał? — głos urzędnika zdradzał lekkie zdziwienie. — Rozumiem. No cóż, twoje podanie o wizę zostanie unieważnione, a twoja kartoteka zostanie usunięta z akt. Będzie tak, jakby cię tutaj nigdy nie było... jakby ostatnich pięciu lat wcale nie było.

— Wiem. Ale nie chcę wyjeżdżać na Zachód.

— Wiesz również, że rząd wietnamski nie zawsze przyjmuje powracających — szczególnie tych, którzy wyjechali nielegalnie.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Mężczyzna spojrzął na nią jeszcze raz, przypatrzył się jej pociągłej twarzy. Po czym sięgnął do szuflady i wyciągnął formularz.

— Będzie mi potrzebna twoja obozowa karta identyfikacyjna.

Mai podała swoją kartę, po czym wzięła długopis z jego ręki i wypełniła formularz. Dziwne uczucie zadowolenia, a nawet radości, wezbrało w jej sercu. Bez zastanowienia złożyła swój podpis na dokumencie, przekreślając tym samym swoją szansę wyjazdu na Zachód, swoją szansę na wolność.

Urzędnik wyciągnął zakurzony segregator, w którym odnalazł formularz zatytułowany Powrót do Wietnamu. Pieczołowicie wpisał nazwisko Mai w górnej rubryce. Na liście nie było żadnych innych nazwisk.

Gdy Hong dowiedział się, że Mai podpisała formularz repatriacyjny, znowu ją zbił.

Jej przyjaciółka, Xuyen, również chrześcijanka, powiedziała jej, że zwariowała. Lecz gdy zobaczyła ją następnego dnia, zmieniła zdanie.

— Nie zwariowałaś — zapewniła ją. — Przepraszam, że ci to powiedziałam.

— Co się stało? — Mai zapytała swoją przyjaciółkę. — Wczoraj powiedziałaś, że zwariowałam, bo chcę wrócić do Wietnamu, a dzisiaj uważasz to za rozsądną decyzję?

— Pan przemówił do mnie ostatniej nocy — wyznała Xuyen. — I powiedział mi, że ja również powinnam wrócić do Wietnamu, aby dzielić się ewangelią z moimi rodakami.

Serce Mai aż podskoczyło z radości — teraz nie będzie musiała sama odbywać tej podróży. Przypomniała sobie swój sen, w którym jakaś kobieta jechała razem z nią. W tym śnie był również mężczyzna. Zaczęła się zastanawiać, nad którym mężczyzną Bóg obecnie pracuje, aby skłonić go do wyjazdu.

Xuyen poszła do biura obozu i wypełniła te same formularze, co Mai. Jej nazwisko znalazło się jako drugie na liście.

Kilka dni później inny członek ich małego kościoła, Truong, podszedł do Mai i powiedział, że On również sądzi, iż Bóg powołuje go do wyjazdu do Wietnamu.

— Już samo życie w Wietnamie jest trudne — powiedział. — Nie wiem, jak uda mi się tam przeżyć i równocześnie służyć Bogu?

— Nie martw się — powiedziała mu Mai. — Bóg zatroszczy się o wszystko.

W miarę przygotowań do podróży Bóg otwierał przed nią również inne drzwi i dopracowywał wszystkie szczegóły. Był rok 1994.

W Hongkongu spędziła bez mała pięć lat. Na pożegnalnym spotkaniu w kościele wielu wierzących ze łzami w oczach starało się już po raz ostatni przekonać wyjeżdżającą trójkę do zmiany decyzji.

Hong doprowadził ich do stalowoszarej bramy obozu.

— Jak możesz robić coś takiego? — zapytał ponownie Mai. — Napisałem do ojca o twoim szaleństwie. On nie chce, żebyś wracała. Chce, żebyś była wolna. Czy wiesz, ile kłopotów będziesz miała w Wietnamie? Tam nie tolerują wiary chrześcijańskiej. Chrześcijanie są prześladowani, aresztowani i bici. Mai, nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić zdanie.

— Nie zmienię swojej decyzji — odpowiedziała.

— Nie mogę uwierzyć, że cię tutaj przywiozłem — powiedział w gniewie. — Kto opiekował się tobą przez ostatnich pięć lat? Kto ochraniał cię w trakcie walk w obozach? Kto dopilnowywał, abyś dostała swoją porcję ryżu, gdy inni chcieli ci ją odebrać? Wolałbym, żeby Trung pojechał ze mną zamiast ciebie. On nie zhańbiłby mnie i naszego ojca tak jak ty. Trung ma szacunek dla rodziny. Jak możesz robić coś takiego?

Mai spojrzała na swojego brata ze smutkiem.

— Mogę to zrobić, ponieważ Bóg mnie powołał — powiedziała. — Ty chcesz być wolny, pojechać do wolnego kraju. Lecz czy nie widzisz, że są ważniejsze sprawy niż wolność polityczna lub zarabianie pieniędzy? Kto powie naszej rodzinie o Jezusie? Kto powie im, jak być wolnymi, jak pójść do nieba? Bóg powierzył mi to zadanie, a ja chcę je wykonać. Może nigdy nie będę bogata tak jak ty, ale robię to, do czego powołał mnie Bóg. Mam nadzieję, Hong, że pewnego dnia to zrozumiesz.

Hong patrzył posępnie, jak cała trójka wsiadała do białego mikrobusu, który miał zawieść ich na lotnisko. Nie pomachał na pożegnanie. Inni chrześcijanie również wyglądali przez bramę. Płakali. Mai siedziała w odjeżdżającym mikrobusie i patrzyła wstecz. Straszliwie chciała zapamiętać każdą twarz. Kto wie, czy jeszcze kiedyś kogoś z nich zobaczy.

Potajemna praca

Po wylądowaniu samolotu w Wietnamie Mai musiała poradzić już sobie sama. W domu spodziewała się ciepłego powitania. Lecz żadnego powitania nie było. Ojciec, który tak ciężko pracował, żeby zapewnić jej lepszą przyszłość, w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Nie

rozmawiał z nią i traktował jak powietrze. Matka wprost przeciwnie – nie przestawała krzyczeć. Pytała w złości, po co drażni duchy rodzinne tym, że nie czci już przodków.

Pomimo wrogiej reakcji ze strony rodziny Mai starała się zachować pozytywne nastawienie. Często się modliła i po cichu śpiewała pieśni w swoim pokoju. Dzięki swojej postawie i przykładowemu życiu wkrótce pozyskała dla Boga pierwszą osobę. Siostra zaczęła wypytywać ją o jej wiarę i w końcu uwierzyła w Chrystusa jako swojego Zbawiciela. Teraz wspólnie się modliły, a Mai czytała jej różne fragmenty z Pisma Świętego.

Rodzice nie przestawali robić jej przykrości. Coraz trudniej było jej to znosić.

– Myślałam, Boże, że chciałeś, abym wróciła do Wietnamu – modliła się.

W odpowiedzi odczuła, jakby Bóg wydawał jej polecenie:

– Zgromadź moje owce. Udaj się do prowincji Van Dong.

Mai nigdy nie była w Van Dong, ale słyszała, że byli tam tacy, którzy uwierzyli w Chrystusa w Hongkongu i wrócili do Wietnamu. Wyruszała do tego regionu, modląc się przez cały czas. Starła się jak najmniej z kimkolwiek rozmawiać. Nie miała zezwolenia na podróże i bała się, że milicja dowie się, iż jest chrześcijanką i aresztuje ją.

W Van Dong poznała innych chrześcijan. Spotykali się w dżungli, aby milicja o niczym się nie dowiedziała. Mai czuła, że Bóg powołuje ją do szukania zgubionych owiec. Poświęciła się więc bardziej ewangelizacji. Nadal mieszkała w domu rodziców. Podróżowała jednak często do Van Dong na różne spotkania. Po niedługim czasie powstał tam nieduży kościół. Lecz w miarę jego rozwoju, zwiększała się też presja wywierana na jego członków.

Ojciec Mai dowiedział się o jej wyprawach do dżungli z innymi chrześcijanami i żeby temu zapobiec zaczął przydawać jej coraz więcej domowych obowiązków. Miał nadzieję, że jak będzie miała dużo pracy, to przestanie zajmować się kościołem. Widząc jednak, jak uparcie jego córka trzyma się swojej nowej religii, w końcu ustąpił. Pozwalał jej uczęszczać na niedzielne nabożeństwa. Nie mogła jednak chodzić na spotkania modlitewne ani żadne inne, ani też utrzymywać bliskich kontaktów z wierzącymi. Mimo to nadal to robiła i nie zrezygnowała ze swojej służby. W końcu ojciec wyrzucił ją z domu. Po paru dniach pozwolił jej wrócić. Później jednak jeszcze niejedną raz była wyrzucana.

Wieści o jej działalności rozchodziły się po okolicy i milicja zaczęła śledzić każdy jej krok. Wywierała też naciski na jej ojca, aby pomógł im zgromadzić obciążające ją dowody. Dokąd jeździ? — pytali wielokrotnie. — Z kim się spotyka? O czym rozmawiają? Dlaczego pozwalasz na to swojej córce?

W miarę upływu miesięcy naciski nasilały się. W końcu milicji nie wystarczyły rozmowy z ojcem Mai w jego domu. Wezwano go na komisariat.

— Jeżeli nie potrafisz zapanować nad swoją córką — powiedzieli złowieszczo — to my się tym zajmujemy.

W obawie o własne bezpieczeństwo i dla dobra Mai ojciec wielokrotnie kazał jej zostawać w domu.

— Nie możesz wyjść — mówił. — Czy wiesz, co mogą mi zrobić? Co zrobią z tobą?

Początkowo udawała, że idzie spotkać się z koleżankami lub pomóc im w obowiązkach domowych. Z czasem stała się odważniejsza i mówiła bez ogródek:

— Idę pracować dla Boga.

To, że jej własny ojciec był przeciwko niej, było coraz trudniejsze. Jej modlitwy stały się jeszcze bardziej żarliwe.

— Boże — modliła się pewnej nocy — zrobię dla Ciebie wszystko. Jestem gotowa pójść do więzienia, a nawet umrzeć dla Ciebie, jeśli taka jest Twoja wola. Lecz proszę, nie pozwól memu ojcu, żeby mnie prześladował. To jest ponad moje siły.

Lecz prześladowania nie skończyły się. Wiele lat później Mai zrozumiała, że Bóg wykorzystał ten okres jako swego rodzaju poligon. Naciski ze strony ojca miały wykształcić w niej wytrwałość i przygotować ją do trudów dalszej służby dla Boga.

Kolejna szansa na wolność

Po jakimś czasie Mai spotkała amerykańskich misjonarzy, którzy przebywali w Wietnamie. Gdy zobaczyli jej pasję i determinację, w dobrej wierze zaproponowali, że mogą zorganizować dla niej wyjazd do szkoły biblijnej w Stanach Zjednoczonych. Była to niezwykła okazja. Mai spędziła pięć lat w obozach dla uchodźców w Hongkongu w oczekiwaniu na wyjazd na Zachód. Teraz jest z powrotem w Wietnamie i otrzymuje zaproszenie do Ameryki — wszystko gotowe i opłacone!

Gdy powiedziała rodzicom o tej propozycji, ojciec zareagował entuzjastycznie:

— To wspaniała okazja. Twoi „amerykańscy rodzice” chcą zorganizować ci wyjazd do Ameryki, gdzie będziesz wolna i będziesz mogła zdobyć wykształcenie. To cudowna nowina! Musisz jechać.

Jednakże wizja, jaka przyświecała Mai, nie zmieniła się. Przeczytała ponownie fragment trzynastego rozdziału Listu do Hebrajczyków, którego Bóg użył, aby powołać ją z powrotem do Wietnamu. Jej żarliwa miłość do tych „poza obozem” w jej ojczyźnie nie zmaląła.

— Chcę pracować w Wietnamie — powiedziała rodzicom. — Bóg powołał mnie, abym służyła tutaj pośród mojego narodu.

— Ale przecież być może Bóg właśnie w ten sposób chce ci pomóc — odparł ojciec. — Byłabyś szalona, gdybyś z tego nie skorzystała!

Mai postanowiła jednak zostać w Wietnamie. Zamiast wyjechać do Stanów Zjednoczonych, uczęszczała na intensywne szkolenia w Sajgonie. To, w jakim miejscu będzie uczyć się ewangelii, nie miało dla niej znaczenia. Pragnęła tylko służyć Bogu i pozyskiwać dla Niego swoich rodaków. Misjonarze zaproponowali, że pomogą jej w pokryciu wydatków w Sajgonie, lecz uprzejmie odmówiła. Była przekonana, że Bóg o wszystko się zatroszczy, jeśli pobyt tam mieści się w Jego planach.

Pół roku spędziła w zamknięciu w południowym Wietnamie. Wyjeżdżała tylko na podróże misyjne w wiejskie regiony kraju. Gdyby pojawiła się na ulicach Sajgonu, jej północny akcent zostałaby od razu rozpoznany. Nie mogła sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie miała bowiem pozwolenia na pobyt na południu. Pozostawała więc w ukryciu przez sześć długich miesięcy. Czasami z tęsknotą wyglądała przez okno, obserwując ruch uliczny. Tak bardzo ciągnęło ją, by choć na chwilę włączyć się w tętniące wokół niej życie. Nie było to jednak możliwe.

Dni dłużyły się, szkolenie było intensywne i wszystko trzeba było robić potajemnie. Codziennie poświęcano wiele godzin na modlitwę, śpiewanie pieśni, poznawanie Pisma Świętego i przygotowanie do pracy duszpasterskiej.

Żarliwe pragnienie

Uczestnicy szkolenia dowiadawali się również wiele na temat plemion zamieszkujących Wietnam. Mai była wychowywana w przekonaniu, że wszystkie mniejszości etniczne w Wietnamie to zacofane

i barbarzyńskie plemiona, odprawiające dziwne rytuały i całkowicie owładnięte bezsensownymi zabobonami. Gdy jednak zetknęła się z chrześcijanami, pracującymi wśród różnych plemion, Bóg zaszczylił w jej sercu żarliwe pragnienie, by pozyskać te ludy dla Chrystusa.

W Wietnamie zamieszkuje ponad pięćdziesiąt plemiennych grup etnicznych. Wszystkie są srodze prześladowane przez władze. W celu ujednoczenia kultury zakazano wydawania jakichkolwiek publikacji w językach plemiennych. Obowiązującym językiem jest tylko wietnamski. Członkowie tych plemion stają się przedmiotem drwin i szyderstw i spotykają się z prześladowaniami, nawet jeszcze zanim uwierzą w Chrystusa.

Aby pozyskać ich dla ewangelii, uczestnicy szkolenia — szesnaście osób na ośmiu motocyklach — wyruszyli w górzyste obszary położone w centrum kraju. Podróże były mordercze. W porze suchej tumany kurzy ograniczały widoczność do półtora metra. W porze deszczowej drogi przypominały śliską taflę. Aby nie wpaść na patrol milicyjny, podróżowano głównie nocą. Często dochodziło do wypadków. Pewnego razu motocykl, którym jechała Mai, potracił psa. Zarówno ona, jak i jej współpasażerka przeleciały do przodu nad kierownicą. Mai upadła na twarz. Zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, krew spływała jej po twarzy, ramieniu i kolanach. Wychudzony, płowy pies leżał martwy.

Dla tych młodych ewangelistów blizny stały się honorowymi odznakami. Często w żartach przechwalali się swoimi „trofeami”. Rany posypywali solą, aby nie dopuścić do zakażenia, opatrywali je najlepiej jak potrafili i kontynuowali podróż.

— Będzie dobrze — jedna z kobiet powiedziała Mai, pomagając jej w oczyszczeniu i opatrzeniu ran po wypadku. — Pamiętasz, co powiedział pastor? Jeśli nie masz żadnych blizn, to nie jesteś przygotowana do podjęcia służby chrześcijańskiej w Wietnamie. No cóż, Mai, jesteś coraz lepiej przygotowana!

Nowe stworzenie w Chrystusie

Po sześciomiesięcznym szkoleniu Mai powróciła na północ. Zajmowała się tam zakładaniem kościołów i przygotowywaniem liderów do służby. Rodzice nadal nalegali na nią, żeby zaprzestała swej działalności. W końcu poirytowany ojciec zwołał spotkanie całej rodziny, w którym mieli uczestniczyć również dalecy krewni.

— Co mamy zrobić z Mai? — zapytał, wodząc błagalnym wzrokiem po zebranych. — Wciąż trzyma się tych obcych zabobonów.

Próbowaliśmy jej to wyperswadować i nakłonić ją, żeby wróciła do tradycji rodzinnej. Lecz nie chce. Sprawia nam przez to wiele kłopotów. Czy mamy nadal to tolerować, czy też powinniśmy ją wykluczyć z rodziny?

Serce Mai pękło, gdy słuchała słów ojca i spoglądała na twarze swoich krewnych — ludzi, których znała i kochała przez całe swoje życie. Modliła się o nich, podczas gdy obradowali. Prosiła też Boga, aby dał jej mądrość, gdy będzie odpowiadać na ich pytania.

A było ich wiele.

Na każde pytanie odpowiadała uprzejmie i cierpliwie, aż w końcu nikt nie miał już żadnych pytań. Zapadło głębokie milczenie. Wszyscy wiedzieli, że nadeszła pora podjęcia decyzji. Mai stanęła w środku między swoimi krewnymi, aby przedstawić swoją ostatnią prośbę. Spojrzała ojcu prosto w oczy i szybko pomodliła się, aby Bóg dał jej odpowiednie słowa.

— Tatusiu — zaczęła. — Nie wyprę się Jezusa. Lecz ciebie też się nie wyprę. Możesz wyprzeć się mojego Boga. Lecz nawet jeśli to uczynisz, On i tak pozostanie Bogiem. Możesz wyprzeć się mnie, jeśli chcesz, ale i tak będę twoją córką. Jeśli nie chcesz mnie już więcej widzieć, to dobrze. Lecz w twoim sercu nadal pozostanę twoją córką. Nawet jeśli wyłączysz mnie z rodziny i nie będziesz chciał uznać mnie za córkę, ja jednak będę uważać cię za swojego ojca. Zawsze nim będziesz. I zawsze będę cię kochać.

Odbyło się głosowanie i Mai pozostała w rodzinie. Nieco później tego samego dnia ojciec wziął ją na bok:

— Jeśli będziesz potrzebować miejsca do spania — powiedział, starając się ukryć wzruszenie — to zawsze możesz przyjść do naszego domu.

Mai podziękowała Bogu, że rodzina ją zaakceptowała i nadal żarliwie modliła się, aby jej bliscy uwierzyli w Chrystusa i zostali Jego uczniami.

Organizacja misyjna, z którą współpracowała, oferowała jej kolejne szkolenia. Kilkakrotnie wyjeżdżała do Sajgonu do tajnej szkoły biblijnej. Każda podróż oznaczała wiele godzin spędzonych w pociągach, na motocyklu i wiele godzin w marszu. Modliła się przed każdym wyjazdem, a także za każdym razem, gdy zbliżała się do punktu kontrolnego lub posterunku milicji. Nie miała oficjalnego zezwolenia na podróż i w żaden sposób nie mogłaby wytłumaczyć swojego pobytu w Sajgonie. Długotrwałe podróże pociągiem dawały

jej wiele czasu na rozmyślania i modlitwę. Jej myśli często kierowały się ku ojcu. Mogła tylko modlić się o jego zbawienie. Robiła to z wielką żarliwością.

W trakcie jednej z takich podróży otrzymała pilną wiadomość: „Wracaj natychmiast do domu. Twój ojciec jest bardzo chory. Leży w szpitalu”.

Diagnozą było słowo, które sieje postrach i ból na całym świecie: rak. Natychmiast pojechała do swojego ojca i opiekowała się nim przez cały czas. Dbała o wszystkie jego potrzeby. Równocześnie modliła się o niego i zaczęła łagodnie rozmawiać z nim o swojej wierze. Całymi godzinami czytała mu na głos Biblię.

Niektórzy z jej współpracowników przyszli go odwiedzić. Ich nieskrywana troska zrobiła na nim duże wrażenie. Stopniowo coraz mniej martwił się dziwną religią swojej córki i zaczynał coraz bardziej niepokoić się stanem własnej duszy. Gdy odwiedził go pastor, który prowadził szkolenie Mai, rozmawiali długo sam na sam. Pozostali wierzący zebrawi się w pomieszczeniu obok i cały czas modlili się o jego nawrócenie. Kiedy pastor wychodził z pokoju, ojciec Mai był już nowym stworzeniem w Chrystusie. Natychmiast zawołał swoją córkę — pierwszą prawdziwą chrześcijankę, jaką poznał.

Uściskali się zapłakani, gdy powiedział jej o swojej decyzji, że będzie podążał za Chrystusem przez resztę swoich dni na ziemi, ile by ich nie było.

— Teraz widzę, że władza prześladowuje kościół — powiedział jej. — Wcześniej tego nie widziałem. Pozwalałem im nawet, aby wykorzystywali mnie do prześladowania mojej córki — dodał z gardłem ściśniętym niewysłowionym żalem.

Mai przytuliła go i powiedziała, że te prześladowania były częścią planu Bożego, który używał tych doświadczeń, aby wzmacniać jej wiarę.

Praca wśród rozproszonych owiec

Po śmierci ojca Mai odczuwała głęboki smutek, ale zarazem cieszyła się, że pewnego dnia zobaczy go znowu w niebie. Ze wzmożonym zapałem powróciła też do służby chrześcijańskiej. W 1996 roku grupa misyjna, z którą współpracowała, zorganizowała trzydniowe szkolenie dla liderów. W trakcie przygotowań do tego wydarzenia dużo się modliła. Pewnej nocy Pan przemówił do niej we śnie, dokładnie tak jak wówczas, gdy powoływał ją z powrotem do Wietnamu.

W swoim śnie stała w środku gęstej dżungli.

— Gdzie jestem? — spytała.

— To jest teren zamieszkiwany przez plemiona. Mam dla ciebie tutaj kolejne zadania do wykonania.

— Kiedy mam zacząć? — zapytała. — I czy ktoś nie mógłby pojechać ze mną i pomóc mi w tej pracy?

Bóg odpowiedział na jej pytanie obietnicą:

— Poślę razem z tobą mężczyznę, wojownika.

Potem wiele twarzy mignęło jej przed oczami — parada ludzi ubranych w kolorowe stroje. Każdy z nich pochodził z innego plemienia, któremu Mai miała posługiwać.

Po tym śnie i specjalnym szkoleniu, które odbyło się niedługo później, rozpoczęła regularną pracę wśród różnych grup plemiennych. Na swoim motocyklu przejeżdżała Wietnam wzdłuż i wszerz, nielegalnie głosząc ewangelię i niosąc wieść o zbawieniu. W wielu rejonach milicja ustawiła punkty kontrolne. Zwykłe bambusowe pale wbite w ziemię tworzyły na drodze bramkę, przy której milicja zatrzymywała podróżnych i sprawdzała dokumenty. Jeśli coś było nie w porządku, milicjanci aresztowali podejrzanego lub przynajmniej nakłaniali go do zapłacenia łapówki za zezwolenie na dalszą jazdę.

Mai nie miała żadnych zezwoleń na podróż i wozila ze sobą wiele nielegalnie drukowanych Biblii. Omijała więc punkty kontrolne. Niepostrzeżenie znikwała z drogi i przedzierała się przez gęsty las. Wiedziała, że władza wie o jej chrześcijańskiej działalności i umieściła jej nazwisko na liście poszukiwanych. Ryzyko było ogromne. Ci, którzy próbowali ukradkiem omijać punkty kontrolne, mogli zostać zastrzeleni na miejscu. Kilkakrotnie została złapana i umieszczona w areszcie. Niekiedy Biblie, które wiozła, konfiskowano. Wielokrotnie jednak Pan w cudowny sposób ukrywał je przed wzrokiem funkcjonariuszy. Mai radowała się w duchu za każdym razem, gdy oddawali jej torbę z nienaruszonym cennym towarem ukrytym w środku.

Młoda ewangelistka była świadkiem dynamicznego rozwoju kościoła wśród grup plemiennych. Odwaga tych ludzi w obliczu prześladowań była dla niej ogromną zachętą.

— Plemiona są jak rozproszone owce — myślała. — Nikt nie staje w ich obronie z wyjątkiem samego Pana.

Słuchała opowieści członków plemion o prześladowaniach i starała się dodać im otuchy. Pewnego starego człowieka zawieszono w powietrzu i bito tak długo, aż lina pękła. Cały zakrwawiony upadł

bezwładnie na ziemię. Milicja zmusiła niektórych chrześcijan z plemienia Hmong do przeniesienia się do innego regionu Wietnamu, starając się w ten sposób odizolować ich od współplemieńców. Aby ująć z rąk milicji, musieli czasami porzucić wszystko i uciekać do dżungli.

W pewnej wiosce Mai i pozostali chrześcijanie zostali zaproszeni do domu jednego z członków plemienia, który cierpiał na jakąś potworną infekcję. Gdy weszła do środka, z trudem powstrzymała się od wymiotów — odór był tak potworny. Rodzina zapytała ją, czy jest lekarzem lub czy przyniosła jakieś lekarstwa.

— Nie jesteśmy lekarzami — odpowiedziała — i nie mamy żadnych lekarstw. Ale znamy najlepszego Lekarza na świecie, który potrafi uzdrawiać.

Pomodlili się o uzdrowienie chorego. Gdy po miesiącu wrócili do tej wioski, mężczyzna ten był już niemal zupełnie zdrowy. Po upływie kolejnego miesiąca wrócił do pełni sił. Bardzo chciał porozmawiać z Mai.

— Chciałbym, żebyś ze mną pojechała — powiedział. — Zaprowadzę cię do mojego ludu. Lecz jest to daleko stąd — w dżungli. Droga nie będzie łatwa ani krótka. Musisz wyruszyć ze mną na trzydzieści dni.

Mai modliła się w tej sprawie i odczuła potwierdzenie od Boga. Zgodziła się udać z nim do jego rodzinnej wioski, położonej w niezwykle odległym zakątku północnego Wietnamu. Tamtejsi wieśniacy byli bardzo biedni. Ich jedynym odzieniem był lichej strój, noszony na okrągło przez cały rok. Prymitywne warunki życia panujące w tych wioskach i wszechobecny smród odstraszały niektórych pracowników chrześcijańskich. Innych zraziła kultura plemienna, przesiąknięta nieufnością wobec obcych. Mai została jednak dobrze przyjęta, gdyż towarzysz jej podróży wychował się w tej wiosce i przedstawił ją wszystkim mieszkańcom. Wkrótce powstał tam kościół. Mężczyzna ten wielokrotnie dziękował jej za to, że przyniosła do jego wioski wiarę w Jezusa.

— Gdy zobaczą Chrystusa w nas — tłumaczyła później — to z łatwością Go przyjmują.

Mai odczuwała wyjątkową miłość do plemienia Hmong. Zaczęła więc planować kolejne miesięczne wyprawy misyjne na ich terenie. Podróże były wyczerpujące. Zaczynały się od całonocnej jazdy pociągiem, po której następowała całodzienna jazda zatłoczonym i śmierdzącym autobusem. Nazajutrz trzeba było spędzić kolejne pół dnia

w następnym autobusie, a resztę drogi pokonać na piechotę. Szlaki górskie były strome, a w trakcie pory deszczowej bardzo zdradzieckie. Jeden nieuważny krok mógł zakończyć się upadkiem do płynącej głęboko w dole rzeki. Czasami musiała wdrapywać się pod górę na czworakach, rozpaczliwie szukając oparcia dla nóg i rąk.

Milicja dała sobie spokój z próbami powstrzymania spotkań chrześcijańskich w tych odległych wioskach. Drogi były zbyt niebezpieczne. W jednej z wiosek, do której udało im się dostać, dotkliwie pobili pięćdziesiąt rodzin chrześcijańskich i zmusili je do przeniesienia się do innego regionu kraju.

Dzieląc się ewangelią z plemieniem Hmong, Mai była wielokrotnie świadkiem tego, jak moc Słowa Bożego przemieniała ludzi. Wielu wieśniaków było wcześniej alkoholikami lub praktykowało przedziwne rytuały okultystyczne, w tym picie krwi zwierząt. Kiedy jednak powierzali swoje życie Chrystusowi, porzucali swoje nałogi i rytuały i byli gotowi stawić czoła prześladowaniom za swoją wiarę. Wierzyli, że Chrystus wkrótce powróci i chcieli być na to gotowi.

Mai wyraźnie wyczuwała ich głód Boga i zaczęła przygotowywać chrześcijan z plemienia Hmong do roli przywódców. Dotarcie na piechotę na miejsce szkoleń zajmowało wielu z nich całe dwa dni. W niektórych wioskach nie było w ogóle Biblii. W innych chrześcijanie byli przeschczęśliwi, jeżeli mieli jeden egzemplarz Pisma Świętego na kilkadziesiąt rodzin. Niektóre rodziny sprzedały wszystko, co miały, żeby udać się do Hanoi w poszukiwaniu jednego egzemplarza Biblii. Lecz nawet tam nie mogli znaleźć Pisma Świętego w języku Hmong. Mai za każdym razem przywoziła im trochę Biblii w ich języku, które były drukowane przez osoby z nią współpracujące. Gdy patrzyła, jak płaczą z radości, bo pierwszy raz w życiu trzymają w rękach Słowo Boże, nie posiadała się ze szczęścia.

Długie podróże nadwierały jej siły. Nadal cierpiała na chorobę lokomocyjną – nic się nie zmieniło od czasu podróży łodzią. Czasami, gdy walczyła z nudnościami, zastanawiała się, dlaczego Bóg powołał ją do służby wymagającej odbywania tak wielu podróży, ale nie uzdrowił jej z tej uciążliwej dolegliwości. W pociągach próbowała znaleźć sobie miejsce blisko toalety. Wiedziała bowiem, że wcześniej czy później zrobi się jej niedobrze. Jazda motocyklem po błotnistych drogach zajmowała wiele godzin. Obciążona torbami z trudem utrzymywała równowagę. Przemierzała też całe kilometry na piechotę, zawsze niosąc ze sobą Biblię. Nazwiska chrześcijan, z którymi utrzymywała kontakt, zaszywała w ubraniach, aby milicja ich nie znalazła, gdyby została aresztowana.

Inny rodzaj wolności

Zazwyczaj jej podróże przebiegały bez większych kłopotów. Była jednak dobrze znana milicji. Do aresztu trafiła dziesięciokrotnie. Spędzała tam zazwyczaj od kilku godzin do piętnastu dni. Za każdym razem konfiskowano Biblię, które wiozła. Często wracała myślami do tego, co powiedział jej brat, gdy wyjeżdżała z obozu w Hongkongu. Nawet on nie zdawał sobie sprawy, jak wiele prawdy było w jego słowach i jak wiele kłopotów ją spotka, gdy wróci do Wietnamu.

— Głosząc swoją wiarę, łamiesz prawo! — usłyszała od milicji. — Konstytucja wietnamska zapewnia wolność religijną, lecz tylko w miejscach i porach wyznaczonych przez władzę.

Pewnego razu milicja podsunęła jej do podpisu oświadczenie. Podpisanie byłoby przyznaniem się do nielegalnego głoszenia wiary.

— Ten raport jest bezpodstawny — napisała na dole kartki, nie wypowiadając przy tym ani słowa.

Komendant milicji podszedł do przodu, przekonany, że złamał jej upór i że podpisała się pod tym dokumentem. Gdy przeczytał to, co napisała, podarł kartkę na małe kawałeczki.

— Czy myślisz, że jesteśmy głupcami? — wrzasnął.

Podczas innego aresztowania milicja starała się ją zmusić do podpisania zeznań, w których miałyby się przyznać do nielegalnego druku Pisma Świętego i „zakazanej” literatury.

— Bóg daje mi takie prawo — odpowiedziała. — Nie wy. W Wietnamie mamy wolność religijną, więc mogę wierzyć, w co chcę. Jeżeli noszę przy sobie Biblię, to jest to moja wiara. Gdy mówię do tych ludzi [przywódców chrześcijańskich uczestniczących w szkoleniach], którzy już są wierzący, to nie jest to nawracanie kogokolwiek. Po prostu wspólnie dzielimy się swoją wiarą.

— Jest wolność — odparł funkcjonariusz — ale w Wietnamie trzymamy ją pod kluczem. To my decydujemy, kto jest wolny, a kto nie.

Milicja kazała jej też opisać na piśmie prowadzoną przez nią działalność i podpisać zobowiązanie, że już więcej nie będzie głosić swojej wiary. Zgodziła się napisać takie sprawozdanie, ale ujęła je w formę osobistego świadectwa. Napisała o tym, jak dorastała, oddając cześć przodkom, jak poznała Boga w obozie dla uchodźców w Hongkongu i wróciła do Wietnamu, jak Bóg ją zmienił. Opisała całe swoje życie.

Zamiast jednak złożyć zobowiązanie, że nie będzie więcej głosić wiary, napisała coś zupełnie innego: „Biblia jest Księżą, którą

rząd pozwala drukować (w ograniczonym nakładzie) i rozprowadzać. W Biblii jest powiedziane, że mamy czcić Boga, czytać Pismo Święte w domu i głosić ewangelię. Robię wszystko to, co mówi Biblia”.

Milicjanci przeczytali jej „zeznania”, po czym z niewyjaśnionych przyczyn wypuścili ją.

Przed każdym wyjazdem misyjnym poświęcała wiele godzin na modlitwę. Pewnego razu, gdy wcześniej rano modliła się o zbliżającą się podróż, odczuła wyraźnie, że pojawią się problemy. Powiedziała o swoich przeczuciach współpracownikom, zapewniając ich równocześnie, że na wolności bądź w więzieniu pozostanie w woli Bożej. Jedna ze współpracownic, która miała wyruszyć razem z nią, rozplakała się, gdy o tym usłyszała.

— Pan Bóg wie o wszystkim — Mai dodawała jej otuchy. — Sprawiliśmy, że pojedziemy razem i będziemy mogły nawzajem się wspierać. Nie martw się. To ja zorganizowałam to spotkanie. Nie musisz odpowiadać na żadne pytania. Całą winę wezmę na siebie.

Wyjechali samochodem — dwie kobiety i misjonarz oraz kierowca. Dokładnie tak jak Pan pokazał Mai, mieli kłopoty. Zostali aresztowani przez milicję. Wszystkie Biblie i publikacje chrześcijańskie skonfiskowano. Na posterunku mężczyzn oddzielono od kobiet. Z tyłu celi, w której przebywały kobiety, była dziura w podłodze służąca za ubikację. Roje much oblepiały wszystkie ściany i sprzęty.

Po weekendzie Mai przewieziono do więzienia Lan Czernaście. Gdy znalazła się w celi, okazało się, że było tam już kilka Chinek. Uciekły z Chin i usiłowały przedostać się do Malezji. Zostały jednak aresztowane przez wietnamską milicję. Chciały ćwiczyć swój angielski, więc Mai rozmawiała z nimi łamaną angielszczyzną. Do jedzenia dostawały jedną misę ryżu, z której wszystkie jadły łyżkami. Mai i jej przyjaciółka wiele czasu poświęcały na modlitwę głównie o swoje współwięźniarki.

Codziennie o ósmej rano strażnik wyprowadzał Mai na przesłuchanie, które trwało trzy godziny. Uznano ją za „więźnia politycznego” i w związku z tym przesłuchania były intensywne.

— Dlaczego nienawidzisz władzy? — zapytał oficer.

— Nie żywię nienawiści do władzy — odpowiedziała, starając się jak zwykle zachować spokój. — Wierzę w Jezusa, a On nakazał nam modlić się o przywódców rządowych. Modlę się więc za nich.

— Modlisz się za nich? — powiedział oficer z szyderczym uśmiechem. — Skąd są te Biblie? Spotykałaś się z zagranicznymi szpiegami, prawda? Mów prawdę!

— Dostałam te Biblie w Hanoi i Sajgonie — odparła. — I nie znam żadnych zagranicznych szpiegów.

— Nie tylko ich znasz — powiedział oficer, podnosząc głos — lecz także pracujesz dla nich! Pracujesz dla obcokrajowców przeciwko swojej ojczyźnie!

— Kocham mój kraj — powiedziała z naciskiem. — Wróciłam tutaj właśnie dlatego, że kocham mój naród.

— Kto jest twoim zwierzchnikiem? Z kim współpracujesz?

Mai odmówiła podania jakichkolwiek nazwisk.

— Jeżeli chcecie się czegoś o nich dowiedzieć — odpowiedziała — to powinniście zapytać ich osobiście.

Równocześnie podziękowała Panu w duchu, że nie znaleźli nazwisk zaszytych w szwach jej ubrań.

Zadawano jej pytanie za pytaniem, po czym odsyłano do celi na przerwę. Po południu była znowu w pokoju przesłuchań na kolejne trzy godziny. Powtarzało się to przez dziesięć dni, przy czym codziennie przesłuchiwał ją inny funkcjonariusz. Niektórzy obchodzili się z nią brutalnie — wrzeszczeli i wygrażali jej. Inni mówili bardzo łagodnie, starając się ją przekonać, że wiedzą już wszystko o spotkaniach chrześcijan, więc powinna im po prostu powiedzieć prawdę.

Dziesiątego dnia poinformowano ją, że ma zabrać swoje rzeczy, ponieważ zostanie przeniesiona do nowej celi. Okazało się jednak, że zaprowadzono ją do pomieszczenia, w którym miała podpisać zaświadczenie zwolnienia z więzienia. Przypomniała sobie, jak po raz ostatni podpisywała formularze wyjazdowe. Sporo czasu upłynęło od jej wyjazdu z Hongkongu. Gdy strażnicy robili jej zdjęcie w celu udokumentowania zwolnienia, uśmiechała się. Nie popełniła żadnego przestępstwa, a pobyt w więzieniu tylko jeszcze bardziej utwierdził ją w przekonaniu, że Bóg pozostaje wierny zarówno wobec niej, jak i jej służby misyjnej — wobec tych „poza obozem”.

— Jestem wolna — myślała, wychodząc z więzienia — naprawdę wolna. Przypomniał się jej ojciec i jego liczne „kazania” o konieczności wyjazdu na Zachód, do wolności. Znalazła jednak inny rodzaj wolności. Nie taki, o jakim myślał jej ojciec, lecz o wiele wspanialszy!

Epilog

Mimo iż służba Mai dawała jej wiele radości, to jednak pragnęła mieć męża. Przypomniała Bogu, że obiecał jej wojownika, który będzie kroczył u jej boku pośród trudów życia. Przyjaciele

modlili się razem z nią, aby Bóg pokazał jej, kim jest ów „wojownik”. Tak też się stało.

Nam był jednym ze współpracowników Mai i byłym funkcjonariuszem komunistycznej milicji. Bóg wypełnił jego serce miłością do Mai, ale Nam nie powiedział jej o tym przez wiele miesięcy. Modlił się tylko, aby jego uczucia wyszły na jaw w stosownej porze. Po niedługim czasie zarówno dla Mai, jak i przywódców kościoła stało się jasne, że tych dwoje jest stworzonych dla siebie. Pobrali się i nadal prowadzili swoją służbę, podróżując wspólnie po wietnamskich wioskach, głosząc ewangelię i szkoląc liderów chrześcijańskich.

Ojciec Nama był wysokim urzędnikiem komunistycznym. Rzecz jasna, nie podobała mu się nowa synowa. Początkowo nie chciał w ogóle rozmawiać z Mai ani nawet przebywać w tym samym pokoju, co ona. Gdy Mai wraz z mężem zapraszali chrześcijan na spotkanie w swoim domu, stawał przed wejściem i przeganiał przybywających gości. W końcu musieli wybudować mur wokół swojej posesji, aby nie było wiadomo, kiedy organizują spotkania.

Mai poroniła ich pierwsze dziecko w trakcie jednej z podróży misyjnych w dżungli. Lekarze ocenili, że już nigdy nie będzie mogła urodzić dziecka. Nowożeńcy nie dawali jednak za wygraną i błagali Boga, aby obdarzył ich rodziną. Mai ponownie zaszła w ciążę, ale przebiegała ona z komplikacjami. Lekarze doradzali aborcję. Nie zgodziła się. Poród był bardzo ciężki. Lekarze powiedzieli Namowi, aby wybrał, czy chce, aby przeżyła żona czy dziecko. Według nich nie było szans na uratowanie obojga. Młodzi modlili się, prosząc Boga, aby zachował przy życiu dziecko.

Przeżyło nie tylko dziecko, lecz także matka. Mai urodziła zdrową dziewczynkę i wkrótce sama odzyskała siły.

Po przyjściu na świat dziecka służba Mai zmieniła swój charakter. Nie może teraz podróżować tak często do odległych rejonów Wietnamu. Jest natomiast aktywnie zaangażowana w służbę w kościołach znajdujących się blisko jej miejsca zamieszkania. Zajmuje się także szkoleniem liderów chrześcijańskich z terenów wiejskich, którzy w tym celu przyjeżdżają do jej miasta. Nam nadal przynajmniej raz w miesiącu wyjeżdża do wiosek rozsianych w dżungli.

Bóg zaszczepił w sercu Mai pragnienie służby wśród osieroconych i bezdomnych dzieci. Czyni już przygotowania do tej pracy i wyobraża sobie dzień, w którym jej córka będzie służyła z nią ramię w ramię. Będą mówić tym dzieciom „spoza obozu” o Bogu, który kocha świat, zwycięża zło i jest jedynym Bogiem, który może dać nam wolność.

Polecamy następujące pozycje, dostępne u Wydawcy i w księgarniach chrześcijańskich:

Torturowani z powodu Chrystusa

Miłość która zwycięża nienawiść

RICHARD WURMBRAND

Dzieje męża

„Książka ta była szczególnie użyteczna w obudzeniu sumienia wolnego świata na okropności, których doświadczali nasi bracia za żelazną kurtyną.”

Wstrząsająca, wzruszająca relacja o życiu, służbie oraz prześladowaniach Kościoła podziemnego w Europie Wschodniej w okresie panowania komunizmu. Wymowne i wielce budujące świadectwo o zwycięstwie przebaczenia nad wrogością, miłości nad nienawiścią.

W cierpieniu i nadziei

Zabrali jej męża – pozostał Bóg

SABINA WURMBRAND

Dzieje żony

Historia kobiety, której życie stanowi odzwierciedlenie słów z Księgi Izajasza 30,15: „w ciszy i ufności leży wasza siła”. Jej łagodnego ducha i kochającego serca nie były w stanie złamać rozłąka z mężem i synem, więzienny rygor ani niewolnicza praca.

Książka pełna miłości i praktycznej mądrości, przejawiających się zarówno w trudach codziennego życia, jak i w ekstremalnie ciężkich doświadczeniach.

Między sierpem i młotem

Zabrali mu ojca i matkę – pozostała wiara

MIHAI WURMBRAND

Dzieje syna

Niezwykła historia narodzin wiary i jej dojrzewania w życiu chłopca, któremu odebrano wszystko. Gdy miał dziewięć lat, aresztowano mu ojca, dwa lata później matkę. Niemniej jednak te bolesne doświadczenia nie zamieniły go w cynicznego młodzieńca, lecz przybliżyły do Chrystusa, w którym odnalazł sens i cel życia.

Książka szczególnie ważna dla młodych ludzi, stojących na rozstajach dróg życiowych. Uczy, jak podejmować mądre decyzje wbrew presji środowiska i okoliczności.

*misjonarka z Australii
dziewczyna z bogatego domu w Pakistanie
nastolatka z Bhutanu
przemytniczka ze Związku Radzieckiego
żona pastora z Rumunii
więźniarka z Chin
matka z Indonezji
uciekiniarka z Wietnamu*

Co je łączy?

wiara, cierpienie, miłość...

 **Lam**
WYDAWNICTWO I EDUKACJA

ISBN 83-923845-0-4



9 798392 138450 1